



*Mroczne
afrykańskie rytuały
zadomowiły się
na Mazurach*

DARIA ORLICZ

**JEDNA
Z NAS
MUSI
UMRZEĆ**

DARIA ORLICZ

**JEDNA
Z NAS
MUSI
UMRZEĆ**


Harper
Collins



Libreville, Gabon, lipiec 2018

Wysoki ciemnowłosy mężczyzna wyszedł na przestronny balkon i spojrzał w kierunku widocznych z trzeciego piętra hotelu wód Oceanu Atlantyckiego. Afrykę w miarę dobrze znał i cenił, choć nie potrafiłby chyba powiedzieć, że kochał – Czarny Łąd miał w sobie zbyt wiele okrucieństwa, by móc darzyć go miłością; na spalonym ostrym słońcem kontynencie zarówno bezlitosna natura, jak i zbrodnicza działalność człowieka przyczyniały się do setek tysięcy ludzkich tragedii.

A jednak znów tu był...

Libreville lubił odwiedzać w lipcu, wtedy sprzyjała mu zarówno pogoda, jak i szczęście, przynajmniej tak było dotąd.

Patrząc na ocean, dopił trzymanego w ręku drinka, postawił kieliszek na szerokiej marmurowej balustradzie balkonu i lekko zmrużył oczy, wdychając idącą od strony wody wieczorną bryzę. Afryka pachniała obco i znajomo jednocześnie, pobudzała go do życia, sprawiała, że w jego żyłach żywiej krążyła krew. Był tu już kilkanaście razy, głównie w Kongu, Kamerunie, RPA i Tanzanii, ale mimo kosztów i niebezpieczeństw, które można było napotkać podczas każdej z wypraw, czuł, że będzie tu wracać.

W porównaniu z Afryką Polska wydawała mu się nudna, nijaka i bezbarwna. W Polsce mógł żyć na co dzień, ale jego serce nieustannie rwało się do Czarnego Łądu.

Gabon odkrył niedawno dzięki dobremu znajomemu z Konga, który zaprosił go tu, pokazał okolice Libreville i obiecał coś, o czym dawno marzył – zdobycie talizmanu. Na myśl o zbliżającej się nocy nerwowo przelknął ślinę i oblizał usta. Denerwował się, ale był też podekscytowany. Niełatwo było dotrzeć do ludzi, którzy mogli mu dać to, czego pragnął. Dotąd tylko o tym czytał, ale tej nocy...

Uśmiechnął się do młodego jasnowłosego Amerykanina w lnianym beżowym garniturze, jednak jego uśmiech był pełen rezerwy, chłodny. Nieznajomy, również z drinkiem w dłoni, pojawił się na sąsiednim balkonie znienacka i skinął mu głową w geście powitania, ale on, nie mając zamiaru wdawać się w jałowe dyskusje, porzucił kontemplowanie widoku oceanu i samotnie wrócił do hotelowego apartamentu.

Przyjaciel jego znajomego miał po niego przyjechać o północy. Umówili się w zaułku za hotelem, tam miało czekać auto. Szczegółów nie znał. Dowiedział się jedynie, że ma wsiąść do czarnego pikapa i nie zadawać zbędnych pytań. Później pojedą na miejsce – proste to było i niepokojące jednocześnie, ale taka właśnie jest Afryka.

Myśląc o planowanej wyprawie, robił się coraz bardziej podekscytowany, a czas włókł mu się niemiłosiernie. Wziął kolejny prysznic, nagi pokręcił się po apartamencie, wypił jeszcze jednego drinka i w końcu opadł na szerokie, zaskakująco wygodne łóżko, żeby zafundować sobie krótką drzemkę.

Później włożył ulubione jasne spodnie, błękitną koszulę i kupione jakiś czas temu wygodne włoskie mokasyny, opuścił hotel i zaszedł do pobliskiej knajpki na szybką kolację, gdzie po zamówionej bez zastanowienia, niezbyt smacznej potrawie skusił się jeszcze na pieczone banany, które znacznie lepiej dopieściły jego podniebienie.

Kilka minut przed północą szybkim krokiem ruszył w stronę pobliskiego zaułka. Wokół widział jeszcze ludzi, ulica wciąż była gwarna, ale nagle poczuł się nieswojo. Nie wiedział nawet, kto po niego przyjedzie, co sprawiło, że nagle zaczął się pocić. A jeśli gdzieś go wywozą? Okradną? Pobiją? Zamordują? Jeśli to jakiś podstęp? Czy jest takie ryzyko, że bezrefleksyjnie i naiwnie odda się w ręce szemranych typów, skuszony własną perwersją, której za wszelką cenę chciał dać upust?

Czarny pikap już czekał. Ciemnowłosy mężczyzna rozejrzał się i ruszył w stronę samochodu. Kiedy był kilka kroków od niego, kierowca pochylił się i otworzył mu drzwi. Wsiadając, trząśnięty w duchu, ale wiedział, że nie może okazać strachu. Ci ludzie potrafili rozszyfrować go równie dobrze, jak policyjne psy wyczuwały prochy.

Maurice Massamba, jego kongijski znajomy, zapewnił go co prawda, że może ufać człowiekowi,

który po niego przyjedzie, ale czy w Afryce można zaufać komukolwiek? Gabon uważany jest za kraj w miarę bezpieczny dla turystów, stabilny i przyjazny, ale czy wszyscy ci szeroko roześmiani, snujący się po obcych ulicach Włosi, Niemcy i Amerykanie mają pojęcie, co dzieje się tu naprawdę?

Rytualne zabójstwa dzieci i kobiet – od jakiegoś czasu Gabon wiódł prym w tej dziedzinie. Czytał gdzieś, że tylko w latach 2008–2012 w ramach obrzędu zamordowano tu ponad dwieście osób. Na Czarnym Łądzie znajduje się ciała obdarte ze skóry, z wyciętymi organami wewnętrznymi, upuszczoną krwią, pozbawione kończyn. Za rytualnymi mordami najprawdopodobniej stoją przedstawiciele najwyższych władz, wierząc, że talizmany z ludzi przynoszą szczęście i fortunę.

Na albinosów polują bandy z maczetami i bronią automatyczną, przeczesując wioski w poszukiwaniu ofiar, które brutalnie się okalecza bądź bezlitośnie zabija. Niektórzy rybacy wierzą, że umieszczone w sieci kończyny albinosów przyniosą lepsze połowy. Sangoma – człowiek pełniący rolę szamana – zapewnia powodzenie obrzędu dzięki mrocznym rytuałom. Zamawia się jego usługi przed włamaniami do prywatnych domów czy planowanymi napadami na konwoje, licząc na większe szczęście i bezpieczeństwo.

Czarny Łąd to nadal miejsce, gdzie pali się żywcem bądź kamieniuje niesłusznie oskarżane o czary starsze samotne kobiety, pozbawia się genitaliów, zębów i języków kilkuletnie dzieci, których zmasakrowane ciała znajdowane są na plażach, w rowach i na polach. Tu, w wielu regionach, rytualne zabójstwa są społecznie akceptowane, a szamani mają status bogów. Dzieci są porywane nocą prosto z ich rodzinnych domów, bestialsko wrywane z ramion ojców i matek.

Mężczyzna wzdrygnął się na wspomnienie zasłyszanej gdzieś historii o znalezionych w Tanzanii osiemdziesięciu kilku workach na śmieci pełnych ludzkich szczątków – w tym czaszek i kończyn. Zerknął na siedzącego za kierownicą ciemnoskórego mężczyznę koło dwudziestki i zapiął pasy, modląc się, żeby tamten nie dostrzegł, jak trzęsą mu się ręce. Ale chłopak nie zwracał na niego uwagi. Zawrócił w wąskim zaułku i wolno ruszył przez miasto. Dopóki byli w jego obrębie, mijając położone w przybrzeżnej strefie hotele, bary i niskie domy, ciemnowłosa mężczyzna czuł się w miarę pewnie, ale kiedy wyjechali na podmiejską drogę, znowu obleciał go strach.

– Długo pojedziemy? – zapytał po angielsku.

– Długo – mruknął chłopak i na tym urwała się ich konwersacja.

Za oknami czarnego pikapa panowały nieprzeniknione ciemności, mężczyzna znał jednak okolicę na tyle dobrze, by podejrzewać, że prędzej czy później wjadą w pełen bujnej roślinności równikowy las.

Dwie godziny później młody czarnoskóry kierowca zjechał na pobocze i bez słowa wysiadł z samochodu, by ulżyć pęcherzowi. Kiedy oddawał mocz, odwrócony plecami do samochodu, z zawieszonym na ramieniu karabinem, po który sięgnął, zanim wysiadł, ciemnowłosa mężczyzna pomyślał, że mógłby jeszcze się wycofać. Wiedział, że to, co robi, jest złe. Zamierzał przyczynić się do nieodwracalnego cierpienia jakiejś ludzkiej istoty, przyłożyć rękę do zbrodni. Mógłby teraz wyjąć portfel, zapłacić młodemu za fatygę i poprosić, by odwiózł go z powrotem do hotelu. Jednak pokusa była silniejsza...

Zło dosłownie go wołało, kusiło, wżarło się już w jego mózg, opanowało myśli. Miał świadomość tego, że za godzinę, może dwie, nieodwołalnie stanie się potworem, własnoręcznie wyrwie sobie duszę, a jednak nie umiał się już wycofać. Nie, nie stchórzyć, powiedział sobie.

Długo szukał dojścia do ludzi, którzy dadzą mu to, czego niewielu innych śmiertelników będzie miało okazję kiedykolwiek doświadczyć. Zasięgał języka, wręczał łapówki, ryzykował, że trafi na niewłaściwą osobę i narobi sobie kłopotów. I w końcu się udało – Maurice, Kongijczyk, którego poznał dwa lata wcześniej na safari, skontaktował go z kimś, kto wiozł go właśnie w głąb równikowego lasu, tam, gdzie czekało na niego przeznaczenie.

Trzasnęły drzwi pikapa i mężczyzna lekko się wzdrygnął.

Nie było już odwrotu, zdecydowanie nie.

Gdy ruszyli, oparł głowę o zagłówek i na chwilę przymknął oczy. Odkąd wyjechali z Libreville, był czujny, spięty i podenerwowany, ale na moment opuścił gardę. Przy odrobinie szczęścia nie zostaną napadnięci, obrabowani ani zabici – podobno chłopak, który go wiozł, należał do jednego z tutejszych gangów i mimo młodego wieku budził respekt. To brzmiało pocieszająco i mężczyzna mógł tylko mieć nadzieję, że Maurice nie wcisnął mu kitu.

– Jeszcze moment – odezwał się nagle młody kierowca, zjeżdżając w pełną kolein drogę, a czarny

pikap gwałtownie podskoczył na wyżłobionych w ziemi nierównościach.

– Okej – odpowiedział.

Drżał mu głos i chociaż we wnętrzu samochodu panował mrok, miał wrażenie, że siedzący za kierownicą chłopak uśmiechnął się pod nosem.

Zaparkowali przy niskim drewnianym budynku z blaszanym dachem. Wysiadając, wciągnął w płuca wilgotne nocne powietrze – byli gdzieś pośrodku niczego, wśród gęstego lasu, którego ściana tonęła w mroku afrykańskiej nocy.

Co czai się wśród splątanych pnączy? Nad tym wolał się nie zastanawiać.

– Idź – rozkazał mu młody kierowca.

Sam najwyraźniej nie zamierzał wchodzić do przypominającego barak domku – nie chciał bądź nie miał takich uprawnień. Oparty o maskę pikapa zapalił jedynie papierosa, gestem głowy wskazując swemu pasażerowi drzwi.

Robiąc pierwsze niespieszne kroki, mężczyzna zastanawiał się, co zastanie w środku. Oczywiście miał pewne wyobrażenie o czekającej na niego scenerii, za coś w końcu zapłacił i pewne rzeczy zostały wcześniej dogadane, jednak czuł, że jego fantazje mogą być odległe od rzeczywistości.

Gdy przekroczył próg, podszedł do niego dobrze zbudowany mężczyzna w kominiarce. Był w szortach i ciężkich wojskowych butach, ale jego lśniące od potu wytatuowane ramiona, tors i brzuch pozostawały nagie.

– Tam – rzucił szorstko, wskazując jednocześnie palcem kąt pomieszczenia.

Mężczyzna ruszył w stronę oświetlonego lampami naftowymi zakątka budynku.

Kobiet było pięć. Młode, prawie dzieci. Najmłodsza wyglądała na dwanaście lat, cztery pozostałe musiały mieć koło szesnastu, może siedemnastu. Nagie i śmiertelnie przerażone dosłownie zwisały z sufitowej belki. Miały ręce związane nad głową, słomę pod bosymi stopami i rozmazaną krew na twarzach.

– Którą chcesz? – zapytał mężczyzna w kominiarce.

Drugi, również z zasłoniętą twarzą, siedział na drewnianej ławce pod ścianą i z karabinem złożonym na kolanach obojętnie przyglądał się przerażonym ofiarom, żując przy tym gumę. Przy jego nodze stała butelka z niedopitym lokalnym piwem, obok otwartej flaszki leżał pistolet, chyba glock.

Ciemnowłosa mężczyzna podszedł bliżej i z rosnącym zafascynowaniem wpatrywał się w uwięzione młode kobiety. Ta najmłodsza miała krew na policzku, brodzie, dekolcie i drobnych, ledwo pączkujących piersiach, inne dziewczęta wyglądały na pobite, ale nie były aż tak skąpane w posoce.

– Język – mruknął jeden z oprawców, zanim szeroko się uśmiechnął, i mężczyzna zrozumiał, że nastolatce zdążono już wyrwać język, który na Czarnym Łądzie był jednym z najbardziej upragnionych talizmanów z ludzkiego ciała.

Kiedy ujął ją pod brodę, dziewczyna na moment otworzyła oczy i posłała mu błagalne spojrzenie. Zabierz mnie stąd, zdawała się bezgłośnie krzyczeć, choć z jej popękanych warg nie wydobył się żaden dźwięk, nawet najcichszy jęk.

Wtedy spojrzął na tę, która wisiała obok – podobała mu się jej twarz, ale i olbrzymi ciężki biust. Wyciągnął rękę i po krótkiej chwili wahania zważył w dłoni jej lewą pierś, ścisnął między palcami sterczący sutek i uśmiechnął się pod nosem.

Ta. Ta jest idealna. Na trzy pozostałe ledwo zerknął, od razu wiedział, że nie mają tego czegoś. Ale ta... Tak, to było to!

Przez chwilę wyobrażał sobie, że prosi o jej uwolnienie, zabiera ją gdzieś w najciemniejszy kąt, kolanem rozwiera jej mahoniowe uda i brutalnie gwałci. Pragnienie zrodziło się nagle i było na tyle mocne, że poczuł pożądanie, a jego spodnie wybrzuszyła erekcja. Lubił, kiedy się opierały, nigdy nie czuł się bardziej męsko, niż gdy brał kobietę siłą. Chciał, by krzyczała, błagała go o litość, płakała i szarpała się. Czuł jednak, że w tym odludnym, pogrążonym w półmroku baraku nie jest w pozycji do negocjacji. Nie znał tych ludzi, a oni nie znali jego. Zapłacił za coś zupełnie innego i tego powinien się trzymać. Poza tym bał się HIV, był w końcu w Afryce, nie chciał ryzykować.

– Biorę tę – powiedział więc tylko, a mężczyzna w kominiarce lekko skinął głową, wyraźnie aprobując jego wybór.

– Chcesz patrzeć czy nie? – zapytał po angielsku chropowatym, obojętnym głosem nałogowego palacza.

Mężczyzna się zawahał.

Chciał i nie chciał, zupełnie jakby gdzieś pod jego skórą staczały właśnie walkę siły światła i ciemności. Z jednej strony bał się tego, co przyjdzie mu zobaczyć, z drugiej jednak wiedział, że gdyby przegapił tak niecodzienne widowisko, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

– Chcę – zdecydował w końcu.

Kiedy mężczyzna w kominiarce złapał za leżącą na drewnianej ławie maczetę, jedna z dziewcząt przeraźliwie krzyknęła i zaczęła obłąkańczo wrzeszczeć. Drugi z oprawców wstał, wcisnął jej w usta podniesioną z podłogi brudną, porwaną na strzępy szmatę, złapał ją za włosy i powiedział coś, co sprawiło, że odrobinę się uspokoiła, a jej drobnym ciałem wstrząsał jedynie bezgłośny szloch.

Mężczyzna nerwowo przełknął ślinę i podszedł bliżej. Słyszał kiedyś o stosowanym w Kamerunie zwyczaju prasowania piersi młodych kobiet – matki ubijały lub uciskały piersi córek z pomocą gorących przedmiotów, chcąc spowolnić ich rozwój, a co za tym idzie, uchronić dziewczęta przed molestowaniem i rozpoczęciem współżycia. Było to niezwykle bolesne i groziło wieloma konsekwencjami, nigdy jednak nie widział czegoś tak brutalnego jak scena, której lada moment miał być świadkiem. Scena, za którą zapłacił z własnej kieszeni...

Mężczyzna w kominiarce podszedł do ofiary i ostrym krańcem maczety przeciągnął po jej skórze. Wydawał się skupiony, sprawiał wrażenie chirurga szykującego się do operacji. Zraniona dziewczyna jęknęła, po czym zaczęła się szarpać, ale związane nad głową dłonie i bosa stopy, których palce ledwo sięgały brudnej drewnianej podłogi, nie dawały jej wielu możliwości.

Z jej rozciętego brzucha popłynęła strużka krwi. Oprawca cicho się zaśmiał, ale kominiarka zdusiła jego śmiech, czyniąc go upiornym i przerażającym.

Kiedy włożył jej palce między nogi, stojący nieopodal brunet gwałtownie zaprotestował.

– Po prostu to zrób, bez macania jej i upokarzania – warknął, przez chwilę czując się prawie jak dżentelmen.

– Bez zabawy? – Kat sprawiał wrażenie rozczarowanego, ale posłusznie cofnął rękę, obwąchał własne palce i wytarł je w szorty.

A później złapał dziewczynę za pierś i przez chwilę ją pieścił; widać nie potrafił się oprzeć pokusie, pożądanie zwyciężyło. Szybko jednak się zreflektował, przeciął gruby sznur krępujący jej dłonie, a kiedy runęła na podłogę, nie potrafiąc utrzymać się na ścierpiętych nogach, brutalnie odwrócił ją na plecy, uklęknął przy niej i powoli, z namaszczeniem, jakby filetował łososia, maczetą odciął jej obie piersi, po czym dłońmi śliskimi od krwi cisnął je na stół i stracił zainteresowanie wykrwawiającą się na podłodze ofiarą, która przed momentem straciła przytomność z powodu szoku i bólu.

Brunet zerknął na nieludzko okaleczony tułów młodej kobiety i przesunął wzrok na piersi, które teraz były jedynie kawałkami zakrwawionego, żenująco nieforemnego mięsa.

Nigdy nie nakarmią niemowlęcia, sterczących sutków nie będzie już pieścił żaden mężczyzna. Odebrał jej kobiecość i zabrał życie. Sam zapłacił wyłącznie za lewą pierś, ale wiedział, że dziewczyna nie przeżyje tego, co zamierzają z nią zrobić – ofiary, które wpadły w łapy oprawców działających na zlecenie lokalnych gangów, zazwyczaj zostawały dosłownie rozczłonkowane: wrywano im zęby, obcinano genitalia, włosy, skórę, języki i kończyny, wydłubywano gałki oczne. Na każdy fragment ludzkiego ciała znajdował się tu jakiś chętny zwyrodnialec, a ceny, które za nie płacono, przyprawiały o zawrót głowy.

– Wracaj do hotelu i cierpliwie czekaj na przesyłkę. Roboty jest dużo, to może potrwać, ale zawsze dotrzemy obietnicy i wywiązujemy się z zamówień – usłyszał po dłuższej chwili wpatrywania się w leżącą na podłodze ofiarę.

Pozostałe dziewczyny zwiślały z belki w milczeniu. Żadna już nie krzyczała, wyglądały tak, jakby były obecne tylko ciałem. Ich głowy, myśli i dusze znajdowały się gdzie indziej. Poddały się bądź zbierały siły do walki o własne życie, kiedy przyjdzie na nie czas.

Zanim wyszedł, brunet uklęknął przy ofierze i opuszkami palców dotknął jej czoła.

– Dziękuję – wyszeptał po polsku. – Żadna ludzka istota nie da mi już cenniejszego prezentu od tego, co dostałem od ciebie.

Wstając, pośliznął się na zachlapanych krwią deskach i zaklął pod nosem, widząc, że ubrudził nogawki jasnych spodni.

Kilka miesięcy później na adres niemieckiej skrytki pocztowej, którą opłacił, przyszła do niego

paczka z Afryki. W niej, pośród skrytych w ozdobnych trocinach z wełny drzewnej słodyczy i drewnianych figurek, znajdowała się również niewielka saszetka ze starannie spreparowanej ludzkiej skóry – woreczek z lewej piersi młodej Afrykanki, talizman, z którym nie zamierzał rozstawać się do końca swoich dni.

Ostróda, lato 2021

Koniec lata zawsze budził w nim jakąś melancholię, napawał smutkiem. Za kilka tygodni po tętniącym obecnie gwarem ostródzkim moło będzie hulać wiatr, a młode dziewczyny, te, które teraz kręciły się wokół na rolkach, biegały i jadły lody w towarzystwie koleżanek, zakryją dekolty i owiną smukłe szyje szorstkimi wełnianymi szalikami. Dni będą coraz krótsze, wieczory ciemne, wietrzne i samotne. On zaś sam na sam ze swoimi myślami utknie w domu, bojąc się tego, do czego byłby zdolny, kiedy obudzą się w nim demony...

Trzy lata – tyle czasu zdołał opierać się pokusie. Trzy lata wspominał tamtą pamiętną noc w Gabonie, metaliczny zapach krwi, krzyki przerażonych ofiar i własne dzikie chore podniecenie, które ogarnęło go na widok torturowanych, nagich, lśniących od potu kobiecych ciał i ostrza maczety w dłoni opłaconego kata. Przez trzy lata wierzył, że wystarczy mu to, co wtedy dostał – wciąż zaskakująco żywe wspomnienia tego, co zaszło w baraku z metalowym dachem, i zrobiona ze skóry młodej Afrykanki bezcenna saszetka, którą nadal pieczołowicie przechowywał w sejfie i oglądał dwa, trzy razy w miesiącu, wachając ją, głaszcząc i całując. Lubił muskać ją koniuszkiem języka, przymykał wtedy oczy i wspominał zwierzęcy pierwotny strach ofiary, ciężar jej krągłej piersi w dłoniach i gładką mahoniową skórę, którą na jego oczach rozcięło ostrze maczety.

Jednak któregoś dnia zrozumiał, że wspomnienia już mu nie wystarczają...

Bestia, która obudziła się w nim tamtej nocy, zaczęła się wyrwać na wolność, szarpała się na przykrótkim łańcuchu, żądała nowych poświęceń, kolejnej porcji krwi.

Ofiary szukał powoli. Rozglądał się po mieście, godzinami spacerował nad wodą, zerkał na wyłaniające się z dekoltów kwiecistych letnich sukienek krągłe kobiece piersi, szukał twarzy idealnej, perfekcyjnego ciała. Nie miał planu i nie miał pojęcia, jak to robi, ale wiedział, że musi, inaczej nie zdoła dalej żyć. Zło obudziło się w nim wściekle głodne, orało jego wnętrza ostrymi pazurami, domagało się uwagi.

I nagle stało się, zupełnie jakby przyciągnął sposobne okoliczności samym pragnieniem zrobienia tego...

Był początek sierpnia dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku, kiedy sama wpadła mu w ręce – dziewczyna idealna, ofiara, o której marzył.

Wracał z Trójmiasta, gdy dostrzegł ją na poboczu. Autostopowiczka, marzenie każdego dewianta. Szeroko uśmiechnięta, ufna, z wyciągniętym w górę kciukiem, w szortach i wydekoltowanej bluzce na ramiączkach. Kiedy zwolnił i zjechał na pobocze, biegiem ruszyła w stronę jego samochodu, bez wahania, zupełnie jakby wsiadała do autobusu. Idiotka, pomyślał. Ale przecież jej beztroska była mu na rękę.

Kiedy wsiadła, posłała mu uśmiech.

– Hej. Dzięki, że się zatrzymałeś – rzuciła.

Miała ładny głos, może nieco zbyt niski jak na kobietę, ale i tak mu się podobał.

– Ola – dodała.

– Bartosz – skłamał, bo przecież nie zamierzał się jej przedstawiać swoim prawdziwym imieniem.

– Podrzucisz mnie do Ostródy? – spytała z nadzieją w głosie.

– Jasne – zełgał gładko, choć przecież prawda wyglądała zupełnie inaczej.

Owszem, podrzuci ją. Na drugi świat...

Myśląc o tym, uśmiechnął się pod nosem, co nie uszło jej uwadze.

– Co? – zapytała rozbawionym tonem.

– Nic – mruknął.

– No powiedz. Coś cię rozśmieszyło? Czekał, zgadnę! Mój tatuaż? – Autostopowiczka musnęła swoje lewe ramię, na którym widniała podobizna Myszki Miki, i parsknęła śmiechem. – Tajlandia, dwa lata temu. Nie pytaj, byłam niezłe nawalona.

– Czyli imprezowa z ciebie dziewczyna? – mruknął, zwalniając przed ostrym zakrętem.

– No raczej, raz się żyje. A ty? Domator? – rzuciła.

Kpina w jej głosie bardzo mu się nie spodobała.

Domator? Może trochę, ale bardziej amator skórzanych gadżetów z kobiecej skóry. O tym jednak dowiesz się dopiero w swoim czasie, pomyślał z zadowoleniem.

– Jesteś z Ostródy? – zapytała po krótkiej chwili ciszy.

– Tak. A ty?

Powiedziała, że jest tu od niedawna. Jeszcze pół roku temu mieszkała ponoć w Grudziądzu, ale zerwała z chłopakiem i przyjechała na Mazury.

– Mieszkasz sama? – zapytał, starając się, by nadzieja w jego głosie nie była zbyt oczywista.

– Tak, a co? Chcesz wpaść na drinka? – zapytała kokieterystycznym tonem.

Uśmiechnął się. Jasne, podrywa go, jak one wszystkie. Był przystojny, miał niezłą furę i gęste ciemne włosy. Tylko tyle potrzebują do szczęścia wszystkie te durne suki, pomyślał.

– Jasne, że chcę – mruknął.

– Więc wpadnij – zgodziła się.

Wtedy zapytał, czy po drodze, zanim dotrą do Ostródy, miałyby ochotę zobaczyć dom, jaki remontuje pod miastem, nieopodal.

– Wiozę flaszkę dla robotników, najstarszy ma dziś czterdziestkę – skłamał.

Chyba ją zaskoczył, może nawet nieco zaniepokoił, ale szybko odzyskała rezon.

– Jasne, żaden problem – mruknęła poprawiając niesforne rudawe włosy, które wymykały się jej z kucyka.

Wtedy zjechał w biegnącą przez las drogę.

Nie oponowała. Wręcz przeciwnie. Zaczęła paplać o salonie tatuażu, który chciałyby kiedyś otworzyć, a on z coraz większym trudem skupiał się na prowadzeniu, bo wypełniający wnętrze auta aromat jej perfum sprawiał, że chciał zerwać z niej ubranie i pokazać, kto tu rządzi.

Czasem obawiał się, że kręca go tylko afrykańskie kobiety. Ich pełne krągłe pośladki, ciemna skóra, mięsiste wargi, misternie splecione warkoczyki. Ale nie, jednak nie. Kiedy rudawa autostopowiczka siedziała obok, poczuł się równie napalony, jak tamtej nocy w Gabonie. Podniecała go myśl, że chociaż ona jeszcze o tym nie wie, to on jest panem sytuacji, wyłącznie on rozdaje karty. Nie miała z nim szans. Myśl o swojej sile sprawiała, że stawał się podniecony.

Żadna z nich z nim nie wygra. Wszystkie te feministki, rozkrzyczane, wściekłe na cały świat paniusie domagające się sprawiedliwości i równego traktowania nie mają bladego pojęcia, jak niewiele mogą w starciu z prawdziwym mężczyzną. Samica nigdy nie dorówna samcowi. Na tym świecie to wyłącznie siła fizyczna stanowi o ostatecznej wygranej bez względu na to, czy się to komuś podoba, czy nie, pomyślał z mściwą satysfakcją.

– To gdzieś tutaj? – W końcu, po jakichś pięciu minutach jazdy przez mroczny las, siedząca obok niego dziewczyna zaczęła okazywać pierwsze wyraźniejsze oznaki zaniepokojenia. Brawo ona, w końcu pojęła, że coś może jej grozić.

– Jeszcze jakieś pół kilometra – odparł.

Nie odpowiedziała, nagle zrobiła się czujna.

– Trochę się spieszę. Możemy jednak zawrócić? – poprosiła z rozculającą nadzieją w głosie.

– Nie możemy – burknął.

Wtedy szarpnęła za klamkę, ale był szybszy – uderzył ją pięścią w skroń tak mocno, że kompletnie odleciała, a głowa opadła jej na bok.

– Szach-mat – mruknął, zjeżdżając głębiej w las.

Pod stary drewniany dom na kamiennej podmurówce, który kupił dwa lata wcześniej, dotarł po kilku chwilach. Chata była na wpół zrujnowana i stała na kompletnym odludziu – tu nie zapuszczali się ani okoliczni grzybiarze, ani nikt inny, a robotników, o których jej naopowiadał, też oczywiście nie było. Teren, na którym wznosił się dom, otaczały lasy i dawno zapomniane pegeery, wokół nie było żywego ducha.

Kiedy wyciągał ją z samochodu, oprzytomniała i zaczęła wrzeszczeć, ale szybko uciszył ją kolejnym ciosem. Później zawłókł dziewczynę do piwnicy i rzucił na leżący na podłodze materac. Miejsce przygotowywał od dawna, zaczął już wtedy, gdy nie był nawet pewny, czy kiedykolwiek własnoręcznie posunie się do przemocy. A może tylko się okłamywał? W głębi duszy musiał przecież wiedzieć, że samego

siebie nie oszuka. Był potworem. A potwory zawsze robią to, co muszą, taka już ich specyfika.

Rozebrał ją szybko z pomocą niewielkiego myśliwskiego noża z ząbkowanym ostrzem, którym rozciął jej koszulkę, szorty i białe bawełniane majtki. Stanik zostawił na sam koniec. Obrócił ją na brzuch i wbijając kolano w dół jej pleców, zajął się jego rozpinaniem. Szarpała się. Była silniejsza, niż sądził, zwierzęcy strach dodał jej sił. Nacisnął kolanem jej plecy, mocniej wgniatając ją w materac, a później rozpiął rozporek, zsunął spodnie razem z bokserkami i przygniótł ją swoim ciężarem. Gdy ją brał, znieruchomiała, dosłownie zwiotczała. Może kiedyś matka powiedziała jej, że tak będzie bezpieczniej, że przynajmniej zachowa życie, ulegając chuci napastnika, a może po prostu ostatecznie zrozumiała, kto jest w tym układzie górą?

Był wysoki, umięśniony, dbał o siebie i dużo ćwiczył. Ona miała jakieś metr sześćdziesiąt i na oko z pięćdziesiąt pięć kilo. Muszka w starciu z pajakiem, zero szans na wygraną.

Kiedy się z niej wysuwał, zapytał, jak się jej podobało, i cicho się zaśmiał. Suki! Wszystkie są tak samo głupie! Jej nagie ciało było blade, latem musiała unikać słońca, być może nie lubiła się opalać. Podobało mu się to, zdawała się czysta i niewinna.

– Wypuść mnie – szepnęła, kiedy wkładał spodnie. – Nikomu o niczym nie powiem, przysięgam – dodała.

W jej głosie usłyszał wyraźną błagalną nutę, ale nie czuł wobec niej litości, a jedynie pogardę. Wszystkie te głupie bezmyślne suki same są sobie winne, pomyślał po raz drugi.

– Nie będziesz miała komu o czymkolwiek powiedzieć – zakpił.

– Przecież nie jesteś taki – rozpląkała się. – Wyglądasz na naprawdę miłego faceta, a ja mogłabym...

– Uwierz mi, nie jestem miłym facetem! – Zaśmiał się chrapliwie, wchodząc jej w słowo. – Umarłabyś ze strachu, gdybym ci powiedział, z kim masz do czynienia.

Wtedy zaczęła wrzeszczeć, więc podarł jej koszulkę i wcisnął jej w usta prowizorycznie zrobiony knebel, przypominając sobie przy okazji widzianą w Afryce brutalną scenę.

– Stul się – warknął.

Później związał jej dłonie w nadgarstkach przygotowanym wcześniej sznurem, obrócił ją na bok i zaczął gładzić jej nagie piersi. Była szczupła, ale biust miała ładny, duży i krągły. Dobrze trafiłem, pomyślał.

– Uwielbiam delikatność kobiecej skóry – wymruczał, pieszcząc leżącą nieruchomo, zakneblowaną dziewczynę.

Nie wiedział, jak długo się na nią gapił, sycąc wzrok jej zwierzęcym strachem. Kiedy wziął ją jeszcze raz, znacznie bardziej brutalnie niż przed chwilą, nawet przeszło mu przez myśl, by potrzymać ją w piwnicy kilka dni, a może i tygodni, ale pragnienie zatopienia w jej ciele ostrza było zbyt naglące, pochłonęło go, nie pozwalało na inne opcje. Na widok wyjętej z drewnianej skrzyni maczety dziewczyna prawie oszalała z przerażenia. Wciąż leżała na boku ze skrępowanymi rękami, ale nagle zaczęła się szarpać i miotać niczym ryba w sieci. Brunet uklęknął obok materaca, pochylił się nad nią i szepnął, że niedługo będzie po wszystkim.

– Zajmę się tobą czule, a każdy fragment twojego ciała na zawsze będzie moją relikwią – wyszeptał jej do ucha.

Z jej oczu popłynęły łzy, Myszka Miki na jej ramieniu wyglądała wyjątkowo idiotycznie. Infantylny tatuaż idealnie pasował do jej młodości i niefrasobliwości, do gwarnych parków, sal wykładowych i zalanych słońcem piaszczystych plaż, ale na pewno nie do starannie przygotowanej sali tortur, jaką urządził w tej piwnicy.

– Zajmę się tobą czule – powtórzył, gładząc ją po głowie.

Kiedy odciął jej lewą pierś, straciła przytomność. Później zabrał się za drugą, w końcu rozpruł jej brzuch i na chwilę wsunął dłonie pod rozplątaną, lśniącą od posoki skórę i warstwę tłuszczu.

Był panem życia i śmierci.

Bogiem.

Tym razem własnoręcznie zrobił to, o czym do niedawna tylko marzył.

Przez większą część nocy był zajęty, oprawiając leżące w kałuży krzepnącej krwi zwłoki. Wyrwał ofierze wszystkie zęby, obciął rudawe włosy z ciemniejszym odrostem – pukiel po puklu, pieczołowicie układając je na leżącej na podłodze posrebrzanej tacy, którą znalazł kiedyś w domu zmarłego dziadka

i wyjątkowo lubił. Pracował w skupieniu, co chwilę sięgając po inne narzędzie – nóż, sekator, cążki. Na koniec, gdy z autostopowiczki została już nieforemna krwawa miazga, ostatni raz spojrzął na jej martwe ciało i wyszedł przed dom.

Noc była chłodna, pachniała żywicą.

Nie wiedział, jak długo stał na werandzie, wdychając balsamiczne powietrze przedświt. W końcu uruchomił starą pompę w ogrodzie, nabrał do wiadra wody, umył się i wszedł do środka, gdzie duszkiem wypił dwa piwa. Na kuchennym stole leżała posrebrzana taca z puklami włosów ofiary i kompletem zębów. Przyglądał się swoim trofeom, nie mogąc się nadziwić, że jeszcze kilka godzin wcześniej wszystkie te fragmenty kości, włosów i skóry należały do żywej, pełnej marzeń i planów dziewczyny.

– Jestem potworem – oświadczył, ale nie poczuł się z tym źle.

Wręcz przeciwnie, podobało mu się brzmienie własnego głosu, napawał się triumfem śmierci nad życiem, własną siłą i odwagą. Nie każdego mężczyznę stać na coś tak ekstremalnego, powiedział sobie. Nie każdy umiałby wydobyć z kobiety tak wiele...

Dwie noce później owinął rozkładające się ciało w grubą ciemnoniebieską plandekę, którą kupił kilka lat temu na Białorusi, i wrzucił je na tyły zdezelowanej furgonetki, którą trzymał w blaszanym garażu przy starym domu, tak na wszelki wypadek. Później odkręcił tablice rejestracyjne, założył na głowę czapkę z daszkiem i wolno ruszył przez las wąską, pełną kolein drogą. Ciało porzucił na nieczynnym od lat poligonie, gdzieś daleko na polach, a później, przez nikogo niezauważony, wrócił do auta i dotarł do starego domu.

Dzień później w Ostródzie przechadzał się po molo, zastanawiając się, jak szybko jego ofiara zostanie odnaleziona. Z jednej strony pragnął, by świat zobaczył jego dzieło, żeby było o nim głośno, z drugiej bał się, że policja wytropi go dzięki postępowi w technikach śledczych, które mogą posłać go za kraty. To, co zostawił sobie na pamiątkę, bezpiecznie tkwiło w sejfie, razem z saszetką ze skóry Afrykanki, ale zwłoki... Cóż, prędzej czy później ktoś się na nie natknie.

Myśląc o tej chwili, czuł niesamowite podniecenie, z trudem udawało mu się funkcjonować i spotykać z ludźmi, udając kogoś, kim nie był.

Świat widział w nim spokojnego, ułożonego mężczyznę. On wiedział jednak, że to tylko maska. Był zwierzęciem w ludzkiej skórze, demonem rodem z piekieł, bezlitosnym zabójcą.

Zabijał, bo lubił.

Czy może być coś bardziej upiornego?

Kolejne tygodnie były dla niego prawdziwą, niekończącą się męczarnią. Czekał na jakieś przełomowe wieści, śledził serwisy informacyjne, marzył o tym, by sprawa stała się głośna nie tylko w całej Polsce, ale i na świecie, a przynajmniej w Europie.

Nie działo się jednak nic i zaczynał już tracić nadzieję, gdy nagle dziewczynę odkryto. Na ciało natknęła się grupka nastoletnich dzieciaków, w mieście wybuchła bomba, on zaś wstawał co rano z poczuciem nieopisanej chęci wykrzyczenia światu, że to właśnie on zrobił jej to wszystko, tylko dlatego, że mógł. Jednak jakieś resztki instynktu samozachowawczego nakazywały mu trzymać gębę na kłódkę i się nie wychylać. Chciał triumfować jako zabójca, ale nie miał zamiaru trafić za kratki – wiedział, że w więzieniu raczej by mu się nie spodobało.

Wieczorami mówił do siebie – siadał w ulubionym fotelu pod oknem i sącząc whisky, wspominał to, co zrobił, jakby opowiadał o tym najlepszemu kumplowi, przed którym nie ma żadnych tajemnic. Kiedy czuł się szczególnie samotny, wkładał sobie pod poduszkę zęby ofiary i zasypiał z myślą, że ma ją blisko, że ona ciągle do niego należy. Jeszcze niedawno niemal wielbił saszetkę, którą przysłano mu z Afryki, ale ostatnio zdał sobie sprawę, że znacznie cenniejsze są dla niego włosy, zęby i skóra młodziutkiej autostopowiczki, którą zabił sam.

Tatuaż z Myszka Miki zachował – rozciągnął skórę, wysuszył ją, a później włożył w ramkę za szkło, zupełnie jakby była pamiątkową fotografią z maturalnych czasów. Trzymał ją na regale z książkami, gdzie cieszyła jego wzrok, ilekroć, siedząc przy biurku, na nią patrzył, ale nie rzucała się w oczy i z pewnością nie budziła żadnych ponurych skojarzeń. Z czasem przybrała wygląd jednego z bibelotów sprzedawanych w sklepach z pamiątkami, rzeczy niegodnej uwagi.

Tylko on wiedział, jak wielką wartość sentymentalną ma dla niego zawartość ramki, w której zazwyczaj trzyma się zdjęcia. Patrzył na nią codziennie, wspominał, marzył i śnił na jawie. Wspomnienia

były żywe przez prawie rok i nagle, któregoś ranka, zupełnie niespodziewanie zdał sobie sprawę, że bestia zaczyna budzić się na nowo.

Zabije znowu, nie ma innej możliwości.

Przekroczył granicę piekła i nie miał już odwrotu.

Resztę tamtego lata spędził w mieście, nawet na chwilę go nie opuścił. Ludzie wciąż mówili tylko o koszarnej zbrodni i bestialsko okaleczonym kobiecym ciele, które znaleziono na poligonie. Matki błagały córki, żeby nie włóczyły się po nocy, ale młodzi nigdy nie słuchają starszych i molo było pełne roześmianych opalonych dziewczęcych ciał i pokus, jak co roku.

Rano spacerował z kubkiem kawy w dłoni, szukając w tłumie idealnej wymarzonej dziewczyny, którą miał zamiar zająć się tak czule jak jej poprzedniczką. Długo żadna nie rzuciła mu się w oczy, ale wierzył, że prędzej czy później mu się uda. Potwory muszą być cierpliwe, mówił sobie, nieśpiesznie sącząc kawę. Zwłaszcza te, które chcą jak najdłużej cieszyć się wolnością.

Czasem budził się w nocy i zaczynał płakać. Prosił Boga o wybaczenie, błagał o śmierć i uwolnienie świata od jego obecności. Ranek przynosił zazwyczaj ukojenie, wyrzuty sumienia blakły. Świat jest chory od zarania dziejów, powtarzał w myślach. Nie jego wina, że wokół panuje mrok. Czasem uśmiechał się do młodych dziewczyn w pubie, do którego lubił zachodzić wieczorami, a one ufnie odwzajemniały jego uśmiech. Takie naiwne, takie głupiutkie, cieszył się w duchu. Same pchały mu się w ręce, więc czyja to w końcu była wina? Jego czy ich?

Płock/Ostróda, październik 2022

Lena „Osa” Osowska wstała sprzed komputera i przeciągnęła się, tłumiąc ziewanie. Był późny poniedziałkowy wieczór, a ona, tak jak od ponad trzech lat, właśnie wrzuciła na swój youtubowy kanał kolejny materiał z cyklu *true crime*. „Osa na tropie zbrodni” zebrała już ponad osiemset tysięcy subskrypcji, a zainteresowanie tym, co robiła, nadal rosło, co przynosiło jej olbrzymią satysfakcję i napędzało do działania.

Tego wieczoru mówiła o sprawie, którą od kilku miesięcy żyła cała Małopolska – pochodząca z Bochni matka dwuletnich bliźniaków utopiła się w Wiśle na wysokości krakowskiego Podgórza, nie zostawiając słowa wyjaśnienia, żadnego listu, niczego. Sprawie dodawał pikanterii fakt, że kobietę posądzano o romans z bratem męża, jednak po jej tragicznej śmierci rzekomy kochanek wszystkiego się wyparł.

Prokuratura umorzyła śledztwo, uznając zgon młodej matki za samobójstwo bez udziału osób trzecich, jednak wielu ludzi dopatrzyło się w tej sprawie licznych niejasności – niepokoił zwłaszcza fakt, że kobieta skończyła z sobą po publicznej kłótni z domniemanym kochankiem, który od niedawna miał z kolei romans z młodziutką fryzjerką. Po tym, jak późnym wieczorem wrzeszczeli na siebie na jednej z głównych ulic Bochni, ona wsiadła do jego samochodu, dotarła z nim do Krakowa i... przepadła. Kilka dni później odnaleziono ją w Wiśle na wysokości stopnia Dąbie, a sprawa nadal rodziła wiele pytań. Czy to kochanek nakłonił ją do odebrania sobie życia? A może nawet sam wepchnął młodą matkę do wody? Po co tamtego wieczoru pojechali razem do Krakowa? Gdzie ofiara podziwiała się po tym, jak rozstali się w okolicach krakowskiego placu Bohaterów Getta? Tego nie wiedział nikt.

W sieci oczywiście wrzało, rodzina ofiary milczała, a ludzie, jak zwykle w takich sytuacjach, dopowiadali sobie resztę wedle własnego widzimisię.

– Hej, pożyczysz stówkę? – Osa przeglądała Instagrama, gdzie na swoim profilu umieszczała zdjęcia z miejsc zbrodni, które regularnie odwiedzała, gdy w pokoju zjawił się Maciek, jeden z jej współlokatorów, wysoki, ogolony na łyso rehabilitant o ksywce Gibki.

– Jeśli uda ci się zlokalizować mój plecak. – Osa ziewnęła, a Gibki triumfalnie się uśmiechnął.

– Jest w korytarzu, przy kaloryferze – mruknął.

– Weź sobie – zezwoliła, nie odrywając wzroku od monitora. – Ludzie są naprawdę pierdolnięci – dodała, czytając jeden z komentarzy. – Jakiś facet pisze, że pewnie wymyślam wszystkie te historie, żeby zarabiać na YouTube. Kurwa, przecież o tym pisały wszystkie media!

– Nie unoś się tak, Osa, bo ci ciśnienie skoczy. – Gibki pochylił się, pocałował siedzącą za biurkiem Lenę w czubek głowy i obiecał, że w środę odda kasę.

– Luz – rzuciła lekkim tonem, przeglądając kolejne komentarze.

Sprawa stara jak świat, baba najpierw się puszczała, a później puściła się z nurtem rzeki – skwitował jakiś @neonowy37.

– Palant – syknęła, czytając dalej.

Gdybym miał taką puszczałską żonę, sam bym ją utopił! – skomentował @ralf_nebraska.

Faceci, skrzywiła się Osa i wyłączyła komputer.

W kuchni wpadła na Jara, swojego drugiego współlokatora, rudego szczupłego okularnika koło trzydziestki, który z dumą nosił jakże obrzydłe dla sporej części narodu imię Jarosław.

– Hej, co tam? – zagaiła, uśmiechając się na widok kubka, który właśnie zamierzał zalać wrzątkiem. – Jadasz czasem coś innego niż te wszystkie zupki w proszku?

– Tylko wtedy, kiedy coś dla mnie ugotujesz – odparł, szczerząc zęby.

– Dzisiaj? Zapomnij. – Puściła do niego oko i wyjęła z lodówki ostatniego batonika bounty, za którymi przepadała.

Jedząc kokosowo-czekoladowy przysmak, przeglądała w telefonie jedną z ulubionych stron

z historiami kryminalnymi, kiedy nagle coś przykuło jej uwagę.

Ostróda. Zeszłego lata znaleziono tam potwornie zmasakrowane kobiece szczątki porzucone na nieczynnym poligonie, a przed dwoma dniami zaginęła ponoć mieszkająca tam dwudziestokilkulatka.

Media nie sugerowały, że sprawy mogą być z sobą powiązane, ale Osa szybko zwietrzyła dobrze rokujący temat. O Ostródzie miała pisać już rok wcześniej, zamierzała nawet spędzić tam kilka dni i zrobić dobry materiał, lecz zniechęciły ją dwie rzeczy – po pierwsze zarówno ogólnokrajowe media, jak i zajmujący się kryminalną tematyką blogerzy oraz youtuberzy rzucili się na tę sprawę niczym sępy, a po drugie dochodziła wtedy do siebie po dość ciężkim zapaleniu płuc i ostatecznie podarowała sobie wypad na Mazury.

Ale co się odwlecze, to nie uciecze, powiedziała sobie, pobieżnie przeglądając informacje o zaginięciu dwudziestotrzyletniej Jagody Wiśniewskiej. Spokojna, bezproblemowa, cicha, słodka – tak wypowiadali się o niej sąsiedzi, to samo mówił wychowujący ją samotnie ojciec.

Osa zmrużyła oczy i przez dłuższą chwilę przyglądała się zamieszczonemu w sieci zdjęciu zaginionej Jagody. Wysoka szczupła dziewczyna, z dużymi zielonymi oczami i długimi jasnymi włosami, na pewno przyciągała męskie spojrzenia, ale nie wyglądała na szczególnie rozrywkową – przeciwnie, nawet na zdjęciu sprawiała wrażenie nieśmiałej, wręcz wycofanej. Chociaż Osa świetnie przecież wiedziała, jak bardzo pozory mylą. Na innej stronie relacjonującej zaginięcie Jagody Wiśniewskiej znalazła informację, że dziewczyna mocno utykała, co w szkolnych latach było przyczyną jej izolowania się od rówieśników, a obecnie również problemów z nawiązywaniem relacji międzyludzkich. „Piękna samotnica”, skomentował ktoś, kogo instagramowy profil sobie zapisała.

Dowiedziała się również, że zaginiona prowadziła na Insta konto @switezianka_888, na które wrzucała robione w plenerze zdjęcia. Fotki były zachwycające. Z lasem, jeziorami i polami w tle przedstawiały Jagodę ubraną w zwiewne białe sukienki, z wiankami z kwiatów na głowie, roześmianą, rozmarzoną, przepiękną. Zdjęć było ponad tysiąc, jednak nowych prawie wcale. Ostatnie, jakie się pojawiło, pochodziło sprzed miesiąca i przedstawiało siedzącą na drewnianym pomoście Jagodę, która wyglądała na smutną.

Osie dało do myślenia zniknięcie dziewczyny z sieci – konto Świtezianki śledziło ponad sześćdziesiąt tysięcy osób, a jeśli nagle je porzuciła, musiała mieć jakiś powód, zwłaszcza że wcześniej potrafiła wrzucać nawet po kilka zdjęć tygodniowo.

– Niech więc będzie Ostróda – mruknęła pod nosem, sprawdzając w sieci trasę.

– A co się dzieje w Ostródzie? – zainteresował się Jaro.

– Zobaczmy. – Osa lekko się uśmiechnęła, ziewnęła i wstała z za stołu. – Idę spać. Nie tłuczcie się z Gibkim zbyt głośno – poprosiła.

– Spać? Tuż po północy? Nie poznaję cię, koleżanko. – Jaro puścił jej oczko i z kubkiem gorącego barszczu usiadł na jednym z krzeseł. – Kto rano wstaje, temu bozia dobry temat daje.

Osa zmierzwiła jego rudą czuprynę i ruszyła w stronę korytarza.

– Śpij słodko, królowo zbrodni! – rzucił za nią Jaro, po czym zajął się jedzeniem zupy.

W łazience zrzuciła ciuchy i nago stanęła na wadze.

– Kurwa – zakląła szeptem, bo za nic nie była w stanie zrzucić tych przeklętych ośmiu kilogramów, w które obrosła podczas pandemii.

Biegała, ograniczyła węglowodany, przestała nawet słodzić kawę i wciąż nie widziała efektów. Może gdyby pożegnała się z ulubionymi kokosowymi batonikami, waga okazałaby się łaskawsza, ale na takie poświęcenie Osa nie była chyba gotowa.

– Pieprz się, zdziro – zwróciła się do wagi, którą wcisnęła pod łazienkową komodę, i weszła pod prysznic.

Za niecały miesiąc skończy dwadzieścia siedem lat, co nieco ją przerażało. Bo później już tylko trzy kolejne lata i zmiana kodu z przodu, jak to określała przyjaciółka. A na trzydziestkę z całą pewnością nie była gotowa. Ale to dopiero za trzy lata i kilka tygodni, pocieszyła się, odkręcając ciepłą wodę.

Rano wstała kwadrans po siódmej i chociaż pogoda nie zachęcała do wyjścia z domu, założyła stary szary dres, spięła sięgające ramion cienkie jasne włosy w niski kucyk i wyszła pobiegać.

Z Grodzkiej, przy której od półtora roku wynajmowała mieszkanie, miała blisko do ojca i dziadka, mieszkających w jej rodzinnym domu na Klonowej – dwóch starzejących się wdowców rezydowało

w dwupiętrowym zaniedbanym „klocku” z lat siedemdziesiątych. Biegąc urokliwym chodnikiem na Mostowej, nad którym tworzyły sklepienie korony rosnących przy drodze drzew, Osa zastanawiała się, czy powinna kupić drożdżówki, czy raczej oszczędzić tacie i dziadkowi niezdrowej porcji cukru. W końcu zdecydowała, że zamiast tego kupi razowy chleb ze słonecznikiem, zahaczyła więc o piekarnię i z siatką w plecaku, zgrzana i zmęczona po pokonaniu ostatnich kilkuset metrów, zadzwoniła do furtki rodzinnego domu.

Otworzył jej dziadek, za którym wybiegł z domu głośno ujadający dwuletni kundelek – znajda, Reksio Pierwszy.

– Cześć. – Lena uśmiechnęła się do starszego mężczyzny, a kiedy otworzył jej furtkę, weszła do ogrodu i pocałowała go w policzek.

– Cześć, słoneczko. – Dziadek objął Osę i mocno ją przytulił. – Dobrze cię widzieć.

– Ciebie też. Tato jeszcze śpi? – zapytała, świetnie znając zwyczaje ojca, który miał wolny zawód, lubił więc sypiać do późna i siedzieć do nocy przed laptopem.

– Śpi. Jadłś śniadanie?

– Nie, ale kupiłam wam chleb. Wpadłam się pożegnać, jadę do Ostródy.

– Na Mazury? Zabili tam kogoś czy po prostu zwęszyłaś jakąś niewyjaśnioną sprawę?

– Zaginęła młoda dziewczyna, na razie nic więcej nie wiem.

– Ciekawe, ciekawe. – Dziadek przepuścił ją w drzwiach i gwizdnął na psa. – Reksio, chodź do domu, zanim sąsiedzi zaczną się skarżyć, że ujadasz im pod oknami.

– Skarżą się?

– Ci nowi, zza płotu. Dosłownie wszystko im przeszkadza – skrzywił się dziadek, zanim zamknął frontowe drzwi.

Kiedy przeszli do kuchni, a on zabrał się do parzenia kawy, Lena zauważyła, że wszystko wokół dosłownie lśni. W domu od dawna nie było tak sterylnie czysto.

– Macie gosposię czy sami zakasaliście rękawy i ogarnęliście ten bajzel? – Mrugnęła do dziadka, a on szeroko się uśmiechnął.

– Marysia posprzątała – wyjaśnił, sięgając do kredensu po filiżanki.

– Kto? – Lena nawet nie ukrywała zaskoczenia.

– Kobieta, z którą się spotykam.

– Żartujesz? Czemu nic o tym nie wiem?

– Właśnie ci mówię. – Postawił przed nią filiżankę i wyjął z szafki ciężką porcelanową cukiernicę z wzorem w kwiaty maków.

– Cieszę się – powiedziała Lena, bo przecież od odejścia babci minęło prawie osiem lat.

– Ja też. Dwie łyżeczki?

– Nie, nie słódź mi. Przytyłam – odparła skrzywiona.

– Bzdury! Wyglądasz jak kobieta, a nie jak wieszak – mruknął, ale ostatecznie schował cukier do szafki.

Kiedy pili kawę, w kuchni pojawił się ojciec.

– Cześć, tato. – Lena wstała i cmoknęła zaspanego ojca w nieogolony policzek. – Obudziliśmy cię?

– Pies mnie obudził – odparł ze skrzywioną miną. – Starczy dla mnie kawy?

– Starczy – zapewnił go dziadek i z powrotem wyjął schowaną dosłownie przed momentem cukiernicę.

– Jadę dziś do Ostródy, wpadłam się pożegnać – oznajmiła Osa, a ojciec przybrał pełną niezadowolenia minę.

– Tyle razy prosiłem, skończ z tymi historiami. Kiedyś się doigrasz, zobaczysz. Wiesz, ilu świrów może cię oglądać?

– Tato, błagam! Nie zaczynaj. – Lena przewróciła oczami i upiła kilka łyków kawy.

– Kiedy wracasz? – zapytał ojciec.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

– Znajdź sobie normalną pracę, możesz to dla mnie zrobić?

– Mam normalną pracę. Świetnie zarabiam dzięki popularności mojego kanału na YouTube – przypomniała mu.

– Nie masz normalnej pracy! – prychnął. – Fascynują cię gwałciciele, mordercy i wszelkiej maści dewianci!

– Grzegorz, odpuść jej. – Starszy z mężczyzn położył rękę na ramieniu wzburzonego zięcia, który zamilkł, choć ciągle wyglądał na wściekłego. – To dobrze, że ma swoje pasje. Mnóstwo ludzi docenia to, co Lenka robi, jest w tym całkiem niezła – dodał.

– Oglądają ją świry! – wycedził Grzegorz Osowski, a Lena westchnęła.

– Zapewniam cię, że nie tylko świry – powiedziała cicho, z trudem powstrzymując uśmiech na widok rozbawionej miny dziadka, który w przeciwieństwie do ojca od początku jej kibicował i był dumny z tego, co robiła.

Ojciec też był dumny, ale ciągle się o nią martwił, co doprowadzało ją do szału.

Robiła to od kilku lat i, nie licząc jakichś nieistotnych drobnych incydentów, nie przytrafiło jej się dotąd nic traumatycznego. Za to czarnowidztwo ojca napsuło jej sporo krwi.

– Tato, będę na siebie uważać, okej? – powiedziała, zanim wstała z krzesła i objęła siedzącego ojca ramionami. – Będę czujna, paranoicznie ostrożna i sprytna niczym kobra.

– Skoro tak mówisz. – Grzegorz lekko się rozchmurzył i poklepał córkę po ręce. – Wracaj szybko, a gdybyś miała jakieś problemy...

– Wiem, będę dzwonić – obiecała, chociaż przecież świetnie wiedziała, że gdyby naprawdę potrzebowała czyjśgo wsparcia, to ojciec, który został w Płocku, byłby pewnie ostatnią osobą zdolną jej pomóc.

Bo niby jak? Na odległość? Wolne żarty!

Żegnając się z nim, pomyślała, że chciałaby, by on też kogoś sobie znalazł, tak jak dziadek. Wdowcem był od ponad dziesięciu lat, a to przerażająco wiele samotnych dni i nocy. Ale on nie szukał partnerki, nie chciał o tym słyszeć. Wolał być sam, zwłaszcza po tym, co spotkało ich rodzinę. Bolało ją to, ale też w pewien sposób rozczulało. Wiedziała, jak bardzo kochał jej mamę, i podejrzewała, że nigdy nie pogodził się z jej nagłą tragiczną śmiercią.

Na myśl o matce poczuła bolesne ukłucie w sercu. Matka odeszła, kiedy ona, Lena, miała kilkanaście lat. To już tyle czasu, dotarło do niej, kiedy wkładała porzucone w korytarzu buty.

Półtorej godziny później swoją niezawodną kilkuletnią hondą, którą nazwała kiedyś Ośmiornicą, pędziła w stronę Ostródy z nadzieją, że gdy tam dotrze, Świtezianka nadal będzie zaginiona. W przeciwnym wypadku na próżno spalałaby benzynę. Zaginiona bądź martwa, obie opcje są dla mnie niezłe, powiedziała sobie i chwilę później fatalnie się z tym poczuła. Dżizas, naprawdę tak pomyślałam? – wzdrygnęła się, zwalniając przed zakrętem.

Ostróda powitała ją słońcem i błękitnym niebem, co uznała za dobry omen.

Kawiarnię wypatrzyła szybko – na tyle mało zatłoczoną, by dało się pogadać z kelnerką, ale też nie leżącą zbyt na uboczu. Jakies lokalne plotki musiały tu docierać.

– Podobno zaginęła tu młoda dziewczyna? – zapytała, kiedy już wygodnie umościła się na krześle z wysokim oparciem i sięgnęła po menu.

Kelnerka, która podała jej kartę, okazała się całkiem gadatliwa.

To dobrze. Bardzo dobrze dla niej.

Takich ludzi Osa lubiła najbardziej.

Dzięki nim dowiadywała się czasem o rzeczach, które zdarzało się przegapiać nawet miejscowej policji. Niestety, tym razem nie miała szczęścia. Owszem, kelnerka dużo paplała, ale niczego nowego jej nie zdradziła. No młoda, ładna, nieśmiała, tak, szuka jej całe miasto, szkoda wielka, bla, bla, bla – usłyszała Osa, ale nie traciła wiary we własny fart, nie zamierzała się poddawać.

Przecież ledwo co tu przyjechałam, mam czas, powiedziała sobie, ukradkiem wyłączając dyktafon.

Tak, zdarzało jej się nagrywać ludzi bez ich wiedzy. Taka praca, sorry, Gregory. Uśmiechnęła się pod nosem, zanim wbiła widelczyk w wyśmienicie wyglądający kawałek oblanego czekoladową polewą sernika z bakaliami. Pieprzyć dietę. Kiedy ruszała z nowym tematem, nie zadreślała się ograniczaniem kalorii. Najwyżej rano dłużej pobiega, pocieszyła się.

Ostróda, październik 2022

Starszy sierżant Adrian Rożek wszedł do zabałaganionej kuchni i uśmiechnął się na widok umorusanej kaszką buzi półtorarocznej córeczki Amelki. Dziewczynka, karmiona przez matkę, siedziała w foteliku i radośnie gaworzyła.

– Cześć, kochanie. Wypałeś się w końcu? – odezwała się Kamila na widok wchodzącego do kuchni męża.

– Jako tako. A ty? – spytał, z przyjemnością zauważając, że żona włożyła na noc koszulkę od niego – pistacjową, zdobioną jasną koronką i bardzo seksowną.

Szkoda tylko, że wieczorem zasnął, zanim zobaczył, jak wychodziła z łazienki. Obiecał jej, że poczeka, i zasugerował nawet jakieś igraszki, ale później, po prostu skonany trudami minionego dnia, padł na łóżko, zamknął oczy i odpłynął w sen.

– Wstawałam do małej, ale jakieś pięć godzin snu udało mi się złapać. – Kamila posłała mężowi uśmiech i nabrała na łyżeczkę kolejną porcję kaszki. – Bardzo ładnie, grzeczna dziewczynka – pochwaliła córeczkę, która szeroko otworzyła buzię. – Zrobisz dziś zakupy czy ja mam jechać? – zwróciła się do męża, który pośpiesznie, na stojąco, jadł przygotowaną przez nią kanapkę z jajkiem na twardo i majonezem.

– Mogę podjechać, skoro mam wolne – zgodził się chętnie.

W sumie lubił jeździć do supermarketu, zazwyczaj bywało to okazją do spotkania znajomych i pogadania z ludźmi.

– Mama pytała, czy wpadniemy do nich w sobotę. – Kamila wytarła umorusany kaszką puciołowaty policzek córeczki i posłała mężowi pytające spojrzenie.

– Jasne, chętnie. – Rożek lubił teściów, więc się zgodził, wiedząc, że zostanie dobrze nakarmiony i solidnie napojony przez ojca żony, który lubił sobie wypić do kolacji piwo albo dwa, a czasem coś mocniejszego, i to z wyższej półki.

– Kup papierowe ręczniki, pieluchy dla małej i pieczarki. Resztę ci już zapisałam, kartka jest na stole. – Żona poprawiła sięgające za ramiona jasnorude włosy i posłała mu figlarny uśmiech. – Wczoraj zasnąłeś, a ja nawet ogoliłam nogi – zaśmiała się. – Ale tylko łydki, szybka akcja – dodała, a on parsknął śmiechem.

– Przypuszczam, że na ogolenie całych nóg znajdziesz czas dopiero, kiedy nasza królewna skończy jakieś piętnaście lat.

– W najlepszym razie. – Kamila pogłaskała córeczkę po porośniętej cienkimi jasnymi włoskami główce i z miłością spozrzała na męża. – Śniłeś mi się – dodała.

– Tak? I co ciekawego robiliśmy?

– Odsnieżałeś podjazd pod domem. W samych bokserkach, bosi i mokry, jakbyś wyszedł prosto spod prysznica, a pani Wanda z naprzeciwka częstowała cię kompotem.

– Cóż, mam nadzieję, że zdążyłaś się obudzić, zanim złapałem zapalenie płuc? – zażartował Adrian i zrobił śmieszny minę do przyglądającej mu się córeczki.

– Na szczęście tak. I jeszcze musztarda. Zapamiętasz?

– Jasne, kupię. Tylko skoczę pod prysznic. – Adrian ziewnął, nalał sobie kawy, upił kilka łyków i wyszedł z kuchni.

W łazience, stojąc pod silnym strumieniem płynącej z deszczownicy wody, rozmyślał o Aleksandrze Siemaszko, brutalnie zamordowanej młodej kobiecie, której bestialsko okaleczone zwłoki znaleźli ponad rok wcześniej na poligonie w okolicach miasta. Dwadzieścia trzy lata, w Ostródzie mieszkała sama, przyjechała tu jakieś pół roku przed śmiercią i wynajęła dwudziestokilkumetrową kawalerkę w okolicach dworca.

Brak bliskiej rodziny sprawił, że jej zaginięcie zostało zgłoszone dopiero po miesiącu przez byłego faceta dziewczyny, Norberta Kowalczyka, którego zaniepokoiło jej milczenie na Instagramie i wyłączony telefon. Nikt inny nie zainteresował się jej losem. Nawet kobieta, od której Siemaszko wynajmowała

mieszkanie, nie zauważyła zniknięcia młodej lokatorki. Smutne, pomyślał Adrian, namydlając się należącym do żony kwiatowym płynem do kąpielii – sam ciągle zapominał, żeby kupić ten, którego używał od kilku lat.

Okrutną śmierć dziewczyny przeżył bardzo głęboko – była to pierwsza aż tak brutalna sprawa w jego karierze małomiasteczkowego policjanta, i na pewno taka, którą zapamięta na zawsze. Śledztwa nie prowadziła lokalna komenda, odebrano im dochodzenie zaraz na wstępie – ze względu na szczególne okrucieństwo, a zarazem sporą medialność zajścia, przejęli je ważniacy z wyższego szczebla. Do dziś miał jednak przed oczami koszmarnie zmasakrowane zwłoki, ziejące krwawymi dziurami po wyrwanych zębach dziąsła i nierówno obcięte przy samej skórze włosy, które sprawca kosmyk po kosmyku musiał ciachać nożem albo tępyimi nożyczkami.

Kiedy ustalono tożsamość dziewczyny, Adrian w nieskończoność oglądał jej zdjęcia w sieci. Była taka ładniutka, pełna życia i radosna, ciężko było zestawić obraz jej roześmianej twarzy z rozkładającym się na polu ciałem, które po niej pozostało.

Ale pomijając koszmarnie sny męczące go od dnia, w którym został wezwany na miejsce znalezienia zwłok, i ponure myśli dotyczące upadku ludzkiej cywilizacji, najbardziej przerażała go świadomość, że być może sprawca żyje tu gdzieś obok, w tym samym mieście, spaceruje po ostródzkim moło i kupuje bułki w piekarni, którą odwiedzała jego żona. Czasem pocieszał się, że mógł to być ktoś przyjezdny – dziewczyna zaginęła latem, a Mazury były w wakacje pełne turystów. Coś mu jednak mówiło, że sprawcą był ktoś z Ostródy, ewentualnie z jej okolic.

Nie wiedział, skąd wzięło się w nim to przekonanie. Instynkt? Podszept intuicji? Mniejsza z tym. Takie miał przeczucie, co sprawiało, że przez ostatni rok fatalnie sypiał i ciągle obawiał się o bliskich – zwłaszcza o żonę, matkę i dwie młodsze siostry.

– Adrian, wychodź! Muszę siku! – Żona załomotała w drzwi łazienki, gdy wciąż nagi, ale już wytarty w świeży ręcznik, przecierał mopem zalaną podłogę.

– Moment! – odrzyknął, dokończył mycie płytek, w pośpiechu włożył pasiasty stary szlafrok i otworzył drzwi.

– Potrzymaj ją. – Kamila dosłownie wcisnęła mu w ramiona Amelkę i nie czekając, aż wyjdą, usiadła na sedesie.

Zanim opuścił łazienkę, uśmiechnął się na widok sikającej żony. Lubił, gdy robiła to przy nim, rodziło to między nimi poczucie intymności. Była jego, a on był jej. Chryste, jak ją kochał! Do żadnej kobiety nigdy wcześniej nie czuł takiej miłości jak do niej. Czasem wspominał ich pierwsze spotkanie i zawsze wtedy się uśmiechał. Pamiętał jej rozsypane na kołnierzu płaszczu jasnorude włosy, które zdobiły bielutkie płatki sypiącego wtedy gęsto śniegu, pamiętał szeroki uśmiech i to krótkie „dzięki”, kiedy pożyczył jej dwa złote na sklepowy wózek. Zakupy zrobili razem, później poszli na kawę.

Banalna historia, być może na świecie są takich tysiące, a jednak to przypadkowe spotkanie na parkingu przed supermarketem przerodziło się we wspólny spacer przez życie. A teraz trzymał w ramionach ich córeczkę i czuł się najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, co zazwyczaj go cieszyło, ale też przerażało. Gdyby któreś z nich stało się coś złego... Nie wyobrażał już sobie życia bez nich, nie umiał nawet o tym myśleć. Umarłby, gdyby je stracił. Umarłby, gdyby kiedykolwiek odeszły...

Gdy Kamila wzięła od niego dziecko, cmoknął ją w szyję i mruknął, że musi się ubrać.

– Skoczę po te zakupy, tylko coś zrobię – oznajmił, a Kamila posłała mu błądy uśmiech, choć nie skomentowała jego wypowiedzi.

Jasne, że wiedziała, co właśnie zamierzał zrobić – zaszyć się w pokoju, który nazywał gabinetem, i kolejny raz przeanalizować swoje notatki. Sprawca wciąż był na wolności, ale on, mimo że nie prowadził tego śledztwa, miał kilku swoich kandydatów, którzy mogliby pasować do roli podejrzanego.

Ubrał się prędko – szary podkoszulek z nadrukiem w dinozaury, ulubione sztruksowe spodnie w kolorze musztardy, skarpety, bluza. Jesienne poranki nagle zrobiły się chłodne, a w domu jeszcze nie działało ogrzewanie.

Później usiadł za biurkiem i wyjął z szuflady kilka zapisanych drobnym starannym pismem kartek. Miejscowych mężczyzn, którzy trafili na jego listę, było pięciu.

Arkadiusz Nowakowski, trzydzieści osiem lat, masarz. Adrian pamiętał go ze szkoły – chodzili razem do podstawówki i nigdy go nie lubił. Chłopak już wtedy, mając naście lat, był agresywny, ponury i wrogo nastawiony do świata. Obecnie prowadził co prawda sklep mięsny i finansowo nieźle sobie radził, ale było

w nim coś mrocznego, co sprawiało, że Adrian Rożek wpisał go na swoją prywatną listę koleśki do obserwowania. Dodatkowo Nowakowski od lat nie miał stałej partnerki, regularnie jeździł na polowania i nigdy nie pił alkoholu. Poważnie, nikt nigdy nie widział go w mieście nawet z jednym piwem, co wydawało się dosyć dziwne. Było w nim coś z klasycznego serialowego psychopaty, zachowywał się tak, jakby bał się stracić nad sobą kontrolę, co mocno dawało policjantowi do myślenia.

Drugim podejrzanym był Dariusz Kował, prowadzący z synem lokalny zakład pogrzebowy. Zwalisty, ponury, mrukliwy i wąsaty facet po pięćdziesiątce, który w wolnym czasie włączył się po lasach albo pił w domku pod miastem – ponoć bywało, że siedział tam nawet kilka dni, zwłaszcza kiedy jakimś cudem w mieście nikt akurat nie zmarł albo zlecen było tak niewiele, że syn radził sobie sam. Kował nie miał co prawda żadnej kryminalnej przeszłości, ale sam jego zawód sprawiał, że Rożek wpisał go na listę.

Doktor Maciej Tokarczyk, miejscowy stomatolog – on również wydawał się młodemu gliniarzowi podejrzanym. Trzydzieści cztery lata, samotnik mieszkający w zaniedbanej, porośniętej winoroślą willi na końcu cichej ślepej uliczki, według sąsiadów godzinami przesiadujący w piwnicy swojego na wpół zrujnowanego domu po dziadkach. Żadnych kobiet, żadnej bliskiej rodziny, milczący, trzymający się z daleka od innych, mógł wzbudzać zainteresowanie policji. Wisienką na torcie był fakt, że doktor był ponoć prawiczką, takie przynajmniej chodziły słuchy. Cóż, biorąc pod uwagę mało estetyczną tuszę dentysty, Rożka nawet by to nie zdziwiło. Facet był niezadbany, nieprzystosowany społecznie i wyraźnie zdystansowany od świata, a nieliczni pacjenci, których miał, nie potrafili powiedzieć o nim niczego innego poza „To dobry lekarz”.

Karol Pisarczyk – podróżnik, youtuber i gość, który żył nie wiadomo z czego i ciągle się gdzieś włączył – kolejne nazwisko na jego liście. Koleś był głównie w Afryce i Ameryce Południowej, wrzucał do sieci filmy ze swoich samotnych wojaży. Miał prawie sześćset tysięcy subskrybentów i sprawiał całkiem sympatyczne wrażenie – przystojny, ciemnowłosy, zawsze uśmiechnięty. Rożek nigdy by o nic go nie podejrzewał, gdyby nie incydent, którego kiedyś zupełnie przypadkiem był świadkiem. Otóż parę lat wcześniej, kilka tygodni przed Bożym Narodzeniem, Pisarczyk pokłócił się w pubie z jakimś przyjezdnym i pobił się z nim przy barze na oczach co najmniej kilkunastu świadków. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie amok, w jaki wtedy wpadł Piekarczyk, okładając leżącego na podłodze mężczyznę pięściami. Był w takiej furii, że gdyby ich nie rozdzielono, mógłby swą ofiarę zatłuc na śmierć. Adrian Rożek nigdy nie dowiedział się dwóch rzeczy – o co właściwie mężczyźni się pokłócili i czemu ciężko pobity facet, który spędził ponad tydzień w szpitalu, nie wniósł skargi.

Piąte nazwisko dopisał do listy niedawno, po długim wahaniu. Ksiądz Waldemar Berg, wikary, który pracował w Ostródzie dopiero jakieś półtora roku. Alkoholik leczący się z nałogu, niepijący ponoć od sześciu lat, którego niedawno przyłapano jednak na prowadzeniu pod wpływem, co zdradzili mu chłopacy z drogówki. Niby nic, kolejny zagubiony obywatel, który zasilił niechlubne statystyki. To jest Polska, naród jeździ najebany, zabija siebie i innych, dzień jak co dzień.

Dała mu natomiast do myślenia przemiana księdza, widoczna dosłownie gołym okiem. Do kościoła Adrian chadzał co niedzielę, bo Kamila była wierząca. Nie miał nic przeciwko temu, w młodości był ministrantem, lubił katolickie obrzędy i dobrze się czuł w świątyni, nawet jeśli jego dziecięca wiara, ufna i naiwna, gdzieś wyparowała. Młodego wikarego polubił od pierwszej chwili za pełne pasji żarliwe kazania, których z prawdziwą przyjemnością wysłuchiwał. Jednak nagle, zupełnie niespodziewanie, młody kapłan zamienił się w kogoś zupełnie innego, jakby pozostało tylko ciało, a ktoś podmienił mu duszę.

Zazwyczaj szeroko uśmiechnięty, kręcił się po mszy przed kościołem, rozmawiał z ludźmi, zachęcał do aktywności w parafialnych wydarzeniach, ale od kilku miesięcy sprawiał wrażenie kogoś, kto odprawia nabożeństwa i zajmuje się wiernymi za karę. Nie patrzył ludziom w oczy, kulił się w ramionach, nocami wymykał się ponoć z plebanii na długie spacery wzdłuż jeziora, gdzie przesiadywał na ławce i palił papierosa za papierosem, a jego kazania zrobiły się nudne, sztapowe i nijakie.

To nie był już ten tryskający entuzjazmem młody ksiądz, którego widywano półtora roku wcześniej, i Rożek coraz częściej się zastanawiał, co mogło być przyczyną tej zaskakującej metamorfozy. Utrata wiary? Jakiś wewnętrzny kryzys? Owszem, niewykluczone, ale co, jeśli było to coś więcej? Tamtej letniej nocy mógł poznać tę dziewczynę i stracić panowanie nad sobą. Zabawić się z nią albo, co gorsza, zgwałcić, dając się porwać dzikiemu przepływowi żądy, a później zabić ze strachu, że ofiara coś komuś powie.

Rożek wiedział, że Waldemar Berg bywał na misjach w Afryce, gdzie wysyłano nie tylko

zakonników, ale również księży diecezjalnych. Wrócił ponoć emocjonalnie załamany, widział wiele ludzkich dramatów, dużo wtedy pił, leczył się, miał sporo problemów. Czy to możliwe, że zabił przypadkową młodą kobietę, a ciało zmasakrował tak, jak ponoć robiło się to na Czarnym Łądzie?

Rożek czytał o tym co nieco, oglądał dokumenty. Obcięte piersi ofiary pasowałyby mu do kogoś, kto znał Afrykę i jej bestialskie rytuały. Ale czy ktoś, kto oddał całe swoje życie Bogu, byłby zdolny do takiej demonicznej zbrodni? Zastanawiał się nad tym przez chwilę i po namyśle skreślił nazwisko młodego kapłana z listy. Nie, cokolwiek trapiło księdza Berga, nie mógł być zabójcą, powiedział sobie Adrian Rożek.

Po chwili przypomniał sobie jednak wyczytane kiedyś w sieci słowa jednego ze starszych niemieckich egzorcystów, który twierdził, że w samym środku Watykanu działa satanistyczna sekta, i z powrotem wpisał księdza na listę, tuż pod jego przed chwilą przekreślonym na czerwono nazwiskiem.

– Obłąd – mruknął, dodając do nazwiska kapłana wykrzyknik. – Kompletnie mi odbija – dodał i ponownie wykreślił Berga z listy podejrzanych.

Później schował notatki do biurka, przeciągnął się i wyrzwał przez okno.

On tu gdzie jest, pomyślał i po plecach przebiegł mu dreszcz.

Człowiek, który nie tylko zabił młodą kobietę, ale znęcał się nad nią w sposób, który trudno było sobie wyobrazić. Jak wpadła w jego łapska? Czy wcześniej się znali, czy była jego przypadkową ofiarą?

– Kim jesteś, sukinsynu? – mruknął, wychodząc z pokoju.

W kuchni, parząc kawę, pomyślał o Jagodzie Wiśniewskiej. Ładna dziewczyna, porządna. Nie piła, nie włóczyła się, nie dawała dupy byle komu, o ile dawała komukolwiek. Dość mocno utykała, co musiało być dla niej przyczyną niemałej frustracji i powodem do kompleksów, ale poza tym była idealna. Piękne jasne włosy, kocie zielone oczy, twarz modelki i zjawiskowa figura. Świtezianka...

Podobnie jak większość okolicznych mieszkańców znał jej instagramowy profil, lubił tam zaglądać wieczorami, podobały mu się jej zdjęcia. Była kobieca, zmysłowa, a przy tym niewinna. Uśmiechała się tak, jakby obiecywała wszystko i jednocześnie nic. Pamiętał zdjęcie, na którym ubrana w białą sukienkę leżała na wodzie, unosząc się na zielonkawej tafli jeziora niczym szekspirowska Ofelia. Zarys jej piersi, widok ciemnych sutków ciasno oblepionych mokrą białą tkaniną – wszystko to było tak zmysłowe, że przez kilka wieczorów z rzędu Adrian zasypiał z myślą o tym zdjęciu.

Ten obraz długo go nie opuszczał. Nigdy wcześniej Jagoda nie pokazywała tak wiele...

Pozowała w wiankach na głowie, czasem w sukienkach z dekoltami, ale nigdy nie wrzucała do sieci aż tak odważnych fotek. W komentarzach rozpętało się oczywiście piekło. Ludzie krytykowali ją za bijącą z fotografii zmysłowość, wyzywali od zdzir, posuwali się do gróźb. Czytając niektóre komentarze, Rożek był zszokowany jadem, jaki wylał się na Świteziankę za to jedno jedyne odważniejsze zdjęcie, ale także tym, że nawet kilka jego dawnych koleżanek ze szkoły wyzywało ją od puszczałskich.

Czy jej zaginięcie ma jakiś związek z tym, że prowadziła ten profil? Miała jakichś psychofanów? Ktoś jej pożądał, a może przeciwnie, nienawidził aż tak, że chciał jej zrobić fizyczną krzywdę? I czy to możliwe, że Świtezianka wpadła w łapy tego samego zwyrodnialca, który w zeszłym roku bestialsko odebrał życie Aleksandrze Siemaszko? – zastanawiał się, wyjmując z szafki uszatą torbę na zakupy.

Na parkingu przed supermarketem zauważył dziewczynę, której twarz wydała mu się znajoma, nie potrafił jednak przypomnieć sobie, gdzie mógł ją widzieć. Na pewno nie była miejscowa, a jednak z całą pewnością ją znał.

Robiąc zakupy, usiłował skojarzyć, gdzie ją mógł zobaczyć, ale w głowie miał pustkę.

Dopiero wieczorem, gdy ponownie się na nią natknął, tym razem samotnie spacerując w okolicy molo, dotarło do niego, na kogo patrzy. Lena „Osa” Osowska, youtuberka. Kiedyś nawet lubił jej kanał, ale po paru żenujących wpadkach prowadzącej dotyczących głównie realiów pracy policji, licznych nieścisłościach i rażących błędach, jakie tam znalazł, dał sobie spokój. Pamiętał ją w każdym razie świetnie.

Wygadana, irytująco pewna siebie, ciągle zmieniająca wygląd; miewała różowe końcówki podgolonych z boku głowy włosów, nosiła się na czarno, później na czerwono, w końcu zaczęła mieszać kolory ciuchów, ale za to na jej głowie zrobiło się spokojniej. Obecnie jej dość cienkie, sięgające ramion jasne włosy wyglądały boleśnie zwyczajnie, w żaden sposób nie rzucały się w oczy. Ale może o to właśnie jej chodziło? Ciągnęła ludzi za języki, wyciskała z nich to i owo. Bycie przeciętną, a co za tym idzie, nierozpoznawalną, ewidentnie było jej na rękę.

Rożek zauważył, że przytyła, co sprawiło, że wyglądała na pulchną, wręcz kluskowatą. Przy jej

wzroście (na oko nie miała nawet metra sześćdziesięciu), każdy dodatkowy kilogram był dzwonkiem alarmowym. Kluska, nie żadna Osa. Uśmiechnął się złośliwie, przyglądając się, jak youtuberka dojada batonika bountya i ciska opakowanie do przepełnionego kosza, z którego chwilę później targany wiatrem papierek spadł. Dziewczyna schyliła się, podniosła go i tym razem wcisnęła głębiej między śmieci, co nawet się Adrianowi spodobało.

Celebrytka z YouTube'a przynajmniej nie zaśmieca nam miasta, uśmiechnął się pod nosem.

Chwilę później zauważył jej buty – wiązane glany na masywnej grubej podeszwie, które wyraźnie dodawały jej centymetrów. Seksowne siatkowe pończochy również nie uszły jego uwadze. Sukienka, czarna, dość prosta w kroju i zdecydowanie wyszczuplająca „właścicielkę”, była zdobiona metalowymi ćwiekami. Na grzbiet samozwańcza śledcza narzuciła podniszczoną skórzaną kurtkę pilotkę. Chcesz wyglądać na niegrzeczną dziewczynkę, co? – uśmiechnął się pod nosem gliniarz. Ale kim naprawdę jesteś? Pozerką, która naciąga naiwnych na Patronite, wciskając im podlane nieco krwią ofiar bajki, czy faktycznie masz jaja, kobieto?

Kiedy ruszyła w jego stronę, odwrócił się i schował za budką z hot dogami, nie chcąc zwracać na siebie jej uwagi. Jeśli miała pamięć do twarzy, to mogło być z jego strony dobre posunięcie. Dziewczyna go wyminęła, a on bez wahania ruszył za nią. Szła szybko, pewnie, nie rozglądając się. Na Wyspiańskiego wyjęła pęk kluczy z niewielkiej torebki na cienkim złożonym łańcuszku i podeszła do bramy jednej z dwupiętrowych kamieniczek, po czym weszła do środka.

Rożek znał to miejsce. Apartamenty dla turystów, najem na doby bądź na dłużej, co kto woli. Ostróda to ładne miasteczko, jednak młody gliniarz nawet przez chwilę się nie łudził, że Osowska przyjechała tu w celach turystycznych. Dowiedziała się o niedawnym zaginięciu Świtezianki i węży. Być może, podobnie jak on, zadaje sobie pytanie, czy obie sprawy – zaginięcie Jagody i zeszłoroczne morderstwo Oli Siemaszko – łączy osoba sprawcy.

Czy to dobrze, czy źle, tego jeszcze nie wiedział. Postanowił jednak mieć na nią oko. Nie przepadał za wścibskimi dziewczuchami, które wtykały nos w cudze sprawy tylko po to, by mieć na czym zarabiać w sieci.

Ostróda, październik 2022

Ksiądz Waldemar Berg otworzył na oścież okno i przez chwilę wdychał rześkie jesienne powietrze. Dochodziła dwudziesta trzecia i czuł, że powoli powinien się kłaść, zwłaszcza że od rana czekało go mnóstwo zajęć, ale mimo zmęczenia nie potrafił udać się na spoczynek.

Marzył o papierosie. Od jakiegoś czasu znowu palił, choć psychicznie czuł się z tym źle. Bezcieszczenie używkami własnego ciała – świątyni Ducha Świętego – wydawało mu się niegodne służby Pana, ale był tylko człowiekiem, miał swoje słabości. Na myśl o tych ostatnich lekko się skrzywił, a jego szczupłą pociągłą twarz wykrzywił grymas bólu. Grzeszył, odwrócił się od Boga i miał tajemnice, które ciążyły mu coraz bardziej, ciaśniej go oploty. Najgorsze było to, że nie umiał oprzeć się pokusie, nie miał tyle siły. Gdy był młodym kapłanem, wierzył, że czyste serce i oddana Bogu dusza uchronią go przed całym zepsuciem tego świata i szatańskimi pokusami, czas jednak pokazał, jak bardzo się mylił.

Niedługo skończy trzydzieści sześć lat. Nie wyglądał na tyle – szczupły, ciemnowłosy, o chłopięcym typie urody, sprawiał raczej wrażenie trzydziestolatka, ale PESEL nie kłamał...

Trzydzieści sześć lat to jeszcze młodość, a jednak czuł się stary, poharatany emocjonalnie i zmęczony życiem. Czasem, zwłaszcza nocami, kiedy bezsennie przewracał się w pościeli, myślał o Nigerii. Nie był tam długo, jednak sporo zobaczył, a o ludzkim zezwierzęceniu usłyszał tyle, że wystarczy mu do końca życia: krwawe religijno-terytorialne konflikty pomiędzy islamskimi plemionami Fulanów i chrześcijańskimi ludami Sahelu, rzezie w kościołach, porwania, zabójstwa, gwałty.

Nigeria to najludniejszy kraj Afryki. Losy dwustu milionów mieszkańców kształtowały tam konflikty terytorialne, religijne i społeczne. Księża zabijani podczas prób porwania dla okupu, bestialsko gwałcone i mordowane zakonnice, napadane na drogach, a czasem nocami w klasztorach, prześladowani i katowani misjonarze. Berg rozmyślał o tym wieczorami, a w jego głowie rodziły się przerażające myśli o tym, że być może jednak zbyt żarliwie wyznawana religia czyni na świecie więcej zła niż dobra.

Ten wniosek nasuwał mu się coraz częściej, a zaraz później ogarniało go przerażenie. Zawsze chciał stać po stronie światła, lecz z czasem zrozumiał, że nic nie jest czarno-białe. Gdyby ludzie nie podrzynali sobie gardeł w imię swoich bogów, to czy nie zabijaliby się wcale, czy może znaleźliby sobie inne preteksty? – rozmyślał, stojąc w otwartym oknie.

Zamknął je, dopiero kiedy zmarzł, potem włożył bluzę z kapturem i wyszedł z pokoju. Proboszcz Mateja spał – z sypialni starszego kapłana mimo zamkniętych drzwi dochodziło wyraźnie przeciągłe pochrapywanie. Berg zszedł więc na parter, wsunął do kieszeni zawieszony przy frontowych drzwiach kluczyki do samochodu i bezszelestnie wysliznął się z pograżonej w ciemnościach plebanii.

Na zewnątrz było chłodno. W drodze do auta zmienił zdanie. Nie miał ochoty na przejażdżkę, chciał się przejść.

Nad jezioro dotarł po jakimś kwadransie – z nasuniętym na głowę kapturem, z rękoma w kieszeniach dzinsów i wzrokiem wbitym w chodnikowe płytki wikary niczym nie wyróżniał się wśród przemykających gdzieś ciemnymi ulicami mężczyzn, w dłoniach których żarzyły się końcówki papierosów, a z ust zajeżdżało alkoholem. Kiedy przez nikogo nierozpoznany i niezaczepiony Berg usiadł na jednej z ławek nad Jeziorem Drwęckim, wyjął z kieszeni bluzy kupione po drodze papierosy, ale dotarło do niego, że zapalniczkę zostawił na plebanii. Kurwa mać, zaklął w myślach i schował fajki z powrotem do kieszeni. Chwilę później zauważył idącą w jego stronę grupę młodych mężczyzn, którzy pojawili się w alejce nad wodą.

Gdy się do niego zbliżyli, wstał i podszedł do nich.

– Macie ognia, panowie? – zagał.

– A kto pyta? – zainteresował się jeden z nieznajomych.

– Ksiądz Waldemar Berg – przedstawił się niechętnie, ale uznał, że lepsze to niż oberwanie po pysku od pijanych koleś, którzy nie wydawali się jakoś szczególnie przyjaźnie nastawieni.

– Klecha i pali? – zaśmiał się jeden z mężczyzn, ale jego kumpel usłużnie wyciągnął w stronę Berga rękę z zapalniczką.

– Dzięki. – Waldemar wysupłał z paczki papierosa, włożył go do ust, zapalił i oddał nieznanemu zapalniczkę.

– Późno jak na spacer. Myślałem, że o tej porze księża klepią pacierze? – zaśmiał się ten, który przed momentem nazwał go klechą. – Niektórzy się modlą, a inni spacerkiem na dziewczynki, co? – dodał, a jego kumple zarechotali.

– Miłego wieczoru – odparł Berg, nie dając się sprowokować, i już nienękany przez podpitych koleś wrócił na ławkę.

– Szczęść Boże, ojczulku! – rzekł ze śmiechem jeszcze jeden z mężczyzn i wokół zapadła cisza.

Pałac, Berg gapił się na ciemne jezioro. Tu, nad samą wodą, zawsze czuł się zrelaksowany. Na chwilę powracał spokój ducha i wiara w to, że na świecie jest też wiele dobra.

Gdy dopalił fajkę, czubkiem buta wgniół niedopałek w beton pod stopami i wolnym krokiem ruszył wzdłuż ciemnej pustej alejki.

Na plebanię dotarł koło północy – spacer nieco poprawił mu nastrój, pojawiła się nadzieja, że tej nocy złapie choć kilka godzin snu. Ostatnio źle sypiał, całymi godzinami leżał, przewracając się w pościeli, bądź po prostu chodził – po plebanii, po pustym nocą ogrodzie za kościołem dopieszczonym przez zakonnice z pobliskiego klasztoru, bądź po mieście – z kapturem głęboko nasuniętym na głowę, ponury, zgarbiony, zatopiony w myślach. A kiedy już udawało mu się zasnąć, śnił koszmary lepkie od krwi, pełne krzyków, bólu i ludzkiego cierpienia. Którejś nocy obudził się punkt trzecia nad ranem. Szatańska godzina, pomyślał i do świtu nie opuszczał go dziwny niepokój. A jeśli coś mnie opętało? – przeszło mu przez myśl. Jeśli wzięł mnie we władanie zły duch i będzie dręczyć dotąd, aż porzucę moją wiarę, zasady, a w moim sercu nie zostanie już nawet odrobina miłości do bliźnich i świata?

Myśl o opętaniu przerażała go szczególnie. Słyszał o przypadkach kapłanów, których dręczył zły duch, bał się, że któregoś dnia coś weźmie we władanie także jego...

Zwłaszcza teraz, kiedy jego wiara tak osłabła, a grzech oblepił ciało. Teraz, kiedy coraz częściej wracał do starych pokus i pił, choć przecież jeszcze niedawno tak dobrze mu szła walka z nałogiem.

W pokoju, stojąc w otwartym na oścież oknie, wypalił jeszcze jednego papierosa, a dogaszony o parapet niedopałek cisnął na zewnątrz, w rosnące tam krzewy. Jeśli znajdą go zakonnice, całą winę można będzie zwalić na ministrantów. Uśmiechnął się krzywo i zamknął okno.

Prysznic wziął szybki, ledwo się namydlił, a od razu splukał z siebie pianę i pospiesznie się wytarł. W lustro nie patrzył. Nie lubił odbicia swojego nagiego ciała, cielesność kojarzyła mu się z grzechem. Zanim położył się na wąskim, co rano starannie ścielonym łóżku z surową drewnianą ramą, zerknął w głąb pokoju, na stary klęcznik. Nad nim, z masywnego krzyża, spoglądał na niego udręczony Jezus.

Półtora roku wcześniej, kiedy rozpoczął posługę w ostródzkiej parafii, wikary co wieczór klękał, pokornie pochylał głowę i się modlił. Każdy dzień również rozpoczynał od krótkiej rozmowy z Synem Bożym, ale ostatnio nie potrafił się przełamać i ugiąć kolan – mimo że fatalnie się z tym czuł, nie miał Jezusowi nic do powiedzenia.

Leżał w łóżku, kiedy w jego okno uderzyła garść rzuconych przez kogoś z dołu kamyczków. Chwilę później jeszcze dwa razy rozległ się charakterystyczny chrobot i w ciemnym pokoju zapadła cisza. Co jest? – pomyślał wikary, odrzucając na bok ciężką pierzynę.

Kiedy podszedł do okna, zauważył stojącą przed plebanią dziewczynę – szczupłą jasnowłosą dziewiętnastolatkę, która skulona z zimna i ubrana jedynie w nocną koszulę, na którą zarzuciła wełniany pled, stała boso w wilgotnej od mżawki trawie.

– Ojciec znowu jest pijany, brat się awanturuje – szepnęła, kiedy w naprędce zarzuconej na piżamę kurtce Berg wyszedł na dwór i podszedł do drżącej z zimna młodzietkiej kobiety. – Bałam się tam zostać, ja nie mogę...

– Wejdz – powiedział, jednocześnie nerwowo oglądając się przez ramię.

Gdyby ktoś zobaczył, że w środku nocy wpuszcza na plebanię tę dziewczynę... Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze. W sumie to było nawet śmieszne, bo przecież z jednej strony wierni oczekiwali, że będzie pomagać wszystkim zbłąkanym owieczkom, a z drugiej podejrzewali księży o wszystko, co najgorsze.

– Jadłaś coś dzisiaj? – zapytał cicho, kiedy weszli do środka.

– Krupnik i kawałek suchego chleba – szepnęła dziewczyna, a on przypomniał sobie, że ma na imię Janka.

– Chodź, zrobię jajecznicę. – Wikary zaprosił gościa do mieszczącej się na parterze dużej, staromodnie urządzonej kuchni, gdzie od wczesnych godzin porannych do wieczora rządziła siostra Łucja – starsza schorowana zakonnica, która blisko przyjaźniła się z proboszczem Mateją.

– Przepraszam, nie powinnam tu przychodzić o tej porze – powiedziała cicho Janka, gdy wikary postawił przed nią talerz z jajecznicą. – Ale dokąd mam iść? Kiedy ojciec i brat piją, w domu czuję się jak tropiona przez myśliwych zwierzyna. Ich wzrok... to, jak na mnie patrzą, kiedy się uchleją... – Janka urwała i ciałniej otuliła się pledem. – Ja nie chcę tam wracać, nie mogę. Kiedy żyła babcia, uciekałam do niej, a teraz? Jej mieszkanie sprzedane, jestem skazana na życie pod jednym dachem z tymi pijakami. Ostatnio w środku nocy brat usiłował wejść do mojego pokoju. Dobijał się chyba z kwadrans, próbował sforsować drzwi, które zastawiłam komodą. Nie wiem, czego chciał, ale przychodzą mi do głowy naprawdę przerażające rzeczy. Kiedy się upijają, obaj zachowują się jak zwierzęta. Dopóki żyła mama, jakoś to było, ale teraz... Przepraszam. – Janka rozplakała się nad jajecznicą.

– To nic, nie przejmuj się. Znajdę ci jakieś lokum, może chwilowo pokój w klasztorze albo miejsce u jakiejś starszej pani. Jest kilka samotnych parafianek z dużymi domami i mieszkaniami. Wzięłabyś ofertę sprzątania i gotowania w zamian za dach nad głową?

– Czy bym wzięła? Jasne, że tak. – Jance aż rozbłyły oczy.

– Pogadamy jutro. Chodź, pościelę ci w gościnnym. – Kiedy zjadła, wikary zaniósł jej talerz do zlewu i zaprosił ją w głąb plebanii. – Łazienka jest tam. – Wskazał, a ona zagryzła wargi.

– Mam na sobie nocną koszulę i jestem bez butów. Jak stąd jutro wyjdę? – zapytała cicho.

– Coś ci przywiozę z domu, ale dopiero po południu, bo rano jestem zalatany. Nie myśl o tym teraz – poprosił ją, a ona złapała go za rękę.

– Jest ksiądz taki dobry – wyszeptała, przyciskając jego dłoń do piersi.

– Puść mnie – syknął, wyrrywając rękę z uścisku szczupłych, przeraźliwie zimnych palców. – Dobrej nocy – dodał nieco zbyt ostrym tonem i samotnie ruszył na górę, do swojej sypialni.

W pokoju nalał sobie odrobinę wyjętej z biurka whisky, cisnął na fotel kurtkę, którą przyniósł z parteru, i ze szklanką złocistego trunku w dłoni podszedł do okna. Przez chwilę myślał o Jance. Nie miał cienia wątpliwości, o czym mówiła – ewidentnie ten bydlak jej brat miał ochotę na zakosztowanie gorzkiego owocu kazirodztwa. Trzeba będzie jej pomóc, pomyślał, dopijając whisky.

Później jego myśli powędrowały do Jagody.

– Gdzie jesteś? – wyszeptał, sięgając po leżący na stole telefon z nadzieją, że zaginiona w końcu się do niego odezwała, ale w komórce nie znalazł żadnej nowej wiadomości.

Świtezianka... Oczywiście, podobnie jak niemal cała Ostróda, wielokrotnie widział jej konto na Instagramie, zamieszczane tam zmysłowe, bardzo kobiece zdjęcia i zjawiskowe piękno Jagody, której z pewnością pożądał niejeden miejscowy mężczyzna. Zresztą on bardziej podziwiał estetykę jej zdjęć niż walory erotyczne.

Dziewczyna była atrakcyjna, ale też mądra i dobra. Nie zasłużyła na to, co się jej przytrafiło, pomyślał. Kiedy widział ją ostatnio, płakała. Wspomnienie jej zalanej łzami twarzy sprawiło mu ból. Tyle zła na świecie, tyle cierpienia... Zasnął z myślą o niej, później mu się śniła. Szła w jego stronę przez porośniętą makami łąkę – naga, z wyciągniętymi ramionami, szeroko uśmiechnięta. Obudził się zlany potem tuż przed trzecią nad ranem. Znowu trzecia, godzina szczególnej aktywności demonów...

Gwałtownie usiadł na łóżku i sięgnął do nocnej lampki, a później lękliwie się przeżegnał. Ostatnio zrobił rzeczy, które nigdy nie powinny się wydarzyć. Zawiódł Boga, zgrzeszył, pogrążył się w ciemnościach. Ale czy wcześniej Bóg nie zawiódł jego? Czy nie wbił mu w serce sztyletu? Berg wiedział, że wszelkie bolesne próby trzeba przetrwać z wiarą, ale to, co się stało, było ponad jego siły. Bóg się od niego odwrócił, dlatego on odwrócił się od Boga. Na myśl o tym młody wikary ukrył twarz w dłoniach i gorzko zapłakał.

Ostróda, październik 2022

Osa rozdarła opakowanie batonika bounty, ugryzła kawałek oblanego czekoladą kokosowego smakołyku i wystawiła twarz do słońca. Jak na październik dzień był w miarę ciepły i już wczesnym przedpołudniem na wypożyczonym rowerze dotarła nad Jezioro Perskie. Podczas wyjazdów lubiła łączyć prowadzone na własną rękę śledztwo z poznawaniem nowych miejsc, a korzystając ze słonecznej pogody, również Ostródzie chciała się lepiej przyjrzeć.

Kiedy dojadła batonik, usiadła na drewnianej ławce z widokiem na jezioro i korzystając z ciszy, która otaczała ją w urokliwym brzozowym lasku, jeszcze raz weszła na instagramowy profil Świtezianki. Poprzedni wieczór spędziła, analizując wpisy obserwujących konto zaginionej Jagody Wiśniewskiej i skrupulatnie, przygryzając końcówkę długopisu, wynotowując konta, których właściciele najczęściej udzielali się pod profilem dziewczyny.

Zaskoczył ją fakt, że jednym z komentujących był miejscowy wikary, Waldemar Berg, który regularnie chwalił fotografie i życzył Wiśniewskiej miłego dnia. Tylko pod zdjęciem, na którym Świtezianka unosi się na wodzie, pozując w mokrej, oblepiającej piersi białej sukience, ksiądz nie napisał nic, nawet nie polubił tej akurat fotki. Byłoby to zbyt niestosowne, gdyby to zrobił, zważywszy na to, że Jagoda wyglądała tam trochę jak Ofelia, a trochę jak miss mokrego podkoszulka, pomyślała Osa, jeszcze raz wchodząc na konto Berga.

Wikary, w przeciwieństwie do Jagody, zamieścił na nim jedynie cztery fotografie – na pierwszej samotnie stał na tle gór, chyba Tatr – opalony, w świeckim ubraniu, bez koloratki. Drugie zdjęcie przedstawiało talerz pełen czeskich knedliczków i kufel jasnego piwa, a komentarz księdza świadczył o tym, że zostało zrobione w Pradze. Trzecie było wspomnieniem parafialnej pielgrzymki do Częstochowy – tu ksiądz wrzucił kilka przypiętych w jednym poście fotografii, które wyglądały zupełnie niewinnie, a na czwartym, zrobionym kilka miesięcy wcześniej, pozował nad Jeziorem Drawskim, życząc wszystkim miłego dnia – tym razem w czarnej koszuli i koloratce. Później nie było już nic. Ewidentnie używał konta głównie po to, by komentować zdjęcia znajomych.

– Ciekawe, kim naprawdę jesteś, *padre?* – mruknęła Osa, opuszczając jego instagramowe konto.

Kolejny profil, na który zwróciła uwagę, był prowadzony przez otyłego, przyszczatego dwudziestokilkulatka, bardzo poufale komentującego zdjęcia zamieszczane przez Świteziankę. Wszystkie.

Piękna!

Zjawiskowa!

Hot!

Uwielbiam!

Jak zawsze cudowna!

Jego opinie były krótkie, ale wyjątkowo entuzjastycznie wyrażane i zawsze wzbogacane emotkami w kształcie serc, płonących płomieni i kwiatów, zazwyczaj czerwonych róż, lecz zdarzały się też inne.

@wierny_piesio98 – nazwę jego konta Osa oznaczyła w swoich notatkach wykrzyknikiem, zwracając jednocześnie uwagę na to, że chłopak kilka razy pozował do zdjęć w charakterystycznej koszulce z logo stacji paliw, gdzie być może pracował. Nazwiska na profilu nie podał, było tylko imię. Dariusz.

Dwie godziny później Osa zajechała na stację benzynową, gdzie dowiedziała się jedynie, że wierny piesio już tam nie pracuje.

– Ten debil żadnej roboty na dłużej nie utrzyma, nawet tej, którą po starej znajomości załatwiła mu mamusia – usłyszała od jasnowłosego pracownika przy kasie, nieukrywającego niechęci do chłopaka, o którego pytała.

– A można wiedzieć, co się stało, że...

– Nie można – uciał dyskusję chłopak. – Nie tankuje pani? Nie robi zakupów, to do widzenia – dodał oschłym tonem, splawiając ją w opryskliwym stylu.

Wyszła więc ze stojącego na stacji paliw sklepiku z pustymi rękami i bez żadnych konkretnych informacji. Dowiedziała się jedynie, że chłopak, który ewidentnie fascynował się Świtezianką, nie był lubiany w pracy, a robotę na stacji załatwiła mu mamusia.

Kończyła jeść zamówioną w pobliskim barze sałatkę, kiedy zadzwonił do niej tato.

– Cześć, Lenka. Wszystko u ciebie dobrze? – zapytał, kiedy odebrała.

– Tak, a u was? Jak dziadek?

– Chodzi na randki, prawdziwy z niego fircyk w zalotach. – W głosie ojca Lena usłyszała wyraźną nutę sarkazmu.

Może ty też powinieneś zacząć? – pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. Sama również od dłuższego czasu była singielką i nie znosiła, gdy nachalnie zachęcano ją do spotykania się z facetami. Jeśli najdzie ją ochota, robi to i bez dopingu, myślała. Na razie miała Bernarda, wolnego przyjaciela singla, z którym czasem się bzykała, i to w zupełności jej wystarczało.

– Pies zaginał, ale już się odnalazł – powiedział ojciec wypranym z emocji głosem.

– Reksio?

– Tak. Listonosz nie domknął furtki. Twój dziadek był zdruzgotany, ja nieco mniej – zaśmiał się Grzegorz Osowski, a Lena uśmiechnęła się złośliwie, świetnie wiedząc, że w przeciwieństwie do dziadka ojciec nie przepada za zwierzętami w domu, a ujadanie wypuszczanego rano do ogrodu psa często go budziło znacznie wcześniej, niż miał zamiar wstać. – Dbasz o siebie, Lena? Dowiedziałaś się czegoś ciekawego w tej Ostródzie? Uważaj na siebie, nie rzucaj się za bardzo w oczy i postaraj się...

– Tato, błagam – jęknęła, wchodząc ojcu w słowo.

Ale czy mogła się dziwić, że się o nią bał? Po tym, co spotkało mamę, ma prawo być przewrażliwiony.

Kiedy się rozłączył, pomyślała o matce. Tak bardzo ją kochała... Był kwiecień dwa tysiące dwunastego, kiedy Hanna Osowska wyszła na działkę przyciąć forsycje i już nie wróciła. Jej zwłoki znaleziono kilka godzin później, kiedy zaniepokojeni domownicy zaczęli się rozglądać po mieście. Lena miała wtedy szesnaście lat i chociaż to, co spotkało matkę, na zawsze odcisnęło się ponurym piętnem na jej psychice, zrodziło też w niej zainteresowanie zbrodnią.

Ojciec twierdził, że to chore i obsesyjne, ale ona była innego zdania – analizując sprawy podobne do tej, która przytrafiła się jej rodzinie, czuła się w pewien sposób pocieszona, czerpała ukojenie z bliźniaczo podobnego losu bliskich innych ofiar, identyfikowała się z nimi, współczuła im i jednocześnie miała jakieś poczucie przynależności, jakby ci ludzie stali się jej mroczną rodziną, bratnimi duszami. Jej mamę zamordowano, a wcześniej brutalnie zgwałcono. Sekcja zwłok jednoznacznie wykazała, że przyczyną śmierci było uduszenie, a wszystko nosiło znamiona napaści na tle seksualnym. Zwyrrodnialec, który to zrobił, zobaczył samotną kobietę na działce, a pech chciał, że tamtego dnia nie było tam innych działkowiczów i Hanna trafiła w ręce dewianta.

Znalazł ją dziadek, ona sama nigdy nie widziała zwłok mamy, ale czasem, gdy nie mogła spać, nocami wyobrażała sobie leżącą na ziemi matkę, jej szkliste martwe oczy, podwiniętą sukienkę, podarte pończochy i dziwnie ugięte w kolanach nogi. Jej jasne gęste włosy rozsypane wokół w trawie, wilgotna ziemia za paznokciami, ślady duszenia na szyi. Miała taką delikatną aksamitną skórę... Lubiła śpiewać, gotować, piec i się uśmiechać. Była ciepła, promienna, otwarta i... nie żyła.

Przez ponad pół roku policji nie udało się odkryć, kto stał za brutalnym zabójstwem Hanny Osowskiej, dopiero siedem miesięcy od dnia śmiertelnego ataku zaczęto podejrzewać, że sprawcą jest Roman Karwowski, spokojny, zbliżający się wtedy do pięćdziesiątki rencista, który również miał działkę na terenie tamtych rodzinnych ogródków. Lena wiedziała, że mama go znała, chyba nawet lubiła. Częstoował ją winem własnej roboty, przynosił dalie, które kochała. A później podobno zabił, odbierając córce resztę radosnego beztrudnego dzieciństwa, dziadkowi jego ukochaną jedyną córkę, a tacie miłość życia. Ciężko jej było w to uwierzyć. Jednak półtora roku po śmierci Hanny policja stwierdziła, że to jednak nie Karwowski jest sprawcą, oczyszczono go z zarzutów, a Lenie pozostał mętlik w głowie i ciche pragnienie zemsty, którą nie wiadomo komu można by wymierzyć.

Kiedy myślała o tajemniczym, wciąż nieznanym wymiarowi sprawiedliwości sprawcy, czuła palący gniew. Niektórzy mówili, że powinna się postarać mu wybaczyć, ale nie potrafiła. Dla niej był bestią, człowiekiem, który odebrał jej rodzinie przyszłość i wszystko, co najpiękniejsze.

Po śmierci mamy ojciec zamknął się w sobie, dużo pił i stracił pracę w urzędzie. Minęły lata, zanim wrócił do siebie na tyle, by znowu normalnie funkcjonować, ale nigdy nie odzyskał radości życia. Z pełnego energii, wciąż jeszcze w miarę młodego mężczyzny zamienił się w zgorzkniałego, unikającego innych odludka, który całe dni spędzał w garażu lub przed komputerem, ukryty przed światem, a nocami spacerował po domu, walcząc z własnymi demonami.

Jedyną pozytywną rzeczą, jaką zyskała rodzina po śmierci mamy, był pakt o nieagresji pomiędzy ojcem a dziadkiem – kiedyś zięć z teściem się nie znosili i nie przepuścili żadnej okazji, by wbić sobie szpilę, ale po odejściu Hanny nie tylko zdecydowali, że nadal będą razem mieszkać, ale i zaczęli normalnie rozmawiać, okazując sobie zrozumienie i szacunek, a gdy odeszła babcia, zadbali o siebie wzajemnie, jakby zrozumieli, że nie licząc Leny, są dla siebie jedyną najbliższą rodziną.

Myśląc o tym, Lena dotknęła zawieszzonego na grubym srebrnym łańcuszku wisiorka z symbolem skorpiona – obie z mamą były spod tego znaku.

Minęło ponad dziesięć lat, a ona wciąż tęskniła. Za perlistym dźwiękiem śmiechu matki, naleśnikami na słodko, które robiła dla nich w niedzielę, za dotykiem dłoni, widokiem roześmianych jasnych oczu. Tamtego dnia miały jechać na działkę razem, ale Lenę rozboleł brzuch i Hanna pojechała sama. Czy gdyby pojechała z nią, mama wciąż by żyła? Pewnie tak. Osa nie sądziła, że widząc je obie, sprawca by zaatakował. Zabił, bo nadarzyła się sposobność. Bo mama była sama.

Poczucie winy nosiła w sobie przez lata, wrosło w nią, stało się częścią jej osobowości. Ani dziadek, ani tato nigdy nie dali jej do zrozumienia, że ją o coś obwiniają, ale przecież nie mogła wiedzieć, co w gruncie rzeczy myśla.

Prawda była nie do zniesienia, raniła niczym dotyk rozgrzanego pogrzebacza za każdym razem, kiedy o tym myślała. Gdyby wtedy mimo wszystko pojechała z mamą na działkę... Gdyby chciało jej się opuścić własną strefę komfortu i mimo bólu brzucha wyjść z domu... Gdyby nie była taką leniwą egoistką...

Z drugiej jednak strony, czy mogła to przewidzieć? Czy ktokolwiek mógłby przewidzieć coś tak upiornego? Mama powiedziała wtedy, że jedzie się tylko tam rozejrzeć, przyciąć forsycje i się przewietrzyć. Tamtego dnia lekko bolała ją głowa i chciała po prostu na dłuższą chwilę wyjść z domu, pospacerować, nacieszyć się wiosną. Dziadek zauważył, że niedługo zajdzie słońce, ale Hanna tylko obojętnie wzruszyła ramionami. „Jeszcze jest jasno”, rzuciła, wkładając buty.

A później wyszła, by nigdy więcej nie wrócić.

Czasem Lena wyobrażała sobie dziesiątki innych scenariuszy, jakie mogły się przytrafić jej rodzinie, gdyby mama tamtego kwietniowego dnia nie została zamordowana. Rodzice wyjechaliby do Warszawy, o czym od dawna marzyli? Kupiliby własny dom pod miastem? A może mama urodziłaby jej siostrę bądź brata, jak to się czasem działo z parami po czterdziestce, które dostawały od losu szansę na jeszcze jedno dziecko?

Wyobrażała sobie żyjącą uśmiechniętą matkę, której opowiada o swoich przygotowaniach do studniówki, pierwszym chłopaku, wyborze studiów, które później i tak rzuciła, bo ją znudziły. O pierwszym samodzielnym mieszkaniu, które wynajęła z koleżankami, i późniejszych ciągłych przeprowadzkach. O pracy w barze, rygorystycznych dietach, które porzucała dla krótkich epizodów obżarstwa, by znowu do nich powrócić, ważnym dla niej mężczyźnie, który odszedł z dnia na dzień, chociaż mówił, że ją kocha.

Tyle tego było – drobnych, ale przecież dla niej istotnych spraw, o których nigdy nie miała okazji opowiedzieć mamie. Kim byłaby, gdyby mama żyła? Jedno było pewne – nie zaistniałaby „Osa na tropie zbrodni”, bo Lena pewnie nigdy nie zainteresowałaby się krwawymi historiami z cyklu *true crime*, które pochłonęły ją dopiero po tragicznej śmierci Hanny.

Skończyłaby jednak te studia? Wyszłaby za męża? Miałaby już dziecko, czy byliby z mężem jedną z tych par, które zwlekają z rodzicielstwem w nieskończoność, ciesząc się życiem we dwoje? A może wyjechałaby gdzieś daleko, by przez jakiś czas żyć z dala od Polski i upajać się egoistyczną beztróską młodości? Kiedy była nastoletnią smarkułą, marzyła o wyjeździe do Tajlandii. Nie wiedziała, czemu akurat tam, ale ten kraj przyciągał ją i fascynował.

Jednak teraz, kiedy nie było już ani mamy, ani babci, nie miała serca porzucać taty i dziadka – dwóch starzejących się wdowców mieszkających w jednym domu. Nie umiałaby na stałe wyjechać z Płocka, nie zrobiłaby im tego. Dziadek miał tylko mamę – Hanna była jedynaczką. Jej starszy brat zmarł w dzieciństwie, więc jej dzieci dziadkowie nie mieli. Tato miał siostrę, która mieszkała w Austrii i kontaktowała się z nim

wyłącznie w święta, a ona sama była jedynaczką.

Czasem zastanawiała się, czemu tak się potoczyło, ale nie знаła odpowiedzi. Mama nie chciała mieć więcej dzieci? Nie mogła? A może to tato ich nie pragnął? Czy byłaby szczęśliwsza, mając brata albo siostrę? Może tak. Ale dzięki temu, że nigdy się nie urodzili, została im oszczędzona utrata matki. To spotkało wyłącznie ją, nie musiała dzielić tego bólu z rodzeństwem, co czasem ją zasmucało, ale zazwyczaj pocieszało. Hanna miała tylko jedną córkę i tylko ona opłakiwała ją nocami. Ona, dziadek i tato. Ich smutna, zastygła w ponurej rodzinnej historii trójka, która rozpaczliwie usiłowała dalej żyć, nie pograżając się we wciągającym bagnie smutku.

Ocierając toczącą się po policzku pojedynczą łzę, Osa rozejrzała się wokół – nadal siedziała w barze nad talerzem z niedojedzoną sałatką z kurczakiem, kiedy się rozkleiła. Ale przecież to nie był pierwszy raz – wspomnienia rodzinnej tragedii z roku na rok coraz bardziej blakły, lecz nadal bolały, dopadały ją w najprzeróżniejszych miejscach i okolicznościach.

Wokół siedzieli ludzie – roześmiani, rozgadani, obcy. Patrząc na nich, czuła się rozpaczliwie samotna. Szła o zakład, że nikt z nich nie przeżył w życiu niczego równie traumatycznego co ona. Nie mieli pojęcia, przez co przeszła, nigdy tego nie rozumieją. Gdyby mama zmarła na raka czy została potrącona przez samochód, może z czasem Lena zdołałaby się jakoś z tym uporać. Były to w końcu cykliczne regularne dramaty przytrafiające się wielu rodzinom, milionom ludzi na świecie, poza tym nie było w nich okrucieństwa i premedytacji. Nie licząc okrucieństwa matki natury, oczywiście.

Jednak kierowcy, którzy zabili kogoś na pasach, zazwyczaj tego żałują i okazują skruchę – ich życie również bezpowrotnie się wtedy zmienia. Takiemu człowiekowi mogłaby może z czasem wybaczyć i znaleźć w tym wielkodusznym akcie jakieś ukojenie. Ale jak wybaczyć temu zwierzęciu, bydlakowi, który splugawił matkę, by później odebrać jej życie? Gdyby tylko ją zgwałcił, przynajmniej by żyła, ale on zabrał jej to, co najcenniejsze. Wiedziała, że gwałt również odciska piętno na rodzinie. Rodzice zapewne by się rozwiedli, bo ojciec nie potrafiłby znieść myśli o tym, co inny facet zrobił jego żonie, ale mama przynajmniej by żyła. Tymczasem od ponad dziesięciu lat leżała w rodzinnym grobowcu na jednym z płockich cmentarzy, a ona, zamiast odwiedzać ją w domu z kwiatami i własnoręcznie upieczonym ciastem, kładła na zimnej nagrobnej płycie znicze i zalewała się łzami.

Myśląc o bezdusznej niesprawiedliwości losu, miała ochotę wyć. Niektórzy mają tyle szczęścia i czasem nawet go nie doceniają, nie dostrzegają. Czemu ją ominęło szczęście? – pomyślała, szukając w torebce portfela.

Płaciła właśnie należność przy kasie, kiedy podbiegły do niej trzy mocno wymalowane nastoletnie smarkule, na oko piętnastki, które chichocząc i przepychając się między sobą, zapytały, czy to ona jest tą Osą na tropie zbrodni.

– Nie jestem Osą na tropie zbrodni, tak nazywa się mój kanał – rzuciła raczej mało sympatycznym tonem, a dziewczyny wymieniły spłoszone spojrzenia.

– No ale jesteś tą Osą? – wykrztusiła w końcu najwyższa z nich, z kolczykiem w nosie i tlenionymi włosami.

– Interesuje was zbrodnia? – zapytała Lena, a nastolatki energicznie przytaknęły. – Więc znajdźcie sobie inne hobby, bo w zbrodni nie ma niczego, co powinno przyciągać dzieciaki w waszym wieku. To nie jest zabawa, rozumiecie? To są prawdziwe ludzkie tragedie – dodała ostrym tonem.

– Poważnie? – parsknęła ta z kolczykiem, ewidentnie najbardziej wygadana. – To po chuj prowadzisz taki kanał?

Lena nie odpowiedziała.

Schowała do portfela kartę płatniczą i minęła dziewczyny bez słowa. Nie musi się nikomu tłumaczyć, a już na pewno nie tym wyszczekany smarkulom ze zbyt grubymi kreskami na powiekach, które w tym, co robiła, szukały wyłącznie taniej sensacji i dreszczyku podekscytowania, urozmaicającego im nudne wieczory.

Ostróda, październik 2022

Świtało. Ciemnowłosy mężczyzna wstał z łóżka, na którym spała młoda szczupła blondynka, przeciągnął się i nago podszedł do okna.

Dziewczyna przyjechała aż z Olsztyna. Była to ekskluzywna kurwa zamówiona na całą noc, którą dwukrotnie przeleciał, i to naprawdę ostro. Po tym, jak wypija kilka kieliszków szampana, najpierw balowała w jego towarzystwie nad jeziorem, później pozwoliła zrobić sobie kilka nagich fotek bez ujęcia twarzy, a teraz w końcu zasnęła. Ale on nie mógł spać.

Myślał o tym, co zrobił zeszłego lata, o autostopowicze z infantylnym tatuażem, której zęby nadal trzymał pod poduszką, ale i o Afryce, za którą coraz bardziej tęsknił. Nie wiedział, czy po tym, czego był tam świadkiem, szybko odważy się na kolejną podróż do Gabonu, ale miał w planach Kongo, spotkanie z tamtejszymi znajomymi i z całą pewnością coś mrocznego, co będzie mógł wspominać przez kolejne miesiące.

Ostatnio czytał o morderstwach muti, popularnych między innymi w RPA, popełnianych na zlecenie szamanów rytualnych zabójstwach, których sprawcy spożywali później bądź przerabiali na specyficzny napój zmielone organy ofiar, co miało im zapewnić sukces finansowy, powodzenie i bezpieczeństwo. Znał te historie od dawna, a jednak ciągle szukał w sieci tego typu wiadomości. Czytanie o nich sprawiało, że czuł przyjemne podniecenie.

Zawsze najbardziej zaskakiwało go to, że jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkiej populacji idzie przez życie z mentalnością prowadzonej na rzeź owcy. Wstają, idą do pracy, jedzą obiad, odbierają dzieci z przedszkola, wracają do domu, na którego spłatę będą harować przez długie lata, kładą się spać, wstają... Jak chomiki w karuzeli. On jednak zawsze pragnął czegoś więcej, żył po to, by dominować, brać to, po co tylko można było sięgnąć, deptać obcasem tych, których można było zniszczyć równie łatwo co mrówkę.

Być panem życia i śmierci, czy może przydarzyć się coś bardziej pociągającego? Zerknął w stronę łóżka i przez chwilę przyglądał się krągłym opalonym pośladkom młodej dziwki. Wyobraził sobie, że schodzi na dół, przynosi z kuchni nóż i wycina na jej skórze jakiś znak. Imię bestii? Krzyż? Uśmiezek? Na wyobrażenie ostatniej z opcji parsknął śmiechem i szeroko otworzył okno. Lubił zapach nocy, orzeźwiła jego umysł, sprawiała, że czuł się gotowy do działania.

Zanim wrócił do łóżka, wysikał się i z barku w kącie pokoju wyjął flaszkę whisky. Sącząc alkohol, oparty o parapet, nagi i dziwnie pobudzony, pomyślał o ojcu. Nie miał pojęcia, czemu akurat teraz wróciło to wspomnienie, ale przypomniał sobie ostatnią noc, którą ojciec spędził z nimi w domu, i poczuł przemożny smutek, który na dłuższą chwilę przerodził się w tęsknotę. Było po dwudziestej trzeciej, kiedy zakradł się do salonu i przez dłuższą chwilę patrzył na siedzącego przed telewizorem ojca. Film oglądany przez niego początkowo wydał mu się wyjątkowo nudny, jednak nagle pojawił się wątek, który sprawił, że ojciec pochylił się do przodu i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w telewizor. Blondynka, którą mordowano na ekranie, krzyczała tak przeraźliwie, że zakrył sobie uszy, nie potrafił jednak oderwać wzroku od ojca. Mężczyzna przyglądający się morderstwu sprawiał wrażenie kogoś, kto pożera krwawą scenę wzrokiem.

Dzień później ojciec ich zostawił – po głośnej awanturze oświadczył, że rozstaje się z matką, ale na pewno będzie wpadać z wizytą. Przyjechał tylko raz, po resztę swoich rzeczy. Syn nigdy więcej go nie zobaczył.

Wspomnienia te sprawiły, że lekko się wzdrygnął. Czasem, wracając myślami do tamtej nocy, zastanawiał się, czy to przypadkiem nie fascynacja i przemieszana z pożądaniem zgroza widziana na twarzy ojca zrobiła z niego mordercę. Nie bardzo jednak chciało mu się wierzyć w tę akurat hipotezę. Nieraz myślał, że po prostu taki się urodził.

Niedawno czytał, że szwedzcy naukowcy wyodrębnili gen – monoaminooksydazę – którego obniżona aktywność może się przyczyniać do zwiększenia agresji. Nie pamiętał już, o co dokładnie chodziło, miało to

chyba coś wspólnego z wyrzutem dopaminy i brzmiało dla niego jak czarna magia, ale dopuszczał myśl, że za bestią, która czasem się w nim rodziła, może stać również neurobiologia. To sprawiało, że czuł się lepiej, miał mniejsze wyrzuty sumienia. Jeśli to Bóg, bądź mówiąc mniej górnolotnie, matka natura takim go stworzyła, czy jego winą jest to, że zabijał? – pytał siebie.

Blondynka obudziła się kilka minut po szóstej. Candy – przypomniał sobie jej żenującą ksywkę i krzywo się uśmiechnął. Ale cóż, po namyśle uznał, że nie było w tym nic śmiesznego, bo prawdziwy był z niej cukiereczek.

– Chcesz loda, kotku? – wymruczała, widząc, że klient już nie śpi.

– Nie – odparł, bo w nocy dała mu z siebie całkiem sporo i czuł się chwilowo nasycony.

Lubił sypiać z pięknymi kobietami, ich wijące się z rozkoszy ciała przygniecione jego ciężarem dodawały mu energii, sprawiały, że czuł się jeszcze bardziej męski, chciało mu się żyć. Seks z dziewczynkami był o tyle prosty, że nie musiał się wysilać. Płacił, wymagał, a później życzył paniom miłego dnia.

Swoje mroczne oblicze ukazywał w sytuacjach większej konspiracji, dotąd widywali je nieliczni, głównie na Czarnym Łądzie. Tu, w Ostródzie, będącej obecnie jego domem, nosił maskę, która zapewniała mu poczucie przynależności do wspólnoty i całkiem nieźle wtapiała go w tłum. W niej był kimś, komu ludzie ufali.

Był bestią w skórze anioła, wilkiem w owczym przebraniu.

Potworem w kamuflażu.

– Chcesz, żebym jeszcze została? – wymruczała Candy po tym, jak wstała z łóżka i kręcąc biodrami, przeszła przez pokój. – Bo mogę zostać, gdybyś chciał. Za drobną dopłatą moglibyśmy spędzić miłe przedpołudnie, wiesz, misiu? – Jej szczebiot nagle zaczął go drażnić, ale otwarcie tego nie okazał, bo po co niepotrzebnie wyrabiać sobie opinię czuba?

– Wolałbym, żebyś już poszła. Świta, czas do domu. – Posłał jej wymuszony uśmiech, starając się panować nad poirytowaniem.

– Zawsze wstajesz o świcie? – prostytutka uśmiechnęła się kokieteryjnie, ale jej urok już na niego nie działał.

W nocy wyglądała na znacznie młodszą, bardziej świeżą. Teraz, w bezlitosnym świetle wstającego dnia i lampy, którą zapalił, kiedy się podniosła, sprawiała wrażenie „mocnej” trzydziestki, a jej rozmazany miejscami makijaż również nie dodawał jej blasku.

– Pospiesz się, królowo – rzucił.

– Boisz się, że ktoś mnie tu zobaczy? – zaśmiała się, odrzucając do tyłu jasne proste włosy.

Boję się, że już nigdy stąd nie wyjdiesz, pomyślał i uniósł kąciaki warg w ledwie widocznym diabolicznym uśmiechu.

– Dzięki, było miło – rzuciła, podnosząc z podłogi stringi. – Mogę wziąć prysznic? – spytała z nadzieją w głosie.

– Zapomnij. – Podał jej sukienkę i podniósł z ziemi koronkowy stanik. – Raz dwa i cię nie ma – dodał.

Zmieszała się, chyba nagle straciła pewność siebie, jakby obleciał ją strach. Ubrała się bez słowa, złapała za torebkę i boso, ze szpilkami w ręku, ruszyła w stronę drzwi.

Wypuszczając ją na zewnątrz, pomyślał, że wszystko w życiu powinno być takie proste jak zamówienie dziwki – dzwonisz, mówisz, czego chcesz, i towar przyjeżdża pod same drzwi.

Ale życie nie jest proste...

Parząc kawę, przypomniał sobie jeden ze swoich krótkich pobytów na Czarnym Łądzie i incydent, jakiego był świadkiem w jednym z zaułków Kapsztadu – wczesnym wieczorem, kiedy kręcił się tam w towarzystwie dwóch znajomych Afrykańczyków, banda bezdomnych nastoletnich chłopaków gwałciła wychudzoną dziewczynę, na jego oko również należącą do grupy młodocianych włóczęgów. Jeden z jego znajomych w pierwszym odruchu chciał pomóc napadniętej, ale kolega złapał go za rękę i odciągnął od ciemnego zakątka.

„Mają maczety i jest ich sześciu”, warknął. Chwilę później bandyci obojętnie odeszli, po prostu rozplłynęli się w gąszczu wąskich uliczek, porzucając ofiarę na pastwę losu i napastników, ale chociaż minęło już kilka lat, nigdy nie zapomniał pustych, zrezygnowanych oczu rozciągniętej na ziemi drobnej nastolatki. Wspomnienie to zasmucało go i podniecało jednocześnie; myśląc o tym zajściu, czuł się jak ojciec

z fascynacją wpatrzony w ekran telewizora, z tą tylko różnicą, że on widział to wtedy na żywo, był naocznym świadkiem ludzkiego bestialstwa.

Plaga bezdomności wśród małoletnich nie była w Afryce niczym niecodziennym – tysiące nieletnich z terenów wiejskich trafiało na ulice większych miast, gdzie zostawało na zawsze, umierało bądź ginęło z rąk innych ludzi. Zdarzało się, że już sześciolatek oddawał się za pieniądze; ich ciała były plugawione, przerzucane z rąk do rąk, narażone na zakażenie HIV, bite, poniewierane i ostatecznie zapomniane bądź porzucane jak śmieci. Ciche ofiary ludzkiego bestialstwa, tysiące przegranych losów, martwi za życia...

Któregoś dnia usłyszał o prowadzonej przez jasnowłosą Dunkę fundacji ratującej przed brutalnymi egzorcyzmami dzieci oskarżone przez lokalnych szamanów o czary. Była stewardesa, piękna kobieta, poświęciła życie na ratowanie istot, których nikt inny nie chciał bronić. Myślał o niej z mieszkanką szacunku, rozczenia i pogardy – jej misja wydawała mu się ziarnem piasku na bezkresnej pustyni zła, ale też w pewien sposób budziła jego podziw – nawet na kontynencie tak pełnym odwiecznego pierwotnego mroku, jakim z pewnością jest Afryka, gdzieś tam tli się nikiel światła nadziei...

Któregoś dnia przesłał jej nawet datek – całkiem pokaźną sumę na dzieciaki, których los nikogo innego nie obchodził. Tak, anielskie dobro jest przeciwieństwem diabolicznych knozań. Nie pociągało go, ale w pewnym sensie je rozumiał. Żeby istniało zło, dla przeciwwagi musi istnieć dobro. Szanował tę równowagę, często o niej myślał, a nawet czasem przelotnie jej się kłaniał.

W południe wyszedł pobiegać. Rzadko to robił, ale czasem mu się zdarzało. Na Pułaskiego dostał zadyszki i przez moment odpoczywał oparty o metalową barierkę niewielkiego mostu, by po chwili, znacznie wolniejszym krokiem, ruszyć wzdłuż garaży i dalej, w kierunku placu Tysiąclecia Państwa Polskiego. Był na Wyspiańskiego, kiedy zauważył znajomą twarz. Młoda kobieta idąca z naprzeciwka na jego widok szeroko się uśmiechnęła i zakolysała biodrami. Zalotnica. Jedna z tych, co to zawsze flirtują, bez względu na okoliczności. Ale czy mógł ją za to winić? Co rano widywał przecież w lustrze całkiem niezłego przystojniaka...

– Spacer? – rzuciła kokieteryjnym tonem, chociaż było oczywiste, że wyszedł pobiegać – jego sportowy strój nie pozostawiał wiele miejsca na wątpliwości.

– Trzeba korzystać z pogody. – Uśmiechnął się jednym z tych uśmiechów, które robiły wrażenie na wszystkich, bez względu na płeć i wiek.

– Widzimy się w niedzielę? – spytała z nadzieją w głosie.

– Oczywiście. Nic się nie zmieniło – powiedział, zanim dodał, że leci dalej, i wyminął ją z ulgą, nie mając najmniejszej ochoty na dłuższą pogawędkę.

– Jutro ma padać! – rzuciła jeszcze za nim.

Pomachał jej, ale się nie odwrócił. Nachalna. Skrzywił się, gdy już nie mogła go zobaczyć.

Nad wodą, kiedy już dotarł nad jezioro, przystanął i przez chwilę obserwował łabędzie. Jakiś idiota karmił ptaki pokrojonym w duże kostki chlebem, co podniosło mu ciśnienie – mimo tylu apeli, ostrzeżeń i prośb lokalnych władz zawsze znalazł się jakiś pozbawiony mózgu jełop, który rzucał ptakom białe pieczywo, chipsy albo ciastka.

W pierwszej chwili miał ochotę złapać spaślaka za kołnierz beżowej koszulki polo, którą koleś miał na sobie, i solidnie wytarosić, ale wokół było zbyt wielu świadków, a życie nauczyło go jednego – najbezpieczniej nie rzucać się w oczy bez ważnego powodu. Dlatego wyminął gościa, nawet na niego nie patrząc, i skupił się na oddechu. Ostatnio nieco stracił formę, co nie było dobre. Wrócił do fajek, pił za dużo piwa, nie pogardzał whisky. Należy dbać o ciało, jeśli chce się mieć przewagę i kontrolę nad innymi.

Wymijając idącą brzegiem jeziora kobietę w zaawansowanej ciąży, wyobraził sobie, że rozpruwa jej brzuch maczetą i wyjmuje z niego dziecko, by pożreć mu serce. W Afryce wierzono, że zabicie dziecka przynosi szczęście i dobrobyt. Zdarzały się przypadki matek, które namówione przez szamanów zabijały własne potomstwo, chcąc zapewnić sobie przychylny los. W Europie tego typu praktyki wydawały się wręcz niewyobrażalne, z drugiej jednak strony katowanych i mordowanych dzieci też nie brakowało – zmieniała się jedynie sceneria i powody podawane przez dzieciobójców. Dzieciobójstwo pozostaje jednak dzieciobójstwem bez względu na okoliczności.

Siadając na jednej z ławek, pomyślał o matce. Powinien do niej zadzwonić, tęsknił za jej głosem, nawet jeśli ostatnio niewiele mieli sobie do powiedzenia. Oddaliła się od niego, a on oddalił się od niej, ale w końcu taka jest kolej rzeczy. Żył własnym życiem, ona miała swoje. Dorosły syn nie jest już tym samym

chłopcem, którego wieczorami wysyłała do łóżka, by nie pałętał się jej pod nogami, jak zwykle to określać.

Na wspomnienie dzieciństwa lekko się skrzywił. Po odejściu ojca matka dużo piła, zapraszała do domu mężczyzn i sprawiała wrażenie kogoś, kto z trudem wytrzymuje w swoim własnym życiu. Czasem chciał ją przytulić, ale nie umiał się przełamać – trzymała go na dystans, odgrodziła się od niego murem. Miał dwanaście lat, gdy zrozumiał, że każdy rodzi się i umiera samotny, a rodzice w pewnym momencie odcinają się od dziecka, chcąc jak najwcześniej wypędzić je z gniazda.

Tęsknił za nią i jednocześnie nienawidził – jej kobiece ciało wydawało mu się czymś najbardziej pożądanym i jednocześnie odległym na świecie. Czasem podglądał ją w kąpielni – zakradał się na tyły domu, wdrapywał na starą drewnianą skrzynkę stojącą pod oknem i podpatrywał nagą matkę przez szczelinę w nie do końca opuszczonych roletach.

Był dzieciakiem, ale już wtedy czuł ten zakazany pierwotny pociąg do pełnych kobiecych piersi, brzucha i łona – chciał ich dotykać, posiadać je, mieć na wyciągnięcie ręki. Później, na kilka miesięcy przed swoimi trzynastymi urodzinami, zobaczył matkę pieprzącą się z jednym z mężczyzn z sąsiedztwa – wielki owłosiony facet brał ją od tyłu, trzymając za włosy, brutalnie, mocno. Widząc to, w pierwszej chwili chciał biec matce na ratunek, pewny, że dzieje jej się krzywda, ale jej twarz wyglądała błogo, z ust wydobywały się ciche westchnienia i sprawiała wrażenie szczęśliwej. Dzień później w szkolnej szatni dopadł dziewczynkę z młodszej klasy, którą przyparł do ściany i mimo jej protestów wsunął rękę w jej majtki. Krzyczała i szarpała się, co sprawiło, że poczuł się panem sytuacji, wiedział, że mu się nie wyrwie. Gdy odciągał go na bok jeden z nauczycieli, obiecał sobie, że kiedyś zrobi znacznie więcej niż to, czego dopuścił się w szatni.

Tamtej jesieni omal nie trafił do poprawczaka. Uratowała go interwencja znajomego matki i to, że przeproszając rodziców koleżanki w obecności dyrektora szkoły, wykazał skruchę. Czy żałował tego naprawdę? Nie. Ale już będąc nastolatkiem, wiedział, że w życiu trzeba nosić maskę. Nigdy więcej jako uczeń nie napadł żadnej dziewczynki tak otwarcie. Dwa lata później matka dostała pracę w Olsztynie i zabrała go na drugi koniec Polski, a niechlubny incydent ze szkolnej szatni przepadł w mroku zapomnienia, pozostając jedynie wpisem do szkolnych akt i niedoszłą sprawą w sądzie dla nieletnich.

Obecnie agresję okazywał tylko wtedy, gdy uchodziło mu to na sucho. W miejscach, gdzie ofiary były zbyt słabo chronione, by ktokolwiek przejmował się ich losem. Polskie kobiety starał się raczej zostawiać w spokoju, choć jak pokazały wydarzenia ostatnich miesięcy, nie zawsze mu się to udawało.

Ostróda, październik 2022

Kamila Rożek ruszyła wzdłuż Wyszyńskiego. Stukot jej obcasów niósł się po pustej ulicy. Auto stało kilkanaście metrów dalej, cieszyła się, że znalazła tutaj miejsce i nie musiała wjeżdżać do podziemnego garażu pod centrum handlowym. Teraz jednak czuła się nieswojo, miała wrażenie, że celowo idzie za nią facet, który przyglądał jej się w sklepie. Jako żona gliniarza popadała czasem w paranoję: czy rzeczywiście coś jest na rzeczy? Przyspieszyła kroku.

Upchnięte do trzech reklamówek zakupy, które zrobiła w Carrefourze, z każdym krokiem wydawały jej się cięższe, o łydki obijała się torba z logo CCC. Zazwyczaj podjeżdżała po większe sprawunki do Lidla na Pułaskiego, ale tym razem chciała kupić jesienne botki i wylądowała tutaj. Stąd miała zresztą bliżej do Anety, której obiecała krótką wizytę – dość długo nie widziała przyjaciółki i czuła się z tym naprawdę źle.

Do samochodu miała jeszcze jakieś trzydzieści metrów, kiedy idący za nią facet zaczął cicho pogwizdywać. Drgnęła zaskoczona i nerwowo obejrzała się przez ramię. Młody brunet zmierzył ją wzrokiem; był ledwie kilka kroków za nią i zdecydowała, że przystanie, aby go przepuścić. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie powinna zadzwonić do męża. W tym momencie bardzo chciała usłyszeć głos Adriana, ale ostatecznie nie uległa pokusie, by wybrać jego numer. Wyszłaby na histeryczkę i tyle by z tego było, powiedziała sobie.

W tym samym momencie facet, który szedł za nią z galerii handlowej, wyminął ją i ciągle pogwizdując, skręcił w stronę zaparkowanego nieopodal opla. Kurwa mać, ja świruję, przecież to tylko jakiś Bogu ducha winny koleś, zaklęła w duchu, czując, że powoli opuszcza ją napięcie. Ale czy można się dziwić, że zaczyna jej odbijać? Zeszłego lata przydarzyło się przecież w Ostródzie to koszarne brutalne morderstwo, na wspomnienie którego wszystkie miejscowe kobiety robiły się niespokojne. Sprawcy dotąd nie złapano, mimo że w śledztwo była zaangażowana komenda wojewódzka, a jej robiło się niedobrze na samą myśl o tym, że ten typ mógł się właśnie przechadzać po ostródzkich ulicach.

A teraz to dziwne zaginięcie. Na myśl o Świteziance posmutniała. Znała tę rodzinę, ojciec dziewczyny to był dobry człowiek, a samą Jagodę widywała czasem w kościele. Gdzie teraz jest? Czy wróci do domu cała i zdrowa? Niepokój sprawił, że zaczęła ją boleć głowa.

Siedziała w samochodzie, przeglądając swój profil na Insta, kiedy facet z opla, który właśnie wyjechał na drogę, zwolnił i widząc, że na niego spojrzała, wykonał wulgarny ruch językiem pomiędzy dwoma ułożonymi w „V” palcami – środkowym i wskazującym.

– Spierdalaj, z boku! – rzuciła przez zęby, czując się znacznie bezpieczniej we wnętrzu auta, a on głośno się roześmiał i odjechał.

Żałowała, że nie zdążyła zrobić zdjęcia jego tablicy rejestracyjnej, ale mimo że miała w ręku telefon, nie zdołała tak szybko przełączyć komórki na funkcję aparatu. Oblechy! Wszędzie oblechy, skrzywiła się. Napaleńcy, którym się wydaje, że mogą bezkarnie zaczepiać obce kobiety tylko dlatego, że akurat ulica wokół jest pusta albo babce nie towarzyszy mąż czy chłopak. Co się dzieje z mężczyznami? – pomyślała, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Do Anety dotarła zmęczona i poirytowana, a przecież nie było jeszcze jedenastej przed południem.

– Kochana, wiesz, że mam tylko chwilę? – powiedziała już od progu, bo przecież na dwunastą musiała dotrzeć do karczmy Pod Złotym Jeleniem, w której od kilku lat pracowała.

– Wchodź, wchodź. Zawsze gdzieś się spieszysz. – Przyjaciółka wpuściła ją do mieszkania i wzięła od niej płaszcz.

– Zaparz kawę, błagam! Od rana jestem jakaś śnięta, a przecież do dwudziestej drugiej muszę wytrzymać w robocie. – Skrzywiła usta.

– Jak tam Adrian? – zapytała Aneta, kiedy przeszły do niewielkiej, ale schludnej kuchni.

– Jak to Adrian. – Kamila lekko wzruszyła ramionami, jednak na wzmiankę o mężu na jej twarzy zagościł uśmiech. – Jest zmęczony i sfrustrowany. Czasem chciałabym, żeby miał inną pracę, ale przecież

wiem, jak bardzo kocha bycie gliną.

– A Amelka? Masz jakieś nowe fotki?

– Mam. – Kamila wyjęła z torebki telefon i pokazała przyjaciółce dwa ostatnie zdjęcia córeczki.

– Piękna jest – zachwyciła się Aneta.

– I ciągle nie daje nam spać – zaśmiała się Kamila. – Dobrze, że pomaga mi przy niej mama Adriana, bo gdybym była zdana na siebie, chyba bym zwariowała. No i dzięki teściowej mogłam wrócić do pracy.

– Nie wiem, jak ty to wszystko ogarniasz. – Aneta wyjęła z szafki filiżanki i sięgnęła po kawę. – Słyszałaś, że ta zaginiona instagramerka miała stalkera? – zmieniła temat.

– Coś mi się tam obilo o uszy.

– A co mówi Adrian? Wiedzą już coś?

– No nic, nadal ani ciała, ani dziewczyny. Dwa dni temu szukali jej z pomocą śmigłowca, nurkowie i ochotnicy przeszukiwali jeziora, mieszkańcy dotąd spontanicznie skrzykują się w grupy patrolowe, żeby chodzić po okolicznych lasach, ale póki co jak kamień w wodę. Ktoś podobno widział ją późnym wieczorem na dworcu, ale wiesz, jakie bajki ludzie opowiadają, żeby chociaż na chwilę zwrócić na siebie uwagę.

– Biedny ten jej ojciec. Został sam.

– Właśnie o tym dziś myślałam, wiesz? Żona odeszła lata temu, rodzeństwa chłopina nie ma, rodzice nie żyją, a teraz zniknęła jedyna córka. Ona była jego oczkiem w głowie, podobno nawet w klasie maturalnej robił jej do szkoły kanapki. Wiesz, że moja siostrzenica chodziła z nią kiedyś do klasy? Pamiętam do dziś, jak się z tego śmiała.

– Mnie też tato robił do szkoły kanapki. Matka nigdy – mruknęła Aneta, stawiając przed przyjaciółką filiżankę aromatycznie pachnącego napoju.

– Dzięki. – Kamila zamieszała kawę i sięgnęła po ciastko. – Nie jadłam śniadania – dodała, jakby chciała usprawiedliwić swoje łakomstwo.

– Nie mogę ostatnio spać – oznajmiła nagle Aneta.

– Bo? – zdziwiła się Kamila. – Zawsze spałaś jak suseł.

– Nie wiem, boję się. Mieszkam sama, zamek w drzwiach od bramy kamienicy zepsuty. Dziś w nocy ktoś łąził po schodach, wszedł na samą górę, usiadł na półpiętrze. Bałam się otworzyć drzwi, żeby wyjrzeć na ciemną klatkę. Nie mam pojęcia, kto to był. Czulałam papierosy, później chyba sobie poszedł.

– Coraz więcej bezdomnych ostatnio. Ludzie tracą pracę, grunt pod nogami – zauważyła Kamila.

– Może powinnam sobie kupić gaz? No wiesz, taki paraliżujący, albo chociaż duży nóż.

– Jasne, już widzę, jak rzucasz się z nożem na jakiegoś wielkiego faceta. – Kamila uśmiechnęła się z politowaniem. – Jeśli chcesz, mogę ci dać namiary na kursy samoobrony dla kobiet. Właścicielem szkoły karate, gdzie odbywają się zajęcia, jest Leszek Hartman, jeden z dobrych znajomych Adriana. Może dzięki temu poczujesz się lepiej?

– Myślisz? Może zapiszemy się razem?

– Nie no, kiedy niby miałabym tam chodzić? Praca, dziecko, dom, zapomnij – skrzywiła się Kamila.

– No tak, ty masz męża gliniarza, nie budzisz się w środku nocy totalnie spanikowana, jak ja.

– Czasem ja też jestem sama, wiesz, że Adrian miewa nocki.

– Wiem. Do bani jest bycie kobietą – westchnęła Aneta.

– Przesadzasz – powiedziała Kamila, ale poczuła się jak oszustka; przecież niecałe pół godziny wcześniej umierała ze strachu, słysząc gwizdanie nieznanego idącego za nią od galerii. – Muszę się zbierać, kochana. Obiecałam, że będę trochę wcześniej, szef chce ze mną pogadać. Zapisz sobie numer Leszka albo zadzwoń do sekretariatu szkoły, jeśli wolisz. Zajęcia odbywają się wieczorami i wczesnym popołudniem.

– Dobra, daj, może faktycznie tam pójde. – Aneta wklepała w pamięć komórki podany przez przyjaciółkę numer Hartmana, chociaż czuła, że raczej umówi się na zajęcia za pośrednictwem szkoły karate – głupio by jej było dzwonić bezpośrednio na komórkę kolesia, którego kompletnie nie zna, tylko dlatego, że to jakiś dobry znajomy Adriana Rożka.

– Zadzwoń do ciebie i umówimy się na drinka – obiecała jej Kamila, zanim w pośpiechu zaczęła się zbierać.

– Myślisz, że ona jeszcze żyje? No wiesz, Świtezianka – odezwała się nagle Aneta, nie podejmując tematu wyjścia do pubu. – Strasznie dziwnie się czuję na myśl, że popijałyśmy sobie tu kawkę, podczas gdy

ona być może leży w jakimś rowie, martwa... Chryste! Przecież to była dziewczyna stąd, ktoś mieszkający dosłownie dwa kroki dalej!

– Mam nadzieję, że żyje. Gdyby podzieliła los tamtej dziewczyny z zeszłego roku... Nie, nie chcę nawet o tym myśleć. Przedwczoraj my też jej szukaliśmy. Ja, moi znajomi, kuzyn. Całą grupą przeszukiwaliśmy las, wołając ją po imieniu, upiorne to było. Z dnia na dzień maleją jej szanse na przeżycie. Jeśli rzeczywiście jest w lesie, na przykład ze złamaną nogą bądź uwięziona w zastawionej przez kłusowników pułapce, z każdą chwilą kończy jej się czas. O ile w ogóle byłaby w stanie przetrwać coś takiego bez wody. Noce są coraz zimniejsze, na drzewach szron. Nie, nie miałyby szans. – Kamila lekko się wzdrygnęła i schyliła, by włożyć buty.

– Cuda się zdarzają – zasugerowała Aneta.

– Gdzieś tam ponoć tak... Dzięki za kawę, kochana. Zdzwonimy się, a następnym razem znajdę dla ciebie więcej czasu – obiecała.

– Trzymam cię za słowo.

– I założę sobie łańcuch. Poczujesz się bezpieczniej – poradziła jeszcze Kamila, po czym wyszła na klatkę.

Na schodach cuchnęło gotowaną kapustą. Kamila od dziecka nie znosiła tego zapachu, przyprawiał ją o młodości.

Chyba że... Lekko spóźniał jej się okres, a myśl o ciąży paraliżowała. Ale nie, przecież ostatnio uważaliśmy, powiedziała sobie.

Pod Złotego Jelenia dotarła dwadzieścia minut przed południem, mając nadzieję, że szef uzna to za wystarczająco dużą ilość czasu na rozmowę.

Kiedy parkowała, zauważyła idącego w kierunku jej samochodu właściciela karczmy. Ubrany w jasne spodnie, sweter z warkoczem i rozpięty beżowy płaszcz Arkadiusz Lipiński zmierzał w jej stronę pewnym szybkim krokiem, wpatrując się jednocześnie w komórkę.

Cholera, może powinienam przyjechać nieco wcześniej? – zastanawiała się Kamila, ale na widok uśmiechu, który pojawił się na twarzy szefa, szybko się uspokoiła.

– Witaj – rzucił Lipiński, przytrzymując drzwi od strony kierowcy, a kiedy wysiadła, pocałował ją w policzek.

Nie lubiła tej jego maniery spoufalania się, czuła, że przekracza to pewne granice. Podobała mu się od początku i miała świadomość tego, że wśród kelnerek jest w czołówce jego ulubienic, co w pewien sposób jej pochlebiało, ale przede wszystkim ją stresowało. Kochała Adriana, nie interesowały jej żadne flirty czy podchody, a chodziły słuchy, że Lipiński lubi od czasu do czasu uwieść którąś z atrakcyjnych pracownic. No ale nie z nią te numery, powiedziała sobie. Adrian bywał wściekle zazdrosny, a ona nie chciała mu dawać powodów do kolejnych scen, które od czasu do czasu lubił jej urządzać.

– Chodzi o niedzielę – wyjaśnił Lipiński, kiedy weszli do karczmy, a ich nozdrza polectała zapach drzewnego dymu i przygotowywanych na zapleczu potraw. – Urządzam przyjęcie dla grupy dawno niewidzianych znajomych i potrzebuję zaufanej kelnerki. W sumie bardziej chodziłoby mi o barmankę. Potrafisz zrobić kilka najprostszych drinków, prawda?

– Jasne, pracowałam kiedyś w Edynburgu – odparła z uśmiechem. – To był tradycyjny szkocki pub i wiele się tam działo, choć łało się głównie piwo i whisky.

– Czy twój mąż o tym wie? – zaśmiał się Lipiński.

– Wyobraź sobie, że tak, szefie. – Mrugnęła do niego, a on podsunął jej krzesło.

– Usiądźmy – zaproponował.

Zerknęła na zegarek. Dyskretnie, a jednak nie uszło to jego uwadze.

– Spokojnie. Otwieramy o dwunastej, a póki co nikt jeszcze nie szturmuje drzwi lokalu. Zjesz coś? – zapytał.

– Nie, mam kanapki.

– Daj spokój! Paweł testuje nowy przepis na pierogi.

– Nie jestem głodna – upierała się Kamila, bo czuła się nieswojo, siedząc tuż przy szefie, którego kolano stykało się pod stolikiem z jej udem.

Przez chwilę zastanawiała się, czy przesunąć nogę, czy udawać, że nic takiego się nie dzieje, w końcu lekko się odsunęła.

– Cieszę się, że wróciłaś do pracy – powiedział, muskając jej dłoń ręką. – Bez ciebie było nudno. – Puścił do niej oko.

Nie sądzę, żebym była jakoś szczególnie rozrywkowa, pomyślała, ale na głos rzuciła tylko krótkie „dziękuję”.

– Więc miałabym robić drinki? U ciebie w domu?

– Tak, impreza jest u mnie.

– W jakich godzinach?

– Startujemy o siedemnastej, kończymy w nocy. Możesz u mnie spać, jeśli nie zdołasz wrócić do siebie. Mam kilka pokoi gościnnych, to nic zdrożnego. – Znowu do niej mrugnął. – Ale pewnie przyjedzie po ciebie mąż?

– Tak, pewnie tak. Albo tato. – Uśmiechnęła się, rozwiewając jego wizje, w których nocowałyby u niego.

Nie, to się z całą pewnością nie stanie, powiedziała sobie. Natomiast sama propozycja dorobienia dość ją ucieszyła. Nie podał jeszcze stawki, ale ile by to nie było, zawsze jakoś zasili domowy budżet. Oczywiście głodem nie przymierali, wręcz przeciwnie – jej rodzice byli całkiem dobrze sytuowani, mama prawniczka, ojciec budowlaniec – ale branie kasy od nich coraz bardziej ją peszyło. Nie, muszą radzić sobie sami, pomyślała. Zwłaszcza że rodzice do dziś nie wybaczyli jej przerwania studiów. Córka sędzi zwykłą kelnerką! Czują, że mamę to bolało, zresztą ojciec też wolałby, aby zajęła się czymś innym. Ale ona lubiła pracę w Złotym Jeleniu, w otoczonej iglastymi drzewami karczmie, woń dymu z paleniska i ludzi, którzy wpadali tu, żeby dobrze zjeść i nacieszyć się widokiem migoczących za oknami wód jeziora.

– Czyli jesteśmy umówieni? – Arkadiusz Lipiński nachylił się w jej stronę, owiewając jej szyję ciepłem swojego oddechu.

– Tak, niedziela, od siedemnastej do nocy. Będę wcześniej, oczywiście.

– Mogę po ciebie przyjechać. Możesz też przyjechać sama, choć pewnie będziesz wolała nie brać auta?

– Zobaczę – odrzekła z uśmiechem, a on poklepał ją po kolanie i dodał, że nie mógł dokonać lepszego wyboru.

– Tylko nie chwal się koleżankom, żeby nie były zazdrosne. Niech to będzie nasza mała wspólna tajemnica. – Jeszcze raz puścił do niej oko, po czym wstał zza stołu i została sama.

Pięć minut później, na zapleczu, przebierając się w służbowy strój, Kamila pomyślała, że w Lipińskim jest coś niepokojącego. Niby zawsze wobec wszystkich był uprzejmy, niewiele pił, świetnie się ubierał i dbał o personel, ale czasem odnosiła wrażenie, że ten na pierwszy rzut oka spokojny i zadbany ciemnowłosy mężczyzna skrywa przed światem jakiś ponury przerażający sekret. Nie potrafiłaby powiedzieć, kiedy konkretnie zrodziła się w jej głowie ta myśl, ale z czasem była niemal pewna, że Arkadiusz Lipiński ma swoje drugie oblicze, które na co dzień skrywa pod maską spokoju, ugrzecznienia i szarmanckiej, wyuczonej w rodzinnym domu kindersztuby.

Upinając włosy w ciasny koczek, zastanawiała się, co właściwie o nim wie. Nie pochodził stąd, w Ostródzie pojawił się kilka lat wcześniej. Człowiek znikąd, ale z dużą kasą – oprócz karczmy posiadał jeszcze dwa pensjonaty, wypożyczalnię sprzętu wodnego i kilka budek z hot dogami. Pochodził z bogatej rodziny czy majątek przyniosły mu lokalne inwestycje? – zastanawiała się. Jedno było pewne, na koncie miał całkiem sporo.

Do dziś pamiętała swój zachwyt na widok wnętrza jego willi, z której rozciągał się widok na jezioro. Skórzane sofy, olbrzymie kamienne kominki, obrazy na ścianach i myśliwskie trofea – dom wyglądał jak z amerykańskiego filmu, a ona długo czuła zazdrość na myśl o tym, że pewnie nigdy nie będzie tak mieszkała. Osłodę stanowił fakt, że Lipiński, w przeciwieństwie do niej, nie miał szczęścia w miłości. W mieście mówiło się o jego podbojach, kobietach, które uwodził i obsypywał drogimi prezentami, ale nigdy nie pojawiła się u jego boku ta jedyna, która zostałaby z nim na dłużej. Co ukrywasz, Arkadiuszu? – pytała Kamila, kręcąc się po zapelniającej się powoli restauracji.

Wieczorem, gdy skonana dotarła do domu, zajrzała do córeczki, wzięła szybki prysznic i wśliznęła się do łóżka, w którym Adrian czytał kryminał.

– Hej – wymruczała, zanim pocałowała go w usta, a on odłożył książkę na szafkę nocną i oddał jej pocałunek.

– Cześć, ruzielcze – wyszeptął, zanim jego dłonie wsunęły się pod jej koszulkę.

Nie miała siły na seks, ale nie umiała odmówić mężowi. Dlatego przyjęła go w siebie, a z każdym jego pchnięciem coraz bardziej czuła rozlewającą się w dole brzucha rozkosz.

– Kocham cię – wyszeptwała wtulona w niego po tym, jak skończyli się kochać, a on pogłaskał ją po głowie i życzył jej dobrej nocy.

Zasnęła niemal od razu, wykończona całym dniem pracy, w ramionach mężczyzny, w którym zakochała się od pierwszego wejrzenia. Nad ranem dostała okresu, co przyjęła z niesamowitą ulgą. Kolejne dziecko zdecydowanie nie było obecnie jej priorytetem.

Ostróda, październik 2022

Ubrany w markowy szary dres z logo Adidasa Leszek Hartman rzucił krótkie „dobry wieczór” i rozejrzał się po pełnej kobiet hali sportowej, w której miał poprowadzić zajęcia z samoobrony. Większość uczestniczek znał, w kącie zauważył jednak dwie nowe twarze – piegowata dwudziestka wyglądała na lekko przestraszoną, natomiast atrakcyjna brunetka po trzydziestce spojrzała mu prosto w oczy i lekko się do niego uśmiechnęła. Aneta Borkowska czy Ilona Opiela? – zastanawiał się, przywołując zapamiętane nazwiska z listy obecności, na której pojawiły się nowe uczestniczki.

– Dziś pokażę wam sposób na ucieczkę w przypadku ataku dusiciela zachodzącego was od tyłu – zaczął, a kilka kobiet nerwowo zachichotało. – Nie ma się z czego śmiać, drogie panie. Taki atak jest szczególnie niebezpieczny i grozi szybką utratą przytomności, dlatego warto się bronić, zamiast ulegać na starcie czy poddawać się panice. Ochotniczki?

Rozejrzał się po sali, chcąc wytypować kursantkę, która z nim odegra scenę ataku dusiciela, jednak, jak prawie zawsze, nie było chętnych.

– Dobrze, w takim razie sam wybiorę. Nowa pani w zielonym dresie. – Brunetka gwałtownie się zaczerwieniła i rozejrzała wokół, jakby szukała wsparcia u innych uczestniczek. – Zapraszam. Nie gryzę, wyłącznie duszę – wysilił się na kiepski żart, a kilka kobiet zachichotało. – Jak się pani nazywa? – zapytał, kiedy do niego podeszła.

– Aneta Borkowska – odparła.

– Dobrze. A więc, Aneto, przejdiesz w kąt sali, a ja zaatakuję cię od tyłu. Najpierw zdasz się na instynkt i spróbujesz wyrwać mi się sama w jakikolwiek sposób, później pokażę wam parę sztuczek, dzięki którym uda się wam powalić agresora i wyrwać z jego rąk. Ruszaj – zachęcił ją, a kiedy zrobiła kilka kroków, podbiegł do niej i przydusił ją od tyłu.

Krzyknęła, mimo że przecież spodziewała się ataku, była lekko zaskoczona, chwilę później zaczęła się rozpaczliwie szarpać, ale nie zdołała mu się wywinąć. Trzymał ją lekko, nie przyduszał zbyt agresywnie, a jednak poległa. Zademonstrował więc działania, które pomagały ofiarom tego typu napaści się uwolnić, a później powoli, z każdą uczestniczką kolejno, przeciwiczył je krok po kroku.

Po zajęciach nowa, ta młodsza, piegowata, zapytała go, czy szkoła zapewnia jakieś materiały dydaktyczne, takie jak podręczniki czy nagrania. Zbył ją krótkim „nie” i zerknął w stronę brunetki. Podobała mu się, miała ładny uśmiech, dołeczki w policzkach i kobiece kształty.

– Jak się o nas dowiedziałeś? – zagadnął ją, kiedy wyszła z przebieralni. – Mogę ci mówić po imieniu czy wolisz, żebym był bardziej oficjalny? – Puścił do niej oko.

– Jasne, miło mi.

– Jestem Leszek – powiedział.

– Aneta. Namiary na kurs dała mi Kamila Rożek. Podobno znasz jej męża Adriana.

– Podobno? Dziewczyno, morze piwa razem wypiliśmy! – Na wzmiankę o znajomym gliniarzu trener lekko się uśmiechnął. – Zostałaś kiedyś przez kogoś zaatakowana? – zapytał nagle, momentalnie poważniejąc.

– Nie, ale ostatnio ciągle czuję się zagrożona – przyznała szczerze. – Nocami źle śpiam, nasłuchuję, a w ciągu dnia... Sam wiesz, życie kobiety. Raz jakiś facet usiłował mi wyrwać torebkę, ale ktoś go spłoszył. To było dawno, ale wciąż gdzieś we mnie siedzi. No i to zeszłoroczne morderstwo. Koszmar.

– Przykre.

– Myślisz, że uda ci się podarować mi chociaż trochę pewności siebie? Żebym ciągle nie umierała ze strachu, idąc ciemną ulicą?

– To akurat jest rozsądne. Idąc ciemną ulicą, powinnaś być czujna. Sprawdzaj, kogo masz za sobą, nie wkładaj w uszy słuchawek z muzyką, odcinając się w ten sposób od otoczenia, bądź świadoma. Kobiety bywają cholernie lekkomyślne, co często ułatwia zadanie sprawcom. Bądź czujna, powtarzam. Nie

histeryzuj, nie panikuj, ale myśl.

– Postaram się – obiecała.

– Cieszy mnie to. Odprowadzić cię do auta? – zapytał.

– Przyjechałam autobusem – odparła z uśmiechem.

– Nie jeździsz samochodem?

– Nie, nad czym ubolewam.

– Więc zacznij. Własny samochód to znacznie bezpieczniejszy środek transportu niż nocny autobus, choć i tutaj zdarzają się wyjątki od reguły.

– Długo prowadzisz tę szkołę? – zapytała.

– Kilka lat.

– A wcześniej? – zainteresowała się Aneta, mile połączona myślą, że z grupy roześmianych, wychodzących z szatni kobiet on wciągnął w rozmowę właśnie ją.

Ostatnio była sama. Ponad dwa lata, prawie dwa i pół. Praca w babskim gronie, nieudane randki, samotne wieczory – brakowało jej męskiego towarzystwa, które właśnie znalazła. W dodatku koleś był w jej typie. Ciemne włosy, ciemne oczy, śniada skóra – gdyby spotkała go na Sycylii czy Sardynii, byłaby pewna, że pochodzi stamtąd. Nawet blizna w kąciu ust dodawała mu uroku, choć przecież powinna szpeciść. Gdyby był kobietą, byłaby to niewątpliwie skaza na urodzie, ale on był przystojnym, wysokim i wysportowanym facetem, którego zapach – ledwie wyczuwalna woń potu, znacznie mocniejszy aromat wody kolońskiej i nutka tytoniu – działał na nią w naprawdę zaskakujący sposób.

– Wcześniej bywało różnie. Dorobiłem się na systemach ochrony, handlowałem też dronami, zabezpieczałem duże międzynarodowe firmy przed atakami hakerskimi, słowem ochrona osób i mienia. Szkołę karate założyłem z myślą o córce, chciałem, żeby zdobyła czarny pas, ale ona od początku nie znosiła tego miejsca. Później doszły do tego sztuki walki i oto jestem.

– Ile ma lat? – zapytała Aneta.

– Paula? Trzy miesiące temu skończyła piętnaście i wierz mi, to szatański wiek.

– Wierzę – odparła ze śmiechem.

– Nie zapytasz o żonę? – Mrugnął do niej, a ona spiekła raka.

– A powinnam? – odpowiedziała pytaniem.

– Żony nie mam i nigdy nie miałem, a córka... Cóż, to długa historia. Błędy młodości, że się tak wyrażę. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Muszę lecieć, wybacz. Miło, że do nas dołączyłaś – dodał, a ona poczuła się cholernie rozczarowana.

Prawdę mówiąc, liczyła na to, że wyciągnie go na piwo – naprzeciwko budynku, w którym mieściła się jego szkoła, był Czarny Tygrys, pub, do którego lubiła zaglądać już w liceum, jedna z najstarszych w mieście knajp, prowadzona przez ojca chrzestnego jej kuzyna.

Ale on nagle zaczął się spieszyć...

Szkoda, pomyślała, ruszając w stronę wyjścia.

Kiedy został sam, Leszek Hartman kupił kawę w automacie na parterze i wrócił na górę, żeby przez chwilę posiedzieć nad firmowymi papierami. Później zgasił światła, sprawdził należące do szkoły pomieszczenia, zamknął je i wyszedł z budynku.

W drodze do domu wstąpił do otwartej niedawno siłowni, gdzie przez ponad godzinę wyciskał z siebie pot, potem zrobił zakupy w niewielkich delikatesach i z torbą pełną żarcia wsiadł do samochodu.

Dwie godziny później, gdy z pilotem w dłoni zaległ na sofie, podjadając paluszki, ktoś zadzwonił do drzwi.

– Kogo niesie? – mruknął, zaskoczony najściem.

Kiedy wyjrzał przez umieszczoną pośrodku drzwi przeszkoloną szybkę, z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Kurwa, nie wierzę! – przeklął, zanim przekręcił klucz i otworzył dwa pozostałe zamki. – Wiesz, która jest godzina? – warknął, kiedy jego córka Paula weszła do środka.

– No wieczór jest, nie? – Młoda wzruszyła ramionami.

– Dwudziesta trzecia czterdzieści!

– Trzydzieści sześć – sprecyzowała córka.

– Uciekłaś matce? – zapytał ostro.

– Może. – Smarkula uśmiechnęła się krzywo, zdjęła kurtkę, którą niedbale rzuciła na fotel przy drzwiach, i schyliła się, żeby rozwiązać buty.

– Nie umawialiśmy się na dziś – mruknął.

– I? Jestem twoją córką, chyba mogę czasem wpaść? To i tak żenada, że nie dałeś mi klucza od domu.

– Tylko tego by brakowało, żebyś tu sobie włąziła, kiedy mnie nie ma, i myszkowała po szufladach – zaśmiał się. – Jadłeś kolację?

– Nie.

– A obiad?

– Jadłam śniadanie, matka mi zrobiła.

– Mam parówki, biały ser i kupną sałatkę. Weź sobie, co chcesz, i zjedź mi z oczu. A jutro po szkole wracasz do domu.

– Nie! – krzyknęła Paula.

– Tak, księżniczko.

– Tato, nie! Proszę cię. – Dziewczyna wyglądała tak, jakby miała się rozplakać.

– Jak tu przyjechałeś? Byłeś dziś w ogóle w szkole?

– Autobusem i nie – odburknęła.

– Wiesz, że to niebezpieczne tak samopas włóczyć się po nocy? Wiesz, ilu jest na świecie zębów wypatrujących takich zagubionych sierotek jak ty?! – Złapał ją za rękę i zacisnął palce na jej szczupłym ramieniu.

– Aua! – krzyknęła, a w jej dużych ciemnych oczach zabłysły łzy.

– No wyrwij mi się, chociaż udawaj, że próbujesz – syknął. – Widzisz, nie masz szans!

– Na kursach mówisz pewnie co innego?! Wmawiasz wszystkim tym laskom, że mogą sobie poradzić z facetem! – prychnęła.

– Przy odrobinie szczęścia mogą. Ale nie łudźmy się, to mniej więcej tak samo prawdopodobne jak lądowanie Marsjan nad Jeziorem Drwęckim – rzucił pogardliwym tonem.

– Więc jesteś oszustem? – syknęła, kiedy w końcu ją puścił.

– Sprzedaję ludziom złudne poczucie bezpieczeństwa. W naszym pochrzanionym świecie to też ma jakąś wartość. Poza tym, jak powiedziałem, przy odrobinie szczęścia i znajomości technik samoobrony nawet kobieta ma szansę pokonać napastnika. Idź do kuchni i coś zjedz – powiedział zmęczonym głosem.

– A jeśli nie jestem głodna? – zapytała hardo, po czym zajrzała do szkolnego plecaka, który wyglądał tak, jakby wrzuciła tam pół zawartości swojego pokoju.

– Pokaż mi go – poprosił Hartman, a ona momentalnie się naburmuszyła.

– Co? *No fucking way!* – krzyknęła, ale ojciec wyrwał z jej rąk plecak. – Nie możesz mnie przeszukiwać jak jakiś klawisz! – wrzasnęła histerycznie. – Znam swoje prawa, słyszysz?!

– Swoje prawa? W tym domu prawem jestem ja – zaśmiał się, a chwilę później wysypał zawartość plecaka na podłogę.

– Ty jesteś chyba pojebany! Czemu to akurat ja muszę mieć takich pojebanych rodziców?! – Paula zaczęła płakać, a on, niewzruszony, przeglądał jej rozsypane rzeczy, odkładając na bok te już przejrane.

W paczce tampaxów znalazł skręta, a w różowym, zdobionym błyszczącymi naklejkami portfelu kartkę z numerem telefonu jakiegoś Marcela.

– Paula! – wrzasnął, ale ona zdołała już czmychnąć w głąb domu i zaszyć się w łazience. – Otwórz! – Zastukał w drzwi, gdy z plecakiem wszedł na górę. – Paulina, otwieraj!

– Idź sobie! – krzyknęła. – Jak się będziesz nade mną znęcać, zadzwonię na policję!

– Tak? I co im powiesz? Że jesteś małą wagarowiczką noszącą skręty w napoczętej paczce tamponów? – zakpił. – Otwieraj albo rozpiardolę te drzwi! – wrzasnął, napierając na drewno barkiem, a po jakiejś minucie zapłakana córka lekko je uchyliła, pozwalając mu wejść.

– A ten skręt to kolegi – chlipnęła.

– Jasne, jasne. – Uśmiechnął się krzywo i wyciągnął rękę, chcąc pogłaskać córkę po głowie, ale zrobiła unik i skulona stanęła w kącie łazienki. – Świat jest pełen złych ludzi, rozumiesz? Mężczyzn, dla których takie dziewczyny jak ty są wyjątkowo smakowitym kąskiem. Gdyby cię dorwali...

– Przestań mnie straszyć! Czemu zawsze widzisz tylko złe rzeczy?! – wydarła się nastolatka.

– Bo świat jest zły.

– Świat jest też pełen dobrych ludzi, tato! – krzyknęła, a on spojrział na nią zaskoczony, słysząc po raz drugi tego wieczoru, że zwróciła się do niego „tato”.

Dawno tego nie robiła.

– Jesteś drobną, szczupłą dziewczyną. Kiedy w odludnej ciemnej uliczce ktoś zniecka cię napadnie, nie masz szans z silnym facetem albo, co gorsza, z kilkoma napastnikami. Miewają paralizatory, chloroform, pałki, kije, siłę mięśni. Wystarczy kilka sekund, żeby wciągnąć kobietę czy dziecko do samochodu. Zresztą umówmy się, to samo dotyczy twoich kolegów z klasy, bo i chłopcy powinni być rozważni. Musisz być mądra, słyszysz? Nie chcę cię straszyć. Chcę cię chronić – powiedział, a ona pociągnęła nosem i bąknęła „okej”. – Idź spać, skoro nie chcesz jeść. Jutro pogadamy na spokojnie.

Kiedy wyszła z łazienki, odkręcił kran, przemył twarz zimną wodą i skrzywił się na myśl, że będzie musiał odwołać jutrzejszą randkę. Ze smarkulą pałętającą się pod jego dachem ostry seks z poznaną kilka tygodni wcześniej w sieci gorącą instruktorką zumbi nie wchodził w grę. Kurwa mać, zaklął w myślach i wszedł za córką do pokoju, w którym nocowała.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytał, starając się, żeby jego głos brzmiał łagodniej niż wcześniej.

– Nie – burknęła, nie odrywając wzroku od trzymanego w dłoni telefonu.

Na chuj ludzie w ogóle mają dzieci? – zapytał się Hartman w duchu, zamykając drzwi.

Kiedy smarkula zasnęła, a przynajmniej udawała, że śpi, nalał sobie brandy i usiadł w ciemnym salonie. Ojcostwo z pewnością przynosiło mu jakąś satysfakcję, ale głównie go przerażało i irytowało. Jakim prawem powołali z Jowitą do życia tę kompletnie bezradną kruchą istotę, którą szambo zwane współczesnym światem mogło w jednej chwili przeżuć i wypluć? Świat to plugawe miejsce, świetnie o tym wiedział. Czy jego córka będzie miała szczęście i uda jej się wieść dobre spokojne życie, czy może przytrafi jej się coś, z czym przegra już na starcie?

Na myśl o Jowicie sięgnął po telefon i wysłał do swojej byłej krótką lakoniczną wiadomość: „Jest u mnie”.

„Dzięki” – odpisała.

To sobie pogadaliśmy, pomyślał i wyciszył telefon.

Nie żeby za nią tęsknił. Ich związek był krótki i naprawdę żenująco nieudany, a jedynym łączącym ich nadal ogniwem była Paula. Gdyby nie to, że lata temu wpadli, a Jowita, wbrew jego woli, postanowiła to dziecko urodzić, od dawna nie łączyłoby ich nic. Nie nadawał się do stałych związków, dawno temu przestał się ludzi. Lubił seks, dobrą zabawę i kobiece ciało, ale z pewnością nie miał ochoty wiązać się na dłużej.

Nie, za żadne skarby świata. Cenił wolność i uwielbiał mieszkać w pojedynkę. Tak było dobrze i nie zamierzał tego zmieniać.

Ostróda, październik 2022

Osa zaparkowała przy Armii Krajowej, zjadła znaleziony w plecaku ostatni batonik bounty, chcąc zagłuszyć rozpaczliwie burczenie w brzuchu, i rozejrzała się wokół. Spokojna ulica, głównie niskie bloki i kamienice. Numer, pod którym mieszkał ojciec zaginionej Jagody Wiśniewskiej, znalazła po krótkim spacerze. Chwilę później kręciła się przy jego bloku, usiłując wciągnąć w rozmowę kogoś, kto miał długi język i trochę wolnego czasu.

Kobietę z jamnikiem na smyczy zauważyła chwilę później – starsza pani wyszła z klatki, w której, jak się niedawno dowiedziała, mieszkał Antoni Wiśniewski, ojciec Świtezianki.

– Dzień dobry! – rzuciła Osa, szeroko się uśmiechając. – Telewizja TVN – skłamała beczelnie.

– TVN? – Kobieta spojrzała na nią z widocznym na owalnej twarzy niedowierzaniem. – A kamera gdzie?

– Dopiero wstępnie przygotowujemy materiał. Jestem stażystką, więc wysłano mnie na zwiady, że tak powiem – brnęła w kłamstwo.

– O Jagodzie pewnie, bo po co innego by się tu pani kręciła? – Nieznajoma z jamnikiem szybko zrozumiała, co w trawie piszczy.

– Tak, o Jagodzie. Znała ją pani?

– A pewnie, że znałam, od dziecka, jak każdy tutaj.

– A zgodziłaby się pani wystąpić przed kamerą? – Udawanie stażystki znanej stacji okazało się całkiem łatwe.

– No może i bym wystąpiła. Ale to uczciwy materiał będzie, o Jagodzie, nie jakieś plugawe plotki? – upewniła się kobieta z psem. – Zostaw, Mieciu, dajże spokój. – Pociągnęła za smycz, kiedy pies zaczął wachać leżącą w trawie nadgryzioną bułkę.

– Ciekawe imię dla psa – uśmiechnęła się Osa.

– A po mężu go nazwałam, niech się drań w grobie przewraca za każdym razem, kiedy na tego psa zagwiżdżę! A Jagodę to ja znałam tak dobrze jak własną wnuczkę! Okna u mnie myła, zakupy zawsze pomogła zrobić, dobra dziewczyna była! Boże jedyny, tylko czemu ja w czasie przeszłym o niej mówię? – zreflektowała się kobieta.

– Ma pani jakieś podejrzenia? – zapytała Osa. – Ktoś jej coś zrobił? Zniknęła, bo się kogoś bała? Została porwana? Co mówią ludzie?

– Ano mówią, jak to ludzie, każdy co innego. Jedni, że z chłopem jakimś uciekła, drudzy, że ktoś dziewczynę porwał przez te jej zabawy w sieci. Mnóstwo ludzi ją obserwoowało, celebrytka pełną gębą!

– A stalkera podobno miała?

– Kogo? Mieciu, zostaw, to jest fuj.

– Kogoś, kto nieustannie za nią chodził. Prześladował, wystawał pod oknami, te klimaty – wyjaśniła kobiecie.

– A tak, coś takiego było. On jest stąd, razem do szkoły chodzili. Darek Nowakowski, dziwadło straszne. Ale Jagoda zawsze go lubiła, chociaż nigdy nie rozumiałam, o czym ona w ogóle z nim rozmawiała. To dobry dzieciak, ale sprawia wrażenie lekko opóźnionego. Pałętał się za nią jak wierny pies, ciągle się gdzieś przy niej kręcił, ale ostatnio jakby mniej. Dawniej to robił jej zdjęcia, ale od jakiegoś czasu pracowała sama albo z koleżanką.

– Pokłócili się? – zapytała Osa.

– A tego to ja tam nie wiem, ale nie widywałam ich już razem. Za to on ciągle się tu kręcił. Ludzie widzieli, jak wystawał wieczorami pod jej oknem albo czaił się przy trzepaku, bo miał nadzieję, że Jagoda wyjdzie ze śmieciami. Ale od pewnego czasu wychodził tylko Antoni, ona się nie pokazywała wieczorami.

– Myśli pani, że mógł być agresywny? Zrobić jej coś?

– Antoni? Boże uchowaj, to porządny człowiek przecież jest, a córkę kochał jak nikt!

– Dariusz Nowakowski.

– A ten... No nie wiem, sama już nie wiem. To dobry chłopak niby, znam przecież jego matkę, a jego też, od dzieciaka, ale kto go tam wie, jak mu z miłości odbiło. A kochał to on się w niej nieprzytomnie. Od lat za nią łąził, żadnej innej nie chciał. Nie żeby miał powodzenie, bo gruby biedak i przyszczaty taki, ale nic tylko Jagoda i Jagoda. On by w ogień za nią skoczył, gdyby było trzeba, taki był zakochany.

– Dariusz? Wie pani, gdzie jest teraz?

– Nie wiem, a skąd niby miałabym wiedzieć? – Kobieta spojrzała na Osę jak na wariatkę.

– Ma jakąś pracę? Po tym, jak zwolniono go ze stacji paliw...

– Nie ma, przecież on prawie zawsze jest bez pracy. Ma jakieś problemy emocjonalne chyba, nie umie się z ludźmi dogadywać. Tylko z Jagodą jakoś znajdował wspólny język, choć podejrzewam, że ona traktowała go bardziej jak brata niż kandydata na faceta. To piękna dziewczyna, każdego mogłaby mieć, mimo że kulawa. A on... Koń, jaki jest, każdy widzi, i to samo tyczy się Nowakowskiego. A o Jagodzie to ludzie różnie gadają. Straszne rzeczy czasem, okropne! – Nagle kobieta urwała i przez dłuższą chwilę przyglądała się Osie. – Ja pani teraz powiem parę rzeczy, ale tylko tu, nie przed kamerą. Bo przed kamerą to ja tego za nic nie powtórzę. Za żadne skarby, pani słyszy?

– Oczywiście, rozmawiamy całkowicie nieoficjalnie – zapewniła ją Osa, chociaż w kieszeni kurtki miała telefon z włączoną funkcją dyktafonu.

– Z księdzem, ludzie mówią, że Jagoda romans miała.

– Z księdzem? – Osa zrobiła wielkie oczy.

No, no... Więc jednak coś jest na rzeczy.

– Młody, przystojny, pewnie samotny, wie pani, jak jest. Przyjaźnili się ponoć tylko, ale ludzie gadali. Raz ją tu odwiózł wieczorem, innym razem nad wodą ich widziano. Na ławce siedzieli, rozmawiali, ale ludzie od razu dopowiedzą sobie swoje. No a później ta ciąża... Bo ona, na moje oko, to w ciąży była. Raz widziałam, jak wymiotuje, tam, przy żywopłocie. Takie ją nagle mdłości dopadły jak mnie, kiedy lata temu z moim pierworodnym Staszkiem chodziłam. Rzygała jak kot, biedactwo, na buzi spuchła, piersi jej urosły. Na moje oko ewidentnie coś się działo. A kto jest ojcem, to ja już pani nie powiem. Sąsiadki gadają, że młody wikary, ale to by przecież skranie boskie było. – Starsza kobieta z niedowierzaniem pokręciła głową. – No i nagle dziecko w drodze, nie wiadomo z kim, co dalej, a Jagoda znika...

– Może czymś się struła? Jest pani pewna, że to była ciąża? Wypiła za dużo czy coś...

– Dziecko, ja ponad dwadzieścia lat pielęgniarką środowiskową byłam. Ciężę to ja poznam w trymiga, tylko zerknę. Nie u każdej kobity widać tak od razu, ale u Jagody – ewidentnie. Mówiłam policji, jak się tu kręcili, żeby księdza przepytali! Może on w panikę wpadł, jak się o ciąży dowiedział, dziewczynę zabił, ciało ukrył? Nie o takich rzeczach się słyszy, człowiek to bestia przecież, szczególnie zdesperowany.

– Zna pani bliżej tego księdza? Myśli pani, żeby byłby zdolny coś jej zrobić?

– Znam, co mam nie znać? Po kolędzie u mnie był w zeszłym roku. Przystojny, wygadany, wyperfumowany. Jeszcze przez cały wieczór na klatce tą jego wodą kolońską pachniało. Długo w każdym razie wtedy nie posiedział, bo dopiero zaczynał chodzić po domach, a wszyscy przecież czekali, trzeba było iść dalej, ale sernik chętnie zjadł, mieszkanie mi pobłogosławił, zostawił dobre słowo.

– A ojciec dziewczyny? Mógłby wpaść w szal, gdyby do niego dotarło, że córka jest w ciąży? – zasugerowała Osa.

– Antek? Nigdy! On by muchy nie skrzywdził, a co dopiero córki! – Kobieta wyglądała na obruszoną tego typu insynuacjami.

– Rozumiem, że Dariusz Nowakowski raczej nie jest ojcem dziecka? – zapytała Osa, a jej rozmówczyni parsknęła śmiechem.

– A pani by mu dała? No tak szczerze, dziecko, między nami? Z takimi jak on się nie sypia. Przynajmniej nie robią tego takie dziewczyny jak Jagoda. Ona mierzyła wyżej, a ślepa też nie była. Ale gdyby już jakimś cudem doszło co do czego, on to by się pewnie ucieszył, gdyby miał z nią dziecko. Kochał ją, mówiłam. Nikt za nią tak nie latał jak on.

– Żadnych innych mężczyzn nie miała? Co robiła wieczorami? Widywała ją pani z kimś? Ktoś ją odwoził pod blok, coś się działo? Kłóciła się z kimś, doszło do czegoś niepokojącego?

– A raz widziałam, że ją taki przystojny brunet podrzucił, ale nigdy więcej go tu nie zobaczyłam.

– Młody?

– Ja wiem? Ciemno było, on z auta nie wysiadał. Na pewno sporo od niej starszy, bardziej mężczyzna niż chłopak.

– A auto? Czarne? Białe? Terenowe? Osobowe?

– Auto jak auto. Szare chyba, metalik. A marki to ja nie pamiętam, ja się tam na samochodach nie znam. Cztery koła miało, wyglądało na nowe. Ładne, drogie chyba. Żaden tam powgniatany rzęch to nie był.

– Wyglądali na parę?

– Bo ja wiem... Może i tak, ale trudno coś powiedzieć, bo ona zaraz wysiadła i poszła do drzwi, a on odjechał z piskiem opon.

– Klócili się?

– Nie wiem, co ja tam widziałam, stojąc przy trzepaku? – Emerytowana pielęgniarka bezradnie rozłożyła ręce.

– Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła. – Osa posłała kobiecie szeroki uśmiech.

– A to nagranie dla tefauenu? Nadam się? Płacą za to czy jak?

– Odezwę się – skłamała youtuberka. – Proszę mi zostawić swój numer, dam znać, kiedy ruszymy z realizacją programu.

– Czyli nie na dniach? Bo później, w listopadzie, to ja do Ciechocinka jadę.

– Na pewno uda się nam znaleźć dogodny dla obu stron termin – pocieszyła kobietę Osa, wklepując do telefonu numer, którego oczywiście nigdy nie zamierzała wykorzystać. – Dziękuję pani bardzo i do zobaczenia – powiedziała, zanim ruszyła w stronę ulicy.

Ludzie są tak cudownie naiwni, pomyślała, kiedy już siedząc w samochodzie, odsłuchiwała nagraną rozmowę.

Więc zaginiona instagramerka mogła być w ciąży, w dodatku z miejscowym księdzem. Urocze. Czysty romantyzm w patokatolickim wydaniu. Na myśl o Waldemarze Bergu postanowiła udać się pod kościół z nadzieją, że napatoczy się na wikarego. Jemu też mogła się przecież przedstawić jako stażystka z TVN. Na pewno nie był aż tak naiwny jak starsza sąsiadka Jagody Wiśniewskiej, ale warto było zobaczyć chociażby jego minę, jaką robi na wzmiankę o parafiance, która zaginęła. A być może nie tylko parafiance? Być może piękna boża owieczka była jego sekretną kochanką?

Zanim dotarła w okolice kościoła, zaszła do pobliskiego baru, gdzie skusiła się na burgera wege, duże frytki i porcję coli. Pieprzyć to, na wyjazdach często dostawała małego rozumu, zwłaszcza w temacie diety, pomyślała, wbijając zęby w apetycznie wyglądającą bułkę.

Jedząc, jeszcze raz odsłuchiwała rozmowę z właścicielką jamnika. Cóż, wyglądało na to, że Jagoda nie była taka święta, jak mogli myśleć niektórzy. Cicha woda brzegi rwie, jak mawiała babcia.

Kiedy parkowała przed kościołem, zauważyła wikarego idącego w stronę ulicy.

Bingo! – ucieszyła się, pospiesznie wysiadając z samochodu. Zobaczmy, dokąd idziesz, księżulku, pomyślała i przebiegła przez jezdnię.

Ksiądz Berg szedł szybko, jakby gdzieś się spieszył. Osa ruszyła za nim, trzymając się na tyle daleko, by nie zauważył „ogona”, ale jednocześnie na tyle blisko, żeby nie stracić go z oczu. Kiedy wszedł do Lewiatana, oparła się o pień rosnącego przy chodniku kasztanowca i wyjęła z plecaka paczkę miętowych gum. Od rana nie myślała zębów, co nagle zaczęło jej przeszkadzać.

Wikary siedział w sklepie tak długo, że zaczęła go nawet podejrzewać o romans z kasjerką. W sumie, gdyby przeleciał kobitę na zapleczu, trwałoby to mniej więcej tyle czasu co jego zakupy, pomyślała.

Wszedł z dwiema siatkami w rękę i ruszył w stronę pobliskiego parku.

Była pewna, że wróci na plebanie, aby włożyć sprawunki do lodówki, ale wyglądało na to, że zrobił je nie dla siebie. Dwie przecznice dalej wręczył zakupy szczupłej młodej dziewczynie, która, gdy zadzwonił do furtki, wyszła przed zaniedbany parterowy dom, lękliwie obejrzała się przez ramię i wzięła od niego siatki. Rozmawiali tylko przez chwilę, ale mimo sporej odległości Osa zorientowała się, że młoda kobieta jest przestraszona i zestresowana. Wikary przez dłuższą chwilę coś do niej mówił, później wyjął z kieszeni portfel i wręczył jej coś, co mogło, choć nie musiało być banknotem.

Ksiądz, który naprawdę pomaga potrzebującym, a to ci dopiero jajo! Osa zaśmiała się pod nosem i schowała się za kiosk, widząc wikarego Berga, który właśnie ruszył w jej stronę.

Później poszedł do szewca, skąd odebrał parę butów, zaliczył fryzjera, księgarnię i piekarnię, w końcu samotnie wrócił na probostwo.

Osa przez jakieś pół godziny siedziała jeszcze w samochodzie zaparkowanym przed kościołem, mając nadzieję, że wikary znowu pojawi się w zasięgu wzroku, ale tym razem jej się nie poszczęściło. Jadąc w stronę ulicy, przy której wynajęła niewielkie mieszkanie, zastanawiała się, czy Berg istotnie wyglądał jak ktoś targany wyrzutami sumienia po zabiciu młodziutkiej ciężarnej kochanki, ale doszła do wniosku, że zbyt mało wie, by ucześcić się tej jednej jedynej hipotezy. Poza tym nie znaleziono ciała Jagody, lecz nadzieja, że żyje, była nikła.

Ostróda, październik 2022

Antoni Wiśniewski odsunął się od okna, nalał sobie piwa i usiadł za stołem. Na dole, przed blokiem, jego sąsiadka Wanda Sójka rozmawiała z jakąś jasnowłosą smarkułą. Nie znał tej dziewczyny, ale od razu się domyślił, że pracuje dla jakiegoś szmatławego tabloida, ewentualnie zamieszcza w sieci własne filmy, jak to teraz było w modzie. Bo o czym innym by Wandzia z nią gadała?

Gówniara raczej nie była z Ostródy, pierwszy raz ją widział. Zresztą nawet jej ciuchy jakoś mu tu nie pasowały – czarne spódnicospodnie nieco za kolano, siatkowe pończochy, glany... I jeszcze ta jej krótka, zapinana na zamek kurteczka, błyszcząca jakaś, jakby cała z cekinów. Kto się tak ubiera? Skrzywił się, zanim wypił kilka łyków piwa. Więc Wandzia właśnie wbija mu nóż w plecy, plotkując o jego Jagodzie. Chwilę później odstawił szklankę, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Dalej tam stały – Wandzia paplała jak nakręcona, a blondyna słuchała jej uważnie, co jakiś czas ze zrozumieniem kiwając głową.

Gdy otworzył na oścież okno, wydawało mu się, że mówią o ciągle łąącym za Jagódką Darku Nowakowskim, ale nie słyszał zbyt wyraźnie. Tak czy owak, gadały o jego sprawach. W bezsilnej złości zacisnął ręce w pięści i z niedowierzaniem pokiwał głową. Wandzie ufał, znali się od lat. A teraz obrabia dupę jego Jagodzie, pewnie za kilka marnych stówek i możliwość pokazania się w prasie czy w jakiejś prywatnej telewizji. Jemu też już proponowali wywiady, dzwonili, wrzucali liściki do skrzynki na listy, kusili kasą i oglądalnością. Nie zamierzał jednak opowiadać o swojej jedynaczce przed kamerami, tego z całą pewnością jej nie robi. Cokolwiek się stało, było ich prywatną sprawą, powtarzał sobie.

– Jagódka – szepnął, przez dłuższą chwilę wpatrując się w zawieszoną na drzwiach lodówki fotkę jedynaczki i coś ścisnęło go w gardle.

Minęło kilka dni, odkąd jego córeczka zaginęła, a miejscowa policja nadal nie miała żadnych konkretów. Jego dziewczynka najprawdopodobniej wyszła z mieszkania w środku nocy, pokonała kilka przecznic, a później rozplynęła się we mgle. Gliniarze sugerują, że albo ktoś siłą wciągnął ją do samochodu i gdzieś wywiózł – w bagażniku, ukrytą przed kamerami monitoringu, które gdzieniegdzie były na ulicach – albo sama chciała się ukryć i pomogli jej zniknąć przyjaciele. Ktoś mógł po nią podejść.

Zniknęła w okolicach torów, jakby zapadła się pod ziemię. Tam, gdzie akurat monitoringu ponoć nie było.

Może gdyby tego wieczoru nie uderzył jej w twarz, nie wyszłaby w środku nocy? – pomyślał Antoni, a po jego opalonym chudym policzku spłynęła pojedyncza łza. Zawsze bardzo ją kochał, była jego oczkiem w głowie. Od długich lat harował na dwóch etatach, by niczego jej nie zabrakło, spełniał każdą jej zachciankę, jakby chciał zrekompensować odejście matki, i nieba by jej przychylił, gdyby tylko potrafił.

Może dlatego wpadł w taki szal, kiedy kilka dni wcześniej powiedziała mu, że jest w ciąży? Boże jedyny, bez ślubu, tak nagle, nie wiadomo z kim... Imienia ojca dziecka podać mu nie chciała. Mówiła, że najpierw muszą sobie wszystko na spokojnie poukładać, że jeszcze na to nie pora. A on przez dłuższą chwilę stał pośrodku kuchni jak skamieniały, w końcu zamachnął się i dał jej w twarz.

Uderzył ją tak mocno pierwszy raz w życiu. Pewnie, w dzieciństwie zdarzało mu się wymierzać jej lekkie klapsy, ale w twarz nie dał nigdy wcześniej. Odskoczyła jej głowa, strasznie to wyglądało. Zaczął przeproszać, przeraził się, sam siebie nie poznawał. Jagoda się rozplakała i szlochając, uciekła do pokoju, z którego przez cały wieczór nie wychodziła.

A później, w nocy, przepadła.

Zorientował się dopiero rano. Kiedy wstał, nie było jej w mieszkaniu, zniknął też jej płaszcz, ulubione mokasyny i plecaczek zdobiony sztucznym futerkiem, który lubiła zabierać na te swoje plenerowe sesje foto.

I początkowo Antoni pomyślał, że poszła robić zdjęcia. Wiele razy prosił ją, by nie włączyła się samotnie po pustkowi nad wodą, po okolicznych lasach i parkach, zwłaszcza bladym świtem, ale nie słuchała. Zaparzył więc kawę, zrobił sobie śniadanie i czekał na córkę do chwili, w której musiał wyjść do

pracy. Później zaczął wydzwaniać na jej komórkę, ale telefon Jagody był poza zasięgiem. Więc albo odrzucała jego próby połączenia, albo wyłączyła aparat.

Po południu poszedł na policję, ale niemal go wyśmiali. Dwudziestokilkulatka, której nie ma kilka godzin, to dla nich żaden priorytet, usłyszał. O ciąży nie wspomniał, nic im do tego. Prosił tylko, by zaczęli szukać, ale chociaż niechętnie przyjęli zgłoszenie zaginięcia i wypełnili jakieś formularze, nie wyglądali tak, jakby rwali się do akcji.

Dopiero dzień później zaczęli przeszukiwać miasteczko, okoliczne lasy i porośnięte szuwarami tereny nad jeziorami, co do teraz go bolało. Dlaczego tak późno, tak opieszale? Czemu po takim czasie? Gdyby był kimś ważnym, jakimś doktorem czy prawnikiem, inaczej by z nim gadali, ale córka ślusarza? Kogo obchodzą dzieci lokalnej biedoty? – pomyślał z goryczą.

Z dołu, zza okna, dochodziło ujadanie Mietka. Nie lubił tego durnego głośnego psa, podobnie jak przez długie lata nie znosił świętej pamięci męża Wandzi, pijusa, awanturnika i dziwkarza. Ale Mietek od paru lat gryzie ziemię, a pies, jak to pies, czekać, psia jego mać, musi. Antoni skrzywił się i podreptał do kuchni po zapomnianą szklankę z niedopitym piwem.

Boże jedyny, siedzi tu i pije... Rano rozwiesił kolejne plakaty, pokręcił się po centrum, molo, ulicach, wypytywał ludzi, ale nikt Jagody nie widział, nikt nic nie kojarzył. Wakacyjne tłumy turystów, które w lipcu i sierpniu przelewały się przez Ostródę, już szczęśliwie zniknęły, ale mimo to twarze mijanych ludzi wydawały mu się przerażająco obce i obojętne, chociaż przecież część z tych osób to byli jego sąsiedzi. Nikogo nic nie obchodzi, pomyślał i pociągnął nosem.

Pójdę jeszcze wieczorem, pokręcę się nad wodą, postanowił, przeglądając w telefonie kilka ostatnich zdjęć córki. Na jednym z nich stała przy trzepaku, szeroko się uśmiechając – piękna, niewinna, jego córeczka. To było w maju, kiedy jeszcze nie była w ciąży, nie działo się nic złego. Kto jej to zrobił? – zastanawiał się, wpatrując się w roześmiane zdjęcie dziewczyny. Kto splugawił jego córeczkę, który z tych sukinsynów? Nagle pomyślał o wikarym. Ludzie gadali, słyszał to i owo. Ale żeby z księdzem? Nie, w to nigdy nie uwierzy! Nie była tak głupia ani tak zepsuta! Są pewne świętości, których się nie szarga. Kapłan to kapłan, pomyślał.

Darek Nowakowski? Czy po tylu latach przyjaźni, łażąc za nią niczym wierny kundel, w końcu doczekał się szczęśliwej chwili i dostał to, o czym marzył? Nie, to też raczej nie wchodzi w grę. Ten chłopak był tak szpetny, że nikt przy zdrowych zmysłach kijem by go nie tknął. Mówią, że uroda to nie wszystko, ale wiedział, że pieprzą głupoty. Ludzie mają oczy, lubią to, co ładne, a przynajmniej znośne.

Antoni dopił piwo, wstał i pchnął drzwi od pokoju córki.

Cisza. Chryste, jak tu cicho, nie do zniesienia.

Łóżko zostawiła pościelone, musiała je uporządkować w nocy, zanim wyszła. Na nim jasnoróżowa narzuta, dwa pluszowe miśki, książka, którą ostatnio czytała.

Kwiaty na poddaszu, przeczytał tytuł i poglądził obwolutę, wzruszony myślą, że nie tak dawno córka trzymała ją w rękach.

Biurko przeszukał po raz kolejny, po tym, jak zrobiła to policja, ale nie znalazł niczego, co stanowiłoby jakąkolwiek wskazówkę. Papierki po czekoladowych cukierkach, notesy, książki, kilka starych szkolnych zeszytów, głównie z angielskiego. Jagoda nie trzymała tam niczego, co mogłoby stanowić jakąś informację.

– Gdzie jesteś? – zapytał na głos Antoni. – Gdzie ty jesteś, dziecinko?

Miał wyjść z pokoju, kiedy przypomniał sobie o mišku. Jeden z pluszowych zwierzaków córki miał wszyty zamek, co sprawiało, że brzusek maskotki mógł być swego rodzaju schowkiem. Policja pewnie już go przeszukała, ale i tak zerknął do środka. W mišku znalazł srebrny łańcuszek z zawieszka w kształcie serca, zapalniczkę (od kiedy Jagoda pali?) i napisany odręcznie liścik.

Chciałbym spijać z Twych piersi rosę o poranku,

Widzę miłość w Twych oczach, gdy czekasz na przystanku...

Dzięki Tobie odnalazłem drogę, cel i miłość,

Proszę, zostań tuż obok, by to się nie skończyło.

Wiersz. Antoni nie znał się na poezji, nie potrafił więc powiedzieć, czy była to czysta grafomania, czy może coś lepszego. Wiedział jedynie, że napisane odręcznym, dużym i nieco koślawym pismem wersy mogły wyjść spod ręki tego, kto był ojcem jego wnuka.

– Kim jesteś, sukinsynu? – warknął, obracając kartkę w dłoniach.

Nagle przypomniał sobie o świętym obrazku, który dostał podczas kolędy od wikarego Berga: Matkę Boską z Dzieciątkiem, którą ksiądz podpisał na odwrocie, udzielając rodzinie duszpasterskiego błogosławieństwa. Jeśli uda się mu odnaleźć obrazek, będzie mógł porównać pismo. Niestety, mimo że przeszukał cały duży pokój, wszystkie szuflady w kuchni i komodę w przedpokoju, zguba się nie znalazła. Jakby diabeł ogonem nakrył, pomyślał i z twarzą ukrytą w dłoniach usiadł na łóżku córki.

Może powinienem zanieść to na policję? – przeszło mu przez myśl, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Ten sierżant, który z nim rozmawiał, Adrian jakiś tam, nazwiska Antoni nie zapamiętał, wyglądał na aroganckiego buca. Traktował go z góry, mówił do niego jak do idioty i sprawiał mało sympatyczne wrażenie. Nie, nie będzie tam latać z kawałkiem durnej poezji, powiedział sobie, zanim włożył kartkę z powrotem do miśka i zapiął zamek na jego pluszowym brzuszku.

Nagle przypomniał sobie wieczór sprzed kilku tygodni, kiedy Jagoda wróciła do domu wyjątkowo podenerwowana. Dochodziła północ, a ona ściągała buty, gdy w leżącej na krześle przy drzwiach torebce zadzwoniła jej komórka.

– Nie odbierzesz? – zapytał, przyglądając się córce. – Piłaś?

– Wiesz, że nie piję – uśmiechnęła się.

Telefon wciąż dzwonił i w końcu Jagoda wyjęła go z torebki.

– Powiedziała „nie”! – syknęła, zanim przerwała połączenie.

– Z kim rozmawiałaś? – zdziwił się Antoni, ale córka ewidentnie nie zamierzała zdradzać mu swoich sekretów.

– Idź spać, tato. Jutro wstajesz do pracy. Przepraszam, że wracam tak późno, ale naprawdę nie musiałeś na mnie czekać. – Pocałowała go w policzek i z torebką w ręku ruszyła w stronę swojego pokoju.

Wtedy jej telefon zadzwonił jeszcze raz, ale tym razem nie odebrała.

– Odwał się – syknęła pod nosem, zanim odrzuciła połączenie i wyciszyła komórkę.

Antoni pamiętał, że nawet się wtedy uśmiechnął. Był pewny, że to Dariusz, który ciągle za nią łąził, a może jakaś jej koleżanka? Nie przywiązywał wagi do drobnego nocnego incydentu, wydał mu się błahy i niegroźny. Teraz jednak dałby naprawdę wiele, by się dowiedzieć, kto tamtej nocy wydzwaniał do jego córki.

Wspomniał o tym nawet policji, ale ten cały Adrian tylko pogardliwie prychnął. Nie zamierzał sprawdzać bilingów sprzed tygodni w poszukiwaniu nie wiadomo czego, jak się wyraził, przypomniał sobie Antoni.

Kiedy wychodził z pokoju córki, usłyszał ujadanie Miecia – Wanda musiała właśnie wejść z psem na klatkę.

Nie miał ochoty z nią rozmawiać, ale zgorzknienie wzięło górę, zarzucił więc na ramiona stary rozpinany sweter i wyszedł na schody.

Wandę przyłapał na półpiętrze – posapując i ciągnąc za sobą psa, wdrapywała się na swoje drugie piętro.

– Z kim rozmawiałaś o mojej Jagodzie?! – naskoczył na sąsiadkę.

– Z nikim! – krzyknęła, zatrzymując się gwałtownie i opierając o ścianę, jakby szukała w niej oparcia.

– Przecież widziałem, że pismaki węszą! Ta dziewczucha, blondyna w błyszczącej kurtce! Prasa?

– TVN – przyznała niechętnie Wanda.

– TVN? I ty w to uwierzyłaś? Pewnie jakaś lokalna dziennikarzyna, która przekreśli wszystko, co powiedziałaś, i zrobi z mojej córki Bóg wie kogo! Po co z nią gadałaś, co?! – Złapał Wandę za ramię tak mocno, że cicho krzyknęła, a Miecio zaczął szczeleć, szarpiąc się na smyczy. – Przepraszam, nie chciałem. – Zabrał rękę, a sąsiadka wyminęła go bez słowa i niemal biegiem ruszyła na górę.

– Nie napadaj więcej na mnie! Nie zasłużyłam sobie na takie traktowanie! – krzyknęła, zanim weszła do siebie.

– Nie napadłem cię, histeryczko – mruknął Antoni, wracając do mieszkania.

TVN? Wolne, kurwa, żarty! Zawsze miał Wandę za mądrą kobietę, ale okazało się, że jest głupia jak but.

„Co powiedziałaś tej blondynie?”, napisał w okienku dialogowym telefonu i wysłał Wandzie

esemesa.

„Że w ciąży Twoja świętojebliwa córeczka była, to powiedziałam! Wszyscy wiedzą, że to dla wikarego rozłożyła nogi! Wszyscy, całe miasto!”

Odpowiedź ta sprawiła, że w bezsilnej złości walnął pięścią w ścianę.

„Wstydzilibyś się takie kłamstwa rozpowiadać!” – odpisał, trzęsąc się z wściekłości.

Później cisnął komórkę o ścianę i nalał sobie wódki, ale zamiast ją wypić, po chwili wahania wylał ją do zlewu. Nie może się nad sobą użalać, nie teraz! Musi szukać Jagody, choćby miał zajrzeć do samego piekła, powiedział sobie, zakładając gruby szary sweter z golfem.

Noc miała być zimna, a on zamierzał chodzić po mieście, dopóki pozwolą mu pobołowujące od dłuższego czasu plecy. Wkładając kurtkę, pomyślał o Wandzie. Ta stara suka, raszpla przebrzydła! Jagoda jej czasem robiła zakupy, okna babie myła, pomagała pastować parkiety, a ta jej teraz tak się odpłaca? Niewdzięczność ludzka nie ma granic.

Pokręcił głową i wyszedł z mieszkania. Na klatce schodowej pomyślał, że chyba jeszcze nigdy, w całym swoim życiu, nie czuł się aż tak rozpaczliwie samotny.

Ostróda, październik 2022

Mżyło. Adrian Rożek napił się wody, wyszedł z kuchni i wrócił na górę, do małżeńskiej sypialni. Kamila jeszcze spała; widok jej rozrzuconych na poduszce jasnorudych włosów jak zawsze go rozczulał, wywoływał na twarzy uśmiech. Praca w policji uczy wdzięczności. Obudził się dziś u boku żony, kobiety, którą kochał. Czy może być coś piękniejszego? – pomyślał, kładąc się obok i wtulając w jej plecy. Obudził ją. Trudno, i tak pewnie zaraz miała wstawać.

- Puść mnie, śpię – wymamrotała.
- Wcale nie śpisz – wyszeptał jej do ucha.
- Pada?
- Mży.
- Wstawaleś w nocy do Amelki?
- Nie, a ty? – zapytał, wdychając zapach żony.

Pachniała snem, seksem, który uprawiali o trzeciej nad ranem, i kwiatową wonią ulubionych perfum. Uwielbiał ten zapach, mógłby ją wąchać godzinami, tulić się do niej, trzymać ją w ramionach.

– Raz – powiedziała i odwróciła się twarzą do niego po tym, jak już udało się jej wyswobodzić z uścisku. – Cześć. – Uśmiechnęła się, a on odgarnął jej włosy z czoła i pocałował w czubek nosa.

– Cześć. – Odwzajemnił uśmiech, a ona się w niego wtuliła.

– Musisz dziś iść do pracy? – zapytała.

– Wiesz, że muszę.

– Spędź z nami przedpołudnie. Zróbmy sobie wagary.

– Kamila, nie bądź dzieckiem. – Adrian jeszcze raz pocałował żonę w czubek nosa, pogładził jej ramię i powiedział, że musi wziąć prysznic. – Idziesz ze mną?

– Nie. Śpię.

– Tylko nie spóźnij się do pracy – rzekł ze śmiechem.

– Na dwunastą? Aż tak zdolna nie jestem. Zresztą lada chwila obudzi się nasza księżniczka. – Na myśl o córeczce Kamila się uśmiechnęła i odruchowo zerknęła w stronę drzwi, chociaż było wykluczone, by ich śpiąca w pokoju obok półtoraroczna pociecha wstała, wydostała się z łóżeczka i pojawiła się w progu ich sypialni.

– Wstaję. – Adrian ostatni raz pocałował żonę, tym razem w usta, i niechętnie opuścił ciepłe łóżko.

W domu było chłodno, za oknem mżyło. Nie znosił jesieni, przyprawiała go o jakąś dziwną niemęską melancholię, do której wstydził się przyznać nawet przed żoną.

Mijając pokój córeczki, uchylił drzwi i spojrzał w stronę łóżeczka. Mała wciąż spała – z rączkami rozrzuconymi nad głową, otulona kołderką. Ten widok sprawił, że Adrian poczuł ulgę. Zawsze, kiedy tu zaglądał, z tyłu głowy pojawiała się upiorna myśl, że łóżeczko może być puste.

Kilka lat wcześniej prowadził sprawę uprowadzenia dwuletniego chłopca, którego porywacze wykradli nocą z domu rodziców. Początkowo wszyscy myśleli, że chodzi o kasę – rodzina była zamożna, czym lubiła się chwalić, ale żądanie okupu nie nadeszło, a dziecko do dziś się nie odnalazło ani żywe, ani martwe.

Wspomnienie tej sprawy zawsze go zasmucało. Porwany dzieciak miał na imię Łukasz. Łukaszek. Minęło kilka lat, a on wciąż pamiętał porozwieszane na komendzie zdjęcia chłopca, początkowy entuzjizm śledczych, zapał i energię do działania, które z każdym dniem zamieniały się w poczucie bezsilności, frustracji i beznadziei. Dziś, kiedy sam był ojcem, wzdragał się na myśl o tym, że ktoś mógłby odebrać im Amelię. Porwanie dziecka jest jedną z najokrutniejszych zbrodni, jakich można się dopuścić. Tacy sprawcy wyrwają rodzicom serca, pozbawiają ich wszystkiego.

Na komendę dotarł kilka minut po ósmej i z kubkiem kawy w dłoni usiadł za biurkiem, chcąc przejrzeć akta sprawy, którą hobbystycznie usiłował rozwiązać, chociaż została zamknięta kilka lat

wcześniej, nierozwiązana.

Notował coś w zeszycie, który trzymał na biurku, kiedy przy stanowisku dyżurnego rozległy się podniesione głosy. Wstał i przeszedł przez pokój. Nigdy nie zamykał drzwi. To sprawiało, że czuł się pewniej i wiedział, co się dzieje w budynku.

Krzyczał jakiś mężczyzna, był zdenerwowany. Jego głos wydał mu się znajomy.

– Chuja robicie w sprawie mojej córki, taka jest prawda! – usłyszał, kiedy zbiegł na półpiętro.

No tak, Antoni Wiśniewski, ślusarz, którego córka wymknęła się nocą z domu.

– Proszę się uspokoić – powiedział, kiedy zjawił się w korytarzu na dole.

– Jak się mam uspokoić, skoro zaginęła moja córka?! – wrzasnął Wiśniewski.

– Pił pan coś? – zapytał zrozpaczonego ojca dyżurny policjant, ale Adrian ruchem dłoni kazał mu się nie wtrącać.

– Moja córeczka zaginęła i nikt jej nie szuka. – Nagle Wiśniewski zaczął rozpaczliwie szlochać, a Adrian poczuł współczucie dla tego steranego życiem mężczyzny.

– Wciąż jej szukamy – powiedział, usiłując uspokoić ślusarza.

– Gdzie? Tutaj?! Nie siedzi chyba w którejś z waszych szaf na akta? – parsknął Antoni. – Ona jest w ciąży, ale wy macie to gdzieś! – wrzasnął, a Adrian zrobił zaskoczoną minę.

– Nie wspominał pan, że zaginęła ciężarna.

– Nie, bo to nasze prywatne sprawy są! Ale teraz wam mówię, córka jest w ciąży!

– Można zapytać, kto jest szczęśliwym tatusiem?

– Nie wiem kto! – warknął Wiśniewski. – Nie wiem! Zadowolony pan jesteście?! Nie mam, kurwa, pojęcia!

– Czy jest taka możliwość, że córka po prostu uciekła z partnerem? Z ojcem dziecka – sprecyzował Adrian.

– Ona nie uciekła! Nie zostawiłaby mnie w taki sposób, zawsze była posłuszną dobrą dziewczyną! Kochała mnie, nie rozumie pan? Nie odeszłaby bez słowa wyjaśnienia czy pożegnania. – Antoniemu załamał się głos.

– Rozumiem – powiedział Adrian i położył ślusarzowi rękę na ramieniu. – Musi pan mi wierzyć, szukamy jej – dodał, a Wiśniewski wierzchem dłoni otarł łzy i bez słowa pożegnania ruszył w stronę wyjścia.

Kiedy ślusarz wyszedł, Adrian wrócił do siebie i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, kto mógłby być ojcem dziecka zaginionej Jagody.

Później zapisał na kartce kilka nazwisk, wśród których był również wikary Berg, i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co robić. W końcu zdecydował, że ponownie odwiedzi Dariusza Nowakowskiego, chłopaka, którego niektórzy nazywali wręcz stalkerem.

W drodze do samochodu zastanawiał się nad naturą relacji łączących Jagodę Wiśniewską z Nowakowskim. Ponoć kiedyś to on robił jej zdjęcia, musieli więc być blisko. Wszystkie te sesje foto pośród łąk, pól, szuwarów oraz lasów wymagały czasu i zaangażowania. Później jego rolę przejęła jedna z koleżanek Jagody. Czemu? – zastanawiał się Adrian, otwierając samochód. Pokłócili się? Świtezianka miała dość jego nachalnej adoracji? Przyparł ją do muru zbyt mocno? A może doszło do jakiegoś incydentu? Nagle Adrianowi przyszło do głowy, że ciąża Jagody Wiśniewskiej jest wynikiem gwałtu.

Może dziewczyna nie miała żadnego sekretnego kochanka. Nie spała z nikim stąd, nie dawała księdzu czy żonatemu sąsiadowi. Może ktoś ją zgwałcił, a później uciekła, nie potrafiąc poradzić sobie z traumą? Uciekła albo skrzywdził ją gwałciciel.

– Popierdolony świat – mruknął, wolno wyjeżdżając z parkingu przy komendzie.

Na Olsztyńską dotarł kilka minut później i zaparkował przy otynkowanym na szaro domu ze spadzistym dachem, gdzie razem z matką mieszkał Dariusz Nowakowski.

Dzwoniąc do drzwi, zerknął na ulicę, którą, znacznie przekraczając prędkość, przemknęło szare audi. Pieprzeni piraci, skrzywił się.

Otyła ciemnowłosa kobieta, która mu otworzyła, zbliżała się do sześćdziesiątki. Samotna matka i całkiem obrotna przedsiębiorczyni prowadząca sieć fast foodów i jeszcze parę drobnych interesów. Czekać, aż kobieta przejdzie przez ogród i zbliży się do ogrodzenia, Adrian przypomniał sobie krążące przed laty plotki o tym, że Nowakowska ma syna z będącym w separacji z żoną starszym od niej lokalnym przedsiębiorcą, który po tym, jak ostro się zadłużył, palnął sobie w łeb nad jeziorem Sajmino, zostawiając ją

samą z kilkuletnim wówczas Dariuszem. Zresztą nawet wtedy razem nie mieszkali, to był luźny związek, jakiś dziwny układ.

– Tak? – warknęła kobieta, krzywiąc się na jego widok.

– Syn jest?

– Śpi.

– To niech się obudzi, chcę porozmawiać.

– Pan nas nachodzi, panie władzo!

– Prowadzę śledztwo i dobrze pani radzę współpracować.

– Mój syn nie zrobił nic złego Jagodzie! Jego jedyną winą jest to, że się w tej zarozumiałej pannie zakochał! – syknęła Nowakowska, wciąż blokując mu wejście do domu.

– Proszę się przesunąć – rzucił przez zęby i w końcu, acz niechętnie, otyła kobieta pozwoliła mu wejść do sieni.

W pokoju Dariusza przeraźliwie cuchnęło. Potem, niepranymi skarpetami, paprykowymi chipsami, których otwarte opakowanie leżało na fotelu, i brudnymi ciuchami właściciela, rzuconymi prosto na dywan.

Chłopak faktycznie spał – jego monstrialne cielsko zajmowało niemal całą przestrzeń wąskiego stojącego pod oknem łóżka, a spod kołdry wystawała jedna z łydek.

Policjant pochylił się i lekko pociągnął pogrążonego we śnie chłopaka za nogę, co zrodziło sprzeciw stojącej w progu matki.

– Co pan robi?! – wrzasnęła.

W tym samym momencie Dariusz się obudził.

– Co jest? – wymamrotał.

– Wstajemy, kolego. – Adrian mrugnął do niego i odwrócił się, gdy ubrany w same kraciaste bokserki grubas odrzucił na bok kołdrę.

– Ja tego tak nie zostawię! To jest najście, pan nas nęka! – krzyczała Nowakowska, coraz bardziej wściekła. – Pan ma jakiś nakaz?!

– Proszę pani, porozmawiamy tu albo syn będzie się musiał stawić na komendę.

– Ale w jakiej sprawie?! Przecież on nic nie wie! On by tej dziewczuchy nie skrzywdził, szalał za nią, wszyscy to wiedzą!

– Tacy, co to szaleją za kobietami, też niejednokrotnie kończą za kratami – mruknął Adrian, a Nowakowska oskarżycielskim gestem wycelowała w niego palec.

– Pan jest uprzedzony do mojego syna! Szuka pan kozła ofiarnego, żeby móc zakończyć śledztwo i przypisać sobie sukces! To jest niedopuszczalne! – zarzuciła policjantowi.

– Proszę się uspokoić i natychmiast stąd wyjść. Syn od dawna jest pełnoletni, chcę z nim porozmawiać. W kuchni, okej? – zwrócił się do chłopaka, który rozgrzebywał właśnie leżący na fotelu stos brudnych ciuchów, usiłując znaleźć coś, co mógłby na siebie włożyć.

– A prosiłam zrobić pranie, błagałam! Wszystko na mojej głowie – syknęła do syna, zawstydzona panującym wokół bałaganem, po czym zostawiła ich samych.

– Włóż cokolwiek, po prostu chcę pogadać – poprosił Adrian i chłopak zdecydował się na pasiastą koszulkę poplamioną czymś, co wyglądało na keczup.

– Możemy wyjść na zewnątrz? – zapytał Dariusz. – Wie pan, przed dom, żeby mama nie podsłuchiwała.

– Jasne, nie ma problemu – zgodził się Adrian. W domu Nowakowskich było wyjątkowo duszno, czego nie znosił.

W ogrodzie usiedli na drewnianej ławce ustawionej pod zadaszoną wiatą. Adrian zapytał Dariusza, czy wiedział o ciąży Jagody.

– A może to ty jesteś ojcem? Wpadłeś w panikę, bo przecież co powie mamusia, i zabiłeś dziewczynę? – rzucił, a chłopak poczerwieniał.

– Nie! – zawołał. – My nigdy nie... Ona mnie nie chciała – dodał cicho, a w jego oczach błysnęła złość. – Nie chciała mnie, jej strata – dodał bardziej hardo. – Jestem porządnym kolesiem, ale baby wolą kasę i wygląd. Tylko na to lecą.

– A ty nie leciałeś na jej wygląd? – zakpił Adrian.

– Kochałem ją. Odkąd pamiętam.

– Ale brzydka nie była. Grubą i pryszczatą też byś tak szaleńczo kochał? – zapytał Adrian, a Dariusz posłał mu złe spojrzenie.

– Nie zabiłem jej – powiedział z naciskiem, patrząc policjantowi w oczy. – I mocno kulała, więc nie była taka znowu idealna – dodał złośliwym tonem.

– A masz jakieś przypuszczenia, kto mógłby ją skrzywdzić?

– Nie, a co? Ja mam odwalać za pana robotę? Po to mnie pan wyrwał z wyrka bladym świtem?! – zakpił Dariusz.

– Myślałem, że ci na niej zależy. Szukamy jej, a ty się nie zamartwiasz? A może jednak świetnie wiesz, gdzie jest?

– Skąd niby miałbym wiedzieć?! – Chłopak zerwał się z ławki i ruszył w stronę domu. – Nie muszę z panem gadać, panie władzo! Nie mam takiego obowiązku. Znajdźcie coś na mnie, to będziecie mogli mnie przesłuchiwać!

– Proszę, proszę, jaki wygadany. Amerykańskich filmów się pewnie naoglądał – mruknął pod nosem Adrian i samotnie ruszył w stronę furtki.

– Następnym razem psem poszczuję! – rzuciła w ślad za nim Nowakowska.

– Nie ma pani psa. – Uśmiechnął się złośliwie.

– To kupię! Żeby pan wiedział, że kupię! Syna mi pan nęka, a chłopak nic złego nie zrobił! To puszczalska była, wszyscy wiedzą! Leży pewnie teraz w jakimś rowie, zgwałcona i uduszona, bo cyckami na Instagramie świeciła! – wycedziła Nowakowska, zanim zatrzasnęła za Adrianem furtkę i przekreśliła klucz. – Do widzenia!

Typowa polska świętoszka, pomyślał Adrian w drodze do samochodu. Za młodu dorobiła się nieślubnego dzieciaka, a teraz zgrywa nietkniętą przez żadnego samca stateczną matronę. Uśmiechnął się krzywo. A przecież wszyscy wiedzą, że w młodości latała i za żonatymi, i za cudzymi chłopami. Taka mentalność – nie pamięta stara kurwa, jak młodą puszczalską była, pomyślał i wyjął z kieszeni kluczyki.

W drodze na komendę wstąpił na kawę. W domu nie zdążył jej wypić, a ranek był senny i ponury. Siedząc z kawą na werandzie kawiarni, wszedł na instagramowy profil Osy, gdzie znalazł dwa nowe zdjęcia.

„Ostróda to całkiem fajne miejsce”, podpisała pierwsze z nich Lena Osowska. Drugie, przedstawiające jej selfie w plenerze nad Jeziołem Drwęckim, skomentowała trzema niezbyt konkretnymi zdaniem: „Ewidentnie dzieje się tu coś niepokojącego, ale jeszcze nie wiem co. Ludzie się boją, klimat się zagęszcza... Sprawdzajcie na bieżąco, co u mnie!” – przeczytał Adrian i wszedł na komentarze.

„Dziwię się, że ktokolwiek wspiera Twój kanał na YouTube, Osa! Te Twoje „śledztwa” to zwykły lans. Przyjeżdżasz w miejsce, gdzie stało się coś strasznego, snujesz się po okolicy, a później opowiadasz o tym, co zrobili w danej sprawie inni, czyli bezczelnie spijaszesz śmietankę! Jesteś nieudolna, nie robisz nic konkretnego, po prostu wyciągasz kasę od naiwnych, żeby móc w nieskończoność opowiadać bajki z dreszczykiem!”, napisał jakiś Wojtas.

Inne komentarze były znacznie mniej krytyczne, głównie pisane przez młode dziewczyny.

„Wow, masz dziś megamakijaż!”, zachwycała się jakaś @alicja_w_pułtusk78.

„Jesteś lepsza od Karoliny Anny”, napisała inna laska, której ktoś odpisał: „Chyba cię, dziewczynko, konkretnie pogięło! Karolina Anna rządzi!”.

„Byłam w Ostródzie rok temu!”, chwaliła się jakaś Zosia z profilu @kozie_mleko_na_cerę.

„Ciekawa sprawa, czekam na rozwiązanie”, skomentował Tomasz Burzyński.

Nagle Adrianowi przyszło na myśl, że wśród komentujących może być zabójca – takie zjeby często śledzą konta zajmujące się *true crime*, zwłaszcza jeśli są prowadzone przez atrakcyjne młode kobiety. Jednak mimo że przejrzał ponad trzysta wypowiedzi, nie znalazł żadnego wpisu, który wzbudziłby w nim jakieś podejrzenia. Większość opinii pod zdjęciem była przesłodzoną paplaniną na temat makijażu Osy, jej kurtki i włosów, które tego popołudnia spięła w dwa podwinięte kucyki po bokach głowy.

Instapustaki podniecają się taką miernotą, pomyślał, odkładając na bok telefon. Nic dziwnego, że świat schodzi na psy, skoro sława, kasa i uznanie w sieci przypadają takim panienkom jak ta cała Osa.

Ostróda, październik 2022

– Gdybym wiedział, co planujesz, nigdy bym ci na to nie pozwolił! – powiedział Adrian, kiedy Kamila w pośpiechu wpinała w uszy drobne kolczyki zdobione sztucznymi perłami. – Nie dość, że harujesz w karczmie, to jeszcze bierzesz weekendowe fuchy?!

– To wyjątkowa okazja, po prostu sobie dorobię. – Kamila przejrzała się w lustrze, odnotowując w duchu fakt, że wąska nowa sukienka świetnie na niej leży, choć kupiła ją dosłownie za grosze, na wyprzedży.

– Za mało zarabiam? No powiedz, brakuje ci czegoś przy mnie?! – Adrian podniósł głos.

– Posłuchaj, czy naprawę chcesz się teraz kłócić?! – krzyknęła. – O co ci chodzi?! To tylko jeden wieczór, do cholery! Zrobię kilka drinków, pouśmiecham się i zgramę pięć stówek.

– Pięć stówek? Proszę! Masz tu pięć stówek i kup sobie coś ładnego! – Adrian wyjął z kieszeni portfel i wcisnął żonie do ręki kilka banknotów, które parę godzin wcześniej wyjął z bankomatu w okolicach komendy.

– Odjebało ci?! – Cisnęła w niego pieniędzmi, które spadły na dywan, a on złapał ją pod rękę i mocno zacisnął palce na jej ramieniu.

– Myślisz, że nie wiem, co się tam będzie działo?! Pijani biznesmeni będą cię łapać za tyłek, nazywać króliczkiem i ślinić się na twój widok! Nie życzę sobie, żeby moja żona...

– Zamknij się, Adrian, i daj mi święty spokój! – Kamila wyszarpnęła ramię z uścisku męża i wyszła z pokoju.

– Odwołaj to – poprosił, wchodząc za nią do łazienki. – Zadzwoń i powiedz mu, że masz gripę żołądkową, migrenę, cokolwiek. Ebole, kurwa, masz! A później jedź do mojej mamy, zabierz od niej Amelkę i spędź niedzielne popołudnie z córką.

– Adrian, jest po szesnastej. Najpóźniej za pół godziny mam być u Lipińskiego. I nie ma takiej opcji, żebym to odwołała. Zachowujesz się jak furiat, nie życzę sobie takich akcji, słyszysz?! – wykrzyczała mu prosto w twarz.

– A ja sobie nie życzę, żeby moja żona dorabiała w roli pieprzonego króliczka Playboya!

– Będę barmanką, nic więcej! Nie jadę tam robić striptizu! – wrzasnęła.

– Odwołaj to – wycedził Adrian.

– Nie. – Kamila spojrzała mężowi w oczy i syknęła, pragnąc, by ją przepuścił. – Stoisz w drzwiach – dodała.

– Nie odwołasz?

– Nie – powtórzyła stanowczo.

– Dobrze, jedź. Daj się wymacać tym bogatym dziadom za pięć jebanych stówek! Wiesz, że były zarzuty wobec Lipińskiego?! Usiłowanie gwałtu, niecały rok temu. Babka później je wycofała, więc pewnie jej zapłacił, ale...

– Spóźnię się. Podrzucisz mnie czy mam dzwonić po tatę? – weszła mężowi w słowo. – Jest jeszcze taka opcja, że przyjedzie po mnie Lipiński. Sam to zaproponował. – Kamila uśmiechnęła się złośliwie, a Adrian poczerwieniał z wściekłości.

– Jasne, i co jeszcze? – warknął. – Podwiozę cię, chociaż uważam, że powinnaś jechać własnym autem, skoro już w ogóle musisz.

– Spędzę przynajmniej osiem godzin za barem, Adrian! Chcąc nie chcąc, coś sobie w końcu chlapnę, więc nie, raczej nie powinnam tam jechać autem!

– Byłabyś bezpieczniejsza. Zwłaszcza w nocy – upierał się. – Gdybyś nagle musiała stamtąd wyjść albo...

– Czemu zachowujesz się tak, jakbym jechała do domu Hannibala Lectera? – zapytała ze śmiechem.

– Bo twój szef to śliski typ, którego w dodatku zepsuła wielka kasa. Ten facet to dupek, nie

rozumiesz?!

– Musimy jechać. – Kamila zdjęła z wieszaka płaszcz, zerknęła w lustro, ostatni raz poprawiając włosy, i włożyła buty.

– Szpilki? Jasne. Króliczek musi świetnie wyglądać – syknął Adrian, zanim wyszedł z domu, zostawiając żonę z tyłu.

W samochodzie nie zamienili słowa. On uparcie milczał, wciąż wściekły, ona modliła się, żeby dowiózł ją na miejsce, nie wywijając po drodze żadnego numeru. Gdyby teraz zawiodła Lipińskiego... O tym wołała nawet nie myśleć.

Wysadził ją przed bramą jego willi. Zanim wysiadła, syknął: „nowobogacki skurwiel” i w bezsilnej złości uderzył pięścią w deskę rozdzielczą.

Gdy podeszła do bramy, metalowa konstrukcja rozsunęła się, umożliwiając jej przejście; Kamila podejrzewała, że zauważył ją pracujący dla Lipińskiego ochroniarz. Tak, kamery były tutaj wszędzie. Monitoring, ochrona, żelazna brama. A jeśli Adrian ma rację? – pomyślała nagle, idąc szerokim podjazdem w stronę olbrzymiej rezydencji. Jeśli Lipiński zwabił mnie w miejsce, z którego nocą nie będę mogła uciec, i zechce czegoś więcej niż usług barmanki?

Arkadiusz właśnie wybiegł na szerokie marmurowe schody. Podeszedł do niej z rozłożonym parasolem w ręku.

– Mży. Nie zmoknij. – Mrugnął do niej.

– Mam nadzieję, że nie przyjechałam za późno? Mąż miał problem z samochodem – skłamała, a on szarmancko osłonił ją przed deszczem.

– Jesteś w sam raz. Wszystko jest zresztą gotowe, a pierwsi goście będą nie wcześniej niż o osiemnastej.

– Za półtorej godziny? – Nagle poczuła niepokój.

– Tak. Ale to chyba żaden problem? W domu są ludzie z cateringu i ochrona – szepnął jej do ucha. – To na wypadek, gdybyś czuła się nieswojo. Twój mąż gliniarz pewnie ci co nieco o mnie nagadał?

– Co? Nie – skłamała, a Arkadiusz chytrze się uśmiechnął.

– Ludzie kłamią. Zwłaszcza kiedy nieudolnie usiłują wydoić z kasy kogoś takiego jak ja. Kłamią mężczyźni i kłamią kobiety. To tak na marginesie. – Znowu do niej mrugnął.

Chwilę później weszli do wnętrza domu. Kamila cicho westchnęła na widok olbrzymiego kamiennego paleniska, na którym płonął ogień. Tak mieszkać, bajka... Sami też mieli z Adrianem dom, jej rodzice bardzo pomogli im finansowo, gdy go budowali, ale to, co widziała tutaj, z pewnością było godne miana rezydencji.

– Mamy w końcu jesień, prawda? – Arkadiusz wziął od niej płaszcz, a ona uśmiechnęła się na widok rozstawionych w całym przestronnym holu wielkich dyń, które wydrążono i pocięto tak, że wyglądały jak wyszczerzone w upiornym uśmiechu twarze.

– Widzę, że lubisz Halloween – zauważyła z uśmiechem.

– To jedno z moich ulubionych świąt. Dorastałem w Stanach, więc sama rozumiesz.

– Poważnie? – zdziwiła się Kamila. – Nie wiedziałam.

– Stare dzieje. – Arkadiusz machnął ręką i odwiesił jej płaszcz. – Zresztą nie tylko tam. Dwa lata w RPA, kilka w Danii, pół roku we Francji. Rodzice wiele podróżowali.

Dwustanowiskowy mobilny bar był w salonie – na nim i pod jego blatem stały butelki alkoholi, szklanki, kieliszki oraz kilka potrzebnych barmance akcesoriów.

– Jak widzisz, warunki są dość spartańskie, ale powinnaś sobie poradzić – powiedział. – Czego się napijesz? Wino? Piwo? A może coś mocniejszego na dobry początek? – Puścił do niej oko.

– Dziękuję, na razie się nie skuszę. – Kamila posłała szefowi dość chłodny uśmiech i zerknęła w stronę wychodzącego na jezioro panoramicznego okna.

– Niezły widok, co? – W głosie Arkadiusza zabrzmiała duma. – Masz ochotę wyjść na zewnątrz? – zapytał, rozsuwając przeszkłone drzwi.

Zanim wyszli, narzucił na jej ramiona wełniany pled.

– Chłodno dziś – zauważył.

Kiedy oparła się o przeszkloną barierkę i zerknęła w stronę jeziora, pomyślała, że to takie cholernie niesprawiedliwe. Większość jej przyjaciół mieszka w blokach, wychowując dwójkę bądź trójkę dzieciaków

na czterdziestu kilku albo pięćdziesięciu paru metrach, a ten facet samotnie mieszka w przeszklonej, liczącej ponad siedemset metrów willi.

– Kiedy kupowałem ten dom, nie sądziłem, że zostanę w Ostródzie na zawsze, ale ostatnio zdałem sobie sprawę, że w sumie chyba tak właśnie zrobię. – Uśmiechnął się do Kamili i dodał, że marzy mu się prywatna przystań. – Może kiedyś. Nie zimno ci?

– Nie, jest okej – odparła.

– Kiedy przyszłaś, wyglądałaś na zdenerwowaną.

– Nie, to tylko zmęczenie. Źle dziś spałam – skłamała, nie zamierzając wtajemniczać szefa w szczegóły swojego dnia ani opowiadać mu o niedawnej kłótni z mężem, który jej zdaniem zachował się jak pajac.

Owszem, wiedziała, że Adrian bywał o nią zazdrosny. Nie pierwszy raz robił jej wyrzuty, gdy wiedział, że będzie pracować w otoczeniu mężczyzn, ale dzisiaj przeszedł samego siebie. Przebrana za króliczka Playboya, pogięło go?! Miała na sobie czarną prostą sukienkę do kolan, nie bikini!

Czasem się zastanawiała, czy jej przyjaciółki również muszą znosić tego typu sceny, ale jakoś nie miała odwagi, by o to je zapytać. Jedno było pewne – na ramieniu, tam, gdzie Adrian zacisnął palce, będzie miała siniaka i z pewnością z nim o tym porozmawia! Wykluczone, żeby w ten sposób ją traktował! Nie pozwoli mu na to! – obiecała sobie.

Mąż nigdy jej nie uderzył, nie bywał też jakoś szczególnie agresywny, ale jego napady niczym przez nią nie sprowokowanej zazdrości od dawna doprowadzały ją do szału. Nie zasłużyła sobie na jego podejrzliwość. Nigdy go nie zdradziła i nie miała takiego zamiaru. Kochała go, był jedynym mężczyzną, którego pragnęła. Dlatego nie pozwoli temu dupkowi na to, by ją szarpał czy znaczył jej delikatną skórę siniakami!

– Kogo na dziś zaprosiłeś? – zapytała Arkadiusza po dłuższej chwili ciszy.

– Znajomych, głównie z dawnych czasów. Będzie mieszkający obecnie w Londynie przyjaciel, którego znam z czasu pobytu w RPA, kolega z Poznania, dwie pary z Krakowa. Ludzie, z którymi łączą mnie interesy albo nostalgiczne wspomnienia.

– Nigdy nie byłam w Afryce – powiedziała zapatrzona w jezioro Kamila. – Jak tam jest?

– Nie umiem ci tego opisać słowami. Afryka jest olbrzymia i bardzo różna. Piękna, ale też groźna i śmiertelnie niebezpieczna. To kontynent kontrastów, ziemia, która jest domem zarówno skrajnie biednych ludzi, jak i najbogatszych. Słyszałaś kiedyś o Aliko Dangocie?

– Nie – przyznała; to nazwisko nic jej nie mówiło.

– To nigeryjski król cementu, magazyn „Forbes” wielokrotnie zamieszczał go na liście najbogatszych ludzi Afryki. Oczywiście porównując to z resztą świata, kontynent afrykański jest skrajnie biedny, ale i tam nie brakuje miliarderów.

– Wszędzie są dysproporcje – stwierdziła, a on pokiwał głową.

– Właśnie. Wszędzie dysproporcje – mruknął. – Wejdźmy do środka, straszna dziś wilgoć – dodał, a ona dopiero teraz zdała sobie sprawę, że szef wyszedł na taras w samej błękitnej koszuli, eleganckich ciemnych spodniach i włożonych na boso stopy włoskich mokasynach.

Godzinę później pojawili się pierwsi goście. Arkadiusz włączył nastrojową muzykę i przez kilka minut rozmawiał z młodą dziewczyną z cateringu, która niedawno pojawiła się w jego olbrzymim salonie.

Koło dwudziestej przestronna willa była już pełna ludzi – Kamila oceniła, że na tarasie, na który mimo chłodu ciągle wychodzili podpici goście, i w salonie mogło być łącznie nawet pięćdziesiąt kilka osób.

Serwując drinki, przyglądała się zaproszonemu przez szefa towarzystwu, zastanawiając się, skąd Arkadiusz ma tak wielu znajomych. Większość wyglądała na bogatych i światowych – Kamila zauważyła nawet przystojnego ciemnoskórego mężczyznę i dwie młode Azjatki. Co to za ludzie? – zastanawiała się, lejąc do kieliszków wino.

Koło północy część osób zaczęła wychodzić, po pierwszej imprezie zdecydowanie zaczęła zamierać. Kilkoro gości przeszło do przygotowanych dla nich pokoi na piętrze willi i w osobnym domku stojącym na terenie posiadłości.

Kwadrans po drugiej dosłownie padała z nóg. Bolały ją głowa i nogi, a szpilki, które dyskretnie zdjęła, ukryła za barem. Niestety od stania boso na marmurowej podłodze zlodowaciały jej stopy, a wyglądało na to, że impreza przeciągnie się do świtu. Adrian będzie wściekły, jeśli wróci nad ranem,

przemknęło jej przez myśl. Powiedziała mu przecież, że koło północy, najpóźniej o pierwszej, impreza powinna się skończyć, a poza tym nie odbierała komórki. Zostawiła ją w kieszeni płaszcza, a była pewna, że Adrian do niej dzwonił.

– Zmęczona? – Arkadiusz podszedł do niej jakieś dwadzieścia minut później, kiedy podawała kolorowego drinka jasnowłosej kobiecie w zdobionej cekinami czerwonej sukience z odsłoniętymi plecami.

– Szczerze mówiąc, tak. – Uśmiechnęła się, podała drinka blondynce i sięgnęła po kolejny kieliszek do wina.

– Połóż się, poradzimy już sobie, zresztą pewnie niebawem reszta niedobitków pójdzie spać – zaproponował Arkadiusz. – Trzymam dla ciebie pokój. – Mrugnął do niej.

– Wrócę do domu – oznajmiła. – Nie mogę tu spać, zapomnij.

– Mąż będzie zazdrosny?

– Po prostu wołę własne łóżko – odparła wymijająco.

– Okej, nie nalegam. – Arkadiusz zdumiewająco łatwo ustąpił, co nieco ją zaskoczyło.

Spodziewała się, że będzie znacznie bardziej namolny...

– Odprowadzę cię do bramy – powiedział. – Ktoś po ciebie podjedzie czy mam ci załatwić transport?

– Mąż mnie odbierze – skłamała, bo prawdę mówiąc, wołała raczej zadzwonić po taryfę, co też miała w planach.

– Dobrze, idealnie. Chodźmy zatem. – Arkadiusz schylił się, podniósł jej buty i mimo że protestowała, włożył szpilki na jej stopy.

Intymność tego gestu ją speszyła. Co on wyprawia, do cholery? – pomyślała spłoszona.

Tymczasem Arkadiusz objął ją w talii i poprowadził w stronę korytarza.

– Pięknie dziś wyglądasz – mruknął.

Chwilę później przyparł ją do ściany w pobliżu wciąż płonącego paleniska i zaczął całować po szyi. Tempo, w jakim przeistoczył się z zatroskanego dżentelmena w zwykłego molestującego buraka, dosłownie zważyło ją z nóg.

– Przestań, oszalałeś?! – krzyknęła, usiłując mu się wyrwać, ale złapał ją i usiłował pocałować w usta.

– Daj spokój, przecież oboje wiedzieliśmy, że coś się dziś wydarzy – rzekł półgłosem.

Jego dłonie dotarły do jej piersi, usta zmiażdżyły wargi, językiem wciskał się do środka. Był mocno pijany, jednak wciąż na tyle silny, że wpadła w panikę. Szarpiąc się, usiłowała kopnąć go w krocze, ale wąska sukienka i ciężar jego przypierającego ją do ściany ciała skutecznie ograniczały jej ruchy.

– Chodźmy do pokoju, muszę cię dziś mieć – oświadczył, zaciskając palce na jej pośladkach i ugniatając je poprzez materiał sukienki.

– Puszczaj! – wrzasnęła.

Jej histeryczny ton i energia, z jaką usiłowała mu się wyrwać, nieco go w końcu otrzeźwiły. Jeszcze przez chwilę usiłował ją namówić na wspólną wyprawę do jednego z gościnnych pokoi, ale w końcu ustąpił.

– Dobra, wybacz. Byłem pewny, że coś jest na rzeczy, ale skoro nie chcesz... Nie chcesz, to nie – wymamrotał i cofnął się kilka kroków, unosząc w górę dłonie. – Nie to nie. Możesz wypieprzać z powrotem do swojego mężusia nieudacznika, przy którym do końca życia będziesz chodzić w tanich szpilkach – rzucił przez zęby. – Brama jest otwarta, zakładam, że trafisz do wyjścia – dodał pogardliwym tonem, ale tego Kamila już nie usłyszała, bo zdjęła buty, pognęła w stronę wieszaka, w panice zerwała z niego kilka wierzchnich okryć w poszukiwaniu płaszcza, a kiedy go znalazła, wybiegła z willi w sukience, chcąc jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

Na podjeździe obejrzała się przez ramię, bojąc się, że szef wybiegnie za nią, dopadnie ją w ogrodzie, wciągnie w pobliskie krzaki i zrobi z nią, co zechce, ale przed rezydencją nie było żywej duszy. W biegu wkładając płaszcz, zdała sobie sprawę, że Adrian miał rację. Powinna była tu przyjechać własnym samochodem i przede wszystkim wziąć coś na zmianę: spodnie, wygodniejsze i cieplejsze buty, sweter...

Wyciągając z kieszeni telefon, spojrzała na wyświetlacz. Dochodziła trzecia nad ranem. Dziewięć stopni, odczuwalność cztery, wilgotność osiemdziesiąt siedem procent. Od jeziora napływała gęsta jak woal mgła, wilgoć dosłownie ją oblepiła, sprawiła, że z chłodu rozdzwoniły się jej zęby. Gdy dotarła do bramy, wydała z siebie westchnienie ulgi – idąc długim podjazdem, do końca nie miała pewności, czy metalowe wrota nagle się nie zamkną, robiąc z niej więźniarkę rezydencji pełnej pijanych i obojętnych na jej los ludzi.

Ale nie, udało się jej wyjść, co sprawiło, że popłakała się ze szczęścia.

Idiotka! Jak mogłam być tak głupia?! – wyrzucała sobie, idąc wąską drogą wzdłuż lasu. Numer taty wybrała po chwili wahania. Nie chciała go budzić, ale też przerażała ją myśl o tym, że sama musiałaby wracać teraz do domu...

Niestety, mimo że dość długo trzymała komórkę przy uchu, ojciec nie odebrał; najpewniej miał wyciszony telefon.

– Kurwa mać! – zaklęła, w bezsilnej złości kopiąc leżącą w przydrożnym błocie zgniecioną puszkę po piwie.

Do Adriana wolała nie dzwonić. Nie po awanturze, do jakiej pomiędzy nimi doszło po południu. Gdyby teraz ją zobaczył – roztrzęsioną, zapłakaną, z rozmazanym pod oczami tuszem, od razu domyśliłby się, że coś się stało, a może nawet wmówiłby sobie jakieś bzdury. Na przykład że Lipiński ją zgwałcił. Przecież i bez tego był do niego uprzedzony.

Dobra, bez paniki, powiedziała sobie. Jednak kiedy rozświetlona gwarna willa szefa została daleko w tyle i otoczył ją ciemny zamglony las, strach dosłownie ścisnął ją za gardło. Nigdy nie była jakoś szczególnie odważna, do tego jako żona gliniarza nasłuchiwała się wielu mrożących krew w żyłach historii. Boże, spraw, żebym bezpiecznie wróciła do domu, modliła się w duchu. Oszczędź mojej córeczce dorastania bez matki i spraw, żeby nie znaleźli mnie tu martwej, błagała w myślach i znowu się rozpłakała.

Wśród drzew, gdzieś za jej plecami, trzasnęła gałąź. Kamila znieruchomiała, po czym zaczęła biec. Niestety szpilki nie ułatwiały jej zadania, wręcz przeciwnie – potknęła się w koleinie i jak długa runęła w błoto. Wstając, usłyszała dochodzący z oddali warkot silnika i wskoczyła między drzewa. Nie miała pojęcia, kto za nią jechał, ale nie zamierzała na własne życzenie wpaść w łapy jakichś balujących lokalnych i szemranych typków, którzy z piwem w dłoni jeździli po okolicy rozklekotanym rżęchem, wypatrując okazji, by się rozerwać.

Gdy chwilę później samochód wyłonił się zza zakrętu, rozpoznała terenówkę szefa. Nie miała pojęcia, kto siedzi za kierownicą, ale widząc, że auto chwilami porusza się zygzakiem, domyśliła się, że prowadzi je mocno pijany Lipiński.

Zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów dalej, wysiadł z samochodu i wrzasnął:

– Kamila, podrzucę cię! Daj spokój, kobieto!

Wstrzymała oddech. Nie, nie podrzuci jej. Wolałaby zamarznąć w tym pieprzonym lesie, niż dobrowolnie wsiąść do jego wozu.

– Kamila! – wydarł się Lipiński. – Noc jest, niebezpiecznie! Daj spokój, przecież przeprosiłem! – wrzeszczał.

– Spierdalaj – szepnęła, wzdrygając się na wspomnienie wymuszonych przez niego pocałunków, macających rąk i obcego smaku ust.

– Kamiiiiiaaaaa! – Jego głos jeszcze raz poniósł się po ciemnym lesie.

Chwilę później stanął pośrodku drogi, gdzie w świetle reflektorów rozpiął spodnie i odlał się, niecałe dwa metry od auta. Obrzydliwy typ, pomyślała, kuląc się za drzewem.

Odjechał chwilę później – kilkanaście metrów dalej zawrócił w stronę rezydencji. Zapewne dał sobie spokój z bawieniem się w zatroskanego jej losem dżentelmena.

Zgrabiały mi z zimna rękami wybrała numer ojca, ale nadal nie odbierał.

– Kurwa mać! – zaklęła, znowu bliska płaczu.

Matka nie wchodziła w grę. Źle widziała w nocy i nie powinna prowadzić po zmroku, zresztą z matką nie chciała gadać, będąc w takim stanie. Przyjaciele? Miała kiedyś dobrego kumpla, Adama, ale zazdrosny o ich przyjaźń Adrian tyle razy z jego powodu urządził jej awanturę, że w końcu przestała się z nim widywać. Aneta nie jeździła autem, Baśka, jej inna dobra koleżanka, była w ósmym miesiącu ciąży, a kuzynka pielęgniarka miała nockę w szpitalu.

Niby tylu ludzi człowieka otacza, ale kiedy coś się dzieje, nie ma na kogo liczyć, pomyślała rozgoryczona.

Taksówki wbrew temu, co zakładała, kiedy wychodziła z rezydencji Lipińskiego, nie udało jej się zamówić; dyspozytorka znudzonym głosem poinformowała ją, że akurat w tym momencie nie ma wolnych aut.

– O trzeciej w nocy?! – zawołała poirytowana Kamila.

Niestety, małe miasteczko... Niewiele dostępnych samochodów i kierowców, za to wielu pijanych balangowiczów...

Do domu dotarła godzinę później – ze zdartymi do krwi, obtartymi przez szpilki stopami, zmarznięta na kość, głodna, zapłakana i wściekła. Trzeba było wziąć samochód, powtarzała sobie, pokonując ostatnie kilkaset metrów.

Kiedy weszła do domu, nie zapaliła światła. Miała zakrwawione kolana po tym, jak potknęła się w koleinie i upadła, drobne ostre igiełki jedliny we włosach, rozmazany makijaż i twarz opuchniętą od płaczu.

Dopiero w łazience, kiedy już zamknęła się na klucz i zapaliła światło, zdjęła brudne ciuchy, upchnęła je na sam spód kosza na bieliznę i drżąc z zimna, weszła do kabiny prysznicowej. Stojąc w strugach gorącej wody, zdała sobie sprawę, że Lipiński jej nie zapłacił. Dotarło do niej też, że najprawdopodobniej straci pracę. Ten kutas wyrzuci ją pod byle pretekstem, a nawet jeśli tego nie zrobi, nie wyobrażała sobie, że jak gdyby nigdy nic wróci do pracy kelnerki w jego karczmie. Na myśl o tym znowu się rozpląkała.

W końcu wyszła spod prysznica, wytarła się, zmyła twarz i przebrana we flanelową piżamę wśliznęła się do łóżka, w którym spał Adrian.

Sen zmorzył ją dopiero koło szóstej. Nerwy i stres sprawiły, że mimo zmęczenia długo nie mogła zasnąć.

Rano mąż, który wziął dzień urlopu, obudził ją pocałunkiem i postawił na nocnej szafce tacę ze śniadaniem oraz zerwaną w ogrodzie czerwoną różą.

– Przepraszam za wczoraj, maleńka. Konkretnie mi odbiło. O której wróciłaś? Ktoś cię podrzucił? Myślałem, że zadzwonisz. Czekałem do drugiej, później zasnąłem – powiedział, siadając na łóżku.

– Laska z cateringu też akurat jechała w naszą okolicę – skłamała Kamila, starając się mówić tak, by nie drżał jej głos.

– Wszystko w porządku? – Adrian, który zawsze był dobrym obserwatorem, zauważył, że żona czuje się nieswojo.

– Tak, nie wyspałam się i pobolewa mnie głowa – brnęła w kłamstwo.

Zdarte do krwi kolana ukryła pod flanelowymi spodniami od piżamy. Niczego więcej Adrian wiedzieć nie musi, powiedziała sobie, sięgając po filiżankę z kawą.

Nad tym, jak wytłumaczy mężowi utratę pracy, jeszcze się nie zastanawiała. Nie mogła wyznać mu prawdy, Adrian chyba by Lipińskiego zatłukł. No nic, coś wymyślę, obiecała sobie. Przecież zawsze była sprytna, da radę.

– Dzięki za śniadanie – uśmiechnęła się do męża. – Zajmiesz się Amelią, skoro masz dziś wolne na dentystę? Pospałabym jeszcze trochę...

– Jasne, śpij. – Adrian pocałował siedzącą w łóżku żonę w czubek nosa i pogłaskał ją po policzku. – Naprawdę przepraszam za wczoraj. Paskudnie się później z tym czułem.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się blado.

Kiedy wyszedł z sypialni, przez chwilę płakała, później sprawdziła telefon. Bała się, że zadzwoni Lipiński, ta myśl dosłownie ją paraliżowała. Okazało się jednak, że nikt nie usiłował się z nią kontaktować, co na chwilę ją uspokoiło.

Nie powinna była tam iść. Nie przemyślała sobie tego, zachowała się jak skończona idiotka. Przecież wszyscy wiedzą, że Lipiński to babiarz. Mogła się domyślić, że nie wybrał jej przypadkowo. Ale skusiło ją pięć cholernych stówek i ma za swoje, wyrzucała sobie.

Nagle przyszło jej do głowy coś, dzięki czemu poczuła się znacznie lepiej. Nie, nie zrezygnuje z pracy, a przynajmniej nie z własnej woli! Czemu miałyby odejść z karczmy tylko dlatego, że pijany szef nie potrafi utrzymać łap przy sobie? Zostanie. Nie zrobiła nic złego. Nic a nic, pomyślała.

Oczywiście wiedziała, że atmosfera może się stać nieprzyjemna, ale miała to gdzieś. Potrzebowali z Adrianem pieniędzy, tylko to się dla niej liczyło. Dlatego nie tylko każe Lipińskiemu zapłacić za przepracowane w jego domu godziny, ale w południe zjawi się w Złotym Jeleniu jakby nigdy nic.

Nie zamierzała ponosić konsekwencji cudzych błędów! Niby czemu miałyby się na to godzić?

Ostróda, październik 2022

Leszek Hartman dopił zimną kawę i rozmasował sobie bark.

– Trenerze, ma pan chwilę? – Po zajęciach do jego kantorka na zapleczu hali sportowej zajrzała jedna z uczestniczek.

– Co jest? – mruknął niezadowolony, że nie potrafi sobie przypomnieć imienia tej szczupłej jasnowłosej dwudziestolatki.

Dawniej pamiętał każdą z kursantek z imienia i nazwiska.

– A gdybym kupiła gaz? Myśli pan, że to dobry...

– Czekał – przerwał jej, kiedy na jego biurku odezwała się komórka. – Pogadamy następnym razem – obiecał dziewczynie, zanim odebrał.

– Słuchaj, Paulina znowu mi uciekła. Pojechałam odebrać ją z siatkówki, ale dowiedziałam się, że nie dotarła na zajęcia, chociaż sama podrzuciłam ją pod szkołę! Jest u Ciebie?! – usłyszał pełen pretensji głos byleją.

– Prowadziłem zajęcia, od kilku godzin nie byłem w domu. Zresztą nie ma klucza...

– To gdzie ona jest?! Mam po kokardy jej ucieczek, wagarów i wszystkich akcji, które odpięła! Mam dość, słyszysz?! – wydzierała się Jowita.

– Uspokój się, uszy krwawią – warknął.

Nienawidził histeryczek, kompletnie nie rozumiał, jak pod byle pretekstem można wpadać w takie stany rozchwiania emocjonalnego.

– Poszukasz jej? – zapytała Jowita z nadzieją w głosie. – Jest po dwudziestej pierwszej, a na myśl, że gówniara się gdzieś szlaja, robi mi się słabo.

– Poszukam – obiecał i rozłączył się bez pożegnania.

Zamykając salę, pomyślał, że dawniej wszystko było prostsze. Nigdy nie czuł się ojcem stulecia, ale kiedy Paula była młodsza, a Jowita podrzucała mu ją raz na dwa lub trzy tygodnie, zabierał ją do kina, kupował jej lody albo szli razem na sanki, a ona piszcziała z radości, traktując go jak swojego bohatera, niemal Boga. Teraz chyba wyłącznie ją irytował, czasem miał wrażenie, że jest jej wrogiem. Bachory, skrzywił się, wychodząc przed budynek.

W samochodzie zalogował się na Facebooka i wszedł na profil Mai Kroll – pięknej, pewnej siebie osiemnastoletniej właścicielki biało-czarnego psa rasy border collie, której fałszywe konto stworzył własnoręcznie, chcąc inwigilować córkę w sieci. Paulina miała prawie trzy tysiące facebookowych znajomych – przyjmowała niemal wszystkie zaproszenia, nie zachowując żadnej ostrożności. Rozmawiał z nią o tym wiele razy, ale widać bezskutecznie. Cóż, biorąc pod uwagę, że dzięki temu mógł bezczelnie monitorować ją w sieci, może to i dobrze, powiedział sobie.

Tego dnia Paula wrzuciła tylko jedno zdjęcie, na którym, z jesiennym liściem w dłoni, pozowała nad jeziorem. W tle zachodziło słońce, więc domyślił się, że fotka została zrobiona w czasie, w którym smarkula powinna być na siatkówce.

Komentarze przejrzał pobieżnie, skupiając się na tych napisanych przez chłopców.

Jesieniara!

Gdzie się włóczysz, dziuro? ;p

Wieczór aktualny? Będziesz? Liczę na to w chuj!

Ostatnie zdanie napisał Hubert Radwan, z którym jego córka od dawna się przyjaźniła. Wszedł więc na jego profil i zobaczył zawiadomienie o imprezie – z jego słów wynikało, że młodzież z klasy córki Hartmana zamierza tego wieczoru na dziko balować w opuszczonym budynku starego szpitala psychiatrycznego pod miastem.

Zerknął na zegarek. Dwudziesta pierwsza osiemnaście... Cóż, bez paniki. Przynajmniej wie, gdzie jechać.

Kiedy dotarł w okolice szpitala, zostawił samochód w lasku, za którym stał opuszczony budynek, i pieszo ruszył w jego stronę. Odgłosy imprezy słychać było wyraźnie – towarzystwo posiadało przenośne głośniki, dzięki czemu lasek dosłownie wibrował od basów.

Leszek Hartman energicznym krokiem wszedł między drzewa, nie chcąc, by zbyt szybko go zauważono, i przez moment, ukryty za pniem jednego z nich, lustrował wzrokiem otoczenie. Córki nie widział, mogła być w środku. Przed budynkiem kręciły się grupki młodzieży – z latarkami i puszkami piwa w dłoni, głośne, roześmiane. Patrząc na nich, zdał sobie sprawę, że jest tym zafascynowany. Przez całe życie chciał wszystko odczuwać mocniej, intensywniej, ale nie zawsze potrafił. Natomiast ci tutaj sprawiali wrażenie młodych bogów, jakby na jedną chwilę przenieśli się tu z zupełnie innej galaktyki...

Nagle zauważył córkę – oparta o kamienną kolumnę paliła papierosa, przy niej stał Hubert Radwan również z fajką w dłoni, i szeptał jej coś do ucha. Parę oświetlały reflektory stojących przed na wpół zrujnowanym dworkiem samochodów, w których całowały się jakieś nastoletnie dzieciaki.

Kiedy Hubert wsunął dłoń pod krótką czerwono-złotą kurtkę, którą Paula niedawno dostała od matki, Hartman zaklął pod nosem i ruszył przez wysoką trawę w stronę budynku.

– Gdzie się włóczysz?! – warknął, materializując się tuż obok nich, a córka, zszokowana i zaskoczona jego widokiem, cicho pisnęła. – Do domu! Już!

– Nie ma mowy! – krzyknęła, więc szarpnął ją za ramię.

– W tym momencie! – rozkazał.

Radwan usiłował negocjować.

– Niech się pan tak nie denerwuje, to tylko urodziny jednej z klasowych koleżanek – zaczął chłopak, ale Leszek Hartman kazał mu się zamknąć.

– Trzymaj się z daleka od mojej córki!

– To będzie raczej trudne, zważywszy na to, że chodzimy do tej samej klasy. – Chłopak uśmiechnął się bezczelnie, co podniosło Hartmanowi ciśnienie.

– Zważywszy na to, że chodzicie do jednej klasy? Taki jesteś elokwentny, gówniarzu?! – Pchnął chłopaka w trawę i pociągnął córkę w stronę samochodu.

– Ej, nie można bić ludzi! – krzyknął ktoś za nim.

Hartman odwrócił się i zdał sobie sprawę, że chłopak, który zainterweniował w obronie kolegi, nagrywa zajście telefonem.

– Dawaj to! – Wyrwał mu z ręki komórkę, rzucił ją na ziemię i zaczął rozdeptywać obcasem skórzanych kowbojskich butów, które lubił nosić poza halą.

– Co jest, kurwa?! Gościu, to był nowy telefon! – Pokrzywdzony nastolatek ruszył w jego stronę, ale Hartman warknął tylko „Nie radzę” i ciągnąc za sobą córkę, ruszył w stronę drogi.

Kiedy znikali w ciemnościach, odprowadzały ich pełne dezaprobaty pohukiwania, a gdzieś za ich plecami rozbiła się o kamień ciśnięta w ślad za nimi butelka po piwie.

– Widzisz, z kim się zadajesz?! Troglodyci! – Hartman zaśmiał się złośliwie.

– Nienawidzę cię – wyszlochała Paula. – Powaga, kurwa, nienawidzę i ciebie, i matki!

– To mam dla ciebie złe wieści: nowych starych raczej sobie nie znajdziesz.

– Czemu zawsze robisz mi obciach?! Jestem prawie dorosła, a ty...

– Dorosła! – zaśmiał się. – Teraz to naprawdę mnie rozbawiłaś. Właż – dodał, kiedy podeszli do samochodu.

Wtedy Paulina dała susa w ciemny las i zaczęła biec, w panice lawirując pomiędzy drzewami.

– Tam są wielkie, rozciągnięte pomiędzy drzewami pajęczyny! – wrzasnął Hartman, a dziewczyna krzyknęła, zatrzymując się dosłownie w miejscu. – Wracaj tu, nie mam całej nocy na te zabawy! – dodał ostro.

– Chcę wrócić na imprezę – powiedziała, kiedy podeszła do samochodu.

– Nie wrócisz na imprezę, bo zaraz będą tam gliniarze. Spożywanie alkoholu przez nieletnich, picie w miejscu publicznym, zakłócanie porządku.

– Jakiego porządku? To pieprzony las! – wrzasnęła histerycznie Paula. – Chyba nie zadzwonisz po psiarnię? Tato, błagam cię. Będę was słuchać, tylko...

– Powtórz. – Hartman uśmiechnął się przebiegle. – Będziesz nas słuchać, tylko?

– Tylko po nich nie dzwoń – pociągnęła nosem jego latorośl, przez chwilę znowu wyglądając jak

mała dziewczynka, którą jeszcze nie tak dawno była. – Przecież wszyscy się domyślą, że to ty... Będę miała przejebane w szkole, i to na wieki!

– Zastanowię się – mruknął. – Włóż. – Otworzył drzwi od strony pasażera, poczekał, aż córka wsiądzie, i je zatrzasnął.

– Mogę spać u ciebie? – zapytała cicho, kiedy wjeżdżali do Ostródy.

– Nie.

– Nie chcę wracać do matki! Ona mnie traktuje jak służącą!

– Bo co, każe ci od czasu do czasu włożyć ubrania do kosza z praniem? – zakpił.

– Bo ciągle mi rozkazuje! Tylko ta noc, proszę. Obiecuję, że...

– Powiedziałem nie! – Hartman podniósł głos i młoda w końcu się przymknęła.

Kiedy dotarli przed kamienicę, w której mieszkała Jowita, naburmuszona Paula wysiadła bez słowa i z zarzuconym na ramiona szkolnym plecakiem ruszyła w stronę bramy.

Jowita wyszła na zewnątrz, gdy oparty o maskę samochodu Hartman palił papierosa.

– Na przyszłość pilnuj jej lepiej, bo mam dość uganiania się za smarkulą – powiedział, kiedy wydmuchał dym, a była dosłownie zabiła go wzrokiem.

– Ojciec roku się odezwał! – syknęła. – Łaskę robisz?!

– Żebyś wiedziała – mruknął.

W odpowiedzi usłyszał: „Wal się, dupku!”, po czym Jowita weszła do bramy za córką.

W drodze do siebie zrobił zakupy. Niewielkie, ale jednak kluczowe, by przetrwać dwa kolejne dni – piwo, jajka, biały ser, kabanosy, masło orzechowe i kilka bułek.

Jadąc przez miasto, pomyślał, że w sumie miałby ochotę na spontaniczną randkę, toteż skręcił w stronę placu, przy którym mieszkała Edyta, gorąca instruktorka zumby, z którą od jakiegoś czasu relaksacyjnie się pieprzył.

Jego pojawienie się nie zostało jednak przyjęte z entuzjazmem – wręcz przeciwnie, dziewczyna była wkurzona.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy się na dzisiaj umawiali! – syknęła na jego widok.

– Wiem. W przeciwnym razie nie otworzyłabyś mi w dresie, bez śladu makijażu na buźce – odparł, a ona poczerwieniała ze złości.

– Jeśli przyszedłeś, żeby mnie obrażać... – zaczęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

– Przyszedłem cię dopieścić – mruknął i władował się do środka, chociaż czuł, że nie jest mile widzianym gościem.

– Przestań, mam okres – syknęła Edyta, kiedy rozpiął zamek jej dresowej bluzy i zaczął ją ostro całować.

– Lubię krew – mruknął.

W łazience, chcąc wyjąć tampon, poprosiła, by się odwrócił, ale nie potrafił oderwać od niej wzroku. Kochali się pod prysznicem, a gdy po wszystkim po jej udzie spłynęła strużka krwi, miał ochotę uklęknąć i polizać jej skórę. Lubił krew, nie kłamał, zawsze była jego fetyszem. Krew i kobiece ciało tak pięknie się uzupełniały...

Ostróda, październik 2022

Kolejny dzień wstał słoneczny, jednak Osa była w nastroju dosyć kiepskim. Dreptała w miejscu bądź, jak kto woli, goniła własny ogon, co ponoć mają w zwyczaju niektóre psy.

Czas leciał, a ona wiedziała mniej więcej tyle co w dniu przyjazdu do Ostródy, czyli nic...

Przedpołudnie postanowiła spędzić w mieście – wybrała jedną z dużych kawiarni w pobliżu mola i usiadła przy stoliku. Tego typu lokale bywały cennymi źródłami informacji, wystarczyło poświęcić dwie lub trzy godziny i dobrze zwieszając uszy, żeby tego i owego się dowiedzieć, zwłaszcza z lokalnych plotek.

I proszę bardzo, jakby na zawołanie przy sąsiednim stoliku usiadły dwie strasznie mocno wyperfumowane panusie koło sześćdziesiątki, które po tym, jak obgadały własne synowe, zaczęły mówić o zaginięciu Jagody Wiśniewskiej.

– Ja ci mówię, że to ten dentysta – zaczęła jedna, dziobiąc widelczykiem szarlotkę.

Mówiła głośno i robiła to celowo. Osa zdała sobie sprawę, że miejscowej plotkarze sprawia radość to, że otwarcie się im przysłuchuje.

– No bo sama pomyśl, Celinko: dom w cichej uliczce, w jego życiu żadnej kobiety, rodzice od lat nie żyją, a on sam... No wiesz przecież, gruby, zakompleksiony. Cud, że się na dentystę wyszkolił, mruk taki. No i ta willa. Ściany porośnięte bluszczem jak w horrorze. Kto wie, co się tam nocami wyprawia, kto wie? Jadźka Wojnar mi mówiła, że u niego to się światło o takich różnych porach świeci... Druga w nocy, trzecia, czwarta nad ranem. I w piwnicy siedzi często, a tam okna zakratowane, jakby coś ukrywał.

– Chyba ponosi cię wyobraźnia, kochana. – Kobieta nazwana Celinką parsknęła śmiechem, ale jej przyjaciółka uparcie oskarżała doktora.

– Mówię ci, że to Tokarczyk! – ciągnęła. – Jak go aresztują, to przyznasz mi rację! Ludzie chyba na głowy poupadali, że księdza podejrzewają! Gdzie ksiądz, poszaleli?! To ten dentysta, głowę bym za to dała! Ponury mrukliwy grubas. Z takim to żadna dziewczucha dobrowolnie nie pójdzie...

– Żartujesz? – zaśmiała się Celinka. – Dzisiaj dziewczyny patrzą głównie na kasę! A on drogim autem jeździ, dom ma własny, pracę świetną i prestiżową. Synowa niedawno robiła u niego zęba. Mówi, że czysto, profesjonalnie i nowoczesnie, wyszła bardzo zadowolona, chociaż zapłaciła niemało.

– Ja nie mówię, że Tokarczyk jest złym lekarzem, kochana. Ja mówię, że on mi wygląda podejrzanie. Jedno jest pewne, ksiądz Berg na pewno nie ma nic wspólnego z zaginięciem tej dziewczyny! Kto to w ogóle słyszał, żeby takie oszczerstwa rzucać pod adresem duchownego?!

– Bo księża są tacy święci? – zaśmiała się Celinka, a przyjaciółka posłała jej złe spojrzenie.

– Ty jeszcze wrócisz do kościoła, zobaczysz! Jak ci śmierć zajrzy w oczy, to raz-dwa się nawrócisz.

– Wątpię. – Celinka uśmiechnęła się cierpko i gładko zmieniła temat, a Osa przeciągnęła językiem po dolnych zębach.

Tak, ściągnięcie kamienia to całkiem niezły pomysł, pomyślała. Była u dentysty jakiś rok temu, więc najwyższy czas odwiedzić specjalistę. Na przykład doktora Tokarczyka, pomyślała i uśmiechnęła się pod nosem.

Kiedy wyfiokowane plotkary wyszły, znalazła w sieci numer jego gabinetu i umówiła się na wizytę, a tak się dogodnie przytrafiło, że Tokarczykowi zwolnił się termin i mógł ją przyjąć tego samego dnia, kwadrans po osiemnastej.

– Pasuje pani? – upewniła się rejestratorka o aksamitnym głosie, a Osa zapewniła ją, że jak najbardziej.

Niecały kwadrans później stolik obok niej zajęły trzy młode kobiety, z których jedna była w zaawansowanej ciąży. Dwie inne, obie szczupłe, jasnowłose i świetnie ubrane, sprawiały wrażenie lasek, które zawodowo zajmują się sportem bądź promocją zdrowia – płaskie brzuchy, świetne figury, zadbane włosy i zęby. Ta w ciąży też była atrakcyjna, ale jej koleżanki prezentowały się nieskazitelnie.

Kiedy rozmawiała o salonie kosmetycznym prowadzonym przez tę w ciąży, Osa słuchała piąte przez

dziesiąte, ale nagle padło kilka zdań, które sprawiły, że natężyła uwagę.

– Przeraza mnie mój nowy facet – powiedziała nagle blondynka z najdłuższymi włosami.

– W sensie? – zapytała ciężarna, a koleżanka przysunęła się bliżej razem z krzesłem, jakby nie chciała, by umknęło jej cokolwiek z toczącej się dyskusji.

– Nie wiem, jest w nim coś dziwnego. Wczoraj wpadł do mnie nieumówiony, pieprzyliśmy się, mimo że wiecie... No mam te dni, a później dosłownie oczy mu rozbłysły, kiedy zobaczył strużkę krwi na mojej nodze.

– To ten trener? Ten, co uczy laski bronić się przed zębami? – zapytała ciężarna, zanim nabrała na łyżkę z długim trzonkiem porcję bitej śmietany i włożyła ją do ust.

– No ten, Leszek. Nie chodzę przecież z kilkoma kolesiami naraz.

– Wielu facetów lubi krew i te dni – wzruszyła ramionami ta z ciężowym brzuchem. – Mój mąż zawsze mnie wtedy ciągnie pod prysznic.

– Tak, ale... Kurwa, nic nie czaicie! Gdybyście widziały jego oczy! Był jak jakiś drapieżca, jakby...

– Weź, oplułam się przez ciebie kawą. – Ciężarna zachichotała. – Jak jakiś drapieżca, buahaha!

– Jasne, nabijajcie się. Ja tam wiem, co widziałam – mruknęła blondyna. – Idę do kibla, sorry.

– Edytka, tylko po drodze uważaj na drapieżców – zaśmiała się jej koleżanka i obie siedzące przy stoliku kobiety parsknęły śmiechem.

Chwilę później zaczęły mówić o jakimś Sebastianie, ale temat zaginięcia Jagody w ogóle nie wypłynął. Osa zmieniła więc stolik i jeszcze kilkakrotnie się przesiadała, chcąc podsłuchać jak najwięcej prowadzonych w kawiarni rozmów. Niestety w końcu zarówno goście, jak i obsługa zaczęli dziwnie na nią zerkać, w dodatku rozpoznała ją jedna z młodych dziewczyn i zrobiło się zamieszanie.

– Oczywiście, możemy zrobić sobie selfie – zgodziła się, kiedy dziewczyna poprosiła ją o wspólne zdjęcie, ale fakt, że jej przyjazd do Ostródy po raz kolejny został odnotowany, nie bardzo był jej na rękę.

– Dzięki, powaga! Uwielbiam twój kanał! – Gdy zrobiły fotkę, dziewczyna rzuciła się Ose na szyję, wyściskała ją i głośno pisnęła z radości.

Kiedy w końcu Osa się od niej uwolniła, wszyscy się na nią gapili, więc zdecydowała, że zmienia miejscówkę.

W parku, siedząc na jednej z ławek z dala od głównej alejki, przejrzała najnowsze komentarze pod wrzuconym rano zdjęciem z Ostródy i skrzywiła się na widok paru naprawdę mało sympatycznych. Ostatnio przyklepiło się do niej kilku wyjątkowo wrednych hejterów. Większość z nich blokowała, ale na ich miejsce niemal momentalnie wskakiwali nowi. Wylęg nienawistnych komentarzy, normalnie plaga...

Denna jesteś, laska! – pisał jakiś @oz_z_miami.

Łazisz wte i wewte, a nadal żadnych konkretów w sprawie zaginionej panny z Ostródy! Niby prowadzisz kanał true crime na YouTubie, ale głównie lansujesz się na insta. Słabe to jak pigwówka mojego starego – zarzucał jej @metalowy_wkręt85.

Weź zrób coś z włosami, już wolalam, jak miałaś różowe końcówki. Takie mysie jakieś są ostatnio, chujowo wyglądasz – zawyrokowała @pipi_z_Bytowa.

– Za to ty taka piękna jesteś, pindo – mruknęła Osa, zerkając na profilowe dziewczyny, po czym ją zablokowała.

Działała w sieci od lat i w sumie chyba powinna się przyzwyczaić do zwałającego z nóg poziomu toksyczności niektórych wypowiedzi, a jednak ciągle nie potrafiła tego zrobić. Rozumiała, że nie zawsze samodzielnie potrafiła rozwikłać sprawy czy dostarczyć followersom adrenaliny takiej, jakiej oczekiwali, ale osobiste wycieczki pod adresem jej wyglądu, komentowanie wagi, włosów, cery czy stylu ciągle wydawały jej się zwykłą podłością.

Masz naprawdę fatalny odcień szminki. Poważnie, weź to jakoś ogarnij – radziła jej @malinowa_nowakowa76.

– Weź się odpiardol – mruknęła Osa, usunęła jeszcze kilka komentarzy, zablokowała pięciu innych obserwujących, westchnęła i wylogowała się z Insta.

Pieprzyć ich wszystkich, powiedziała sobie. Nie podoba im się, to niech spieprzają w podskokach. Nikogo nie zmuszała do obserwowania swojego profilu, a niektórzy zachowywali się tak, jakby mieli prawo sobie po niej jeździć tylko dlatego, że nie dostali tego, czego u niej szukali...

Do późnego popołudnia snuła się po mieście, podsłuchując ludzi, sprawdzając wiadomości w sieci

i kręcąc się w okolicach komisariatu, ale nie udało jej się dowiedzieć niczego nowego.

Kilka minut po osiemnastej pchnęła upiornie skrzypiącą metalową furtkę prowadzącą do ogrodu przed domem, który należał do doktora Macieja Tokarczyka, i ruszyła wąską dróżką w stronę frontowych drzwi.

Dom był olbrzymi, zbudowany w stylu, jaki widywała czasem w Sopocie – wykuszowe okna, wieżyczki, balkony z kamienną balustradą. Gabinety stomatologiczne mieściły się na parterze. Wyżej musiała być część mieszkalna, nad nią chyba strych, a na dole piwnica. Jej okna faktycznie były zakratowane, a ścianę od frontu porastał bluszcz. Rzeczywiście horror można by tu kręcić, pomyślała Osa, zanim weszła do środka.

Mimo zaniedbanej fasady i nieco mrocznego wyglądu starej willi recepcja przy gabinetach była jasna, nowocześnie urządzona i pełna kolorów.

– Proszę usiąść, pan doktor zaraz panią poprosi – uśmiechnęła się do niej zza kontuaru młoda szczupła kobieta.

– Długo tu pani pracuje? – zapytała ją Osa, a rejestratorka zmarszczyła brwi.

– A pyta pani, bo? – rzuciła lekkim tonem, choć wyglądała na zaskoczoną i nieco zniesmaczoną takim wścibstwem.

– Z ciekawości. – Osa lekko wzruszyła ramionami.

– Pół roku.

– Co się stało z pani poprzedniczką?

– Zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach – odparła cicho kobieta, a Osa rozchyliła usta zaskoczona.

– Zaginęła? – powtórzyła, nie będąc pewna, czy się nie przesłyszała.

– Żartuję. Wyjechała do Nowej Zelandii, gdzie razem ze swoim nowym facetem prowadzi podobno salon pielęgnacji psów. Żartuję, odnotowała to pani? Dość już w tym mieście wyssanych z palca plotek – zakończyła, lekko krzywiąc usta.

– Jasne, odnotowałam, żartuje pani. – Osa posłała kobiecie kwaśny uśmiech i usiadła na jednym z krzeseł.

– Uraziłam panią? Mam nadzieję, że nie.

Rejestratorka wyszła zza kontuaru z miską pełną miniaturowych tubek past do zębów, zapewne występujących tu w roli gratisowych próbek dla pacjentów.

– Proszę się częstować – rzekła z uśmiechem.

– A już myślałam, że to batoniki – mruknęła wyraźnie rozczarowana Osa.

– U dentysty? To by dopiero było perfidne. – Kobieta się zaśmiała, a Osa wyjęła z miski dwie minitubki swojej ulubionej pasty.

– Dzięki – powiedziała.

W tym momencie uchyliły się drzwi gabinetu numer dwa, w których pojawił się ubrany w jasnoniebieski chirurgiczny strój postawny ciemnowłosy mężczyzna, którego twarz częściowo zasłaniała maseczka.

Podając mu rękę, zauważyła, że mimo sporej tuszy dentysta ma łagodne piwne oczy i bynajmniej nie sprawia wrażenia ponurego, jak go opisywano na mieście.

Usuwanie kamienia przebiegło w miarę bezboleśnie, co Osa przyjęła z ulgą; nie znosiła tego zabiegu i gratulowała sobie w duchu, że zdecydowała się na spontaniczną wizytę u Tokarczyka. Przynajmniej to jedno miała z głowy.

– Nowa mieszkanka naszego pięknego miasteczka czy po prostu wcześniej bywała pani w innym gabinecie? – zagaił doktor, kiedy wstawała z fotela.

– Jestem tu przejazdem – uśmiechnęła się.

– I będąc przejazdem, postanowiła pani usunąć kamień? Taka troska o zęby to złoto, jak mawiają młodzi. – Doktor Tokarczyk ściągnął maseczkę, którą cisnął do kosza, i poruszał szyją, jakby chciał dopieścić zeszywniały kark. – Koniec na dziś – dodał, czekając, aż Osa wyjdzie z gabinetu.

Była w korytarzu, kiedy zawołał ją po imieniu.

– Pani Leno, proszę zaczekać.

Odwrociła się gwałtownie, zbyt gwałtownie, zdając sobie sprawę, że rejestratorka już opuściła

przychodnię bądź gdzieś sobie poszła, bo byli przed gabinetem sami.

– Tak? – rzuciła lekko, choć w środku drżała.

– Zapomniała pani wypełnić ankietę. Mam pani dane, ale zero informacji o stanie zdrowia. Na drugiej stronie kartki jest kilka pytań – dodał, a ona prawie parsknęła śmiechem.

Spanikowała. Poważnie, przez kilka sekund była niemal pewna, że facet rozpoznał ją z jej kanału i chce zawlec do piwnicy, by ją ubić w jakimś ciemnym kącie.

– Ankieta, jasne. – Uśmiechnęła się z trudem, wyraźnie drżały jej dłonie.

Kurwa, jakim ja jestem tchórzem, powiedziała sobie, sięgając po długopis. Jak to w ogóle możliwe, że zajmuję się zbrodniami, skoro taki ze mnie cykor? – zapytała się w duchu.

Kiedy wypełniła ankietę, w zasięgu jej wzroku pojawiła się rejestratorka.

– Możesz już iść, Aniu, zaraz tu z panią kończymy – odezwał się do niej doktor, po czym nalał sobie wody z dystrybutora.

– Proszę, teraz jest już całość. – Osa podała dentyście wypełnioną ankietę, a on skinął głową, odprowadził ją do drzwi i życzył miłego wieczoru.

Faktycznie, urodzony morderca, zaśmiała się w duchu, schodząc po kamiennych schodkach.

Jednak kiedy jeszcze raz zerknęła na fasadę domu, przeszył ją dreszcz. To miejsce miało w sobie coś przerażającego, czuła tu jakąś dziwną energię, jakby z ciemnych kątów jesiennego ogrodu miał wypełznąć mrok tylko po to, żeby ją pochłonąć...

Chyba naczytałam się Kinga, pomyślała rozbawiona, jednak idąc przez skąpo oświetlony ogród, czuła się niepewnie. Dopiero kiedy zamknęła za sobą furtkę, nieprzyjemne odczucia osaczenia i zagrożenia ją opuściły. Ciągle jednak miała w głowie usłyszaną w kawiarni rozmowę i słowa kobiety, która była przekonana, że za porwaniem Jagody, a być może nawet za ubiegłorocznym morderstwem, stoi doktor Tokarczyk.

Co sprawiło, że wyperfumowana paniusia z kawiarni myślała o nim w ten sposób? Czy to, że jeśli ktoś jest samotny i mieszka w starym domiszczu, momentalnie robi z niego kandydata na seryjnego mordercę? Brak żony, tusza, może nieśmiałość – tyle ludziom wystarczy, by rozpuszczać podłe plotki? Nie znała ostródzkiego dentystry na tyle, żeby być w stu procentach pewna swoich odczuć względem niego, ale na jej oko był zupełnie niegroźnym i nawet całkiem sympatycznym koleśkiem. Może nie sypał żartami jak z rękawa, nie był duszą towarzystwa i nie grzeszył urodą, ale są chyba na tym świecie znacznie większe grzechy?

Jednak odczucie, jakiego doznała, idąc przez jego porośnięty krzewami ogród, nie opuszczało jej do późnego wieczora – w przeciwieństwie do doktora, jego dom zrobił na niej bardzo złe wrażenie. Nie mogła się oprzeć myśli, że kiedyś, bądź całkiem niedawno, stało się tam coś potwornego.

Koło północy, nie mogąc zasnąć, zdecydowała, że się tam zakradnie. Chciała się rozejrzeć wokół domu, sprawdzić, czy na tyłach budynku jest jakaś większa szopa, i może, przy odrobinie szczęścia, zajrzeć do piwnicy.

Czarno-czerwoną latarkę halogenową z poręczną rączką włożyła do plecaka. Do kieszeni kurtki z kolei gaz pieprzowy, a do cholewki wysokiego buta w kowbojskim stylu nóż, który lata temu podarował jej dziadek. Później wymknęła się z wynajętego apartamentu i szybkim krokiem ruszyła wzdłuż ciemnej pustej ulicy. Noc zawsze budziła w niej ambiwalentne odczucia. Z jednej strony bała się ciemności, która rodziła w jej głowie naprawdę ponure scenariusze, ale z drugiej coś ciągnęło ją w mrok, jakby była przez niego przywoływana.

Kiedy dotarła na ulicę, przy której mieszkał doktor, nałożyła na głowę kaptur, wyjęła z plecaka latarkę i zaciskając palce na jej plastikowej rączce, skuliła ramiona i ruszyła przed siebie. Okna okolicznych domów były ciemne, uliczka spała. U doktora również nie paliło się światło, stara willa była pogrążona w ciemnościach. Jedynym źródłem oświetlenia były kuliste lampy ogrodowe palące się od frontu.

Osa podeszła do płotu, obejrzała się przez ramię, chcąc się upewnić, czy nikt nie kręci się po ulicze, a później przelazła przez niskie ogrodzenie. Kamienny mur zwieńczony metalowymi sztachetami przy odrobinie szczęścia i wysiłku łatwo było sforsować.

W ogrodzie przycupnęła w kącie posesji, skulona pod rosnącym tam krzewem bzu, zagryzła wargi i zerknęła na dom. Ciemno. Doktorek albo śpi, albo gdzieś wyszedł. Na podjeździe nie stało żadne auto, ale przecież równie dobrze mógł je trzymać na ulicy bądź w garażu. Osa nie wiedziała, czym stomatolog jeździ,

więc wypatrywanie samochodu wydało jej się bezsensowne. Chwilę później, mocno pochylona, z bijącym sercem i umierając ze strachu, przebiegła na tyły domu i rozejrzała się wokół. Żadnej szopy. Puste podwórze porośnięte trawą, trzepak i drewniana ławka. Podeszła do ściany i kucnęła, próbując zajrzeć w piwniczne okno. Kiedy światło jej latarki gwałtownie rozświetliło mrok, odbijając w brudnej szybie jej przykucniętą postać, krzyknęła, bo nie spodziewała się, że przestraszy się własnego cienia.

– Ja pierdole – szepnęła, usiłując coś zobaczyć w środku pomieszczenia.

Nie potrafiła jednak zlokalizować niczego ciekawego, piwnica wydawała się pusta. Przez chwilę miała ochotę zastukać w szybę, w nadziei, że zwróci uwagę uwięzionej tam dziewczyny, o ile Jagoda Wiśniewska w ogóle tam była, ale zaraz później powiedziała sobie, że zachowuje się jak dziecko. Nikogo nie ma w środku. A mieszka tu samotny facet, z którego lokalne plotkary chcą zrobić miejscowego Teda Bundy'ego.

Zastanawiała się, po co w ogóle tu przyszła, kiedy tuż obok niej coś zachrobotało i zza drewnianej skrzyni pod oknem wyłonił się ohydny tłusty szczur. Zaskoczona krzyknęła cicho i niemal wypuściła z dłoni źródło światła. Później wstała, zgasiła latarkę i otrzepała spodnie. Szczur zniknął w głębi ogrodu, ale jej serce nadal biło jak szalone. Zbierała się na odwagę, by przejść obok miejsca, w którym zniknął jej z oczu, kiedy niespodziewanie w piwnicy domu doktora Tokarczyka rozbłysło światło.

Spanikowana przylgnęła do ściany i przesłoniła dłonią usta, bojąc się, że wydostanie się z nich jakiś dźwięk. Dopiero po dłuższej chwili odważyła się zerknąć w piwniczne okno, ale już kilka sekund później rzuciła się do biegu – przez ciemny ogród do ogrodzenia i dalej ulicą, aż oddaliła się od willi na tyle, żeby poczuć się bezpiecznie.

W apartamencie po tym, jak pokonała kilkanaście przecznic i weszła pod prysznic, oparła się o wykafelkowaną ścianę i pozwoliła ciepłej wodzie spływać po jej ciele tak długo, aż jej skóra na piersi i dekolcie zrobiła się czerwona. W ciągu paru sekund udało jej się dojrzeć w piwnicy dwie rzeczy – doktor, który zszedł na dół, nie był sam, towarzyszył mu jakiś mężczyzna. Drugą rzeczą było stojące przy ścianie wąskie łóżko. Pusta piwnica, świeżo odnowione ściany i łóżko z wyglądającym na nowy materacem. Idealne miejsce do przetrzymywania porwanych młodych kobiet.

Kto towarzyszył stomatologowi? Nie umiała tego określić, przez tych kilka sekund widziała głównie męskie sylwetki w wątym świetle pojedynczej żarówki, jednak przez chwilę wydawało jej się, że towarzysz doktora wyglądał znajomo.

Wycierała się, gdy dotarło do niej, że to najprawdopodobniej był wikary Berg. Tak, to był on, poznała jego charakterystyczny chód i sylwetkę. On albo ktoś bliźniaczo do niego podobny. Co miejscowy ksiądz robił nocą w piwnicy dentysty, którego podejrzewano o naprawę nieciekawych rzeczy? – zastanawiała się, owijając rękami wilgotne włosy.

Co się tu odpierdala? – pomyślała, wchodząc na instagramowe konto doktora Tokarczyka. Trzydzieści osiem zdjęć, głównie relacje z jednodniowych wycieczek za miasto, spacerów i śniadań jedzonych w karczmie Pod Złotym Jeleniem, odnotowała. Żadnych kobiet, przyjaciół ani rodziny na fotografiach. Siebie też nie wrzucił. Tylko żarcie, ckiwe wiejskie pejzaże i jezioro.

Nagle przypomniała sobie wikarego, który z siatami pełnymi zakupów odwiedził młodą dziewczynę. Wyglądała na kogoś z dysfunkcyjnej rodziny i z pewnością miała problemy, skoro ksiądz Berg kupował jej jedzenie.

A jeśli tak je właśnie werbowali? – przeszło jej przez myśl. Jeśli to wikary wynajdował zagubione, biedne i niestabilne emocjonalnie młode kobiety, które ostatecznie zwabiał do piwnicy starej willi, gdzie czekał na nie doktor?

Czy to w ogóle jest możliwe, by jakikolwiek ksiądz robił takie rzeczy? Jezu! Osa aż się wzdrygnęła. Nigdy nie była fanką kleru, ale jakieś granice chyba jednak są? Ksiądz bezlitosnym mordercą? Nie, nie ma opcji, powiedziała sobie, a jednak przecież widziała Berga i Tokarczyka razem, ręka w rękę, nocą, w słabo oświetlonej piwnicy...

Ostróda, październik 2022

Kupiona w drodze na komendę kawa była zbyt gorąca, parzyła mu podniebienie. Adrian Rożek cisnął styropianowy kubek z resztką niedopitego napoju do przepełnionego kosza na śmieci przy jednej z głównych ulic i skierował się w stronę samochodu.

– Panie władzo? – Kobięcy głos sprawił, że się odwrócił.

– Tak?

Dwudziestokilkuletnia dziewczyna, która go zagadnęła, miała na sobie płaszcz w kolorze fuksji, czarne rajstopy i ciężkie buty zdobione metalowymi klamrami. Rozpoznał ją od razu. Youtuberka z kanału „Osa na tropie zbrodni”.

– Wiadomo już coś w sprawie zaginionej Jagody? Co właściwie robi lokalna policja? – zapytała, patrząc mu w oczy hardo i wyzywająco, jakby chciała powiedzieć: „Wiem, że gównu robicie”...

– Naprawdę sądzi pani, że tak po prostu zagadnie mnie na ulicy, a ja podaruję pani materiał do filmiku na YouTube? – rzucił cierpkim tonem.

– No proszę... Więc mnie pan ogląda? – ucieszyła się, gdy zrozumiała, że ją rozpoznał.

W jej głosie starszy sierżant Rożek usłyszał kokieteryjny ton.

– Poprawka. Oglądałem. Na początku trzymała pani jeszcze poziom i przedstawiała ciekawe sprawy. Obecnie to, co pani robi, to jakaś szopka.

– Szopka? Tego jeszcze nie słyszałam. – Uśmiechnęła się tym razem złośliwie, a on skinął głową i podrzucając w dłoni kluczyki, ruszył w stronę samochodu. – Nie skomentuje pan?! Nic, żadnej odpowiedzi na moje pytanie?! – zawołała, a kilka przechodzących ulicą osób przystanęło, żeby się im przyjrzeć.

Nie odpowiedział.

Wsiadł do auta i ruszył, zostawiając za sobą tę wścibską bezczelną dziewczuchę, która spędziła ostatnie lata, jeżdżąc sobie z miejsca na miejsce i żyjąc z kasy wpłacanej przez naiwnych. Nie to co on. Od rana do nocy harówka, w międzyczasie dom, obowiązki, dziecko i ta koszmarna bezsenność, która ostatnio coraz bardziej dawała mu w kość...

Ponadto martwił się o Kamilę. Odkąd wróciła z imprezy w domu szefa, wydawała mu się dziwnie przygaszona, jakaś inna. Intuicja podszeptowała mu, że coś tamtej nocy zaszło, ale nie miał pojęcia, jak to z niej wyciągnąć.

Na komendzie czekała na niego lokalna dziwka, która upierała się, że ma coś ważnego do zakomunikowania i chce rozmawiać wyłącznie z nim. Pamiętał, jak dwa lata wcześniej wyrwał ją z rąk brutalnego sutenera, którego wsadził za kraty, dzięki czemu obecnie była panią siebie i własnego całkiem ponętnego tyłeczka.

– O co chodzi tym razem, Bella? – zapytał, gdy na jego widok zerwała się z krzesła i zaczęła krzyczeć, że muszą porozmawiać.

– Możemy gdzieś wejść? Ma pan jakiś gabinet, panie oficerze? Ten co ostatnio? – zapytała schrypniętym głosem nałogowej palaczki, a on przez chwilę zastanawiał się, czemu wszystkie dziwki zwracają się do niego per „panie oficerze”?

– Wejdz. – Przepuścił ją w drzwiach, kiedy weszli na piętro.

– Dżentelmen. – Uśmiechnęła się, zakolysała biodrami i weszła do zagraconego pokoju, w którym pracował.

– Więc? Coś się stało? – zapytał, kiedy usiadł za biurkiem, a ona zdjęła krótkie sztuczne futerko w odcieniu pudrowego różu, cisnęła je na wolne krzesło i z nogą założoną na nogę usiadła naprzeciwko.

– Nie zaproponuje pan damie kawy, herbaty, może czegoś słodkiego? – zaszczebotała, nawijając na palec pukiel przesuszonych włosów.

– Damie może bym i zaproponował – zaśmiał się, a ona spochmurniała, jakby nagle w jej oczach zgasła jakaś iskra. – Przepraszam, to nie było miłe – zreflektował się, a ona w milczeniu pokiwała głową

i zaczęła się bawić zawieszonym na połączonym łańcuchu kluczem wysadzonym sztucznymi diamentami.

– Chodzi o mojego nowego klienta – powiedziała w końcu.

– Co z nim? Nie zapłacił? – Ironicznie się uśmiechnął. – Wiesz, że nie jestem twoim alfonsem, prawda? – Mruknął do niej.

– Zapłacił – powiedziała.

– To w czym problem? – zainteresował się, zastanawiając się przy okazji, kiedy uda mu się wywietrzyć pokój, w którym unosił się coraz intensywniejszy, mdły zapach jej tanich perfum.

Konwalia? Wyraźnie czuł konwalię, co sprawiało, że kręciło go w nosie. Jego żona od zawsze używała zupełnie innych, znacznie bardziej rześkich nut. Od tych kwiatowych zwyczajnie go mdliło...

– Facet jest dziwny – powiedziała Bella, nadal bawiąc się zawieszka w kształcie klucza.

– To chyba nie rzadkość w twoim zawodzie? – zauważył.

– Tak, ale ten... Dobrze, powiem prosto z mostu: dziwnie się ze mną zabawiał. Kiedy mnie związał grubym szorstkim sznurem, i to naprawdę mocno, powiedziałam sobie, że okej, wiadomo, niektórzy faceci lubią tego typu zabawy. Ale wtedy on wyjął coś, co wyglądało jak maczeta, i zaczął przeciągać ostrzem po mojej skórze. Po brzuchu, piersiach, takie tam. – Nagle Bella się zaczerwieniła, co prawie Rożka rozczuliło. – Maczetą, rozumie pan, panie oficerze?

– Gdzie to było? – Adrian nagle spowaźniał; przypomniały mu się charakterystyczne obrażenia, jakie nosiły zmasakrowane zwłoki Aleksandry Siemaszko.

– No nie wiem, to kolejna dziwna sprawa. Kiedy się spotkaliśmy, związał mi oczy i przez długi czas kluczyliśmy samochodem po mieście. Kiedy pozwolił mi zdjąć opaskę, byliśmy w piwnicy.

– W piwnicy?

– Tak, w piwnicy. Zimne puste pomieszczenie, nie licząc łóżka i zamontowanego w suficie haka, z którego zwisał łańcuch. Przestraszyłam się wtedy tak, że prawie się zsikałam, ale on zaczął mnie uspokajać. Mówił, że to tylko zabawa, zaproponował podwójną stawkę plus perfumy, nie wydawał się agresywny. Kiedy mnie związał, wpadłam w panikę. Błagałam go, żeby mnie wypuścił, ale nie słuchał. W którymś momencie lekko rozciął mi skórę, pochylił się i zlizął mi krew z brzucha. Mam jeszcze ślad, gdyby chciał pan oficer zobaczyć.

Bella znowu posłała mu kokieteryjny uśmiech i pochyliła się w jego stronę, eksponując dekolt.

– Po wszystkim mi zapłacił i odwiózł do parku, tak jak mnie stamtąd przywiózł, długo klucząc po mieście. Ale najdziwniejsze było to, że nawet nie chciał seksu. Po prostu przez jakiś czas napawał się moim strachem.

– Opiszesz go? – zapytał Adrian, gratulując sobie w duchu, że mimo sceptycznego nastawienia do słów prostytutki, po jej wejściu do pokoju od razu włączył dyktafon.

– Brunet. Wysoki, dobrze zbudowany, pewny siebie. Miał ładny głos, taki kojący, melodyjny. Gładko ogolony, żadnych tatuaży, modnie ostrzyżone włosy. Oczy ciemne, ładna cera, bardzo zadbane dłonie. Jakby nigdy nie pracował fizycznie.

– Wysoki, czyli?

– Nie wiem, metr osiemdziesiąt trzy, może pięć. Nie więcej.

– Wiek?

– Trzydzieści osiem, może czterdzieści.

– Jesteś pewna, że nigdy wcześniej nie widziałas go w mieście?

– Tak, jestem pewna.

– Chodzisz do kościoła? – zapytał nagle Adrian, a zaskoczona Bella zrobiła okrągłe oczy.

– Do kościoła? Nie bardzo, a czemu?

– Nieważne, zapomnij – wymigał się od odpowiedzi, chociaż prawdę mówiąc, miał ochotę znaleźć w sieci zdjęcie wikarego Waldemara Berga, podsunąć jej pod nos telefon i poprosić, by powiedziała, czy to on, bądź definitywnie zaprzeczyła.

Opis, jaki mu przed chwilą podała, mógł pasować do wielu innych miejscowych mężczyzn, ale tak się dziwnie składało, że pasował jak ulał również do księżulka.

– Jak się z tobą skontaktował? – zapytał Rożek.

– Zagadnął mnie w parku.

– Skąd wiedział, że jesteś...

– Dziwką? Panie oficerze, litości! Spaceruję tam co wieczór, od ponad dwunastu lat. Inne dziewczyny też się tam kręcą. Tamten zakątek to miejscowy pigalak, chyba każdy wie?

– Przyszedł pieszo?

– A jak? Na hulajnodze?

– Od której strony?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– Gdzie wsiedliście do auta? Prowadził sam czy był z nim ktoś jeszcze?

– Sam. Nie pamiętam dokładnie, gdzie to było. – Bella wzruszyła ramionami.

– Skup się, to ważne! – naciskał.

Wtedy przypomniała sobie nazwę ulicy, a do niego dotarło, że w pobliżu nie było żadnych kamer miejskiego monitoringu. Ten skurwiel również musiał to wiedzieć, skrzywił się Rożek.

– Mówił ci coś o sobie? O czym rozmawialiście?

– O kuchni. Oboje byliśmy głodni. – Bella się uśmiechnęła, co sprawiło, że jej zmęczona życiem, mocno umalowana twarz na jedną magiczną chwilę odmłodziła i wypiękniała.

– O kuchni?

– Tak. Mówił, że lubi sushi, zapamiętałam, bo ja nie znoszę. Gadaliśmy o kuchni włoskiej, takie tam. Mówił, że bywał w Rzymie i na Sycylii, to też zapamiętałam.

– I tyle? Niczego więcej nie powiedział?

– Nie, raczej nie.

– Miał obrączkę?

– Nie miał.

– A ślad po niej?

– Nie, raczej nie. – prostytutka się zawahała, co nie uszło jego uwadze.

– To nie czy raczej nie?

– Raczej – powiedziała cicho.

– Dobra, zrobimy tak. Zapisz sobie numer mojej komórki. W telefonie, od razu. Jeśli następnym razem koleś zaprosi cię do auta, wyślesz mi wiadomość, rozumiesz? Jemu wciśniesz jakiś kit, że musisz się skontaktować z dwunastoletnią córką, która została sama w domu. Zapisz mnie jako Zosię. Zrozumiałaś?

– On zasłania mi oczy, mówiłam.

– To zanim zasłoni ci oczy. Powiesz, że to ważne. Pewnie będzie chciał zobaczyć twój telefon, ale kiedy zobaczy Zosię...

– Nie jestem aż tak odważna – powiedziała cicho.

– Jesteś – odparł z naciskiem Adrian, zanim podyktował jej swój numer. – Napisz esemesa treści: „W lodówce jest zupa, zjedz ją”, a później puść mi sygnał. Bez względu na porę. Teraz idź do domu. Nie pracuj dziś, odpocznij. Jutro dam ci telefon, w którym zamontowany jest lokalizator. Będziesz go nosić.

– W tym się nie da? – zapytała Bella i zaraz potem parsknęła śmiechem. – Nie, lepiej nie. Jeszcze pan oficer będzie mnie śledzić przy pracy.

– Przyjdź rano. Będę mieć czas, żeby na spokojnie sobie wszystko przemyśleć. Bella, to nie są żarty, okej? Pamiętasz zeszłoroczne morderstwo? Tego zwyrodnialca nadal nie złapano, a bestie takie jak on często biorą na cel pracujące dziewczyny, takie jak ty. To nic pewnego. To mógł być jakiś czub, ktoś, kto chciał cię przestraszyć albo po prostu spełnić swoje pojebane fantazje, ale jest również taka opcja, że właśnie opisałaś mi zabójcę Oli Siemaszko. Rozumiesz?

– Nie powinnam dostać ochrony? Mam być przynętą? Jakaś frajerka, która idzie na pierwszy ogień? Bo tak to widzę.

– Sama do mnie przyszłaś – przypomniał jej.

– Fakt. – Na jej twarzy pojawił się grymas.

– Zawsze możesz mu odmówić, okej? Kiedy się zjawi, powiesz, że czekasz na klienta, który właśnie po ciebie jedzie, coś w ten deseń. Ale daj mi znać, gdy go zobaczysz. Niezwłocznie! Pogadam z przełożonym. Jeśli on też uzna, że być może jesteśmy na tropie mordercy, akcja może być szersza. Może nawet jedna z policjantek stanie z tobą na pigalaku, udając dziewczynkę. Wszystko jest możliwe, jeśli zgodzisz się nam pomóc.

– Czy on może mnie zabić? – zapytała cicho Bella.

– Jeśli jest tym kolesiem, który zabił Olę Siemaszko, tak – przyznał szczerze Rożek.

– To niewesoło, co? – Kobieta lekko się uśmiechnęła i przygryzła wargę. – Kiepski sobie zawód wybrałam – westchnęła. – Ale kiedy byłam młodziutka, mamusia ciężko chorowała, a ojciec uciekł z domu. Początkowo tylko dorabiałam, jeszcze przed maturą, a później tak jakoś... Z czegoś trzeba żyć, nie? Różne bozia daje ludziom talenty. Jedni są muzykalni, inni potrafią robić dobrze – zaśmiała się nerwowo. – A wierz mi, panie oficerze, robić dobrze to ja potrafię. Gdyby kiedyś pan oficer chciał się przekonać, to ja...

– Dzięki, ale jestem szczęśliwie żonaty – wszedł jej w słowo, wyobrażając sobie jednocześnie, jak dziwnie i niezręcznie by się czuł, gdyby kiedykolwiek przyszło mu do głowy zapłacić tej kobiecie za seks.

Kiedy wyszła, stukając obcasami i kołysząc biodrami, z tym swoim króciutkim sztucznym futerkiem w dłoni, otworzył na oścież okno i odsłuchał nagranie z dyktafonu. Czy to możliwe, że dostał właśnie opis mordercy z poligonu, jak go nazywali na komendzie, chociaż wszyscy wiedzieli, że dziewczyna została zabita gdzie indziej, a jej ciało przeniesione.

Przez cały dzień myślał o spotkaniu z Bellą, analizował jej słowa, zastanawiając się jednocześnie, kim mógł być ten zjeb z maczetą. Wikary, jego ulubiony podejrzany, pasował jak ulał, ale przecież to mógł być ktoś zupełnie inny.

Wieczorem dosłownie na minutę wpadli z żoną do teściów. Teściowa chciała wycalować Amelkę, której nie widziała prawie dwa tygodnie, a Kamila odebrać od matki bluzkę, którą tamta przywiozła jej z Torunia.

– Siadźcie, odpocznijcie chociaż chwilę. – Teść od razu zaprosił ich na salony i podszedł do barku. – Napijesz się? – Mrugnął do Adriana. – Najwyżej Kamilka poprowadzi – dodał i nie czekając na odpowiedź, rozlał whisky do niskich szklanek z rżniętego kryształu.

Kiedy podawał jedną Adrianowi, ten przyjrzał się jego zadbanym dłoniom, gładko ogolonej twarzy i ciemnym włosom, które zawsze, krótko przycięte i umyte, prezentowały się nieskazitelnie. Ojciec żony kilka lat wcześniej przekroczył pięćdziesiątkę, ale przy słabym świetle, w nocy, kto wie, może i mógłby uchodzić za czterdziestolatka? Wyglądał młodo, dużo ćwiczył, dbał o siebie i kupował ekologiczne żarcie, na które wydawał majątek. Do tego często zostawał sam – teściowa lubiła spędzać weekendy w górskich SPA bądź u mieszkającej w Toruniu siostry.

Co stary robił, kiedy nikogo nie było w domu? – zastanawiał się Adrian, sącząc whisky.

Piątkowe popołudnie, cała sobota i niedziela – dwa i pół dnia i dwie noce, sporo czasu. Niczego o nim nie wiem, zdał sobie nagle sprawę. Wiedział jedynie, że teść uwielbia polowania, kilka lat temu miał romans, lubi dobrze zjeść i zawsze podobały mu się blondynki. W piwnicy miał kolekcję strzelb i szablę, którą lata temu kupił na Allegro, ale czy wśród jego militarnych skarbów znalazłaby się również maczeta?

– O czym myślisz? – zapytała Kamila, siadając obok męża, a Adrian pocałował ją w czubek nosa i posłał jej uśmiech.

– O niczym szczególnym – skłamał, bo przecież nie mógł wyznać, że zastanawia się nad tym, czy może przypadkiem jej ukochany tatulo nie jest zjebem z zimną krwią mordującym kobiety...

Odwala mi, pomyślał chwilę później. Praca gliniarza to pasja, ale też pod wieloma względami przekleństwo. Oto siedział wśród rodziny, sączył whisky i zastanawiał się, czy teść nie zabija młodych lasek. Kompletny obłąd, totalnie mu odbiło.

Godzinę później, kiedy wracali do domu – Kamila skupiona na drodze, z palcami zaciśniętymi na kierownicy, śpiąca w foteliku Amelia i on lekko podpity na siedzeniu pasażera – zapytał żonę, co zaszło pomiędzy nią a Lipińskim tamtej nocy, na przyjęciu w jego rezydencji.

– Nic. Nic wtedy nie zaszło, Adrian! Ile razy mam ci to powtarzać! – krzyknęła wytrącona z równowagi Kamila, a on wyobraził sobie, że żona traci panowanie nad kierownicą i ładuje ich w przydrożne drzewo.

– Uspokój się – mruknął, wściekły na siebie, że rozpoczął tę drażliwą dyskusję w aucie, w dodatku ze śpiącą w foteliku Amelką.

Kamila milczała, nie miała mu nic do powiedzenia.

Ona kłamie, uznał. Zabolalo go to, poczuł się odrzucony i pominięty. Nigdy nie mieli przed sobą sekretów, przynajmniej on nie miał sekretów przed nią. Ale wyglądało na to, że te czasy bezpowrotnie minęły.

Ostróda, październik 2022

– Wyjdź już z tego pokoju, synu, jest prawie południe. Pracy jakieś sobie poszukaj, zrób cokolwiek, na miłość boską! – Matka władowała się do niego, kiedy Dariusz Nowakowski przeglądał instagramowy profil Świtezianki.

– Dzięki – burknął, gdy postawiła na jego niemiłosiernie zabałaganionym biurku duży talerz z jajecznicą na szynce i rozkrojoną na pół kajzerką, którą grubo posmarowała serkiem topionym i posypała szczypiorkiem.

Nie znosił szczypiorku. Jechało mu po nim z ust i ciągle bekał. Ale nie będzie się przecież klócił ze starszą.

– Kiedy masz jakąś rozmowę w sprawie pracy? Załatwiłeś sobie coś, szukasz? – zapytała syna Nowakowska, zanim się pochyliła, by podnieść z zakurzonego dywanu rozrzucone tam przepracowane podkoszulki, szorty i skarpety swojego jedynaka. – Ciągle syf, choćbym nie wiem ile razy tu sprzątała – sapnęła.

– Zostaw, sam posprzątam – burknął Dariusz, chociaż prawdę mówiąc, nie miał takiego zamiaru, przynajmniej nie w najbliższym czasie.

– Pytałam, kiedy masz jakąś rozmowę o pracę?! – podniosła głos matka.

– Nie teraz, okej? – odburknął.

– Taki jesteś dowcipny?! – Rzuciła w syna stosem brudnych ubrań, które przed chwilą zebrała z podłogi. – Zrób w końcu pranie, odkurz ten chlew i wywietrz pokój! Powietrze siekierą można tu rąbać!

– Nie mamy siekiery. Jędrrek Borek pożyczył i nie oddał – rzucił Dariusz, co ostatecznie rozsierdziło matkę.

– Powiedziałam ogarnij ten chlew! – wrzasnęła, złapała syna za kołnierz koszulki polo i mocno nim szarpnęła, co poderwało go w górę. – Wstań z tego fotela i zrób coś ze sobą! Nie po to tyle lat się starałam, żeby mieć pod dachem nieudacznika!

– Nieudacznika?! Teraz wszyscy są nieudacznikami, takie czasy! – krzyknął Dariusz i wyrwał się matce. – Idź stąd, muszę poćwiczyć!

– Poćwiczyć?! Chyba z ręką na myszy od komputera! – parsknęła Nowakowska, zanim zrezygnowana opuściła pokój syna.

– Odpierdoliłabyś się ode mnie – mruknął Dariusz, kiedy został sam.

Sprzątać nie zamierzał. Nie był w końcu kilkuletnim dzieckiem, któremu można nakazać pozbieranie klocków z dywanu. Dobrze się czuł w bałaganie, a starej nic do tego. Zresztą mieszkała na parterze, a on na piętrze i gdyby to od niego zależało, nie wpuszczałby jej w ogóle na górę. Chociaż po namyśle... Żarcie robiła dobre, a to było coś. Odżywianie się wyłącznie chipsami i piwem zaczynało się już poważnie odbijać na jego zdrowiu.

Zanim wgrzył się w połówkę kajzerki, zrzucił z niej szczypiorek, który wylądował w stojącym przy jego biurku koszu na papiery, i z pełnymi ustami wszedł do folderu „Ona”, w którym trzymał swoje najulubieńsze zdjęcia Jagody. Większość zrobił sam, w czasach, kiedy jeszcze naprawdę się przyjaźnili, a ona pozwalała mu towarzyszyć w sesjach foto i spędzała z nim długie godziny.

Później wszystko się zmieniło, w jedno popołudnie, i to nieodwracalnie. Miał wtedy urodziny, może dlatego zabrał ze sobą kupione za ostatnie pieniądze czerwone wino. Zdjęcia robili nad wodą, wyszły niezłe, później otworzył flaszkę. Jagoda nie chciała z nim pić. Podobno nie lubiła alkoholu. Zdziwiło go to, bo przecież tydzień wcześniej widział, jak piła szampana w knajpie z widokiem na jezioro. Ale wtedy była z koleżankami, a teraz z nim. Nie ufała mu? Pamiętał, że nalegał.

„Wypij chociaż kilka łyków”, naciskał i w końcu się zgodziła. Dzień był gorący, parny, słońce powoli zmierzało ku zachodowi. Ładne światło, romantyczne okoliczności przyrody. Leżeli w trawie, na kocu, ramię przy ramieniu, gapiąc się w niebo i sunące po nim chmury. Pomyślał, że bardziej odpowiedniej chwili już

pewnie nie znajdzie, więc oparł się na łokciu, pochylił i pocałował ją w usta.

Leżała z zamkniętymi oczami, więc zorientowała się dopiero, kiedy jego wargi dotknęły jej ust. A jej reakcja! Jeszcze nigdy nikt aż tak go nie upokorzył. Wiedział, że nie był w jej typie, ale pogarda, jaka małowala się na jej twarzy, kiedy zerwała się z koca, była porażająca. „Odjechało ci?!”, wrzasnęła. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby tak się wyrażała. Zakłęła przy nim po raz pierwszy. Zaczął ją przeproszać. Poderwał się na nogi, pobiegł za nią nad jezioro i złapał ją za rękę. Wyrwała mu się, odskoczyła. „Nie dotykaj mnie!” – wycedziła.

Jej piękną twarz wykrzywił grymas obrzydzenia, w zielonych oczach lśniły łzy. Powiedział, że ją kocha, że od lat coś do niej czuje. Może nie powinien w tym akurat momencie, ale jakoś tak mu się wyrwało...

Zaśmiała się i z niedowierzaniem pokręciła głową. „Kochasz mnie, jasne! I tyle w temacie bezinteresownej damsko-męskiej przyjaźni” – rzuciła.

Chwilę później zebrała z trawy swoje rzeczy, zawiesiła na szyi aparat, którym tego akurat dnia robili zdjęcia, i szybkim krokiem ruszyła w stronę drogi. Nie chciał zrobić jej krzywdy, chciał tylko, by zrozumiała, że za nią szaleje. Dogonił ją, złapał za rękę, przyciągnął do siebie i chociaż mu się wyrwała, wymusił na niej pocałunek, dosłownie miażdżąc ustami jej wargi. Wyrwała mu się. Jak na taką chudzinę miała sporo siły. Kiedy dała mu w twarz, zdał sobie sprawę, że po policzku spływa mu łza. „Byłbym dla ciebie dobry, najlepszy” – wyszeptał jeszcze, ale go nie słuchała.

Potem zaczęła biec i po chwili zostawiła go daleko w tyle, na pustej polnej drodze w pobliżu jeziora. Ulubionego kraciastego koca nie zabrała, poszedł więc po niego, wytrzeptał, starannie złożył i wrócił do centrum.

Wieczorem do niej dzwonił. Wiele razy, może nawet z dziesięć albo piętnaście, ale najpierw nie odbierała, a później wyłączyła telefon.

Rano poszedł pod jej blok i sterczał tam prawie dwie godziny, zanim wyszła przed klatkę.

Na jej widok poczuł się tak, jakby ktoś z całej siły walnął go w przepoń. Zawołał ją po imieniu. Chciał tylko porozmawiać, ale nie dała mu szansy. Kazała mu się wynosić, wrzasnęła, że po tym, co się stało, przestała mu ufać. „To był tylko głupi pocałunek” – tłumaczył się Dariusz, ale Jagoda czmychnęła z powrotem do klatki i wróciła do mieszkania.

Zaczął jej wysyłać esemesy. Jeden po drugim, z nadzieją, że w końcu mu odpisze, ale ona uparcie milczała, jakby nagle zupełnie przestał się dla niej liczyć, jakby zniknął.

Wtedy poczuł gniew. Czują się lepsza tylko dlatego, że jest ładna?! Zawsze myślał, że jest dobra, mądra i wrażliwa, ale była takim samym pustakiem jak te wszystkie zarozumiałe suki, które pogardliwie uśmiechały się na jego widok.

W jego dawnej klasie, w sklepach, w sąsiedztwie, a później w pracy – kobiety, zwłaszcza te piękne, traktowały go jak śmiecia, jawnie okazując mu pogardę. Możesz sobie patrzeć, ale nigdy nie będziesz mnie mieć, mówiły ich miny.

Wtedy zaczynał fantazjować, budziło się jego drugie oblicze, to znacznie bardziej mroczne. Wyobrażał sobie, jak zaciąga te suki w krzaki, zwabia do zatęchłej ciemnej piwnicy albo po prostu dopada gdzieś w odludnym zaułku, a później zdiera z nich te fikuśne falbaniaste fatałaszkę i wbija się w ich ciała, pokazując, kto tu rządzi.

Wyobrażał sobie brutalny, mocny i wulgarny seks, marzył o tym, by płakały i błagały go o litość. Chciał je ukarać, bo na to zasłużyły. Pragnął im pokazać, że to one zrobiły z niego bydlaka. Gdyby Jagoda dała mu chociaż cień szansy, zrobiłby dla niej wszystko. Ale ona nim wzgardziła i wykopała go ze swojego życia. Nagle z bliskiego przyjaciela stał się jej wrogiem. Odwołała ich wspólne sesje nad wodą, nie odbierała telefonów i otwarcie wypowiedziała mu wojnę.

Nie zrobił nic złego, a jednak został ukarany. Gdyby był jednym z tych przystojniaków, których czasem widywał na ulicy, rozłożyłaby pewnie nogi i oddała mu się na tamtym kocu, w trawie nad jeziorem. Ale był szpetny. Piękna i bestia, myślał czasem o ich układzie, kiedy jeszcze się widywali. Jednak wtedy był bestią o dobrym sercu...

– Suka – syknął, wpatrując się w jedno ze swoich ulubionych zdjęć Jagody, na którym w wianku z polnych kwiatów na głowie leżała w szuwarach z zamkniętymi oczami i lekko rozchylonymi wargami, jakby zachęcała kogoś do pocałunku.

Kobiety... kuszą, a później odtrącają, wszystkie są takie same. Bawi je wodzenie mężczyzn za nos, pochlebia im męska uwaga, ale kiedy przyjdzie co do czego, udają cnotki.

Przeglądając resztę zdjęć, pomyślał o wikarym. Słyszał plotki o ich romansie, szeptano o tym coraz częściej, ludzie patrzyli na księdza podejrzliwie. Pieprzyła się z nim? Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze, a jednak ostatnio nabrał pewności, że tak właśnie było. Zdradzała go z tym wymuskanym gogusiem, który ślubował oddanie Bogu i żył sobie wygodnie z kasy parafian, a nocami korzystał z grzesznych uciech doczesnego życia.

Na myśl o księdzu dotyczącym Jagody odstawił na bok talerz z niedojedzoną jajecznicą i zacisnął zęby tak mocno, że zazgrzytały. Fałszywa kurwa! – pomyślał ze złością. Zdradzała go z kimś, kto nie może jej dać niczego w zamian, a on wyje tu z tęsknoty.

– Zjadłeś? Chcę zabrać talerz. – Matka weszła do pokoju w momencie, w którym wgapił się w sekretne zdjęcie Jagody.

Zrobił je dwa lata wcześniej, z ukrycia. Przebierała się wtedy w sukienkę do sesji, kiedy pstryknął jej tę fotkę. Wyglądała na niej jak bogini, stała w szuwarach ubrana w skąpe pistacjowe majteczki, bokiem do niego, bez stanika, wsuwając przez głowę jasną sukienkę. Ręce w górze, piersi niczym nieskrępowane, piękne światło słonecznego poranka. Ta fotografia była jego relikwią, wielbił ją, oglądał co wieczór i zasypiał, myśląc o niej. A teraz w pośpiechu zminimalizował obraz w komputerze, bo nad głową sterczała mu matka.

– Ile razy mówiłem, pukaj, zanim wleziesz! – warknął.

– To mój dom – przypomniała mu, bo przecież nie przepuściłaby żadnej okazji, by nie podkreślić swojej wyższości nad dwudziestokilkuletnim bezrobotnym synem, który nadal był na jej garnuszku i żył pod jej dachem.

– Ale mój pokój!

– Twój pokój w moim domu. – Uśmiechnęła się pogardliwie i sięgnęła po talerz. – Dojadaj wszystko, skoro już cię karmię. Jajka kosztują – syknęła jeszcze, zanim ciężko oddychając z powodu tuszy, wolno ruszyła w stronę drzwi.

Kiedy wyszła, Dariusz zacisnął powieki i wyobraził sobie, jak dusi tę starą upierdliwą lochę, a później zaciąga jej ciało do piwnicy, betonuje drzwi i na dobre zapomina o jej męczącej obecności. Wtedy dom byłby jego. Uśmiechnął się krzywo. Kiedyś ją kochał, naprawdę mocno, wręcz przesadnie. Ale któregoś dnia zorientował się, że jest dla niej głównie rozczarowaniem, i jego uczucia mocno ostygły.

Czy matka nie powinna wspierać syna w każdej życiowej sytuacji? – zastanawiał się, ponownie zapatrzonej w powiększone na ekranie zdjęcie Jagody. A ona? Ciągłe pretensje, wyrzuty, awantury. Czasem wyobrażał sobie, jak zrzuca ją ze schodów, uderza w twarz rozgrzanym żelazkiem albo zamyka na zabałaganionym stryszku, gdzie stara umiera z głodu i pragnienia. Nie był co prawda pewny, czy byłby w stanie zrobić coś takiego własnej matce, ale wizje, które snuł, bywały całkiem przyjemne.

Gapiąc się na Jagodę, westchnął. Uchwycyony z boku zarys jej niewielkich jędrnych piersi, płaski brzuch, długie nogi, smukła szyja i te piękne jasne włosy, które zawsze pachniały rumiankiem! Marzył o niej na jawie, nocami śnił o jej nagim ciele. Nagle pomyślał o wikarym Bergu i poczuł, że narasta w nim gniew. Matka od lat zmuszała go do chodzenia na niedzielną mszę, więc miał sporo czasu, by przyjrzeć się księdzu. Wikary się zmienił, spochmurniał, wydawał się ostatnio inny. Przywołując w pamięci jego ściągniętą zamyśloną twarz, Dariusz nabrał przekonania, że to on zrobił krzywdę Jagodzie. On, bo któżby inny? Wykorzystał ją, może nawet zmusił do czegoś, czego nie chciała zrobić, a później spanikował.

Myśląc o Świteziance, zaczął płakać. Ona nie żyje. Czuł to całym sobą, od jakiegoś czasu miał takie właśnie wewnętrzne przekonanie.

Zmiętą bluzę z kapturem włożył w locie, później otarł łzy i głośno tupiąc, zbiegł ze schodów.

– Gdzie cię znowu niesie? – zapytała matka, która się przy nim zmaterializowała, kiedy zakładał buty.

– Nieważne – burknął.

Chwilę później był przed domem i gnał dalej, w dół ulicy.

W drodze na plebanie jego gniew narastał, pęczniał, rozrywał go od środka. Gliniarze nachodzili go w domu, dosłownie wywlekali go spod kołdry i truli dupę, podczas gdy ten klecha chodzi sobie wolno?!

Tak nie będzie, zdecydował.

Księdza zauważył w przykościelnym ogrodzie – wikary Berg z brewiarzem w dłoni i sutannie na grzbiecie chodził naokoło porośniętego herbacianymi różami zadbanego klombu, nie zwracając uwagi na otoczenie.

– To ty! – wrzasnął Dariusz, rzucając się na niego. – Wiem, że to ty!

Pierwszy cios wyprowadził z zaskoczenia, a zalany krwią z rozbitego nosa wikary zachwiał się i upadł na ławkę.

– Co jej zrobiłeś?! – ryknął Dariusz. – Mów, kurwa, co jej zrobiłeś?! – Złapał księdza za sutannę i rąbnął go pięścią w nos.

Wtedy Berg zaczął się bronić, udało mu się nawet uderzyć napastnika w twarz i odepchnąć. Grubas upadł w trawę, ale szybko wstał i niczym rozsierzdzony nosorożec ruszył do ponownej szarży.

Wikary zdążył już jednak się pozbierać, pędem rzucił się w stronę plebanii i zatrzasnął w środku.

– Otwieraj te pieprzone drzwi! Gadaj, co z nią zrobiłeś! – Dariusz załomotał pięściami w drewno, ogarnięty amokiem.

Z kącika ust płynęła mu krew, krwawiła też rozcięta brew, ale nie cierpiał. Chwilowo adrenalina skutecznie wyłumiła ból.

Kościelny zaszedł go od tyłu, brutalnie wykręcił mu ręce i zaciągnął przed kościół, gdzie rzucił chłopaka na bruk.

Facet był niemłody, ale postawny, silny i krzepki – lata fizycznej pracy mimo przekroczonej sześćdziesiątki dały mu przewagę nad niezdrowo się odżywiającym, prowadzącym siedzący tryb życia i otyłym Dariuszem Nowakowskim.

– Księdza bijesz, zwyrodnialcu?! – Kościelny rozejrzał się wokół, chcąc się upewnić, czy nikt nie patrzy, i sprzedał leżącemu na bruku chłopakowi kopa. – Odpierdoliło ci, człowieku?! – wrzasnął wzburzony.

– Panie Mirku, to nic. My to sobie zaraz wszystko wyjaśnimy. – Wikary pojawił się przed kościołem sekundę później i przykucnął obok zalanego krwią Dariusza.

– Książd policję musi wezwać, skargę wnieść – poradził mu kościelny, ale tamten przecząco pokręcił głową.

– Nic wielkiego się nie stało. Zostawi nas pan samych, panie Mirku? – zapytał, a kościelny niechętnie się wycofał. – Wstań – poprosił Dariusza, a kiedy chłopak się podniósł, zapytał, o co właściwie mu chodziło.

– Już ty wiesz, o co mi chodziło! – warknął Dariusz, po czym splunął pobitemu księdzu pod nogi. – Już ty dobrze wiesz, klecho!

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia – powiedział cicho Berg. – Masz rozcięty łuk brwiowy, powinieneś to zdezynfekować i zatamować krwawienie. Na plebanii jest apteczka, a ja...

– Spierdalaj, księżulku! – warknął Dariusz, po czym odepchnął stojącego obok kapłana i rzucił się do ucieczki.

Był w okolicach domu, kiedy zmienił zdanie. Nie, nie spędzi kolejnego dnia pod okiem matki. Jego niefart polegał na tym, że chociaż ta kwoka prowadziła kilka własnych biznesów, to zarządzali nimi głównie jej pracownicy, przez co ciągle siedziała na sofie, żarła słodycze i oglądała seriale.

Nienawidził tego, że nie było go stać na własne lokum, nie cierpiał swojej uległości wobec niej i myśli, że najlepsze lata życia spędza, gnuśniejąc pod jej dachem. Co jednak mógł zrobić? Był od niej całkowicie zależny finansowo, zdany tylko na nią. Ojciec nie żył od lat, mówiąc dokładniej od dnia, w którym, chcąc się wywinąć od gigantycznych długów, najebany i ubrany w najlepszy garnitur palnął sobie w łeb nad jeziołem Sajmino. Dariusz miał wtedy kilka lat i przez długi czas nie miał pojęcia, że chodziło o jego ojca. Był nieślubnym dzieckiem noszącym panięskie nazwisko matki. Dopiero kiedy dorósł, dotarły do niego plotki, które matka niechętnie potwierdziła, że owszem, to właśnie biznesmen samobójca powołał go do życia.

Jestem pechowy, pomyślał. Urodzony pod jakąś kurewsko złą gwiazdą. Bez kasy, bez ojca, bez wyglądu, pracy, laski i własnego lokum. Czy można jeszcze, kurwa, czegoś nie mieć, czy lista jest już kompletna?

Idąc w kierunku pobliskiej estakady, zastanawiał się, czy wikary zawiadomi psiarnię. Teraz, kiedy nieco ochłonął, nie potrafiłby powiedzieć, czy napaść na księdza była dobrym posunięciem. Czuł, że Berg maczał palce w zaginięciu Jagody, ale co, jeśli się mylił?

– Gdzie ty jesteś, Jagoda? Gdzie, kurwa, przepadłaś? – rzucił na głos, kiedy na chwilę przystanął na wąskim, ciągnącym się wzdłuż pól chodniku.

Nocami śniło mu się jej ciało. Jagoda unosiła się na wodzie jeziora, piękna, nieruchoma, martwa. Koszmary powtarzały się od czasu jej zaginięcia, cykliczne, ponure, pełne niepokoju, bólu i rozpacz. Ktoś zrobił jej krzywdę, a on nie miał pojęcia, jak może ją uratować. I czy jeszcze cokolwiek może, czy już jest za późno?

Do domu wrócił wieczorem. Zmęczony, głodny i zrezygnowany.

Matka dopadła go już przy drzwiach, dosłownie osaczyła, jak zawsze.

– Mietek Świątek dzwonił. Pilnie potrzebują kogoś do magazynu. Praca byłaby...

– Nie będę zapierdalał w magazynach u Mietka Świątka – warknął Dariusz, wchodząc rodzicielce w słowo.

– Bo co? Za dobry jesteś do pracy? Rączek się nie chce pobrudzić?! W twoim wieku harowałam w masarni, ale ty jesteś urodzony do luksusu?! Dobrze, okej, nie mam nic przeciwko! Tylko najpierw sobie na niego zapracuj!

– W magazynach Świątka się raczej nie dorobię – mruknął.

– To lepiej nie robić nic, tak?! Całymi dniami siedzieć w pokoju i gapić się w komputer?! Czekam, aż ci się ten stary sprzęt rozsypie i wyjdiesz w końcu do ludzi!

– Nie jest taki stary – rzucił przez zęby Dariusz, chociaż przecież świetnie wiedział, że faktycznie jego sprzęt ledwo zipie.

– Zadzwoń do Świątka! – upierała się matka.

– Dobra, jak sobie chcesz. Daj numer – zgodził się nagle, a kiedy matka wybrała numer znajomego i podała mu swoją komórkę, rzucił: – Dzięki wielkie za propozycję pracy, ale nie jestem zainteresowany.

Chwilę później oddał matce telefon.

– Zadowolona? – zapytał.

Dała mu w twarz.

– Jesteś niewdzięczny, podły i nieudaczny! – krzyknęła, zanim ukryła twarz w ramionach i się rozsłochała.

Kurwa! Widok jej łez zawsze sprawiał, że odzywało się w nim sumienie.

– Mamo, sorry, no... – zaczął niepewnie. – Mamo? Przepraszam. Poważnie, sorry. Ja tylko...

– Nieważne – szepnęła, ocierając łzy.

Wtedy zrobił kilka kroków w jej stronę i zamknął ją w mocnym uścisku.

– Przepraszam, naprawdę – powiedział jej do ucha, a ona jeszcze gwałtowniej się rozsłochała.

– Czemu jest z tobą tak ciężko, synu? Czemu wszystko tak ciężko ci idzie? – zapytała cicho. – Jesteś taki krnąbrny, taki oporny... Chcę dla ciebie dobrze, a ty mnie nienawidzisz.

– Nie nienawidzę cię – zaprotestował, chwilę później przypominając sobie wszystkie te koszmarnie, pełne przemocy myśli, w których czasem się pojawiała. – Po prostu jesteś upierdliwa i codziennie doprowadzasz mnie do szału.

– Upierdliwa? Nie znoszę tego słowa. – Matka niespodziewanie się roześmiała, a później wyswobodziła się z objęć syna, pociągnęła nosem i powiedziała, że kiedy go nie było, dzwonił ksiądz Berg.

– Ksiądz Berg? Tutaj? – Na wzmiankę o wikarym, który zapewne odezwał się na stacjonarny, Dariusz momentalnie wzmógł czujność. – A czego chciał?

– Mówił, że widział cię dziś pod kościołem. Wydawałeś mu się bardzo wzburzony. Co tam robiłeś? – zainteresowała się matka.

– Nic, pewnie mnie z kimś pomylił – odburknął Dariusz, wściekły na klechę.

Po chuj tu wydzwania i gada z jego starą? Chce jeszcze raz zerwać w ryj?

– Więc to nie byłeś ty? – dociekała matka.

– No dobra, może i tamtędy przechodziłem.

– Czemu ksiądz mówi, że byłeś wzburzony?

– Rzuciłem ogryzek na trawnik przed kościołem, a kiedy upomniał mnie kościelny, pokazałem mu środkowy palec. Zadowolona? – zełgał.

– No tak, bo chlew w twoim pokoju już ci nie wystarcza. – Matka westchnęła, pogłaskała syna po głowie i mruknęła, że idzie na serial.

Kiedy został sam, odgrzał sobie resztkę zupy i usiadł za stołem. Jedząc, wyobrażał sobie, że odnajduje Jagodę, wrywa ją z łask porywacza, zostaje bohaterem i jeszcze tego samego dnia prosi ją o rękę, a ona przyjmuje jego oświadczenia. Wyobrażał sobie, że wręcza jej pierścionek na samym środku mola, a spacerujący po nim ludzie przystają i biją im brawo.

W swoich marzeniach był szczupły, wysportowany i pewny siebie, a ona piękna jak zawsze i totalnie w nim zakochana. W myślach mógł być tym, kim chciał – nieudaczny, gruby i zakompleksiony Dariusz Nowakowski zamieniał się w jego głowie w kogoś zupełnie innego.

Kiedy zjadł, wszedł na Insta i skrzywił się na widok nazwy swojego konta. Wierny piesio, koń by się uśmieł. Swoją profil nazwał tak, bo Jagoda zażartowała kiedyś, że łązi za nią jak wierny oddany szczeniak. Wtedy wydawało mu się to zabawne, ale teraz to wspomnienie wyłącznie go upokarzało.

Nie szanowała go, może nawet nigdy nie traktowała jak przyjaciela. Był tylko nic nieznaczącym dodatkiem u jej boku, popychadłem noszącym jej aparat. Ta przyjaźń była tak koślawa jak ona sama, pomyślał i poczuł mściwą satysfakcję na wspomnienie jej ułomności.

Nie, nie była taka idealna, jakby chciała, powiedział sobie i przez chwilę znacznie lepiej się czuł. Szybko jednak powróciły ponure myśli i to upiorne, towarzyszące mu od kilku dni przeświadczenie, że Jagoda już nie żyje...

Ostróda, październik 2022

Ciemnowłosa mężczyzna zdjął sportową bluzę z kapturem, złożył ją starannie i położył na ławce. Później pozbył się spodni, skarpet i bokserek, po czym nagi wszedł do lodowato zimnej wody jednego z ostródzkich jezior i kilka razy parsknął, rozchlapując ją. Dochodziła czwarta nad ranem, jesienna noc była wilgotna, zamglona. Mimo przejmującego chłodu pływał przez kilka minut; krótko, ale nawet ta niewielka dawka ruchu pobudziła go i dodała sił. Kiedy się ubrał, wkładając ciuchy na ociekające wodą ciało, wyjął z kieszeni papierosy, zapalił i usiadł na ławce. Było mu zimno, drżał i szczerkał zębami, ale podobało mu się to uczucie – dzięki niemu czuł się żywy, zdrowy, silny.

Pałac, patrzył na ciemną toń jeziora i wspominał zeszłoroczne lato. Myśląc o tym z perspektywy czasu, żałował, że nie dał sobie więcej słodkiego sam na sam z piękną autostopowiczką. Unicestwił ją szybko, zbyt szybko. Odebrał sobie tyle możliwości, tyle szans na przeżywanie tego godzinami, napawanie się sytuacją, celebrowanie krwawego rytuału śmierci.

Nagle przypomniał sobie przeczytaną gdzieś ciekawostkę opisującą interesujący, choć również potępiany przez wielu zwyczaj praktykowany na Madagaskarze – otóż kilka lat po pogrzebie rodzina wydobywa zwłoki z grobu, owija je całunem i ponownie grzebie w ziemi. Obrzęd nazywany jest obracaniem kości i ma na celu umożliwienie spotkania żywych ze zmarłymi. Ciało... Gdyby tak pochopnie nie porzucił jej zwłok na poligonie, mógłby je wykopać, żeby jeszcze raz nacieszyć się darem, jaki mu złożyła. Ale ciało przepadło. Idiota! Czemu wszystko oddawał tak łatwo?! Trzeba było ją zachować, ukryć gdzieś, gdzie mógłby ją odwiedzać, zostawić dla siebie. Z kolejną nie popełni już tego błędu, obiecał sobie.

Później wrócił do siebie, złapał jeszcze kilka godzin snu i wstał, bo wzywały go obowiązki.

Dopiero wczesnym popołudniem znalazł trochę czasu na spacer po ostródzkim moło. Ciesząc się słonecznym dniem, przyglądał się mijającym go ludziom, szczególnie młodym kobietom.

Ich energia, śmiech i kokieterijne uśmiechy, które czasem kierowały do niego, sprawiały, że w jego żyłach szybciej krążyła krew. Wyobrażał sobie, co mógłby zrobić, gdyby udało mu się którąś z nich dorwać i zawlec w odosobnione miejsce. Niestety, tu, gdzie był, nie wchodziło to w grę. Wszechobecny monitoring spędzał sen z powiek niejednemu „artyście” jego pokroju, można by wręcz powiedzieć, że to nie są czasy dla morderców.

Kupując piwo w pobliskiej knajpie, przez dłuższą chwilę przyglądał się serwującej napoje barmance. Była w jego typie, ale miejsce, w którym pracowała, nie rokowało dobrze. Zbyt wiele kamer, zbyt wielu świadków.

Gdy dopił piwo i opuścił lokal, wolno ruszył w stronę Zamkowej i dalej, przez miasto. Jasnowłosa dwudziestolatkę zauważył przy jednym z kiosków z prasą, gdzie wpatrzona w telefon przeglądała coś na wyświetlaczu. Szedł o zakład, że to Facebook bądź Insta. Pokolenie zanurzone w wirtualnym świecie, pomyślał z pogardą.

Stał nieopodal i otwarcie się jej przyglądał, ale nie zwracała na niego uwagi, zbyt mocno absorbował ją telefon. Mógłby do niej podejść z maczetą i poderznąć jej gardło, a ona zorientowałaby się dopiero, kiedy zaczęłaby krwawić. Uśmiechnął się złośliwie, po czym usiadł na ławce.

Blondynka wciąż gapiła się w komórkę. Jej długie proste włosy lśniły w popołudniowym słońcu rudawym blaskiem, który pięknie współgrał z kolorami jesieni. Brunet przesunął wzrokiem po jej sylwetce, zachwycił się szczupłą talią, krągłością niewielkich piersi i zgrabnymi nogami, które eksponowała krótka dżinsowa spódniczka zakończona falbanką. Gdyby zechciał, gdyby naprawdę postarał się ją dopaść, mogłaby być jego, powiedział sobie, oblizując usta.

Wtedy nieznajoma uniosła głowę, zaniepokojona dochodzącym z ulicy odgłosem gwałtownego hamowania, i ich oczy na moment się spotkały. Posłała mu uśmiech. Ładny, szczery, szeroki, po czym wróciła do telefonu.

Wszystkie się uśmiechają, pomyślał. Wytresowane przez społeczną presję i własne matki, od

najmłodszych lat szkolone do bycia miłymi, grzecznymi i potulnymi. Małe kobietki, które czasem zbyt późno odkrywały, że wody, po których pływają, są pełne żarłocznych rekinów.

Nagle ktoś do niej zadzwonił. Uśmiechnęła się na widok numeru, który wyświetlił się w telefonie, i odebrała połączenie. Rozmawiała krótko, ale mężczyzna czuł, że z kimś dla niej ważnym. Później schowała komórkę do niewielkiej torebki w pistacjowym kolorze, poprawiła włosy i skierowała się w dół ulicy.

Ruszył za nią.

Nie podchodził zbyt blisko, by się nie zorientowała, że ma ogon, ale też starał się nie stracić jej z oczu. Chód miała lekki, zmysłowy, rozkołysane biodra kusiły, przywoływały go, pobudzały wyobraźnię. Gdyby zostali sami, rozbierałby ją powoli, celebując każdą chwilę. Zrobiłby z tego rytuał, nabożeństwo ku czci śmierci, mroku i pożądania. Zatrzymała się na światłach, a on zwolnił i odwrócił głowę, udając, że ogląda wystawę sklepu obuwniczego. Słońce schowało się za chmury, ale jej rudawoblond włosy nadal pięknie lśniły. Starał się w nią nie wgapiać, ale i tak się gapił...

Kiedy skręciła w Olsztyńską, przyspieszył kroku. Mijali stojące przy ulicy kamienice, a ona szła, rozmawiając przez telefon, który przed momentem rozdzwonił się w jej torebce. Rozboliła go głowa, nie wyspał się i miał dość kiepski nastrój. Poza tym musiał wracać do swoich zajęć, nie pora na bieganie po mieście, powiedział sobie, ostatni raz spoglądając na wchodzącą do bramy dziewczynę. Nigdy się nie dowie, jakie miała szczęście. Już niemal zdecydował, że będzie następna i zrobi wszystko, by ją dorwać, ale nagle zmienił zdanie. Nie, to jeszcze nie jest to. Szukał czegoś specjalnego, absolutnej perełki. Kobiety, która sprawi, że każdy jesienno-zimowy wieczór będzie pełen wspomnień.

Był na Mickiewicza, gdy ją zauważył. Nie, nie była idealna, wręcz przeciwnie – niska, pulchna, o mocno puciołowatej twarzy i cienkich, sięgających trochę za ramiona włosach. Nie o wygląd jednak mu chodziło, ale o to, kim była.

Lena „Osa” Osowska. Znał jej kanał, oglądał go wieczorami. Nie był to może najciekawszy z polskich kanałów mówiących o prawdziwych zbrodniach, ale prowadząca miała w sobie coś, co go przyciągało i irytowało jednocześnie. Była pyskata, krnąbrna i uparta. Czasem za głośno się śmiała, lubiła czarny humor i sprawiała wrażenie nieutemperowanej. Na myśl o tym, jak bardzo chciałby ją utemperować, nerwowo przełknął ślinę.

Weszła do drogerii. Stał po drugiej stronie ulicy i zastanawiał się, co począć. Robiło się późno, powinien właśnie zmierzać na drugi koniec miasta, ale ostatecznie zawsze może czymś podjechać. Wyszła z drogerii kilka minut później. W ręku miała coś, co z daleka wyglądało na szampon lub odżywkę.

Sledził ją aż do kamienicy, w której zapewne wynajęła apartament. Później zapamiętał adres i uśmiechając się pod nosem, ruszył ulicą. Jeszcze nie wiedział, co jej robi, ale obiecał sobie, że będzie wyjątkowo kreatywny. Takim jak ona wydawało się, że są bezpieczne.

Hobbystycznie zajmowały się takimi jak on, ale zbliżały się wyłącznie na odległość kontrolowaną, dawały lekkiego pstryczka w nos i liczyły na to, że w porę uda im się uciec. Mężczyzn jego pokroju traktowały jak niebezpieczne okazy drapieżników przetrzymywanych w miejskim ZOO – można na nie patrzeć z daleka i zza siatki. Ale nie zawsze udawało się im umknąć. Uśmiechnął się pod nosem.

Kiedy w kieszeni jego bluzy odezwała się komórka, oprzytomniał i wrócił do rzeczywistości.

– Witaj, Krzysiu – rzucił na widok numeru dawnego znajomego.

Głos miał spokojny, sympatyczny, wręcz przyjazny. Jego ton nie zdradzał tego, co przed momentem działo się w jego głowie. Rozmawiali krótko. Obiecał Krzysztofowi, że podrzuci mu coś, co już dawno temu miał mu zawieźć, i pospiesznie się rozłączył.

Myśląc o reszcie dnia, poczuł się zmęczony. Wielu ludzi ciągle czegoś od niego chciało, a on marzył tylko o tym, by móc żyć po swojemu, tak jak lubił. Ostatnio pomyślał, że kończy mu się czas. Któregoś dnia wpadnie. Ktoś coś skojarzy, coś wyjdzie na jaw albo on sam coś spartaczy. Skończy w celi, chyba że wcześniej zdąży odebrać sobie życie.

Z jego śmiercią przypadnie pamięć o poświęceniu ofiar, ich męczeństwie i bezbrzeżnym, choć nie dobrowolnym oddaniu. Ta świadomość go zasmucała, sprawiała, że czuł pustkę. Gdyby mógł żyć wiecznie, przez setki czy tysiące lat, nosiłby w sercu wspomnienia. Ale jego czas się kończył, czuł to tak wyraźnie jak kwiatowy zapach perfum idącej przed nim starej baby w brzydkiej musztardowej sukience, która za mocno opinała się na jej pośladkach. Ten widok napełnił go takim obrzydzeniem, że przeszedł na drugą stronę ulicy. Młode kobiece ciała miały jeszcze jakąś wartość, stare tylko go mierzily.

Przystając obok piekarni, pomyślał o matce. Tak, musi w końcu do niej zadzwonić, obiecał sobie.

Odebrała po kilku dzwonekach, chyba ją obudził. Odkąd zdiagnozowano u niej cukrzycę, lubiła sobie ucinać krótkie drzemki w ciągu dnia, zwłaszcza popołudniami.

– Nie odzywasz się. Nie dzwonisz, nie piszesz – zaczęła od wyrzutu.

– Byłem zajęty – odparł cicho, a ona parsknęła śmiechem.

– Czym? – zapytała.

– Wieloma sprawami, przecież wiesz, że...

– Nie mogę teraz rozmawiać – weszła mu w słowo. – Zadzwonię wieczorem.

– Dobrze, zadzwonię – obiecał.

Rozłączyła się bez pożegnania. I chociaż wiedział, że to głupie, poczuł złość. Ta suka zawsze traktowała go tak, jakby był pociesznym szczeniakiem prowadzonym na smyczy. Gdyby знаła prawdę o nim, gdyby tylko wiedziała...

Nagle zdecydował. Powie jej. Nie wprost, ale jednak zrobi coś, co nią wstrząśnie. Kupując bułki, zastanawiał się, którą ze swoich bezcennych pamiątek mógłby wysłać matce pocztą i ostatecznie zdecydował, że będzie to kilka zębów Aleksandry Siemaszko. Później jednak pomyślał o policji i ten plan stracił na atrakcyjności. Gdyby matka wezwała psy, nie mając pojęcia, że to własny syn przesłał jej coś tak makabrycznego, byłoby po nim. Nie! Nie może się pogrążyć i na własne życzenie kopać sobie grobu! Może i ta apodyktyczna stara suka umrze w nieświadomości, ale przynajmniej on zachowa wolność. Zachowa ją na trochę dłużej, bo co do tego, że do końca swoich dni, raczej się nie łudził.

Późnym wieczorem, ze szklanką whisky w ręku, obejrzał dwa ostatnie filmy na youtubowym kanale Osy i uśmiechnął się pod nosem na myśl, że niebawem jakaś inna wygadana zarozumiała youtuberka będzie opowiadać o tym, co przytrafiło się jej koleżance w urokliwej Ostródzie. Kiedy dopił alkohol, spojrzął na trzymane w dłoni zęby ostatniej ofiary. Przerzuczał je przez chwilę z ręki do ręki, w końcu włożył je pod poduszkę, nalał sobie jeszcze jedną porcję whisky, wychylił ją duszkiem i położył się spać.

Rano opracując plan porwania Osowskiej, obiecał sobie, przykładając głowę do poduszki. A później kto wie... Może nawet obedrze tę głupią dziwkę ze skóry? To, co zrobił ostatnio i co widział w Afryce, przestało mu wystarczać. Chciał nowych doznań, podniet różnych od tych, które dane mu już było poznać, pragnął kolejnego kroku w otchłań szaleństwa.

Oczywiście wiedział, że jest szalony. Bezbłędnie odróżniał dobro od zła i był w pełni świadomy tego, jakim stał się potworem. Jednak nawet to nie zdołało go powstrzymać, obłąkany pęd ku mrocznej stronie duszy był nie do okiełznania. Mrok go oblepił, wchłonął, pożarł żywcem. Jego myśli, pragnienia i marzenia należały wyłącznie do sił zła, ponurych, bezlitosnych hord ciemności, które za jego pośrednictwem wyciągały zakrzywione szpony po kolejne krwawe zdobycze.

Nagle pomyślał o krwi i nerwowo przełknął ślinę. Nie wiedział czemu, ale od jakiegoś czasu pragnął jej skosztować. Ludzka krew była tabu, lecz on zawsze pragnął tego, co zakazane. Leżąc w ciemności, wyobrażał sobie, jak rozcina Osie gardło, a później przywiera wargami do jej delikatnej aksamitnej skóry i chłpcze, chłpcze, chłpcze aż do nasycenia, dopóki stróżka jej wciąż ciepłej krwi nie wypłynie mu z kącika ust. Zrobi z nią wszystkie te rzeczy, o których dotąd tylko marzył.

Autostopowiczka była jedynie przystawką przed daniem głównym. Stać go na wiele, wiele więcej, pomyślał. Był geniuszem obłąkania, kreatorem mroku. Brał wszystko, czego zapragnął, rozdawał karty. Współczesne kobiety łudziły się, że są bezpieczne w świecie, który ma prawa, paragrafy i humanitarne reguły współistnienia. On pokaże im, jak bardzo się mylą. Mężczyźni mają siłę, a co za tym idzie, władzę nad ciałami kobiet. Kobiety mogą sobie jedynie wmawiać, że są paniami własnego losu. Są przegrane już na starcie. Muszki w starciu z pajakiem.

Śnił koszmary pełne krwi, krzyków i bólu. Obudził się podniecony, gotów do działania i już kilka minut po szóstej rano stał naprzeciwko wejścia do kamienicy, w której Osa wynajęła apartament.

Ciekawe, ile zachodu będzie go kosztowało jej uprowadzenie? Jak łatwa w obsłudze okaże się laska, która od kilku lat instruuje w sieci kobiety w kwestii bezpieczeństwa? Nachodzi się, by ją dorwać, czy wszystko pójdzie gładko? – zastanawiał się. Czekał, wyobrażał sobie rzeczy, które zrobiłby wielu znajomym kobietom, gdyby wiedział, że ujdzie mu to na sucho, a na jego pociągłej przystojnej twarzy pojawił się jeszcze szerszy uśmiech.

Mijająca go kobieta w wąskiej zielonej sukience i ciemnym płaszczu spojrzała na niego kokieterystycznie.

Kolejna idiotka, pomyślał, nie odwzajemniając uśmiechu. Zawsze się do niego uśmiechały. Prawie wszystkie. Odgłos jej stukających o chodnikowe płytki wysokich obcasów jeszcze długo rozbrzmiewał w jego głowie. Patrzac, jak znika za rogiem, żałował, że nie może jej mieć. Chciał zdobyć je wszystkie, zrobił się ostatnio bardzo zachłanny, przerażająco głodny.

Ostróda, październik 2022

Kamila zebrała ze stolika brudne talerze, zniosła je do kuchni i wróciła, by przetrzeć blat. Po tym, co zaszło w willi Lipińskiego, wzięła urlop na życzenie, ale w końcu zdecydowała, że nie będzie się dłużej ukrywać i dzień później pojawiła się w karczmie Pod Żłotym Jeleniem.

Szefa nigdzie nie było widać, co przyjęła z ulgą. Czuła jednak, że nawet mimo to dniówka będzie jej się dłużyć.

Jakąś godzinę później nakrywała do zarezerwowanego na czternastą sześciuosobowego stolika przy oknie, kiedy do karczmy wszedł Arkadiusz. Na widok właściciela przygryzła wargę. Więc jednak się przypałętał, i to jeszcze przed obiadem. Opuściła głowę, udając, że go nie widzi, ale ruszył w jej stronę. Ja pierdole, zaklęła w duchu, spanikowana i poirytowana jednocześnie.

– Dzień dobry – rzucił.

Co nagle tak formalnie, ty buraku? – pomyślała, niechętnie odwracając się w jego stronę.

– Wzięłaś wczoraj urlop – dodał cicho.

– Owszem, na życzenie. Mam prawo do czterech...

– Kamila, pogadajmy – wszedł jej w słowo. – Na zewnątrz, nie tutaj. – Ruchem głowy wskazał rozciągający się na tyłach karczmy taras z widokiem na jezioro.

– Nakrywam do stołu – oświeciła go, ale nie zamierzał ustępować.

– Daj spokój, jest jeszcze mnóstwo czasu. Rezerwacja dopiero od czternastej, zresztą Ulka może cię zastąpić.

– Dobrze, wyjdźmy na chwilę. – Zgodziła się głównie dla świętego spokoju. – Pójdę po płaszcz, nie chcę się zaziębić. Zaraz tam przyjdę – obiecała.

Kiedy weszła na zaplecze do niewielkiej szatni, w której personel trzymał okrycia, torebki i telefony, oprócz płaszcza wyjęła z wąskiej metalowej szafki komórkę, którą po uruchomieniu funkcji dyktafonu wsunęła do kieszeni.

Później przeszła przez pustawą o tej porze karczmę i tylnymi drzwiami wyszła na pełen stolików taras, który pewnie za tydzień czy dwa zostanie zamknięty na zimę. Ale póki co wciąż można było tu usiąść, mimo że tego akurat dnia od jeziora mocno wiało, a słońce co chwilę chowało się za ciężkimi szarymi chmurami.

– Kamila, przede wszystkim bardzo cię przepraszam – zaczął Arkadiusz skruszonym tonem, kiedy w zarzuconym na ramiona płaszczu stanęła obok niego, tuż przy barierce. – Usiądziemy? – spytał z nadzieją w głosie.

– Jasne – mruknęła, chociaż nie miała na to najmniejszej ochoty.

Zanim usiedli, Arkadiusz podsunął jej krzesło.

Znalazł się, kurwa, džentelmen, pomyślała, siadając.

– Wiem, że to w żaden sposób mnie nie usprawiedliwia, ale byłem wtedy pijany. Naprawdę mocno mnie walnęło, dawno się tak nie urzynałem. Podobasz mi się od dawna, ale to nie znaczy, że miałem prawo tak się zachować. Kamila, przepraszam. Poważnie. Najebałem się, poniosło mnie. No bywa, cholera, życie. Ale przyrzekam, że palcem cię już nie tknę, tylko nie odchodź. Jesteś jedną z moich najlepszych kelnerek, byłaby spora strata. Lubię cię, szanuję i nie chciałbym, żebyś się czuła niezręcznie tylko dlatego, że zachowałem się jak ostatni prostak. Proszę, zostań. Zostań i uwierz, że żałuję – powiedział, patrząc jej w oczy.

Bardzo starała się nie myśleć o tamtej nocy, swoim upokorzeniu, jego końskich zalotach i swoim koszmarnym powrocie przez ciemny las, kiedy trzęsąc się ze strachu i zimna, brnęła przez błotniste koleiny pustej drogi w lesie.

Powinam dać mu w pysk, wyjść i nigdy więcej tu nie wrócić, pomyślała. Dzięki temu zachowałaby twarz, a on by zrozumiał, że pewnych granic się nie przekracza. Co więcej, intuicja podszeptowała jej to

samo. W kółko powtarzała sobie, że powinna olać tę pracę i odejść. Z drugiej jednak strony lubiła Złotego Jelenia, atmosferę, która panowała w karczmie, kelnerki i kelnerów, a do niedawna również Lipińskiego, który nie był wcale najgorszym szefem.

– Zostaniesz z nami? – Arkadiusz nakrył jej dłoń, ale zaraz cofnął rękę. – Przepraszam, wybacz – zreflektował się.

– Dobrze. Ale wiedz jedno: jeśli jeszcze raz zachowasz się tak niestosownie, to nie tylko odejdę, ale i opowiem o wszystkim mężowi – zagroziła.

– Czyli jeszcze mu nie powiedziałaś? – Na gładko ogolonej pociągłej twarzy Arkadiusza odmalował się wyraz nieklamanej ulgi.

– Oczywiście, że nie! Myślisz, że tak byś tu sobie ze mną siedział, gdybym opowiedziała Adrianowi, co zaszło u ciebie w domu?! Moja noga nie przekroczyłaby progu twojej knajpy, gdyby mój mąż o tym wiedział! Nie powiedziałam i nie powiem nikomu. Nikomu, nawet najlepszej przyjaciółce. W zamian ty będziesz się trzymał ode mnie z daleka. Macaj sobie te laski, które na ciebie lecą – poradziła mu, ironicznie się uśmiechając.

– Okej. Więc mamy jasność. Zostajesz, a ja zachowuję się wobec ciebie szarmancko. – Puścił do niej oko.

– Byłoby miło – warknęła. – To wszystko? Jeśli tak, chciałabym wrócić do pracy. Wynagrodzenie za tamtą noc możesz mi wysłać przelewem. – Przypomniała sobie o pięciu stówkach, które szef był jej winien.

– Dostaniesz je w gotówce, tu i teraz. – Arkadiusz uśmiechnął się, sięgnął do wewnętrznej kieszeni eleganckiego krótkiego płaszcza, w którym ostatnio chodził na okrągło, i wyjął z niego beżową kopertę. – Otwórz w domu. Nie przy innych, wiesz, o co chodzi – dodał cicho, a ona zerknęła w stronę okien, jakby bała się, że ktoś z wnętrza karczmy ich podgląda.

Ale nikt nie patrzył w ich stronę, wsunęła więc kopertę do kieszeni, skinęła Arkadiuszowi głową i odsunęła krzesło, żeby wstać.

– Czyli między nami okej? – upewnił się.

– Tak. Dziękuję za kasę. – Wysiliła się na chłodny uśmiech i ruszyła w stronę przeszklonych drzwi.

Kiedy weszła do środka, w pośpiechu przeszła na zaplecze, sprawdziła, czy dyktafon nagrał rozmowę, a później upchnęła kopertę od Lipińskiego do torebki, powiesiła na wieszaku płaszcz, przeczesała palcami włosy i wróciła do sali.

Mijając stolik, przy którym usiadło właśnie dwóch mężczyzn w średnim wieku, uśmiechnęła się promiennie i rzuciła, że zaraz poda im kartę.

Idąc po nią, kątem oka zauważyła, że Lipiński otwarcie i zapewne na złość jej flirtuje z jedną z nowych kelnerek. Odetchnęła z ulgą. Może w końcu się od niej odczepi?

Dzień później przed pracą, po tym, jak zawiozła córeczkę do teściowej i zrobiła szybkie zakupy, wpadła do Anety, która miała jej ponoć coś bardzo pilnego do powiedzenia.

– Cześć, kochana. Co to za wieści? – Pocałowała przyjaciółkę w policzek, a tamta wzięła od niej płaszcz, powiesiła go na wieszaku przy drzwiach i przeciągle westchnęła.

– Niewesołe – powiedziała cicho.

– Coś się stało? – Kamila przypomniała sobie zeszłoroczne problemy zdrowotne przyjaciółki i złapała ją za rękę.

– Tak, ale nie panikuj. Wkurzyłam się i tyle. Chodź, usiądziemy w kuchni. Zaparzę kawę, zjemy ciasto. – Aneta pociągnęła ją w głąb mieszkania.

– Lepiej sypiasz? – zapytała Kamila, siadając przy stole.

– Różnie. Nocami ktoś się kręci po klatce, mówiłam ci. Sąsiadka mówi, że to jakiś młody facet nocuje na schodach. Z jednej strony żal człowieka, a z drugiej strach. Wiadomo, co to za jeden? No ale mają już naprawić zamek w drzwiach wejściowych, więc będzie lepiej. A ściągnęłam cię tu, żeby wypytać o Leszka.

– Leszka Hartmana? – zdziwiła się Kamila. – Coś się stało? Myślałam, że jesteś zadowolona z jego zajęć.

– Z zajęć tak. Ale nie chodzi o zajęcia. Umówiłam się z nim. Przedwczoraj, na kolację. Miał się u mnie zjawić wczoraj, ale w ostatnim momencie odwołał spotkanie. A ja zrobiłam nawet pieczeń. Pieczony filec z indyka w miodowej glazurze, z sosem sojowym, wyobrażasz sobie? Jak ostatnia idiotka!

– Czekaaj, czekaaj! Ale jak to, umówiłaś się z Hartmanem?

– No spodobał mi się i tak jakoś wyszło...

– Ale on chyba kogoś ma. Adrian coś mi tam wspominał, że od niedawna posuwa jakąś instruktorkę zumbi.

– Co?! A mnie mówił, że jest wolny! – Aneta poczerwieniała ze złości.

– No nie wiem, może już z nią zerwał? I co, nie przyszedł? Powiedział czemu?

– Nie. Napisał mi tylko, że coś mu wypadło, a później martwa cisza. Nie zadzwonił, nie wysłał drugiego esemesa, nic.

– Może faktycznie coś mu wypadło?

– Co? Wpadł pod trolejbus? – parsknęła Aneta.

– W Ostródzie nie ma trolejbusów.

– Właśnie! Wystawił mnie dla innej, nie widzę innego wytłumaczenia.

– Daj spokój, opcji może być wiele. Pogadacie na spokojnie, on wszystko ci wyjaśni. Nie świruj. – Kamila poklepała przyjaciółkę po plecach. – Jeśli między wami coś ma być, to się jakoś poukłada. A jeśli nie traktował cię poważnie, to jego strata.

– Tiaaaa, jego strata... Mam trzydzieści cztery lata, Kamila, i ciągłego pecha w miłości! Ileż można, kurwa?! Moje przyjaciółki zdążyły już urodzić dwójkę albo trójkę dzieci, niektóre nawet złapały drugiego męża, a ja nadal sama.

– Przepraszam cię bardzo, ja zdążyłam urodzić dopiero jedno i na kolejne się nie zanosi – zaśmiała się Kamila. – A małżeństwo nie jest wcale taką bajką, jak mogłoby się wydawać. – Mrugnęła do koleżanki.

– Nie narzekaj, bo to grzech, kobieto. Trafił ci się niezły przystojniak, w dodatku niegłupi, wierny i z ciekawą pracą.

– Z koszmarną pracą – skrzywiła się Kamila. – Wiem, że ją uwielbia, ale wołałabym chyba, żeby nie pracował w policji. Boję się o niego, poza tym coraz częściej widzę, jak to się na nim odbija. Stres, nieprzespane noce, to, co czasem ogląda...

– Daj spokój, to Ostróda, a nie slumsy Bangladeszu. Pomijając ten zeszłoroczny koszmar na poligonie, Adrian nie ogląda takich znowu strasznych rzeczy! – Aneta się zaśmiała i wstała, by sięgnąć po talerz z pokrojonym ciastem.

– Nie tucz mnie, kobieto – skrzywiła się Kamila, ale sięgnęła po widelczyk, żeby spróbować sernika. – A wracając do Adriana, martwię się o niego. Ostatnio fatalnie sypia, ciągle chodzi zamyślony, widzę, że coś go gryzie.

– A kto dobrze sypia, kochana? – Aneta wzruszyła ramionami. – Cieszyłam się na tę randkę z Leszkiem między innymi dlatego, że cholernie brakuje mi poczucia bezpieczeństwa. Z chłopem w domu lepiej bym się czuła. Brakuje mi tego, Kamila, no po prostu tęsknię za tym, żeby znowu zasnąć w czyichś ramionach.

– Wyjdź za męża, spędź z facetem parę lat, to zobaczysz te romantyczne sceny łóżkowe: on chrapie albo w środku nocy domaga się seksu, ściąga z ciebie kołdrę i całą noc się wierci, a kiedy się budzisz rano, jesteś tak skonana, jakbyś w nocy z tonę węgla przerzuciła.

– Tonę węgla? Przerzuciałabym – zaśmiała się Aneta, nawiązując do obecnej sytuacji w kraju, a Kamila w milczeniu dokończyła sernik. – Twój Adrian podobno się z nim przyjaźni – odezwała się po chwili milczenia. – Z Hartmanem.

– Wiem, załapałam. Tak, znają się od lat, chadzają razem na piwo, czasem do kina, przecież wiesz.

– Wypytasz go trochę o Leszka? No wiesz, jaki jest, czy warto się z nim umawiać, czego mogę się spodziewać? Ale chyba nie pije?

– Leszek? Nie, nie sądzę. Czasem kilka piw, jak mój Adrian. Bywa, że whisky czy parę głębszych. Kiedyś upił się na weselu, ale tylko raz widziałam go aż tak załatwionego. Zazwyczaj pije niewiele, trzyma fason. A o tę instruktorkę zumbi to Adriana wypytam. Czy jeszcze z nią jest, czy zerwali. Gdyby grał na dwa fronty, to byłoby nieciekawie.

– Faceci – skrzywiła się Aneta.

– No, wiem. – Kamila śmiesznie zmarszczyła nos, a przyjaciółka zapytała ją, co w pracy.

Kiedy padło pytanie o Złotego Jelenia, Kamila przez chwilę chciała opowiedzieć przyjaciółce o wszystkim, co zaszło w rezydencji Lipińskiego, ale zważyła w sobie tę pokusę. Nie, pewne rzeczy warto

zachować dla siebie, zdecydowała.

Kiedy się pożegnały, wyszła przed kamienicę, w której mieszkała Aneta, i ruszyła w stronę swojego zaparkowanego nieopodal samochodu. W aucie, szukając w torebce kluczyków, przypomniała sobie o eleganckiej beżowej kopercie, którą dzień wcześniej wręczył jej Lipiński. Po pracy do niej nie zajrzała – wróciła do domu skonana i kompletnie o tym zapomniała. Otworzyła ją więc, siedząc w samochodzie, i mruknęła „Wow”, widząc, że zamiast pięciu stówek Lipiński włożył do koperty dwa tysiące złotych, najwidoczniej w ramach rekompensaty za swoje zachowanie tamtej nocy.

– Miło, nie powiem. – Uśmiechnęła się i nagle poczuła jakby cień ciepłych uczuć do szefa.

Mimo że zachował się wtedy jak rasowy oblech, ostatecznie wyszedł z tego z twarzą, pomyślała. Potrzebowali z mężem kasy, a taki zastrzyk gotówki umili im bieżący miesiąc.

Wsuwała banknoty z powrotem do koperty, kiedy zauważyła, że w środku jest coś jeszcze. Bransoletka z zawieszka w kształcie koniczynki. Na jej oko złota, jeszcze z metką. Do niej Lipiński załączył maleńki ozdobny kartonik, na którym odręcznie napisał: „Noś ją, na szczęście! I proszę, mimo wszystko myśl o mnie dobrze”, przeczytała.

– Bez jaj – mruknęła, wpatrując się w wyjęte z koperty złote cacko.

Świetnie wiedziała, że powinna mu ją zwrócić. Prezent był za drogi i zdecydowanie niestosowny, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że była mężatką. Ale kiedy założyła bransoletkę na rękę, momentalnie się w niej zakochała. Leżała pięknie i tak ślicznie połyskiwała w świetle słonecznego poranka. Powiem Adrianowi, że sama ją sobie kupiłam, pomyślała. A Lipińskiego chrzanię. W końcu dla niego to żaden wydatek, a ja będę miała coś nowego, powiedziała sobie.

W pracy jej nie założyła, ale następnego dnia na wizytę do fryzjera już tak. Była rasową kobietą i bardzo lubiła błyskotki. To chyba nie jest grzech?

Ostróda, październik 2022

Starszy sierżant Adrian Rożek siedział w radiowozie, czekając na swojego partnera, starszego posterunkowego Rafała Góreckiego, który wyskoczył na moment do toalety w jednym z barów w centrum. W dłoni Rożek trzymał kubek z kawą, na kolanach styropianową tackę z kupionymi przed kwadransem naleśnikami – w domu nie zdążył bowiem zjeść śniadania. Kawa okazała się zbyt gorąca i oparzyła mu podniebienie.

– Kurwa – zaklął, krzywiąc się z bólu.

W nocy prawie nie zmrzążył oka i teraz bolała go głowa, w dodatku miał fatalny nastrój, bo z samego rana zgłoszono zaginięcie Belli, tej prostytutki, która niedawno przysłała do niego z informacją o swoim dziwnym kliencie. Na myśl o tym, że zniknęła, robiło mu się niedobrze. Czuł się za to odpowiedzialny. Nie dopilnował jej, być może zbyt lekko podszedł do jej roli w sprawie, a ona sama nie uświadamiała sobie, na jakie niebezpieczeństwo się naraża, rozmawiając z policją. A teraz zniknęła.

Oczywiście na komendzie zgłoszenie zostało niemal całkowicie zbagatelizowane, a kilku jego kumpli wysiliło się nawet na parę idiotycznych żartów o pracujących dziewczynach – nikomu nie będzie się przecież chciało z jakimś szczególnym zaangażowaniem szukać zniszczonej życiem dziwki, która równie dobrze może przecież teraz leżeć w łóżku jakiegoś klienta, który zapłacił jej za coś więcej niż szybki numer.

Jej współlokatorka, również prostytutka, Ilona Halska, upierała się co prawda, że Bella nigdy nie zniknęła na dłużej bez powiadomienia jej o tym telefonicznie bądź esemesem, ale kto by wierzył prostytutce, czyż nie? Nieczuły system, brak kasy, chory świat. Nawet ci, którzy znaleźli się akurat w najgorszej sytuacji w życiu, bywali czasem katalogowani jako lepsi i gorsi zaginionieni, bardziej medialne przypadki i ciekawsze ofiary. Dotyczyło to, niestety, nie tylko dziwek. Świat zawsze bardziej się przejmie zniknięciem pięknej młodej matki niż tym, że nagle gdzieś się zawieruszy pięćdziesięciolatka z siwą skronią i nadmierną tuszą.

Kończył naleśniki, kiedy dostał zgłoszenie. Na Gizewiusza starszy mężczyzna zaatakował nożem młodszego, najprawdopodobniej swojego syna.

– Dobra, jedziemy – zdecydował i klaksonem ponaglił partnera, który właśnie wyszedł z baru.

Później cisnął na siedzenie pasażera tackę z niedojedzonym naleśnikiem, ostrożnie wypił jeszcze kilka łyków kawy, wyrzucił kubek przez okno do pobliskiego kosza na śmieci – trafił bezbłędnie, niczym światowej sławy koszykarz piłką – i przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Co jest? – zapytał Górecki, kiedy wsiadł do radiowozu, wyrzucił resztki naleśnika i zapiął pasy.

– Gizewiusza, zajście z udziałem noża.

– Grubo. A nie ma jeszcze południa. – Starszy posterunkowy zarechotał i obaj policjanci zamilkli.

Na Gizewiusza zastali tłumek gapiów i karetkę, która właśnie odjeżdżała z poszkodowanym. Sprawca siedział przed jedną z kamienic otoczony przez młodych mężczyzn z sąsiedztwa, którzy pilnowali, żeby nie zbiegł.

– Dobra, co jest? – zapytał Rożek, kiedy wysiadł z radiowozu i podszedł bliżej zbiegowiska. – Ktoś widział zajście?

– No wszyscy widzieli. Ten tutaj, stary Gołąb, rzucił się na syna z nożem – powiedział jeden z młodych mężczyzn, a kilka osób przytaknęło.

– Co z chłopakiem? Ciężko ranny?

– Lekko podobno, parę draśnięć. Ale gdybyśmy dziada nie obezwładnili, to nie wiadomo, co by było, bo chyba dopiero się rozkręcał.

– O co poszło, panie Gołąb? – zapytał Rożek. – Pan wstanie – zwrócił się do mężczyzny, który cuchnął tak, jakby nie mył się co najmniej tydzień. Miał przekrwione oczy, długą zmierzwioną brodę i podarte ubranie. – Pan z synem mieszka? Wstajemy, powoli.

– Z synem – wychrypiał Alojzy Gołąb, zanim z przeciągłym jękiem bólu stanął na nogi. – Stawy – dodał płaczliwym głosem.

– I o co wam poszło? O wódkę? Pieniądze? Czemu pan ranił chłopaka? – zainteresował się Rafał Górecki.

– Bo Bóg mi kazał – odezwał się nagle Gołąb, a przez tłumek stojących najbliżej gapiów przeszedł szmer niedowierzania.

– Bóg panu kazał dźgnąć nożem syna? – Rożkowi ciężko było uwierzyć w to, co usłyszał.

– Zabić kazał. Żeby moją wiarę przetestować. Zabić kazał, od miesiący o tym śniłem nocami, w głowie słyszałem ten głos. Nożem, powiedział. Wyraźnie mówił, że nożem – dodał Gołąb i po tym na dobre zamilkł.

– Kurwa, tak się właśnie kończy ślepy religijny fanatyzm. – Jeden ze stojących obok chłopaków splunął na chodnik i skinął na kumpli. – Zbieramy się, panowie. Nie ma się co gapić na oszołoma – zdecydował.

Czekali na prokuratora, kiedy Rożek zadzwonił do żony. Chciał pogadać, zapytać, jak spała. Rano się rozminęli, a on nagle za nią zatęsknił.

– Adrian, nie mogę teraz gadać – powiedziała.

– Bo? Nie jesteś jeszcze w pracy, a mała jest u mojej mamy. Co jest?

– No nogi depiluję. To coś ważnego? – rzuciła poirytowanym tonem.

– Po co depilujesz nogi? Jesień jest, włóż rajstopy – mruknął. – Nie musisz się od razu tak pindrzyć jak na wesele.

– Idę do pracy, kochanie. Jestem kelnerką, pamiętasz?

– Aż za dobrze. I wiesz co, powiem ci coś, bo już i tak dawno miałem ci to powiedzieć: uważam, że powinnaś zrezygnować.

– Słucham? – Dosłownie ją zatkało. – Zrezygnować z czego?

– Z roboty. Zarabiam chyba tyle, że byśmy jakoś dali sobie radę bez twojego kelnerowania. Zobacz, jak my żyjemy. Ja wracam po szesnastej, ciebie nie ma... Harujesz do późna, a kiedy przedpołudniami jesteś w domu, zazwyczaj nie ma mnie.

– Posłuchaj, to nie jest czas na takie dyskusje. Spiesz się. – Kamila cmoknęła w słuchawkę i przerwała połączenie.

Rozłączyła się?! Adrian nie mógł w to uwierzyć! Nigdy wcześniej żona nie zachowywała się w taki sposób, ale ostatnio... Depiluje nogi, jasne. Żeby się wdziękzyć do tego bogacza, Lipińskiego! – pomyślał, krzywiąc się na myśl o tym, co znalazł dzień wcześniej w jej torebce. Tak, czasem przeglądał jej rzeczy. Są w końcu gorsze nałogi. No więc zajrzał i znalazł dwa tysiące złotych w eleganckiej beżowej kopercie plus złotą bransoletkę! Od kogo? Mógł się jedynie domyślać, że od niego. Kto inny dałby jej tego typu prezent?

Ojciec zrobiłby jej przelew, a znajomi raczej nie wręczają sobie gotówki i biżuterii w kopertach ze złoconymi brzegami. Lipiński! Posuwa mu żonę czy dopiero się do tego zabiera? – zastanawiał się Adrian, stojąc przed kamienicą na Gizewiusza.

Cztery godziny później od znajomego gliniarza dowiedzieli się o znalezionej w okolicach Iławy martwej młodej kobiecie, której dotąd nie udało się zidentyfikować.

– Myślisz, że to Jagoda Wiśniewska? – zapytał starszy posterunkowy Górecki, kiedy jechali przez miasto, patrolując okolice ratusza.

– Skąd mam wiedzieć, jasnowidzący nie jestem. Mówią, że młoda i blondynka, ale to, jak wiesz, jeszcze nieoficjalnie.

– Szkoda by jej było. Taka ładna dziewczyna, porządna. Żadna tam bładz z tych, co to się włóczą nocami po knajpach, chleją więcej niż kolesie i puszczają się po bramach.

– Jest równouprawnienie, nie słyszałeś? A feministki mówią, że puszczają się, kiedy chcą – zaśmiał się ochryple Adrian.

– Coraz trudniej porządną kobietę znaleźć. Ale tobie to się żona udała, sierżancie – rzucił Górecki rozmarzonym głosem. – Ładna, zgrabna, pracowita. Jak sobie czasem idę na bigos pod Złotego Jelenia, to zawsze uśmiechnięta, sympatyczna. Nie to co te...

– Nie mów tyle o mojej żonie – warknął Adrian. – Znajdź sobie własną babę.

– Szukam przecież, ale nie ma w czym przebierać. Same zdziury – skrzywił się Górecki.

– Może szukasz w złych miejscach? – zasugerował Adrian.

– A jakie są dobre? Kościół? Dewotki nie chcą, nóg nie będzie chciała w wielkim poście rozkładać –

zarechotał.

– Rozłóż, rozłóż. Największe cichodajki to katoliczki, nie wiesz o tym? – mruknął Adrian.

– Jeszcze biblioteka zostaje, nie? – zaśmiał się Górecki. – Ale dla tych czytanych lasek to ja chyba za głupi jestem. Książki w ręku nie miałem chyba jakoś od matury.

– To nie tak dawno, co, szczyłu? – Adrian oderwał wzrok od drogi, by puścić do młodszego stażem kolegi oko, i zwolnił przed światłami. – Jest jeszcze wiele fajnych dziewczyn, trzeba tylko mieć fart. Młody jesteś, znajdziesz jakąś – pocieszył go.

– Skoro tak mówisz, sierżancie – mruknął Górecki, ucinając dyskusję.

– Zjemy dziś w Złotym Jeleniu? Ja stawiam – powiedział nagle Adrian.

– Co? Obiad? Tam drogo przecież jest. Wpadam do nich na bigosik od święta, ale tak na co dzień...

– Mówię, że stawiam.

– No dobra, jak tak, to bardzo chętnie. Tylko nie oczekuj rewanżu, sierżancie, bo to raczej nie na mój portfel.

– Spoko, nie oczekuję. – Adrian zjechał w kierunku karczmy, w której pracowała jego żona, i zerknął na zegarek.

Tak, idealna pora na obiad.

Kiedy zajechali przed Jelenia, od razu ją zauważył. Stała przed lokalem i rozmawiała z jednym z kelnerów.

Znał tego kolesia z widzenia i nie podobało mu się to, co widział. Wysoki przystojny blondyn, czuł, że w jej typie.

– Dobrze się bawisz? – zapytał, kiedy podszedł do żony, a ona zrobiła zaskoczoną minę.

– Co tu robicie? Stało się coś? – zdziwiła się, zerkając w stronę parkingu, na którym stał radiowóz.

– Stało się, owszem. Zgłodnieliśmy. – Mrugnął do niej. – Obsłużysz nas, kochanie? – Przyciągnął żonę do siebie i pocałował ją w usta.

– Przestań, co ty wyprawiasz? – syknęła. – Jestem w pracy.

– I co? Boisz się, że twój nadziany szef będzie zazdrosny? – zakpił.

– Adrian, o co ci chodzi?! – podniosła głos Kamila, a towarzyszący jej przystojny kelner chrząknął i się zmył.

– Zgłodniałem. O to mi chodzi. Masz coś przeciwko, że wpadłem?!

– Niczego takiego nie powiedziałam! Po prostu mnie zaskoczyłeś. Nigdy tu nie jadasz, a przynajmniej nie na służbie.

– No więc dzisiaj tu zjem. Co polecasz, kochanie? W domu mi nie gotujesz, to chociaż tutaj dobrze mnie nakarm.

– Czemu jesteś podły? – zapytała cicho.

– Podły? Mówię, jak jest. Kobiety nie lubią teraz gotować, co? Gary wam obrzydły, okej, rozumiem. – Adrian puścił do żony oczko i nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę wejścia.

W środku było tłoczno, głośno i świątecznie – mimo że był dopiero październik, karczmę zdobiły już bożonarodzeniowe zawieszki, a na belce pod sufitem rozwieszono jemiołę.

– Milusio – mruknął Adrian, rozglądając się po karczmie. – Masz dla nas stolik?

– Nie macie rezerwacji, ale coś się pewnie znajdzie. – Kamila rozejrzała się po sali i wskazała im stolik w głębi.

– Co, tam? Przy wejściu do kibla męża sadzasz? – parsknął Adrian, ale posłusznie ruszył za nią przez salę.

– Zaraz przyniosę menu – powiedziała, nie patrząc mu w oczy.

– Daruj sobie. Po prostu powiedz, co nam polecasz. Kolega też jest głodny – rzucił Adrian.

– Nie wiem, gołąbki? Mamy też dziś flaki i dobry bigos.

– Flaki? Nie znoszę. Ale skąd możesz o tym wiedzieć, przecież nie przesiadujesz w kuchni. Gołąbki mogą być. A dla ciebie? – Adrian zwrócił się do siedzącego obok Góreckiego, który w milczeniu przysłuchiwał się jego rozmowie z żoną.

– Bigos poproszę – zamówił starszy posterunkowy.

– I dwie zielone herbaty do tego. Wolałbym piwo, ale cóż... – Adrian się skrzywił i złapał żonę za rękę. – Seksownie wyglądasz w tym uniformie, kotku. Jak te kelnerki z amerykańskich filmów. Może

czasem założysz go w domu? – zaśmiał się, a ona się zaczerwieniła.

– Nie rób z siebie pajaca! – syknęła i ruszyła w głąb sali, w stronę kuchni.

– Ostro sobie z nią pogrywasz, sierżancie – zauważył Górecki.

– Z babą zawsze trzeba ostro, inaczej się rozbestwi – mruknął Adrian, wciąż rozjuszony wspomnieniem znalezionej w torebce żony beżowej koperty z gotówką i złotą bransoletką.

A jeśli zdradza go od dawna? Kto wie, może nawet Amelka nie jest jego? Co, jeśli to córka tego snoba Lipińskiego albo jakiegoś innego typu? Kamila całe godziny spędza poza domem, miałyby mnóstwo okazji, by przyprawić mu rogi. Myśl, że żona mogłaby się puszczać, uwieriała go niczym szorstki kołnierzyk od spranej koszuli. Co, jeśli był ostatnim idiotą niewidzącym tego, co się dzieje za jego plecami? Ufał jej. Zawsze tak jej ufał! A ona czym mu odpłaca?! Depiluje nogi, jasne! Diabli wiedzą, komu się już dziś dała zmacać na zapleczu, suka!

– Dobrze się czujesz, sierżancie? – z zamyślenia wyrwał go głos Góreckiego.

– Gorąco tu – mruknął.

– Trochę. – Górecki zerknął w stronę paleniska, na którym płonął ogień, a później w stronę uchylonego okna. – Ale nie jakoś szczególnie.

– Kurewsko gorąco – odszczeknął Adrian. – Zaraz wracam – dodał, po czym wstał od stolika i ruszył w głąb sali.

– Adrian, usiądź. Widzisz, że mam pełne ręce roboty. – Kamila, która akurat niosła dwa talerze z bigosem, skrzywiła się na jego widok.

– Chcę pogadać – uparł się, kiedy postawiła je na stoliku zajęтым przez dwóch starszych mężczyzn i posłała im dyskretny uśmiech.

– Nie tutaj – syknęła.

– A gdzie?! Kiedy wrócisz, będziesz zmęczona! Zero seksu, zero rozmowy, po prostu padniesz na łóżko! Rano z kolei ja się spieszę, a w nocy...

– Ucisz się! Przyszedłeś robić mi sceny w pracy, poważnie?! Co się z tobą dzieje, Adrian? Nie poznaję cię, odkąd...

– Co się ze mną dzieje? Co się dzieje z tobą? – warknął, łapiąc żonę pod rękę.

Był w mundurze, więc kilka osób zaczęło się im otwarcie przyglądać, ale miał to gdzieś.

– Pytałem, co się z tobą dzieje?! Z kim się puszczasz, słonko? – szepnął jej do ucha, wciąż mocno ją trzymając.

– Oszalałeś?! Kurwa, odwalilo ci! – Wyrwała się mężowi i z oczami pełnymi łez pobiegła na zaplecze.

– Co się tu dzieje?! – Arkadiusz Lipiński wyrósł za plecami policjanta tak nagle, że ten drgnął, zaskoczony.

– Nic, co mogłoby pana interesować – odburknął Adrian.

– Wręcz przeciwnie. To moja restauracja i mam prawo wiedzieć, co się w niej wyprawia.

– Rozmawiałem z żoną – wycedził Adrian. – A na co to wyglądało?

– Szarpał pan żonę, panie władzo.

– Rozmawialiśmy. A teraz zejdź mi z drogi, człowieku! – Adrian usiłował wyminąć restauratora w przejściu między stolikami, ale Lipiński nie zamierzał zejść mu z drogi.

– Prosiłbym uprzejmie, żeby pan wyszedł – powiedział.

– Słucham?! Właśnie zamówiliśmy! Czekam na pieprzone gołąbki! – Adrian poczerwieniał z wściekłości, nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

Jest tu w końcu klientem, do ciężkiej cholery! Jakim prawem się go wyprasza?!

– Więc zamówienie nie zostanie zrealizowane – oznajmił Lipiński lodowatym tonem.

– Jesteśmy głodni – warknął Adrian.

– Przyzna pan, że to nie mój problem. – Lipiński krzywo się uśmiechnął, a Adrian złapał go za kołnierz eleganckiego szarego swetra.

– Posuwasz ją?! Rzniesz moją żonę?! – wrzasnęła, a w karczmie zapanowała martwa cisza. Ucichł nawet brzęk sztućców.

– Sierżancie, wyluzuj może trochę. – Górecki, który właśnie podszedł do kłócących się Adriana i Arkadiusza, usiłował załagodzić sytuację, lecz Adrian podniósł rękę i wałną Lipińskiego pięścią w nos.

Jakaś kobieta krzyknęła, inna, siedząca nieco dalej, zasłoniła dłonią usta w wyrazie niedowierzania.

– Adrian, przestań! – Kamila, która wybiegła z zaplecza, złapała męża za rękę, ale ją odepchnął i rzucił się na restauratora.

Ku jego zaskoczeniu Lipiński potrafił się nie tylko bić, ale także bronić, i po chwili krewki gliniarz miał rozwalony nos.

Kiedy w końcu z pomocą dwóch młodych kelnerów udało się ich rozdzielić, mężczyźni dyszeli z wściekłości i zabijali się wzrokiem.

– Wypierdalaj mi stąd, leszczu! – warknął Lipiński.

– Zniszczę cię, śmieciu! – Adrian nie pozostał mu dłużny.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, ruszył w stronę pobliskiego lasu, gdzie najpierw kopnął przepełniony kosz na śmieci, a później wrzasnął „kurwa!” i usiadł przy stojącym tam piknikowym stole.

– Nie jest dobrze – odezwał się Górecki, który powłókł się tu za nim. – Ludzie nagrali wszystko telefonem, Lipiński właśnie dzwoni do szefa komisariatu, którego podobno dobrze zna, a pani Kamila płacze.

– Niech płacze, dziwka! To przez nią wszystko przecież! – warknął Adrian. – Zawieź mnie do domu – rozkazał młodemu, który posłusznie wziął od niego kluczyki.

Reszta popołudnia wlokła mu się w nieskończoność. Snuł się po domu, pił piwo za piwem i wydzwaniał do Kamili, chociaż przecież wiedział, że nie odbierze. Była w pracy, poza tym pewnie i tak nie chciałaby z nim gadać. Pięknie! Zajebicie sobie nagrabił! Nie dość, że zostanie pewnie dyscyplinarnie zawieszony, to jeszcze chuj wie, co z jego małżeństwem...

„Śpię dziś u rodziców, Amelka jest ze mną”. Dochodziła druga trzydzieści, kiedy żona wysłała mu esemesa.

„Wracaj do domu, kotku. Przepraszam Cię, odwaliło mi”, odpisał, ale Kamila nie odpowiedziała.

Zdradza mnie, nie ma innej opcji, uznał. Gzi się z tym bucem Lipińskim, poleciała na jego kasę. A teraz pewnie odbierze mu dziecko i się wyprowadzi. Na myśl o tym w bezsilnej złości walnął pięścią w ścianę.

– Kurwa! – ryknął, sam już nie wiedząc, czy wulgaryzm, który wyrwał się z jego ust, był po prostu zwyczajowym epitetem, czy może odnosił się do jego żony.

Kiedy wytrzeźwiał na tyle, by móc prowadzić, a przynajmniej uznał, że może, bo chłopacy z drogówki zdecydowanie by się z nim nie zgodzili, wsiadł w swój samochód i pojechał pod dom teściów.

Niestety nikt mu nie otworzył, a kiedy zaczął dobijać się do drzwi pięściami, ojciec Kamili wezwał patrol z firmy ochroniarskiej.

– Spierdalajcie! – wrzeszczał Adrian, kiedy dwa rosłe, wbite w ciemne uniformy byczki z ochrony wyprowadzały go poza teren posesji teścia. – Kamila! Kocham cię, słyszysz?! Kocham cię i nie pozwolę ci odejść!

– Pan się uspokoi albo przyjedzie policja – zagroził mu jeden z ochroniarzy.

– Ja jestem policją! Ja jestem, kurwa, w tym mieście policją! – wrzasnął Adrian, usiłując uderzyć chłopaka.

Wtedy po raz drugi tego dnia rozkwaszono mu nos.

Ostróda, październik 2022

Nadkomisarz Wiktoria Adamska gwizdnęła na psa, a kiedy jej brązowy dwuletni nowofundland wypadł z pobliskiego zagajnika i się z nią zrównał, truchtem ruszyła w stronę jeziora. Kilka dni wcześniej wróciła do pracy po dłuższej przerwie spowodowanej operacją; jej lewy jajnik wpadł niedawno pod skalpel, a ona musiała dojść do siebie i przede wszystkim odzyskać formę.

Pobyty w szpitalu, choroba i przymusowe unieruchomienie fatalnie się odbiły na jej psychice, a specjalny medyczny pas, który musiała zakładać po operacji, doprowadzał ją do szału, ale cały ten koszmar był już tylko wspomnieniem. Obecnie główną przyczyną jej irytacji była paskudna purpurowa blizna zdobiąca brzuch, lecz po konsultacji z chirurgiem plastycznym i ustaleniu pierwszego terminu laserowego wygładzenia pooperacyjnej szramy poczuła się znacznie lepiej.

– Uzi, zostaw! – Widząc, że nowofundland wacha rzuconą w trawę parówkę, Wiktoria krzyknęła i złapała psa za obroź.

Kto, do kurwy nędzy, rozrzuca parówki w trawie pod lasem? – pomyślała, zanim wyjęła z kieszeni chusteczki i przez jedną z nich złapała kiełbaskę, by cisnąć ją głębiej, pomiędzy drzewa brzoźowego zagajnika.

– Chodź, lecimy do domku! Pańcia znowu pracuje – dodała, a pies kilka razy szczeknął, jakby podzielał jej entuzjazm, i ruszył za nią w stronę osiedla, na którym mieszkali.

Półtorej godziny później, po dotarciu na komendę, zastała przed wejściem grupkę kolegów, którzy oglądali coś w telefonie Marka Cieślaka.

– Co jest? – zapytała, przystając obok.

– Cześć, Wika. Dobrze cię widzieć. – Jeden z młodych policjantów, z którym nie miała jeszcze okazji spotkać się po operacji, pocałował ją w policzek, a kilku innych się zaśmiało.

– Spokój, incele – rzuciła żartobliwym tonem i zapytała, co się dzieje.

– Adrian Rożek pobił właściciela karczmy. W mundurze, na oczach kilkunastu gości.

– Pierdolisz? – Wiktoria z niedowierzania aż rozchyliła usta.

– No zobacz, filmik od wczoraj krąży w sieci i na Facebooku. – Kolega wręczył jej telefon Cieślaka, by mogła odtworzyć nagranie, i przez ponad trzy minuty przyglądała się kłótni Lipińskiego z Rożkiem, by ostatecznie obejrzeć walkę obu rozjuszonych samców rozdzielonych w końcu przez kelnerów.

– Kurwa, ale jaja. Nie wiedziałam, że Rożkowi może tak odwalić – rzuciła, ponownie odtwarzając nagranie. – I co z nim? Stary wie? – zapytała z myślą o szefie komisariatu.

– Wie, wszyscy wiedzą. No nic, na razie pewnie nagana, a jeśli Lipiński oficjalnie wniesie zarzuty i będzie sprawa w sądzie, to zawieszenie – mruknął aspirant Marek Cieślak, odbierając od niej komórkę.

– Ale żeby tak o babę? – zaśmiał się jeden z młodych gliniarzy, a reszta zarechotała.

Tylko partner Adriana Rożka milczał, z ponurą miną stojąc obok rozbawionego towarzystwa.

– Ktoś do niego dzwonił? – zapytał, kiedy ucichli. – Wiecie, żeby z nim pogadać, podnieść chłopca na duchu...

– Próbowałem trzy razy, nie odbiera – odparł Cieślak.

– Ode mnie też nie odebrał – mruknął Mateusz Chorąży i wszyscy zamilkli, a chwilę później się rozeszli.

Poranek zleciał Wiktorii szybko, a w okolicach południa przyszło zgłoszenie o znalezionych w pobliżu jeziora Morliny kobiecych zwłokach – przypadkowa spacerowiczka natknęła się na ciało, kiedy szukała pleneru do planowanej na przyszły weekend ślubnej sesji foto. Ot, ironia losu...

Czekając na prokuratora, techników i fotografa, Wiktoria wybrała numer Adriana, ale jej telefon również zignorował.

„Nie wygłupiaj się, oddzwoni. Martwimy się, ale wszyscy chcą ci powiedzieć, że wszystko jakoś się poukłada. Odezwiij się, słyszysz?” – nagrała mu się na sekretarkę, wiedząc, że od poprzedniego dnia nie ma

z Rożkiem kontaktu.

Ekipa z komisariatu, która nieoficjalnie podjechała pod jego dom, by spróbować dostać się do niego, zauważyła jedynie, że rolety są wszędzie opuszczone, a Adrian nie reaguje na dzwonek do furtki.

A jeśli coś sobie zrobił? – zadręczała się Wiktoria, stercząc w błocie nad leżącym twarzą do ziemi ciałem szczupłej blondynki.

Jagoda Wiśniewska? – zastanawiała się, usiłując coś wywnioskować z tego, co widziała, ale zmarła miała ubrudzony błotem policzek i póki co ciężko było ustalić jej tożsamość. Torebki ani dokumentów przy denatce nie znaleziono. Albo zabrał ją sprawca, albo ukradł ktoś inny, później. Wiktoria pracowała już w policji na tyle długo, by wiedzieć, że są na świecie ludzie, którzy natknąwszy się na zwłoki, zamiast wezwać służby, okradają je bez skrpułów i znikają.

Po południu wiedzieli już, że ciało znalezione nad jeziorem Morliny należy do Iriny Woronkowej, mieszkającej od lat w Ostródzie obywatelki Rosji, którą najprawdopodobniej zadźgał jej konkubent, pochodzący z Litwy Marius Petrauskas. Sąsiadka pary zadzwoniła z informacją, że w mieszkaniu są otwarte drzwi i pozostawiona bez opieki głodna, zapłakana czterolatka, natomiast rodzice, zarówno ojciec, jak i matka, po głośniejszej kłótni gdzieś zniknęli.

Najprawdopodobniej Rosjanka wybiegła z mieszkania tak jak stała, w sukience i narzuconym na nią rozpinanym swetrze, chcąc uciec od agresywnego partnera, a ten dopadł ją nad pobliskim jeziorem i zadźgał, zadając kilkanaście ciosów ostrym narzędziem. Sekcja jeszcze się nie rozpoczęła, ale na oko było widać, że ran jest mnóstwo, a przynajmniej trzy z nich mogły się bezpośrednio przyczynić do śmierci ofiary.

– A po naszej Świteziance nadal ani śladu – mruknął siedzący obok Wiktorii Mateusz Chorąży. – Zastanawiałem się ostatnio, skąd ta nazwa?

– Świtezianka? Nie wiem, może od sesji foto nad jeziorem. Lubiła takie romantyczne klimaty, wianki na głowie...

– Jakiż to chłopiec, piękny i młody? Jaka to obok dziewczica? Brzegami sinej Świtezi wody idą przy świetle księżycy – Mateusz zacytował Mickiewicza. – Widzisz, jak uważałem na polskim? – zaśmiał się. – Ona mu z kosza daje maliny, a on jej...

– Daruj sobie tę poezję – weszła mu w słowo Wiktoria.

– Nie lubisz poezji? – Uśmiechnął się szeroko.

– Nie w pracy – zażartowała.

– Na jutro w południe szef zwołał konferencję prasową – jedna z młodszych stażem policjantek zajrzała do pokoju Wiktorii, by przekazać najnowsze wieści.

– Grubo. – Mateusz puścił do Wiktorii oczko i mruknął, że wraca do siebie.

Kwadrans później w mieście, w okolicach ostródzkiej śluzy, zlokalizowano Litwina w poplamionym krwią swetrze i ubłoconych butach, który z płaczem, łamaną polszczyzną, przyznał się do zabójstwa konkubiny.

– Żeby wszystko rozwiązywało się tak szybko i bezboleśnie – mruknęła Wiktoria, kiedy dotarły do niej słuchy o zatrzymaniu.

Po wyjściu z pracy zadzwoniła do Jacka, faceta, z którym od kilku miesięcy się spotykała. Początkowo było im razem fantastycznie, ale guz na jajniku, operacja i przeklęta blizna sprawiły, że się od niego zdystansowała. Nie chciała, by odwiedzał ją w szpitalu, nie miała ochoty na randki czy chociażby zwykłe telefoniczne rozmowy. To był klarowny układ, przyjacielski seks bez zbędnych bajdurzeń o związku.

Miała za sobą dwa nieudane małżeństwa, czterdzieści pięć lat na karku i żadnej ochoty na trwały układ. On był jedenaście lat młodszy, co przed operacją jakoś szczególnie jej nie przeszkadzało, ale po wyjściu ze szpitala nagle poczuła się źle we własnym ciele i chyba po raz pierwszy w życiu dotarło do niej, że ona też jest śmiertelna. Guz nie okazał się nowotworem, miała szczęście. A jednak ostatnie tygodnie wyjątkowo zmaltretowały ją emocjonalnie, ciężko jej było się pozbierać.

– Miło cię słyszeć. Prawdę mówiąc, myślałem, że się już nie odezwiesz. – Jacek powitał ją raczej chłodno, ale czy mogła mu się dziwić?

– Ciebie też miło słyszeć.

– Wszystko u ciebie okej? – zapytał.

– Tak, jest całkiem nieźle. Posłuchaj, pomyślałam, że może zrobimy sobie przerwę. Na jakiś czas albo...

– Czyli to koniec? – wszedł jej w słowo. – Daj spokój, podaj chociaż powód. Zakochałaś się w lekarzu? – zażartował.

Wiktoria przymknęła oczy i oparła się o ścianę. Kilka godzin wcześniej stała nad brutalnie zamordowaną kobietą, a teraz miałyby się umawiać na pieprzenie, w dodatku z facetem, do którego nic nie czuła?

– Nie – rzuciła.

– Więc?

– Jacek, nie wiem! Po prostu nie widzę siebie teraz chodzącej na randki.

– Myślałem, że nam razem dobrze?

– Bo było. Tylko że ja potrzebuję teraz samotności. Chcę się wyciszyć, poustawić sobie w głowie priorytety, zastanowić się, czy...

– Okej, rozumiem. Zrywasz ze mną.

– Nigdy ze sobą nie byliśmy, zacznijmy od tego.

– Czyli co, traktowałaś mnie jak gadający wibrator na dwóch nogach? – parsknął. – Wygodne, nie powiem. W sumie byłem nawet lepszą opcją, bo oszczędziłaś na bateriach.

– Tylko nie mów, że czujesz się wykorzystany! – Wiktoria zaśmiała się nerwowo.

– Odrobinę – mruknął, ale zaraz potem parsknął śmiechem.

– Muszę kończyć, chcę jeszcze gdzieś podjechać.

– Jasne. Trzymaj się w takim razie – powiedział.

– Ty też. – Uśmiechnęła się, chociaż nie mógł tego widzieć.

Wieczorem tuż przed dwudziestą pierwszym zadzwonił do jej drzwi, co momentalnie ożywiło leżącego u jej stóp Uziego, który zaczął ujadać.

– Cicho, nie szalej. – Pogłaskała psa za uchem, zastopowała serial, wstała z sofy i ruszyła w stronę korytarza.

Jacek czekał przed furtką. W dłoni wino, na twarzy szeroki uśmiech.

– Wpadłem sprawdzić, czy na pewno chcesz się mnie pozbyć. Nie jestem taki zły, wiesz? – zaczął, a ona nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Wejdz – powiedziała po chwili wahania, a on wręczył jej butelkę ich ulubionego czerwonego wina. – Jeśli liczysz na to, że wypijemy ją dzisiaj, to się przeliczysz. Jutro muszę być w formie.

– Możesz ją wypić, kiedy zechcesz. W samochodzie mam pizzę. Pójdę po nią, zanim wystygnie. Diabło, jak lubisz. – Mrugnął do niej, zanim ruszył w stronę zaparkowanego przed jej domem volkswagena.

– Wiki?! Kto przyszedł?! – usłyszała Wiktoria z góry.

– Jacek! – odkrzyknęła, wiedząc, że matka, z którą mieszka, nie przepada za późnowieczornymi gośćmi.

Wiktoria podejrzewała, że nie tyle chodzi o gości, co o fakt, że starszą panią stresował dzwonek po zmroku i myśl, że może się do nich dobijać ktoś niebezpieczny, na przykład jakiś cwaniak czy bezczelny włamywacz, jeden z tych, którzy rabują, nie przejmując się obecnością domowników. Na punkcie włamań do prywatnych domów matka miała fobię od lat, co pogłębiały najprawdopodobniej oglądane przez nią dokumenty i podcasty o zbrodniach.

– Tylko nie tłuczcie się do późna! – krzyknęła z góry matka, po czym w niewielkim domu zapadła cisza.

Pizzę zjedli na sofie, później przez chwilę pogadali i Wiktoria poprosiła Jacka, by się zbierał. Był freelancerem, dzięki czemu mógł sam ustalać swoje godziny pracy, ale ona nie miała tego przywileju.

– Jutro wcześniej wstaję. Wróciłam do biegania, usiłuję stanąć na nogi.

– Tęskniłem za tobą – powiedział.

Sekundę później usiłował ją pocałować w usta, ale odwróciła głowę i wstała z sofy.

– Czego nie zrozumiałeś w zdaniu „zrobmy sobie przerwę”? – zapytała, a on lekko wzruszył ramionami.

– Wiesz, jak jest. Facet zawsze chce coś ugrać – mruknął, zanim pocałował ją w policzek. – Okej, trzymaj się w takim razie. I zadzwoń do mnie czasem – poprosił.

– Zadzwonię – obiecała.

Kiedy wyszedł, jeszcze trzy razy usiłowała się dodzwonić do Adriana, ale nadal nie odbierał.

Mimo zmęczenia pojechała więc pod jego dom, a kiedy wysiadła z samochodu, wśliznęła się do ogrodu i podeszła do okna. Przez lekko uniesioną roletę zauważyła Adriana siedzącego przez telewizorem z puszką piwa w dłoni i pilotem w drugiej. Jego żony i córki nie zauważyła, wszystko raczej wskazywało na to, że są u rodziców Kamili, bo ich obecności w domu nie odnotowała. Chyba że już śpią.

Przez chwilę stała pod oknem niezdecydowana, zastanawiając się, jak Adrian odebrałby jej nachalne najście. Mogłaby zadzwonić do frontowych drzwi albo zapukać w szybę, ale doszła do wniosku, że aż tak dobrze się nie znają, wróciła więc do samochodu.

Nocą źle spała. Śniła jej się zamordowana Irina, później Jacek, z którym się kłóciła, w końcu matka pytająca ją, kiedy ułoży sobie życie. Jakby fakt, że już dwa razy się rozwiodła, nie zniechęcił starszej pani do wypatrywania kolejnego kandydata na zięcia. Jacka nie lubiła. Nie rozumiała, jak córka może się spotykać z facetem jedenaście lat młodszym i chociaż nigdy o tym nie rozmawiały, Wiktoria świetnie wyczuwała dezaprobatę matki i bijące od niej niezadowolenie.

Muszę w końcu kupić mieszkanie, pomyślała. Z drugiej jednak strony nie wyobrażała sobie dnia, w którym zostawia schorowaną siedemdziesięcioośmiolatkę i oznajmia, że wynosi się na swoje. Kiedy bywała mężatką, było to jakieś bardziej naturalne – w obu przypadkach mieszkała w domach swoich ślubnych, ale teraz matka fatalnie by to zniosła. Bała się zostawać sama wieczorami, poza tym przywiązała się do psa. Mieszkanie musi poczekać. Zresztą kiedy mama odejdzie, odziedziczy dom. Czy jest sens ładować się w kredyt? – zastanawiała się rano, przygotowując się do pracy.

Konferencja prasowa przebiegła w dość nerwowej atmosferze. Przedstawiciele lokalnych mediów otwarcie atakowali ostródzką policję, zarzucając jej opieszałość i brak działań w sprawie zaginionej Jagody Wiśniewskiej, a rzucona medialnym sępom na pożarcie oficer prasowa komendanta wojewódzkiego, młodsza inspektor Janina Fałęcka, wyglądała na wytrąconą z równowagi zarzutami o nieudolność i brak kompetencji organów ścigania.

– Zapewniam państwa, że w sprawie zaginięcia Jagody Wiśniewskiej policja robi wszystko, co możliwe. Jak wiadomo, zorganizowano szeroko zakrojone poszukiwania, wykorzystano między innymi śmigłowiec i kamerę termowizyjną. W akcji brał również udział policyjny pies, który, niestety, chociaż podjął trop, szybko go stracił. Zapewniam jednak, że policja robi wszystko, żeby odnaleźć Jagodę Wiśniewską. Sprawa wciąż jest aktualna i są prowadzone działania – broniła ich nadszarpniętego honoru oficer prasowa.

– Czy sprawy morderstwa dziewczyny z poligonu i zaginięcia Świtezianki mogą się łączyć?! – krzyknął ktoś siedzący w tylnym rzędzie.

– Na razie nie ma żadnych przesłanek, żeby obie sprawy łączyć, ale oczywiście bierzemy pod uwagę również taką ewentualność – odrzekła młodsza inspektor Fałęcka.

– Z całym szacunkiem, ale mieszkańcy są innego zdania! Czy w Ostródzie grasuje seryjny morderca?! Jeśli tak, byłoby karygodne, gdyby policja to ukrywała przed obywatelami! Boimy się o dzieci, zwłaszcza o nastoletnie córki! – wrzasnął Adam Kowalczyk, miejscowy radca prawny. – Mam piętnastoletnią córkę, czy państwo to rozumieją?! Dwie siostrzenice, które niedawno skończyły trzynaście lat, i dziecko z drugą żoną w drodze! Strach wypuszczać dzieci nawet na ogród! – pienił się Kowalczyk.

– Ciesz się pan, że ogród masz – odpowiedziała mu Ada Walczak, miejscowa sklepowa, a kilka osób się zaśmiało.

– Czy są szanse, że policja znajdzie w końcu zabójcę Aleksandry Siemaszko?! – zapytał jeden z młodych dziennikarzy pracujący w lokalnym tygodniku.

– Przecież nie nasi tę sprawę prowadzą, tylko wojewódzka – dodał ktoś inny. Wiktoria nie zauważyła kto.

– Ale pani oficer prasowa jest przecież z wojewódzkiej. Pytam, co wie i czy jest szansa, że morderca zostanie złapany?

– Trwają czynności...

– To są jakieś kpiny, a nie czynności! Giną nasze dzieci, młode kobiety, a wy udajecie, że coś robicie! – wrzasnął nieogolony facet po czterdziestce i w sali zawrzało.

– Proszę państwa o spokój i zachowanie przynajmniej minimalnej kultury dyskusji – rzuciła do mikrofonu młodsza inspektor Fałęcka, ale ludzie zaczęli się już przekrzykiwać i zapanował chaos.

Wymykając się z pomieszczenia, nadkomisarz Wiktoria Adamska zauważyła stojącą nieopodal Lenę

Osowską i uśmiechnęła się złośliwie. Jasne, taka zawsze wszędzie się wkręci, pomyślała. Nie oglądała jej kanału, ale od kolegów słyszała, że dziewczęciu wydaje się, iż jest Sherlockiem w spódnicy, choć efekty raczej ma mizerne. Chętnie jeździ do miejsc, gdzie akurat dzieje się coś niepokojącego, ale rezultaty jej prywatnych „śledztw” rzadko są owocne. No cóż, takie czasy. Dopóki są ci, którzy ją wspierają finansowo, dopóty będzie mogła dalej się w to bawić.

– Rożek do mnie dzwonił – pochwalił się Mateusz Chorąży, kiedy wymknęła się z konferencyjnej.

– Super. I co powiedział?

– Nic konkretnego. Jest na chorobowym, wyczerpanie nerwowe, jak to ujął.

– Każdy chyba czasem potrzebuje kilku dni wolnego.

– Pewnie tak, chociaż mnie się jeszcze nie zdarzyło pobić cywila na oczach całej knajpy świadków, zwłaszcza kiedy byłem w mundurze.

– Może dlatego, że nie masz żony, Mati. – Mrugnęła do niego, a on się zaśmiał.

– Może. Ty, ale myślisz, że poważnie Kamila przyprawia Adrianowi rogi, czy...

– Wybacz, ale nie będziemy o tym mówić w taki sposób.

– Oj, no nie bądź taka sztywna. Tylko pytam. Ale dobra, zapomnij. A, ta dziwka się jeszcze nie znalazła – dodał, zanim zostawił ją samą.

Ta dziwka, pomyślała zniesmaczona. Jakby nie można było po prostu powiedzieć zaginiona kobieta albo użyć jej nazwiska. Sama go nie pamiętała, więc zakładała, że Mateusz również nie potrafił go sobie przypomnieć, ale, na miłość boską, „ta dziwka”?!

Ostróda, październik 2022

Ksiądz Waldemar Berg usiadł na ławce z widokiem na jezioro i zapalił papierosa. Była trzecia w nocy, kiedy wyrwał go ze snu brzęk szkła. Początkowo myślał, że ktoś włamuje się na plebanię, i w panice obszedł cały budynek. Nie znalazł jednak żadnych śladów, które wskazywałyby na obecność intruza, ale senność na dobre z niego uleciała.

Ktoś pewnie cisnął butelkę po wódce do śmietnika przy ulicy, pomyślał, zamykając okno. Ubrał się chwilę później, włożył do kieszeni kurtki leżącą na biurku paczkę marlboro, w której zostały trzy ostatnie fajki, i wymknął się z plebanii z nadzieją, że proboszcz śpi i nie odnotuje jego kolejnej nocnej eskapady.

W drodze nad wodę, kiedy zakapturzony, drżąc z zimna, przemierzał puste i ciemne ulice miasta, znalazł w telefonie wysłanego po północy esemesa od jednej z parafianek, której niedawno pomógł przy przeprowadzce.

„Niech księdza Bóg błogosławi”, przeczytał i od razu wykasował wiadomość.

Bóg... Ostatnio znacznie częściej myślał o świecie i ludziach niż o Bogu. Bóg, który kiedyś był centrum jego jestestwa, obecnie wydawał się tak samo odległy jak najdalsze gwiazdne konstelacje, był nieosiągalny.

Siedząc nad jeziorem, rozmyślał o Dariuszu Nowakowskim. Furia, z jaką chłopak zaatakował go pod kościołem, była przerażająca. Oczywiście kapłan domyślał się, czemu do tego doszło, choć przed napastnikiem udawał głupiego. Jagoda... Myśląc o niej, lekko się skrzywił, ostatni raz zaciągnął się papierosem i cisnął niedopałek na ziemię.

Była dla niego ważna, naprawdę, ale podświadomie wyczuwał, że Świtezianka jest jedną z tych kobiet, które zwodzą mężczyzn na manowce, często nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nowakowski ewidentnie stracił dla niej głowę, a co za tym idzie, zaczął się zachowywać jak furia. Jak skończy ten chłopak z tą swoją obłąkańczą miłością do Jagody? To się okaże, pomyślał ksiądz, wstając z ławki.

Kiedy wrócił na plebanię, dochodziła czwarta czterdzieści nad ranem i chociaż z niewyspania piekły go oczy i czuł się wyczerpany, już nawet nie próbował zasnąć. Zszedł na dół, zaparzył sobie mocną kawę i usiadł za kuchennym stołem. Za oknem było ciemno, a jesienny wiatr, którego zawrodozenie słyszał przez nieszczelne stare okienne ramy, przyprawiał go o ciarki.

Kilka minut po szóstej rano ponownie wyszedł z plebanii i udał się pod blok, w którym mieszkał Antoni Wiśniewski, ojciec Jagody. Chciał z nim porozmawiać i miał nadzieję, że jeśli usiądzie na ławce z widokiem na klatkę, uda mu się zaczepić wychodzącego do pracy Antoniego.

Siedząc, wypalił przedostatniego papierosa, którego niedopałek zdusił czubkiem buta, i czekał, obserwując wychodzących do pracy ludzi, którzy w pośpiechu wsiadali do stojących na parkingu samochodów bądź ruszali w kierunku najbliższego przystanku. Większość nie zwracała na niego uwagi, zwłaszcza że miał na sobie świecki strój, a na głowie kaptur. Tylko jedna kobieta – starsza, z jamnikiem na smyczy, rzuciła:

– Niech będzie pochwalony.

– Na wieki wieków – odparł Berg, modląc się w duchu, by starsza pani nie wciągnęła go w dyskusję. Niestety jego modły nie zostały wysłuchane.

– A stało się coś, że ksiądz tak tutaj o wczesnej porze? – zagaiła, przystając przy ławce, na której siedział.

Wstał więc, gdyż, jak mawiał jego dziadek, mężczyzna nie powinien siedzieć, gdy kobieta stoi obok, i mruknął, że musi z kimś porozmawiać.

– Z Antonim pewnie, co? – domyśliła się właścicielka jamnika i szarpnęła za smycz. – Mietek, nie ruszaj księdza – ofuknęła psa.

– Tak – przyznał niechętnie wikary.

– On w złym stanie jest, ale to tak między nami. Córka w ciąży, nie wiadomo z kim, w dodatku

gdzieś przepadła. Każdy by się załamał. Ale o tej ciąży to ja tak księdzu wyłącznie w zaufaniu. Nikomu proszę nie mówić, ja tylko tak...

– Nie powiem – rzucił Berg zmęczonym głosem.

– Nie wygląda ksiądz na zaskoczonego.

– Czym? Tym, że kobiety zachodzą w ciążę? – zakpił, poirytowany paplaniną kobiety.

Teraz, kiedy rozmawiali, przypomniał sobie ją z kolędy. Zagadła go wtedy niemal na śmierć, ciężko mu było w ogóle wyjść z jej mieszkania.

Rozumiał, że pewnie była samotna, ale mimo wszystko... Nie znosił zbyt nachalnych ludzi, drażnili go. Wiedział, że to złe. Jako kapłan powinien okazać wsparcie i empatię, a jednak trudno mu było znaleźć cierpliwość, kiedy ktoś nietaktownie go osaczał. Nie miał ochoty z nią rozmawiać, co chyba wyraźnie dawał jej do zrozumienia mową ciała, a jednak starsza pani nadal stała obok i plotkowała. A co do ciąży Jagody, to oczywiście nie był zaskoczony. Przecież świetnie o niej wiedział, sama mu o niej powiedziała.

– A o tej zamordowanej Rosjance to ksiądz już słyszał? Dziecko małe zostawiła, taka tragedia. O jakiś spadek się podobno pokłócili, nie chciała mu dać pieniędzy na wódkę, temu konkubentowi, i wyszło, jak wyszło. Przekłęci pijacy, po co w ogóle tacy się z kimkolwiek wiążą? – nawijała. – Zadźgać nożem kobietę, Boże jedyny. Co on sobie myślał w ogóle, zwierz taki? A policja to nic nie robi, palcem nie kiwną nawet! Że ruska pewnie, wiadomo. Teraz ruskich się nie lubi, ja to przecież rozumiem. Ale co kobieta winna, że się tam urodziła? Ona spod Czelabińska była, dobra dziewczyna, pracowita. Pamiętam, jak jeszcze przed urodzeniem córki pracowała w tej drogerii przy dworcu, to często mi mówiła, że taka szczęśliwa jest z tym swoim konkubentem, zakochana, a tu nagle taka tragedia...

– Myślę, że się pani myli. Policja na pewno coś zrobi w tej sprawie, zresztą już złapano sprawcę. Przepraszam, ale muszę po coś podejść do samochodu – skłamał, skinął kobiecie głową i szybkim krokiem oddalił się od ławki.

Przyszedł tu pieszo, ale przecież o tym nie wiedziała.

Kiedy wolnym krokiem okrążał blok Antoniego, mimowolnie zerknął w górę, w jego okna. Wiedział, który pokój należał do Jagody, pamiętał stojące na parapecie donice z kwiatami i radosne kolorowe zasłony w papużki.

Na myśl o dziewczynie mimowolnie zacisnął zęby. Źle się to wszystko potoczyło, ale kto mógłby przypuszczać, że dojdzie do tragedii?

Antoniego Wiśniewskiego wypatrzył, kiedy wyłonił się zza budynku. Starszy mężczyzna spiesznym krokiem szedł chodnikiem.

– Panie Antoni, proszę zaczekać! – krzyknął wikary, ruszając biegiem w jego stronę.

Kobieta z jamnikiem stała przy trzepaku i otwarcie się im przyglądała. Jawna ciekawość w jej wzroku wyglądała drapieżnie, była wręcz ohydna.

– Niech mi ksiądz da spokój! – warknął Wiśniewski.

– Chciałbym tylko...

– Nie chcę z księdzem rozmawiać! – wszedł mu w słowo ojciec Jagody, a kiedy wikary chciał poklepać go po plecach, odskoczył.

– Ja też przeżywam to, co się stało – powiedział cicho Berg, ale Wiśniewski nie wyglądał, jakby mu współczuł.

– Gównu mnie to obchodzi – warknął, otarł się o księdza ramieniem, gdy na wąskim chodniku go wymijał, i pospiesznie ruszył w stronę przystanku.

Kiedy został sam, Berg wyjął z paczki ostatniego papierosa, zapalił go i usiadł na tej samej ławce, na której siedział przed kilkoma minutami.

– A ksiądz to palić chyba nie powinien – zagadnęła go kobieta z jamnikiem, która momentalnie się przy nim zjawiała, jakby tylko czekała na okazję. – Grzech tak się truć, proszę księdza.

Grzech to tak mieć ozorem, pomyślał Berg z niechęcią, ale zdołał zachować dyplomatyczne milczenie.

– A ja w telewizji będę – pochwaliła się baba. – W tefauenie – sprecyzowała. – Materiał robią o Jagódce, już ze mną rozmawiali, numer wzięli, będą kręcić.

– To niech pani uważa na słowa, żeby kogoś językiem nie skrzywdzić – poradził jej wikary, zanim wstał. – Do widzenia – dodał lodowatym tonem i z papierosem w ręku ruszył krzywym chodnikiem wzdłuż

starego bloku.

Po powrocie na plebanie przebrał się w sutannę, przeszedł przez przykościelny podjazd i okrążył auto, do którego chciał wsiąść, kiedy ktoś go zawołał.

– Proszę księdza! Proszę zaczekać! – usłyszał.

Odwrocił się niechętnie. Spieszyło mu się, ale na widok dziewczyny, której ostatnio pomagał, zmiękło mu serce. Janka. Pewnie znowu coś się stało, pomyślał, czując przypływ współczucia.

– Wszystko dobrze? – zapytał, gdy do niego podbiegła.

– Tak, ja tylko... Ja chciałabym z księdzem szczerze porozmawiać – powiedziała cicho, po czym zagryzła dolną wargę.

– Na pogrzeb jadę, spieszę się.

– Tak, ale ja tylko... Bo tak sobie pomyślałam, że może ja bym mogła dla księdza pracować? Pomagać w kancelarii czy coś? Mogę sprzątać, gotować, prasować księdzu.

– Mamy już gosposię, wiesz przecież – wszedł jej w słowo Berg, a Janka nagle zaczęła płakać.

– Ale ksiądz nie rozumie – chlipnęła. – Bo ja chyba coś do księdza czuję. Nikt nigdy nie był dla mnie taki dobry i ja chyba... – Dziewczyna urwała i złapała go za rękę. – Ja dla księdza wszystko zrobię, rozumie ksiądz? Wszystko – dodała z naciskiem, patrząc mu w oczy. – Wszystko.

– Wracaj do domu – warknął, wyrywając rękę z uścisku jej zimnych spoconych palców, które kurczowo zacisnęła na jego dłoni. – I nie wygaduj więcej takich głupot! – ofuknął ją, a ona wybuchnęła płaczem i bez słowa pobiegła w stronę ulicy.

Skaranie boskie z tymi babami, pomyślał wikary, siadając za kierownicą. Okaze człowiek odrobinę serca, a te już zakochane, skrzywił się.

Na cmentarz dotarł w ponurym nastroju. Za kwadrans miała się rozpocząć msza pogrzebowa, a on czuł, że chociaż musi wygłosić kazanie, ma w głowie pustkę. Jak podsumować dwudziestopięcioletnie życie chłopaka, młodego ojca, czyjegoś syna, brata i strażaka, który zmarł w tragicznym wypadku na parolotni, zostawiając pogrążoną w żałobie młodziutką żonę, czteromiesięczną córeczkę i nieutuloną w żalu rodzinę?

Ma tam wyjść, stanąć przed nimi w tych swoich fikuśnych żałobnych szatach i powiedzieć, że Bóg tak chciał? Ten sam Bóg, który podobno jest miłością? – zastanawiał się, siedząc w samochodzie.

Kiedy wysiadł, ogarnęła go przemożna ochota, by zaciągnąć się papierosem, ale niestety rano nie zdążył kupić fajek. Zrobię dla księdza wszystko, przypomniał sobie słowa Janki. Wszystko. Ciekawe, co przez to rozumiała oprócz słabo zawołowanej woli podania mu się na tacy?

W zakrystii, przebierając się w ornat, zerknął na młodego ministranta, na którego pucołowatej twarzy malował się szacunek.

– Bóg jest miłością – mruknął, a chłopak posłał mu pytające spojrzenie. – Masz może papierosa? – zapytał po chwili, a nastolatek się zaczerwienił.

– No mam, ale...

– To daj jednego – wszedł mu w słowo ksiądz. – Stań przy drzwiach i patrz, czy nikt nie lezie – przykazał, kiedy tamten wyjął z kieszeni kurtki otwarte i do połowy opróżnione opakowanie chesterfieldów.

– Tu chyba nie wolno palić – szepnął wyraźnie zszokowany ministrant, kiedy wikary wziął od niego również zapalniczkę.

– Uwierz mi, Bóg ma obecnie ważniejsze problemy niż monitorowanie tego, kto pali fajkę w zakrystii – zaśmiał się Berg, zanim zaciągnął się wyżebranym od chłopaka papierosem. – Ile masz lat? – zapytał.

– Piętnaście. No, prawie.

– Nie powinieś jeszcze palić – mrugnął do niego Berg, po czym zdusił niedopałek, wcisnął go za masywną drewnianą komodę i jeszcze raz puścił do chłopaka oko. – Nie widziałeś tego, okej? – mruknął.

– Okej – zgodził się chłopak i w końcu zdecydował się na błady uśmiech. – A gdyby ksiądz chciał kiedyś coś mocniejszego, to ja też mógłbym...

– Nie chcę, ale dzięki. Rusz się, musimy już iść – ponaglił gówniarza.

Gadkę o szkodliwości narkotyków sobie darował.

Rozpoczynając mszę w przycmentarnej kaplicy, pomyślał, że jeszcze nigdy nie czuł się taki zagubiony. Robił ostatnio rzeczy, których nigdy nie powinien robić, a wyżebrany od ministranta papieros to był pikus w porównaniu z jego innymi przewinami. Oddalił się od miejsca, do którego przez długie lata

z pokorą i oddaniem zdązał, i nie potrafił odnaleźć drogi powrotnej. Najbardziej przerażało go jednak to, że chyba nawet już tego nie chciał.

– Bóg nie zawsze jest miłością – zaczął mowę nad czekającym na trumnę grobem odziany w żałobny ornat wikary, a kilkoro spowitych w czerń żałobników posłało mu zdziwione spojrzenia. – Czasem bywa okrutny, złowrogi, mściwy i niezrozumiały. Czasem go nienawidzimy, bo wydaje się nam, że on nienawidzi nas – dodał Berg, a stojąca w pierwszym rzędzie młodziutka wdowa rozpaczliwie zaszlochała.

Ostróda, październik 2022

Osa wyszła z kamienicy, w której od kilku dni wynajmowała niewielki apartament, i szybkim krokiem ruszyła wzdłuż ulicy. Był rześki, lekko zamglony poranek, słońce jeszcze nie przedarło się przez chmury, ale ponoć po południu na dłuższą chwilę miało się pokazać. Samochód zostawiła nieopodal i tuż po tym, jak wypięła kupioną w delikatesach kawę, wsiadła do niego i ruszyła przez miasto.

Nad jezioro Morliny dotarła niedługo potem. Jadąc wąską, wysadzaną drzewami szosą pośród pól, delektowała się zjawiskowym pięknem jesiennego poranka i otaczającym ją spokojem.

Gdy zjechała w wąską drogę prowadzącą nad jezioro, znacznie zwolniła i zatrzymała się kilkanaście metrów od brzegu. Nieopodal podobno znaleziono zwłoki tej zamordowanej przez konkubenta Rosjanki. Osa przez dłuższą chwilę zastanawiała się, jak ofiara dotarła nad jezioro. Pieszko? Rowerem? Z kimś? Mieszkała co prawda niedaleko, ale jednak... I czemu uciekła właśnie tu, na to pustkowie, zamiast biec tam, gdzie są ludzie, gdzie ktoś mógłby jej pomóc? Chyba że zwłoki przeniesiono, co również nie było wykluczone.

Nie śledziła na bieżąco tej sprawy, chociaż wkręciła się na konferencję prasową, ale bardziej z ciekawości niż chęci działania. Los Iriny, choć niewątpliwie tragiczny, nie obszedł jej na tyle, by planowała zrobić z niego materiał na kolejny film. Zresztą w tej akurat sprawie nie było niczego niewyjaśnionego czy mogącego przyciągnąć szersze grono odbiorców – pijany konkubent, awantura z udziałem morza wódki i ostrego noża, w tle ponoć duży spadek, na którym facet nie umiał położyć łapy. Uśmiechnęła się krzywo, myśląc, że w pewnych kręgach to klasyka gatunku.

Zrobiła kilka kroków w stronę wody, kiedy za plecami usłyszała warkot silnika zbliżającego się samochodu.

Auto zatrzymało się tuż za jej wozem. Furgonetka. Przez chwilę nie działo się nic, później wysiadł z niej kierowca – wysoki ciemnowłosey mężczyzna w ciemnym ubraniu.

– Dzień dobry! – zawołał, machając do niej. – Wszystko dobrze?! – zapytał, a Osa pogardliwie wydeła usta.

Niby co, kurwa, miałyby nie być dobrze? To pewnie jeden z tych palantów, którym się wydaje, że samotna laska na odludziu koniecznie musi mieć problemy, pomyślała.

– Czyli nie zgubiła się pani? – Mężczyzna podszedł bliżej i posłał jej szeroki uśmiech.

– Nie, nie zgubiłam się. Sporo pytań pan zadaje – mruknęła.

– Z natury jestem ciekawski. – Mrugnął do niej.

Pomyślała, że skądś go zna, ale nie umiała sobie przypomnieć, gdzie go mogła widzieć. W końcu w każdym nowym miejscu widuje tyle nieznanomych twarzy...

– Miejscowy? – spytała z nadzieją, że uda jej się coś z niego wyciągnąć.

Świeże plotki budziły ją do życia znacznie lepiej niż kawa.

– Ponekąd – rzucił raczej wymijająco.

– Czyli? – zapytała.

Nie odpowiedział.

Chciała coś dodać, lecz wtedy on wyciągnął rękę i zacisnął ją na jej szyi.

A później wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie – w jednej chwili stała i usiłowała prowadzić niezobowiązującą pogawędkę, w drugiej, przeciągnięta przez nieznanomego, została wrzucona na tył furgonetki. Wszystkiemu towarzyszyło uczucie szoku i totalnego spowolnienia czasu – wiedziała, że mijały sekundy, a jednak czuła się tak, jakby czas się zatrzymał.

Najbardziej zaskoczyło ją to, że nie krzyczała. Nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Dotąd, kiedy rozmyślała o tego typu sytuacjach, była pewna, że będzie wrzeszczeć, kopać, drapać i pluć, ale nie zrobiła kompletnie nic. Kolesz zaskoczył ją tak, że była niczym bezwolna kukła w jego rękach. Żenujący pokaz bezsilności i braku inicjatywy.

Czasem na swoich youtubowych filmikach wymądrzała się, instruując oglądające ją laski, jak

powinny zachować się podczas porwania, tymczasem sama dała się podejść jak idiotka. Co uśpiło jej czujność? Elegancki wygląd kolesia? Gładko ogolona twarz, świeżo przystrzyżone włosy, eleganckie ubranie? Miał na sobie ciemną koszulę, równie ciemne wełniane spodnie i skórzane półbuty. Skórzane półbuty, do kurwy nędzy, jakby właśnie zamierzał stanąć na katedrze i wygłosić pieprzony wykład z ekonomii! A ona wdała się z nim w pogawędkę jak kretynka, chociaż wokół były tylko pola i oprócz nich żadnej żywej duszy!

– Czego ode mnie chcesz? – wychrypiła, kiedy w końcu zdołała wydobyć z siebie głos.

Nie odpowiedział.

Po tym, jak związał jej ręce za plecami i nogi w kostkach, zalepił jej usta szeroką srebrną taśmą i bez słowa zatrzasnął tylne drzwi furgonetki, rzucając ją przedtem niczym worek ziemniaków na podłogę.

Chwilę później usiadł za kierownicą i wolno ruszył wąską drogą w stronę szosy.

Szarpnęła się, ale jedyne, co zdołała osiągnąć, to ból barku promieniujący aż do żuchwy. Więc to on? – zapytała się w duchu. Facet odpowiedzialny za zniknięcie Świtezianki, a może również zabójstwo dziewczyny z poligonu? Ten wymuskany przystojniaczek, który wyglądał bardziej jak jakiś profesorek czy ksiądz niż bestialski zabójca? Ale czy to nie przede wszystkim ona powinna zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo pozory mylą?

Co się ze mną stanie? – zastanawiała się, leżąc na zimnej podłodze furgonetki, podczas gdy samochód podskakiwał na wybojach. Nagle pomyślała o tacie i dziadku. Jak zdołają się podźwignąć z kolejnej traumy? Po tym, co się stało z mamą, teraz jakiś zjeb zabije również mnie? Przeraziła się. Co gorsza, mama w niczym nie przyczyniła się do tragedii, za to ona sama włożyła mordercy w łapy, sprowokowała go. Gdyby została w Płocku i zajęła się czymkolwiek innym, nic takiego by się nie wydarzyło. Ale nie została.

Szarpnęła się jeszcze raz, po policzku pocięła jej pojedyncza łza. Nie chciała płakać, nienawidziła się za to, że zaczyna się mazać. Musisz walczyć, dziewczyno! Myśl! – powiedziała sobie, ale panika była tak silna, że musiała się skupić na oddychaniu, by w ogóle przetrwać podróż.

Usta miała zaklejone, serce waliło jej coraz szybciej, kręciło się jej w głowie i chciało jej się wymiotować. Mdłości przerażały ją najbardziej. Jeśli, zakneblowana, zakrztusi się wymiocinami, na bank będzie po niej.

Auto kolejny raz gwałtownie podskoczyło. Początkowo Osa usiłowała się skupić na trasie, liczyć zakręty i próbować orientować się w terenie, ale nie znając okolic Ostródy, szybko dała sobie spokój.

Gdzie ten pojeb mnie zabiera i co ze mną zrobi? Czy mam jakiegokolwiek szanse na ucieczkę, czy już po mnie, chociaż jeszcze oddycham?

Nagle przypomniała sobie wszystko, co przeczytała o sprawie dziewczyny z poligonu, i pociemniało jej w oczach. Na myśl o czekających ją ewentualnych torturach zrobiło jej się słabo. Kiedyś, gdy była na letnim obozie w Bieszczadach, naderwała sobie niechcący paznokieć i prawie zemdląła z bólu. Jak przetrwa długie godziny, a może nawet dni w rękach tego zwyrodnialca?

Samochód zwolnił, kilka razy znów podskoczył i gwałtownie się zatrzymał. Kierowca musiał wcisnąć hamulec – z czystej złośliwości bądź konieczności, tego nie wiedziała.

Później wysiadł. Wyraźnie usłyszała trzaśnięcie drzwi i zapadła niczym niezmacona cisza. Osa szarpnęła się i przez chwilę wyobraziła sobie, że kopniakiem, mimo skrępowanych nóg, udaje się jej otworzyć tylne drzwi furgonetki, ale nie zdołała nawet przesunąć się na tyle, by ich dosięgnąć. Zresztą i tak były zamknięte, i najprawdopodobniej dość solidne. Tego rodzaju akcje odpiędalali wyłącznie aktorzy na amerykańskich filmach klasy B.

Kurwa mać! – zaklęła w duchu. Chciało jej się sikać, parcie na pęcherz robiło się nie do zniesienia, podejrzewała, że ze stresu nie da rady skoncentrować się na niczym innym.

Pomyślała o swoim samochodzie. Został na tamtej drodze przy jeziorze, więc policja pewnie w końcu go odnajdzie. Ślady opon jego furgonetki również powinny im coś podszepnąć. Na drodze było błoto, miękkie, niezmarznięte – większe przymrozki w tym roku jeszcze nie nadeszły. Znajdą mnie, pocieszała się. Przecież ktoś do cholery musi mnie zacząć szukać, pomyślała. Pytanie tylko, kto? Oczywiście tata i dziadek.

Każdego dnia wysyłała im przynajmniej jednego esemesa, a zdarzało się, że dzwoniła. Jeśli się nie odezwie, zrozumieją, że coś się stało. Ale dopiero wieczorem. O której zaczną działać? O dwudziestej drugiej? O północy? A może uznają, że zapomniała się odezwać, i zaniepokoją się dopiero rano? Nie, ojciec

na pewno zareaguje wcześniej, pocieszyła się. Zawsze panikował, jeśli nie miał od niej wieści do dwudziestej drugiej.

Jej komórka została w samochodzie. Wsiadła bez niej, chciała tylko się przejść, nacieszyć widokiem przyrody i wrócić do centrum miasta, by jeszcze przed południem oddać właścicielce apartamentu klucze. Nie odkryła tu kompletnie nic, wyjazd okazał się niewypałem, więc jeszcze tego samego dnia miała zamiar wrócić do Płocka. Niestety, w ostatniej chwili los zagrał jej na nosie.

Myśl o właścicielce również ją pocieszała – kobieta pewnie się wkurzy, jeśli nie odda jej kluczy, ale czy zacznie podejrzewać, że lokatorce przytrafiło się coś złego? Jej walizka była w bagażniku, z mieszkania zabrała wszystkie rzeczy. Błąd. Cholerny błąd. Gdyby zostawiła bagaż, od razu byłoby widać, że coś jest nie tak, ale w tej sytuacji kobieta może pomyśleć, że klucz dostarczy jej kurier bądź poczta – ludzie czasem podobno tak robili, zwłaszcza jeśli zapłacili za pobyt z góry, tak jak ona.

Cisza...

Sprawca przepadł. Albo przygotowywał dla niej lokum, albo zwyczajnie chciał zagrać jej na nerwach, zostawiając ją na dłużej w pozycji worka na kartofle. Osa nie wiedziała, ile czasu leżała na podłodze furgonetki. Było jej zimno, coraz bardziej chciało jej się siku i była bliska hysterii, co nie wróżyło dobrze dalszemu rozwojowi wypadków.

Kiedy oprawca się pojawił, zeszywniała, podświadomie szykując się do ataku, a on wyciągnął ją z samochodu z taką łatwością, jakby była workiem ziemniaków. Chciała wrzeszczeć, ale taśma skutecznie tłumiała jej głos.

Kiedy ciągnął ją przez trawę, szeroko otworzyła oczy i zmusiła się do tego, by patrzeć, choć najchętniej jak małe dziecko zacisnęłaby powieki i w tak infantylny sposób odcięła się od koszmaru. A jednak patrzyła, usiłując zapamiętać jak najwięcej szczegółów, ale widziała tylko wszechobecne drzewa, a w końcu dostrzegła brudną i porośniętą mchem ścianę starego domu, do którego zawlókł ją napastnik.

Piwnica przeraźliwie cuchnęła stęchlizną. W pierwszej chwili poczuła ten odór, dopiero później zauważyła siedzącą na materacu dziewczynę.

Porywacz zdarł z jej ust plaster.

Krzyknęła, bo zapiekło.

– Tu możesz wrzeszczeć do woli – powiedział cicho, pochylając się, by uwolnić jej nogi i ręce. – Jak na tak znaną youtuberkę nie jesteś zbyt sprytna. Chodziłem za tobą od wczoraj, ale nawet nie zauważyłaś. Dziś też za tobą pojechałem – chwalił się. – To chyba jej szukałaś? – dodał, a ona zerknęła na milczącą, otępiałą dziewczynę z materaca. – Teraz będziecie miały trochę czasu, żeby się poznać. Później się tobą zajmę – obiecał.

Kiedy uwolnił jej nogi, chciała go kopnąć, ale nie zdołała.

Dał jej za to w twarz. Pięścią, mocno.

– Mam cię znowu związać? – warknął.

Chwilę później wyszedł i zatrzasnął ciężkie, wzmacniane metalowymi sztabami piwniczne drzwi, przez które pewnie żadna z nich nie zdoła się wydostać.

– Jagoda? – zapytała cicho Osa, ale dziewczyna nie odpowiedziała.

Siedziała zapatrzona w ścianę, kołysząc się w przód i w tył, jak dziecko cierpiące na chorobę sierocą. Osa przez chwilę przyglądała się jej splątanym jasnym włosom, strupom na kolanach, brudnej podartej sukience i otępiałemu wyrazowi twarzy, później przysunęła się do niej i chwyciła ją za rękę, którą tamta natychmiast jej wyrwała.

– Posłuchaj, wydostaniemy się stąd – obiecała Osa, chociaż, prawdę mówiąc, jakoś w to nie wierzyła. – Powiedz coś! Cokolwiek! – zawołała.

Świtezianka nadal jednak milczała. Osa wstała i zrobiła kilka kroków, chcąc się rozejrzeć po piwnicy. Z umieszczonego nad ich głowami zakratowanego okna wpadało trochę dziennego światła, ale kąty pomieszczenia spowijał mrok.

Drzwi, brudny materac, gołe ściany, betonowa podłoga. W piwnicy było przeraźliwie zimno i Osa zastanawiała się, jak porwana dziewczyna zdołała tu w ogóle przetrwać długie jesienne noce. Nagle jej wzrok padł na jakiś dziwnie skulony, okryty kocami kształt w kącie pomieszczenia i dopiero po kilku sekundach zrozumiała, że to, na co patrzy, to najprawdopodobniej nieprzytomna lub martwa kobieta.

– To Bella. Nie żyje. Dziś w nocy skręcił jej kark i zostawił ją tutaj, żeby dotrzymywała mi

towarzystwa – odezwała się szeptem Jagoda. – Nas też zabije.

Osa podeszła do dziewczyny i uklękła obok niej.

– Czemu ty? – zapytała, ale Świtezianka już się nie odezwała.

Myśl! – nakazała sobie Osa. Typ jest silny i wysportowany, ale ty jesteś niegłupia. Albo tak ci się przynajmniej wydaje, stwierdziła. Jakiś czas temu przeczytała w sieci kilka tekstów na temat porwania i teraz, siedząc obok milczącej Jagody Wiśniewskiej, usiłowała przypomnieć sobie udzielane w nich rady, ale kołatały jej się po głowie wyłącznie banały w rodzaju „Nie prowokuj porywaczy” i „Nie podejmuj nieprzemyślanych prób ucieczki”.

– Kim on jest? – zapytała Jagodę.

– Bądź cicho – szepnęła tamta.

– Musisz mi powiedzieć! Jeśli...

– Po prostu bądź cicho! On nas zabije, rozumiesz?! – wrzasnęła histerycznie Jagoda.

– Dlaczego ty? – Osa nadal usiłowała coś z niej wyciągnąć, ale Jagoda była w fatalnym stanie psychicznym i wyglądała na osobę, która lada moment popadnie w obłąd. – Kim on jest? Powiedz mi tylko, kim... – Nie dokończyła, bo za drzwiami coś zachrobotło, a chwilę później do piwnicy wszedł porywacz.

Osa rzuciła się w jego stronę, ale widok maczety w jego dłoni sprawił, że odskoczyła i oparła się o ścianę.

– Będą mnie szukać – powiedziała. – Ludzie wiedzą, że tu jestem! Mnóstwo ludzi wie! Wrzucałam na Insta zdjęcia, zapowiadałam materiał na YouTube i...

– Ludzie bardzo szybko zapominają – wszedł jej w słowo. – Jutro zaginie inna śliczna dziewczyna i uwaga żadnej sensacji tłuszczy skupi się na niej. Dziś jesteście jeszcze medialną bombą, jutro będzie po was – rzucił.

– Jeśli chcesz kasy, to...

– Kasy? – zaśmiał się. – A wyglądam, jakbym chciał kasy?

Z lnianej siatki z dużymi uszami, którą przyniósł, wyjął dwie półtoralitrowe butelki wody mineralnej, po jednej dla każdej z nich. Jedzenia nie dostrzegła, być może nie była to jeszcze pora obiadowa.

– Nie zaprzyjaźniajcie się zbyt blisko, drogie panie, bo niebawem jedna z was opuści ten ziemski padół – zakpił, po czym zostawił je same.

Kiedy wyszedł, Osa osunęła się po chropowatym ceglany murze i oparta plecami o zawilgoconą ścianę wybuchnęła płaczem.

– Czasem pozwala mi spać na piętrze – powiedziała cicho Jagoda, przerywając nagle milczenie. – Czasem mi pozwala – dodała, zanim ponownie zamilkła.

Niczego więcej nie zdradziła i nie odezwała się już do Osy, jakby na dobre odcięła się od ponurej rzeczywistości.

Jakieś pół godziny później, skulona na betonowej podłodze i przemarznięta Osa w końcu skojarzyła, skąd zna porywacza.

– Ja pierdolę – szepnęła bliska łez.

Tak, nie myliła się. To on.

Ostróda, październik 2022

Doktor Maciej Tokarczyk wstał ze zwałonego pniaka, na którym przesiedział ostatni kwadrans, jeszcze raz spojrzął na pobliskie jezioro i ruszył w stronę swojego opartego o drzewo roweru. Wtedy, kilkanaście metrów dalej, zauważył coś, co sprawiło, że z zaskoczenia aż otworzył usta – jakiś facet siłą wciągał właśnie do samochodu młodą kobietę! Doktor stał za drzewami, niewidoczny od strony polnej drogi, jednak dobrze wszystko widział – koleś ewidentnie dziewczynę porwał.

Przez chwilę chciał tam podbiec, by zmierzyć się z napastnikiem, ale szybko zrozumiał, że nie ma szans. Ostatnio sporo schudł i zaczął ćwiczyć, jednak w starciu z wysokim wysportowanym facetem pewnie by poległ. Nie mówiąc już o tym, że jako dentysta przesadnie bał się o ręce.

Trzasnęły tylne drzwi furgonetki, a Maciej Tokarczyk się pochylił, żeby lepiej ukryć się za porastającymi brzeg jeziora krzewami.

– Kurwa, co jest? – zaklął, kiedy furgonetka wycofała się i wolno skierowała w stronę drogi.

Telefon mu się rozładował, wsiadł więc na rower i ruszył w stronę szosy.

Jakieś trzy minuty później zauważył miejscowego gliniarza Adriana Rożka, który podobnie jak on jechał szosą na rowerze.

– Niech pan władza dzwoni po policję, mnie padł telefon! – zaczął doktor, rozpaczliwie machając rękami. – Podejrzewam, że doszło do porwania – wysapał, kiedy obaj zatrzymali się na poboczu i zsiadli z rowerów.

– Porwania? – Adrian zmarszczył brwi.

– Tak, młodej kobiety.

– I pan wszystko widział? Skąd?

– Czekałem na kogoś. Na pniaku, nad wodą. Słyszałem za plecami warkot silników samochodowych, ale nie wstałem. Dopiero kiedy chciałem wracać i ruszyłem po rower, zauważyłem, że jakiś facet siłą wciąga młodą kobietę na tył furgonetki. Wrzucił ją do środka, przez moment tam z nią był, później odjechał.

– A pan stał i się przyglądał? – rzucił Adrian cierpkim tonem.

– A co miałem zrobić?! Byli kilkanaście metrów ode mnie, a facet wyglądał na takiego, co potrafi się bić. Ja jestem otyły, gdyby pan nie zauważył. Mam marną kondycję i raczej nie umiem walczyć.

– Więc pan tam stał i co?

– I odjechali, mówię przecież! – Maciej Tokarczyk podniósł głos, Adrian zaś wyjął z kieszeni telefon i zawiadomił dyżurnego o porwaniu.

– Mężatka, co? – Mrugnął do doktora, kiedy się rozłączył. – Dlatego czał się pan w tych krzakach, zamiast umówić się z nią w kawiarni.

– Nie afiszujemy się ze związkiem – przyznał doktor i gwałtownie poczerwieniał.

– Spoko, nic mi do tego. Pan podjedzie na komendę i opowie, co widział – poprosił Adrian. – Ja w tym momencie jestem na urlopie i nie mogę podjąć żadnych czynności.

– Ale jak...

– Na komendę, doktorze – wszedł lekarzowi w słowo Adrian.

– Tam został jej samochód – oznajmił Tokarczyk. – Tej porwanej kobiety. I chociaż nie mam pewności, bo nie widziałem rejestracji, to może być auto mojej nowej pacjentki.

– Nazwisko?

– Nie wiem, coś z Osą. Osińska, Osowska. – Zmarszczył czoło.

– Lena Osowska? – Adrian wyglądał na zaskoczonego. – Ta youtuberka?

– Tak, ale pewności nie mam.

– Skąd ją pan zna, doktorze?

– No mówiłem, z gabinetu. Wpadła usunąć kamień, zapamiętałem. Ładna dziewczyna, nowa w mieście. – Stomatolog wzruszył ramionami.

– Dobra, jedź pan na tę komendę albo jeszcze lepiej, poczekaj pan tutaj. Zaraz przyjedzie radiowóz. Opowie pan chłopakom co i jak, okej?

– A pan co?

– A ja mam własne problemy. – Adrian wskoczył na rower i zostawił doktora na poboczu. – Tylko niech pan tu czeka, oni już ruszyli. Góra pięć minut i będą – obiecał, po czym odjechał.

Doktor wrócił więc na pełną drogę, starając się jechać jej poboczem, by nie zadeptywać śladów. Potem w oczekiwaniu na radiowóz upił kilka łyków wody z plastikowego bidonu.

Odjazd Adriana Rożka mocno go zaskoczył. Powinien chyba zostać tu ze mną? – pomyślał, wypatrując patrolu.

Kiedy policjanci się pojawili, opowiedział im, co widział, i w końcu pozwolili mu odjechać.

Do wieczora czuł się podenerwowany, bolała go głowa i nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Wyrzucał sobie, że nie pomógł uprowadzonej dziewczynie, czuł się jak ostatni tchórz. Koło dwudziestej pierwszej zrobił sobie mocnego drinka, chociaż unikał alkoholu, a później sięgnął po komórkę i wysłał krótkiego esemesa o treści: „Przyjedź, potrzebuję Cię”.

Odpowiedz przyszła niemal natychmiast.

„Będę za kwadras”.

Nie umawiali się na ten akurat wieczór, ale Maciej czuł, że sam nie zdoła przetrwać nocy. Nadal był rozbity po incydencie nad jeziorem i chciał porozmawiać z kimś, przed kim nie miał sekretów.

Przygotowywał sałatkę, chcąc podać ją do odgrzanej w piekarniku pizzy z poprzedniego dnia, kiedy w drzwiach zachrobotał klucz. Słyszając ten dźwięk, uśmiechnął się do siebie. Jeszcze do niedawna nie wyobrażał sobie dnia, w którym wręczy komuś klucze do swojego domu, ale teraz nagle pojął, na czym polega miłość, oddanie i troska o drugiego człowieka. Zakochał się i już go to nie przerażało. Żył dla kogoś, nie tylko dla siebie, i po raz pierwszy od lat ufnie patrzył w przyszłość.

– Już jesteś?! – krzyknął z kuchni.

– Byłem w pobliżu! – usłyszał i po chwili do pachnącego przyprawami pomieszczenia wszedł Waldemar Berg.

Na widok wikarego, który był jednocześnie jego sekretnym kochankiem, mężczyzną, który nadał sens jego pustemu samotnemu życiu, Maciej odłożył trzymaną w rękę miskę z sałatką i ruszył w stronę gościa.

Kiedy Waldemar go objął, napięcie z niego spłynęło; w ramionach kochanka momentalnie się odprężył.

– Dobrze, że jesteś – powiedział, a Waldemar spojrzał na niego pytająco.

– Coś się stało? – Zauważył, że Maciej jest jakiś nieswój.

Doktor opowiedział więc Waldemarowi o zajściu nad wodą, a ksiądz z niedowierzaniem pokręcił głową.

– W biały dzień tak po prostu zapakował ją do furgonetki?

– A ja nic nie zrobiłem. Sterczałem tam jak kołek.

– A co mógłbyś zrobić? Chciałeś wezwać pomoc, to logiczne. Gdyby koleś cię złapał, pobił i odebrał ci telefon...

– Wiem, ale i tak czuję się fatalnie. – Maciej przysiadł na jednym z kuchennych krzesel, a Waldemar położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie wyrzucaj sobie tego, co to da? Może mógłbyś zrobić dla niej coś więcej, a może leżałbyś właśnie na ojomie?

– On ją porwał, Waldek! Moją pacjentkę!

– I nie umiesz powiedzieć, kto to był?

– Nie, byli za daleko. Widziałem tylko sylwetkę i starą furgonetkę, której nie kojarzę.

– Policja jej szuka, jakoś to ogarną – pocieszył go Waldemar, ale nie zabrzmiało to przekonująco.

– Poważnie, ogarną? Tak skutecznie jak z Jagodą? – parsknął Maciej.

– Robią, co mogą – powiedział wikary.

– Zjemy? Odgrzeję tę połowę pizzy – dodał, ale Waldemar nie był głodny.

– Nie chcę jeść. Pogadajmy chwilę i muszę wracać.

Kiedy przeszli do salonu, Maciej rzucił krótkie: „Nie świeć!” i zanim pozwolił Waldemarowi zapalić światło, opuścił rolety w oknach.

– Wiecznie w ukryciu, jak przestępcy – powiedział cicho Waldemar, kiedy usiedli na sofie. – Spotykamy się nocami, przesiadujemy w piwnicy, bojąc się, że ktoś zauważy nas przez okno. To jest chore, Maciej. Smutne, chore i nieludzkie.

– Więc co proponujesz? – zapytał Maciej zmęczonym głosem. – Mamy wyjść na molo, trzymając się za ręce, i ogłosić całej Ostródzie, że lokalny stomatolog związał się z księdzem? Jesteśmy gejami, co w tym kraju już samo w sobie stanowi piętno. Kiedy ludzie dowiedzą się, że uwiodłem księdza...

– Więc się boisz? I co? Będziemy się spotykać w krzakach? Mamy się ukrywać? Walczyć z poczuciem winy?! Myślisz, że mnie to nie ciąży?! Zdradziłem Boga, splugawiłem kapłaństwo, podeptałem własną przyszłość w Kościele, ale jednak wiem, czego chcę. Chcę ciebie! Zrzucę sutannę, wyjadę, zacznę wszystko od nowa, tylko zrób to razem ze mną. Sprzedaj ten dom, którego nigdy nie lubiłeś, zacznij od początku.

– Myślisz, że to takie proste? – Maciej nerwowo wykręcił palce.

– Nic, co dla nas ważne, nie jest proste. Ale ja podjąłem już decyzję.

– Ty straciłeś wiarę, być może dlatego jest ci łatwiej. Ciężarna żona twojego przyjaciela zginęła potrącona na pasach przez jakiegoś gówniarza, co sprawiło, że obraziłeś się na Boga i chcesz mu zagrać na nosie, ale ja...

– Co, ty?! Przecież nawet nie jesteś wierzący! – zawołał Waldemar. – I tak, obraziłem się na Boga! Zawiódł mnie, więc skończyłem z podporządkowywaniem całego swojego życia jego zasadom! Zakochałem się w tobie, rozumiesz?! Walczyłem z tym, chciałem uciec od pokusy, nie mogłem spać i nie umiałem podjąć ostatecznej decyzji, ale dziś wiem, czego chcę. Ciebie. Jedźmy do Warszawy, Maciek. Otworzysz tam gabinet, ja znajdę jakąś pracę, zamieszkamy obok siebie, wszystko się poukłada...

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał cicho Maciej.

– Tak – odparł Waldemar bez wahania. – Mam dość życia w kłamstwie, chowania się po piwnicach, krzakach i opuszczonych budynkach.

– W tamtej ruderze nie było tak źle, nie licząc posiekanych pokrzywami łydek. – Maciej uśmiechnął się na wspomnienie ich letniej schadzki pod miastem, ale Waldemar nie odwzajemnił jego uśmiechu. Wcale nie wyglądał na rozbawionego.

– Potrzebuję prawdy – wyznał cicho. – Chcę żyć w zgodzie z własnym sercem, nie pod dyktando innych. Wiem, że będzie ciężko. Pożegnanie kapłaństwa, życie w nowym mieście, stawienie czoła rzeczywistości... Ale dla ciebie zrobię wszystko i chcę, żebyś i ty zrobił wszystko dla mnie. Wszystko, Maciej, słyszysz?

– Dobrze. – Maciej uśmiechnął się do mężczyzny, w którym od dłuższego czasu był zakochany, i zacisnął palce na jego dłoni. – Dobrze, zróbmy to.

Kilka minut później otworzyli butelkę szampana i wzniesli toast za ich wspólną przyszłość, a kiedy Maciej poczuł na podniebieniu łaskotanie bąbelków, usilnie starał się nie myśleć o dziewczynie, którą zawiódł.

– Muszę już iść – oznajmił Waldemar kwadrans później.

Maciej miał ochotę go poprosić, by został z nim do rana, ale zabrakło mu odwagi. Podał więc Waldemarowi płaszcz i wypuścił go do ogrodu, specjalnie nie zapalając światła przed frontowym wejściem.

Warszawa...

Zamykając drzwi, uśmiechnął się do siebie. A jeśli to naprawdę znacznie prostsze, niż myślał? Dom sprzeda, prędzej czy później. Gabinet w stolicy otworzy bez trudu, miał chęci i fundusze. Pacjenci i mieszkanie też się znajdują, trzeba tylko zabrać się za organizację nowego życia. Myjąc kieliszki, pomyślał o Osie. Czy naprawdę mógłby ją uratować, czy tylko się łudził, że jego interwencja cokolwiek by zmieniła?

Ostróda, październik 2022

Dariusz Nowakowski otworzył drzwi od swojego pokoju i wystawił głowę na korytarz. Piętro niżej, w salonie, głośno grał telewizor, matka oglądała coś, co w jego uszach brzmiało jak musical. Czasem, oglądając do późna jakiś serial czy dokument, zasypiała przed telewizorem, ale tym razem muzyka była wyjątkowo głośna. Zaklął i cofnął się do pokoju.

Dochodziła północ, a on chciał wyjść, by pokręcić się po mieście i poszwendać bez celu, ale dopóki matka tkwiła przed telewizorem, nie było szans, by się wymknąć. Był dorosłym facetem, a pilnowała go jak dziecka. W dodatku z fotela, w którym zazwyczaj siedziała, widać było fragment korytarza i Dariusz nie miał szans przemknąć się niezauważenie w pobliże frontowych drzwi.

W swoim pokoju włączył porno, ale nie potrafił skupić się na niczym, nawet na krótkim filmiku o posuwanej przez przystojnego, mocno napakowanego kuriera jasnowłosej lasce z olbrzymimi cyckami. Był zdenerwowany i miał ochotę wrzeszczeć. Jagoda wciąż się nie odnalazła, a on oddałby wszystko, żeby jeszcze raz móc ją zobaczyć, nawet jeśli ciągle był na nią wściekły.

Myśląc o zaginionej przyjaciółce, opuszkami palców dotknął rozciętej wargi – rano, kiedy tankował samochód matki, trzech lokalnych byczków zaczepiło go przy dystrybutorze i oskarżyło o zamordowanie Świtezianki.

– Całe miasto wie, że się z nią po lasach bujałeś – usłyszał, zanim go skleпали.

Matce powiedział, że się potknął i uderzył twarzą w metalową balustradę schodów, zawsze to lepsze, niż przyznać się, że dostało się wpierdol od jakichś szczyli.

A teraz tkwił przed kompem i nie miał pojęcia, co zrobić z życiem. Ostatnio fatalnie sypiał, za dużo pił i nie potrafił ruszyć do przodu. Matka robiła mu afery z powodu braku pracy, a on potrafił tylko godzinami przesiadywać w sieci bądź leżeć na niepościelonym wyrku z puszką piwa i paczką chipsów.

Ostatnio obejrzał na YouTube filmik dwóch braci lekarzy gadających o stłuszczeniu wątroby u młodych ludzi i przez chwilę zastanawiał się, czy aby to przypadkiem nie dotyczy jego. Jednak złe przyzwyczajenia jak zawsze wygrały ze zdrowym rozsądkiem i już godzinę później kupił sobie w pobliskim spożywczaku kolejną paczkę chipsów o smaku bekonu i kilka puszek coli. Jebać wątrobę!

Dochodziło wpół do pierwszej w nocy, kiedy uznał, że się położy i spróbuje zasnąć. Dosłownie minutę później jego komórka pisnęła dźwiękiem przychodzącej wiadomości.

„Siedzimy w stodole, wbijaj na melanż!”, przeczytał.

Wiadomość wysłał Kondor, jego dawny szkolny kumpel, który zaczął się nim znacznie bardziej interesować od czasu zaginięcia Jagody. Dariusz podejrzewał, że kolegom w pewien sposób imponował fakt, że to właśnie on blisko się znał i kręcił po mieście z zaginioną Świtezianką.

Stodoła była rozsypującą się drewnianą budą na obrzeżach miasta, gdzie czasem pili i oglądali durne filmiki w telefonach. Dariusz nie bardzo miał ochotę tam iść, ale też nie w smak mu było siedzenie w pokoju, w którym zaczynał się czuć jak w celi, toteż zdecydował, że wpadnie.

„Będę!” – odpisał.

Później założył grubą czarną bluzę z wizerunkiem palącego cygaro kościotrupa na plecach, złapał za telefon i powoli, stopień po stopniu, zszedł na parter.

Matka siedziała przed telewizorem, cholerny musical trwał w najlepsze. Dariusz zagryzł wargę i na palcach przebiegł przez hol w stronę od dawna nieużywanego pokoju, z którego zamierzał wymknąć się oknem. Może to i chujowy pomysł, ale lepszego nie miał. Zresztą zdarzało mu się już wychodzić przez okno i zostawiać je otwarte; jak dotąd nic złego się nie stało, a matka nigdy się nie zorientowała, że tak robił.

Na zewnątrz pomyślał, że trzeba było wziąć jej auto. Do południa starsza i tak nie wyjdzie z domu, lubiła długo pospać, a później snuć się po domu w szlafroku, sączyć kawusię i obdzwaniać psiapsiółki. Nie było szans, by zauważyła zniknięcie tego swojego rzęcha. Tak, weźmie samochód, zdecydował, bo wędrówka do stodoły zajęłaby mu pewnie ponad czterdzieści minut.

Wdrapał się więc z powrotem na parapet, stamtąd przekradł się do pokoju, wśliznął się do holu, zdjął z haczyka wiszące na ścianie kluczyki od auta matki, wsunął je do kieszeni bluzy i wymknął się z domu tą samą drogą co przed chwilą.

Na zewnątrz przemknął wzdłuż domu, a później pochylony przebiegł przez ogród do furtki. Czuł się trochę jak włamywacz, ale szybko przestał się tym przejmować. Stara siedziała przed grającym pudłem, a on w końcu wyhodował jaja i zagrał jej na nosie, tak przynajmniej sobie mówił.

Uruchamiając samochód, uśmiechnął się pod nosem. Owszem, matka często pozwalała mu nim jeździć, choćby dziś zatankował, zrobił zakupy i pojechał po zapas mineralnej, ale branie kluczyków za jej aprobatą a samowolne wykradanie ich w środku nocy to dwie zupełnie różne sprawy.

Jadąc w stronę stodoły, pomyślał, że powinien teraz szukać Jagody, a nie upijać się z kumplami, szybko jednak stłumił wyrzuty sumienia. Chrzanić ją! Jest taką samą wredną suką jak one wszystkie i chociaż wciąż czuł się w niej zakochany, jego serce powoli lodowaciało.

Kiedy dotarł na miejsce, kumple siedzieli przed budynkiem i palili ognisko. Niewidoczny od strony drogi ogień rozświetlał ciemną jesienną noc, radosne iskry strzelały wysoko w niebo.

– Joł, siema! – przywitał go Kondor, tyczkowaty i przyszczaty okularnik, który mimo swojej małej wyjściowej aparycji zdobył sobie całkiem niezły posłuch w grupie równoletków. – Piwko jakies przywiozłeś? – zapytał, a Dariusz się zmieszał.

– No, nie prosiliście – wyjąkał.

– Bo tak trudno się domyślić? – Kondor wstał, podszedł do Dariusza i klepnął go w ramię. – Dobra, chuj z tym. Siadaj – zachęcił go, więc Dariusz opadł na jeden z ustawionych wokół ognia wolnych pniaków.

– Co tam, chłopie? Twoja laska się nie znalazła? – rzucił siedzący naprzeciwko Igor Wilczak, a reszta towarzystwa zarechotała.

– Nie jest moją laską – mruknął Dariusz.

– Jak nie? Przecież to ty jesteś jej wiernym pieszem – zakpił Wilczak, a Kondor rzucił Dariuszowi puszkę piwa.

– Łap i pij! – mruknął.

Otwierał ją, kiedy Wilczak wstał, obszedł ognisko i stanął za jego plecami.

– Dała ci kiedyś? – wycharczał mu do ucha zapitym, zachrypniętym głosem. – No mów, tu sami swoi! Różnałeś się z Jagodą czy jak dla ciebie to jednak były za wysokie progi?

Wtedy Dariusz wstał, cisnął w trawę otwartą puszkę z piwem, które wylało się, pieniać i cicho sycząc, a później wyciągnął rękę, chcąc uderzyć w twarz Igora, ale tamten zdążył odskoczyć, zapewne spodziewając się takiej reakcji.

– Panowie, spokój! – Kondor usiłował załagodzić sytuację, ale Dariusz nadal był wściekły.

– Ona zaginęła, ówoku! Ktoś mógł ją zabić albo porwać, a ty pytasz, czy się z nią przespałem?! – wrzasnął.

– A co ma piernik do wiatraka? Rozmowę chciałem zagaić, wielkie mi rzeczy! – Igor zaśmiał się Dariuszowi w twarz. – Ty, a może jednak ludzie prawdę mówią na mieście? Może to ty ją stuknąłeś, co? – zapytał nagle, patrząc kumplowi w oczy. – Bo w sumie pasowałoby to jak ulał. Gruby nieudacznik mieszkający z mamusią traci panowanie nad sobą i zabija piękną dziewczynę. Nie chciała ci dać? O to poszło? Skamlałeś, osaczałeś ją, błagałeś, a ona nic?

– Zamknij się! – warknął Dariusz.

– To odpowiedz, oświeć nas. Jesteśmy kumplami, nie? Tyle lat w jednej klasie, a ty nie chcesz powiedzieć, jak było? Dymałeś ją czy jej nie dymałeś? – Igor nie zamierzał odpuszczać, osaczał Dariusza swoimi podejrzeniami, przypierał go do muru, doprowadzał na skraj obłędu.

– Nie zabiłem jej, okej?! – wrzasnął, cofając się w stronę pustego budynku i aksamitnej ciemności nocy.

Teraz, kiedy stał wśród mocno podpitych dawnych szkolnych kolegów, zrozumiał, że przyjazd tu był błędem. Nie chcieli się z nim napić jak równy z równym. Chcieli go jedynie wypytać, zadrwić z niego, zabawić się jego kosztem. W szkole był popychadłem, grubasem, którego poszturchiwało się w szatni przed wuefem, lało w krzakach nad jeziorem i wyzywało za plecami nauczycieli, a teraz, chociaż dorósł, poczuł się dokładnie tak jak tamten zaszczuty chłopiec – wyszydzany, poszturchiwany i upokarzany.

– Wierny piesio stęsknił się za swoją zaginioną cipeńką? – rżał tymczasem Igor. – Cipu, cipu! –

rechotał.

Wtedy Dariusz pochylił się, błyskawicznie sięgnął po oparty o jeden z pniaków kijek, którego ostry koniec przygotowany był do kielbasy, zacisnął na nim palce i dźgnął kolegę w twarz, a konkretniej w oko, a kiedy tamten, zszokowany niespodziewanym atakiem, zawył z bólu, Dariusz popchnął go tak mocno, że Igor wpadł plecami do ogniska. Iskry wystrzeliły w ciemne niebo, a ktoś przeraźliwie wrzasnął, Dariusz sam już chyba nie wiedział kto.

– Kurwa, wyciągnijcie go! – zawył Kondor, usiłując pomóc leżącemu w ognisku koledze, ale Dariusz nie zamierzał współpracować.

Działał w amoku, ledwo do niego docierało, co właściwie zrobił. Przez chwilę stał, z rozchyłonymi ustami przypatrując się mrozącemu krew w żyłach widowisku, później odwrócił się na pięcie i niezatrzymywany przez kolegów zniknął w otaczających stodołę ciemnościach.

W stronę zaparkowanego nieopodal samochodu puścił się biegiem, a kiedy go dopadł, wsiadł i ruszył z piskiem opon.

Jadąc wzdłuż ciemnego jeziora, płakał. Teraz, kiedy z zaciśniętymi na kierownicy rękami analizował ostatnie minuty, dotarło do niego, że nie tylko wybił koledze oko, ale też naraził go na ciężkie poparzenia, wpychając w ogień. Nie, nie chciał tego, działał instynktownie, czuł się zaatakowany i osaczony. Chciał bronić honoru Jagody, nie mógł pozwolić, żeby te pijane jełopy mówiły o niej w taki ohydny, plugawy sposób. Nie była jakąś głupią cipą, którą każdy mógł posunąć! Była dziewczyną, w której się zakochał. Na myśl o tym załkał i zjechał na pobocze, czując, że nie jest w stanie prowadzić.

Chwilę później wysiadł z samochodu i drżąc z zimna, przeszedł nad skraj jeziora, gdzie przystanął, zapatrzony w otaczającą go ciemność. Noc była wilgotna, a on miał na sobie tylko narzuconą na sprany podkoszulek bluzę i podniszczone dżinsy. Marzył, ale najbardziej bolało go serce. Więc to już, stało się. Zmarnował sobie życie dokładnie tak, jak latami wróżyła matka. Jedna nieprzemyślana spontaniczna decyzja, kijek z zaostrzoną końcówką leżący akurat pod ręką, szydercze słowa kumpla, płonące w tle ognisko, i stracił panowanie nad sobą, zamienił się w bestię.

Ale przecież to wszystko nie zaczęło się tej nocy, przy stodole. To trwało latami, od dnia, w którym pojawił się w miejscowym przedszkolu, a Igor ugryzł go w rękę. Później były lata szyderstw, poszturchiwań, docinków, złośliwych uśmieszków i milknących na jego widok rozmów. W końcu tamta noc, tuż po maturze, tamta koszmarna nieludzka noc, kiedy upokorzono go ostatecznie, tak jak nigdy wcześniej.

Poszedł wtedy nad jezioro, po dziadka. Do dziś pamiętał upajającą woń bzu w powietrzu, cudowną świeżość majowej nocy i krzyki pijanej młodzieży dochodzące z przeciwległego brzegu, ale dziadka tam nie zastał – jak się później okazało, starszy pan zabrał się ze znajomymi i odjechał znad jeziora ich autem. Byli tam za to Kondor, Igor, jeszcze dwóch koleś z klasy i dwie miejscowe dziewczyny, które skończyły szkołę trochę wcześniej. Wszyscy pijani, naprawdę mocno otumanieni alkoholem i skorzy do wszczęcia jakiejś rozróby.

Kiedy go dopadli, zdjęli mu spodnie, później zsunęli bokserki i zaczęli robić zdjęcia jego parówekki, jak się wyraził Igor. Krzyczał, ale mocno go trzymali. Szarpał się, ale ich było czterech. Dziewczyny, równie pijane jak oni, chichotały i pischwały, kiedy Igor kazał mu się na ich oczach masturbować, a gdy odmówił, pobili go i zostawili w trawie – zapłakanego, z gołym tyłkiem i nieodwracalnie splamioną reputacją.

Następnego dnia wieczorem Igor z Kondorem do niego wpadli. Chcieli załagodzić sprawę, gadali coś o tym, że to była tylko zabawa i żeby nie miał im za złe. Wyciągnęli go do miasta, postawili kilka piw i dwa hot dogi, udawali starych kumpli. „To były żarty, stary. Dzięki temu jesteśmy ze sobą bliżej” – wyjaśnił Igor, klepiąc go po plecach. Później wymusili na nim zapewnienie, że nie ma im za złe „jaj znad wody”, jak to określili, a on, z trudem wydobywając słowa przez zaciśnięte gardło, wykrztusił, że wszystko jest okej i że nie ma żalu.

Ale przecież to nie była prawda, żal drzemał w nim przez lata, rozrastał się w trzewiach, pęczniał. Upokorzyli go w najohydniejszy możliwy sposób, a on do dziś nie wiedział, gdzie oczy podziać, kiedy wpadał w mieście na jedną z tych lasek, które tam wtedy były. Dziś obie są już mężatkami, jedna chodzi właśnie w ciąży, druga jeszcze nie ma dzieci, ale obie nadal mieszkają w pobliżu i pewnie świetnie pamiętają jego hańbę.

Sam często przypominał sobie ich pijacki śmiech i to, jak Igor na sam koniec strzelił z gumki jego spodni od dresu i kopnął go w nagi pośladek, a wszyscy się śmiali, i jeszcze to, jak któraś z dziewczyn

rzuciła „ale minisiusiak”, i wszyscy znów zarechotali. Pamiętał, że wtedy płakał, za co jeszcze bardziej siebie nienawidził, a łzy spływały mu po policzkach i moczyły podkoszulek z Kaczorem Donaldem, który dwa dni wcześniej dostał od matki.

Nigdy później go nie włożył – Donald przypominał mu o upokorzeniu, był niemym świadkiem tego, co zaszło tamtej majowej nocy nad jeziorem. Czasem myślał, że może faktycznie wszystko wyolbrzymiał i powinien przestać się tym zadreć, z kolei w inne dni czuł się niemal tak, jakby ktoś go tamtej nocy zgwałcił. Czemu ludzie robią sobie takie rzeczy? – zastanawiał się nocami, bezsennie leżąc w łóżku, a bolesne wspomnienia sprawiały, że miał ochotę wyć z bezsilnej złości.

Igor zawsze był prześmiewczym hejterskim kutasem, więc może nie powinien się dziwić, że ostatecznie wylądował w ogniu? – pomyślał Dariusz i zaskoczył go fakt, że na myśl o tym czuje głównie podłą, mściwą satysfakcję. Żadnej litości, żalu czy wyrzutów sumienia. Głównie satysfakcja.

Pójdzie siedzieć. Nie miał co do tego cienia wątpliwości – nie wywinie się, są przecież świadkowie. Nie miał pojęcia, w jakim stanie Igor z tego wyjdzie, ale będzie poparzony i pewnie straci oko. Skoro zaostrzona końcówka kijka weszła w oczodół, nie ma raczej szans na happy end. Ciekawe, czy bez oka, ze skórą pomarszczoną jak u jaszczura, dalej będzie się nabijał z innych? – pomyślał Dariusz, wciąż patrząc na ciemną toń.

Woda była tuż-tuż, cicho chlupotała, podchodziła i cofała się nieopodal czubków jego znoszonych tenisówek. Nagle przeszło mu przez myśl, że dobrze by było to wszystko zakończyć. Zrzucić z siebie ubranie, zanurzyć się w kojącą toń jeziora i tam pozostać. Znaleźliby go dzień później, a może nigdy, było mu wszystko jedno. Martwemu jest już wszystko obojętne, pomyślał.

Lokalny nieudacznik samobójca – skrzywił się i nagle poczuł bunt. Nie! Nie da im tej satysfakcji! Nie odbierze sobie tego swojego marnego niepozornego życia tylko dlatego, że dręczyły go takie sukinsyny jak Igor. Po cholere tam jechałem? – wyrzucał sobie, stojąc nad wodą. Czemu ze mnie taki przegryw? Ile jeszcze razy uwierzę, że ci debile są moimi kumplami? Przecież od początku było jasne, że chcą się ze mnie ponabijać.

Z drugiej jednak strony, jak każdy człowiek pragnął towarzystwa i akceptacji. Wierzył, że po prostu wypiją piwo czy dwa, pogadają i rozejdą się każdy w swoją stronę. Chciał się przejechać, przewietrzyć, przykozaczyć, podjeżdżając tam samochodem matki. Wyszło, jak wyszło.

Światła radiowozu zamigotały na niebiesko, kiedy szedł w stronę pozostawionego nad brzegiem jeziora auta matki. W pierwszej chwili myślał, że już je znaleźli, ale oni pojechali dalej, w stronę stodoły, zapewne wezwani przez Kondora lub któregoś z jego kumpli. Chwilę później Dariusz usłyszał zbliżającą się od strony miasta przeciągle wyjąca syrenę ambulansu i poczuł przypływ paniki. A co, jeśli Igor umrze? Jedna nieprzemyślana decyzja na zawsze uczyni ze mnie mordercę?

– Kurwa! – wrzasnął w noc i szlochając, opadł na kolana prosto w przybrzeżne błoto.

Matce pewnie pęknie serce, jak on pójdzie za kraty. Smutny koniec smutnego życia... Nagle pomyślał o swoim pokoju, w którym od lat czuł się jak więzień, i lekko się uśmiechnął. Może jednak w pierdłu nie będzie tak źle? – pocieszył się.

Esemes od Kondora przyszedł chwilę później.

„Szukają cię psy, masz przejebane! Po chuj odpierdalałeś coś tak chorego?!”, przeczytał, zanim wyłączył komórkę.

Później wsiadł do samochodu i pojechał do centrum.

Przed komisariatem przez dłuższą chwilę siedział w aucie, w końcu wysiadł i pchnął przeszkłone drzwi. Nie ma sensu czekać, aż wywloką go z domu na oczach sąsiadów, zdecydował. Równie dobrze może to zakończyć na własnych warunkach. Zanim zgłosił się do dyżurnego, zjadł znaleziony w aucie matki zbożowy batonik i przepił go kupioną w automacie przy drzwiach colą. Jebać wątrobę, pomyślał, podchodząc do okienka.

– Tak? – mruknął siedzący za szybą młody gliniarz z zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami, nie okazując większego zainteresowania stojącym przed nim grubasem.

– Wybiłem koledze oko i wepchnąłem go do ogniska – oznajmił Dariusz, co w końcu przykuło uwagę policjanta.

– To jakiś żart? – zapytał ostro mundurowy, unosząc się z krzesła.

– Nie, panie władzo. Po prostu koleś był chujem – rzucił Dariusz, po czym, nie czekając na

odpowiedź, usiadł na jednym z krzeseł z plastikowymi oparciami.

W pierwszych minutach po zatrzymaniu myślał o Jagodzie. Kochał ją, ale chyba jednak nie zasługiwała na jego miłość. Była fałszywą suką, jak one wszystkie.

Ostróda, październik 2022

Po tym, jak starszy sierżant Adrian Rożek zgłosił dyżurnemu prawdopodobne porwanie youtuberki, wskoczył na rower i zaczął pedałowac w stronę centrum. Tego dnia nie pracował. Oficjalnie jeszcze go nie zawieszono, ale szef komisariatu zasugerował, by zrobił sobie kilka dni wolnego i – jak to ujął – ochłonał. Sprawa jego bójk z Lipińskim rozniosła się szerokim echem po mieście, koledzy komentowali ją na komendzie, w kółko oglądając nagrany przez świadków zajścia filmik, a zwykli obywatele tłumnie oburzali się w sieci, pomstując przy okazji na lokalną policję.

On sam nie bardzo wiedział, co ze sobą począc, nie umiał znaleźć sobie miejsca. Kamila nadal przebywała u rodziców, nie odbierała jego telefonów i ewidentnie nie chciała go widzieć. Córeczka była z nią; Adrian tęsknił za małą i tęsknił za żoną, był niemal na skraju obłędu.

Miał do siebie pretensje o zajście z Lipińskim. Nie powinien był się rzucać na tego snoba, który robi pewnie teraz wszystko, by uprzykrzyć mu życie i zrujnować karierę. Zazdrość o żonę zaślepiała go jednak w takim stopniu, że przestał nad sobą panować.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był pewien, że Kamila miała romans ze swoim pracodawcą. Kiedy ode mnie odejdzie? – zapytał się w duchu, przypinając rower do stojaka. A może po prostu zamierza ciągnąć na boku romans, a być z nim, mężem, bo tak jej wygodnie? Albo ze względu na córkę?

– Kurwa mać – zaklął, kiedy potknął się o krzywą chodnikową płytę, i z zaciśniętymi ustami ruszył w kierunku jednego ze swoich ulubionych pubów. Skoro nie może pracować, a własna żona nie chce z nim gadać, przynajmniej napije się piwa, powiedział sobie i wszedł do środka.

W lokalu było pustawo, o tak wczesnej porze nie kręcili się tu nawet zwykli bywalcy, a barmanka – wyraźnie znudzona szczupła brunetka z wytatuowanymi ramionami, siedziała za barem, przeglądając Insta.

– Żywca, dużego – zamówił Adrian, a ona posłała mu niechętnie spojrzenie i z wyraźnym bólem oderwała się od telefonu.

Gdy nalewała piwo, Adrian zauważył wiszącą przy drzwiach do toalety reklamę kursów walki Leszka Hartmana i uśmiechnął się na myśl o sukcesie kumpla, który zdołał rozkręcić całkiem dochodowy interes.

– Dzięki – mruknął, biorąc od barmanki kufel i usiadł przy stoliku z widokiem na tylną część lokalu.

Tam również wisiała reklama kursów samoobrony dla kobiet, znacznie większa niż ta przy drzwiach do toalety, z zamieszczonym wizerunkiem Hartmana, który, ubrany w czarną koszulkę z logo swojej szkoły walki, z poważną miną patrzył prosto na odbiorcę.

Nagle Adrian znieruchomiał, dosłownie jakby coś go poraziło. Hartman! Jego dobry kumpel, z którym regularnie chadzał na piwo, ojciec nastolatki, lokalny biznesmen – to były jego oficjalne twarze, ale czy za nimi nie kryło się coś jeszcze? Kiedyś wspomniał Adrianowi, że marzył o wstąpieniu do Legii Cudzoziemskiej. Często bywał w Afryce, pasjonował się bronią i sztukami walki, był samotnikiem. A co, jeśli cały czas miałem go pod ręką? Jeśli piłem z nim piwo, nie mając pojęcia, jaka ludzka bestia siedzi obok mnie? – pomyślał nagle Adrian.

– Ja pierdolę – wymamrotał.

Odjechało mu czy może właśnie znalazł mordercę dziewczyny z poligonu i jednocześnie faceta, który porwał Jagodę? Bo co do tego, że obie sprawy są powiązane, nie miał cienia wątpliwości. Odstawił kufel z wypitym do połowy piwem i zaczął się zastanawiać, czy Leszek Hartman mógłby zrobić coś takiego. Ale czy w gruncie rzeczy wiedział o nim cokolwiek więcej niż to, co kumpel chciał pokazać? Nagle przypomniał sobie o podmiejskim domu, który Leszek kupił jakiś czas temu. Adrian nie dowiedział się o tym od niego, lecz przypadkiem od znajomego agenta nieruchomości, z którym również się przyjaźnił. Teraz fakt, że kumpel nie wspomniał mu o kupnie nieruchomości, też wydał mu się podejrzany. Sięgnął po telefon.

Huczało mu w skroniach, czuł się tak, jakby przypadkiem dokonał właśnie odkrycia na miarę Nobla.

Wojtek Szczypiorski, znajomy agent, odebrał po trzecim dzwonku.

– Słuchaj, ja trochę nietypowo... Pamiętasz może, gdzie kupił dom Leszek Hartman? Kojarzysz, ten

od kursów samoobrony – zapytał Adrian i po chwili miał dokładny opis miejsca.

– Gdyby co, nie wiesz tego ode mnie – zastrzegł Wojtek i dodał kilka chaotycznych zdań, zanim się rozłączył, oznajmiając na koniec, że jest w drodze na prezentację wystawionej na sprzedaż willi.

Adrian pomyślał o Hartmanie i uśmiechnął się pod nosem. Świetnie znał tamtą okolicę, w dzieciństwie dziadek zabierał go tam na polowania. Odludnie, kameralnie, rzec by można. Kojarzył nawet ten dom, kiedyś mieszkało tam starsze małżeństwo, a kiedy zmarło, nieruchomości poszła pod młotek.

Dopijając piwo, zastanawiał się, czy powinien podskoczyć po auto, ale zdecydował, że nie będzie prowadzić po alkoholu, nawet jeśli wypił tylko jednego żywca. Podjadę rowerem, zabiję trochę czasu i zaliczę niezłą przejażdżkę, powiedział sobie i opuścił pub.

Kwadrans później, jadąc pełną kolein leśną drogą, zastanawiał się, ile właściwie wie o Leszku, i wyszło na to, że niewiele. Owszem, regularnie wyskakiwali na piwo, bywało też, że na kręgle i bilard, nagle jednak Adrian zdał sobie sprawę, że Leszek nie mówił o sobie właściwie nic. Gadali głównie o polityce, czasem co nieco o lokalnych wydarzeniach czy problemach, ale o nim samym niewiele. Adrian wiedział oczywiście, że kumpel prowadzi kursy samoobrony, miewa przelotne romanse, ale nikogo nie ma na stałe i raczej dobrze radzi sobie z córką, chociaż rzadko o tym mówił. Czasem Adrian odnosił wrażenie, że Leszek ojcem jest dość kiepskim, że sobie z tym nie radzi, ale skrętnie to ukrywa. I to wszystko. O Afryce mu raczej nie opowiadał.

Adrian słyszał jedynie, że Leszek był tam wiele razy i wrócił zauroczony Czarnym Lądem, ale nigdy nie zwierzał mu się ze swoich pobytów. Adrian zaczął się zastanawiać, co właściwie Hartman robił w Afryce? Bo w to, że wybierał się tam turystycznie, jakoś nie potrafił uwierzyć. Musiał mieć jakąś tajemnicę, pomyślał, skręcając w stronę wiodącej do domu Leszka drogi. Wojtek Szczypiorski zdradził mu lokalizację w tajemnicy. Głędził coś o etyce agenta, lecz Adrian nawet nie udawał wtedy, że go słucha.

Kiedy zbliżył się do domu na tyle, że ktoś mógł go zauważyć, schował rower za rosnące obok drogi krzewy jałowca i pieszo ruszył w stronę budynku. Wąska polna droga prowadząca do nieruchomości bez wątpienia była używana – Adrian wyraźnie widział koleiny wyżłobione przez koła samochodu.

Leszek musiał regularnie tutaj bywać. Być może wpadał tu, by remontować zaniedbane stare domiszcze, ale Adrian tak się uczeplił swojego podejrzenia, że był już niemal na sto procent pewny, kto jest mordercą.

Dom z zewnątrz wyglądał niepozornie. Zaniedbany, ze spadzistym dachem i kamienną podmurówką, sprawiał wrażenie opuszczonego. Ślady opon były jednak wyraźnie widoczne – ewidentnie ktoś tutaj podjeżdżał.

Adrian wyjął z plecaka glocka i wsunął go za pasek dżinsów. Nie była to jego broń służbowa. Chciał czuć się pewniej w świecie, który był dżunglą, i od jakiegoś czasu nie wychodził bez glocka z domu, podczas gdy broń służbową zdawał na komendzie. Kamila mówiła, że ją przeraża, nienawidziła tego pistoletu, ale przecież nie mógł pozwolić na to, by żona dyktowała mu, jak żyć.

Wokół budynku nie było nikogo, ze środka również nie dochodziły żadne podejrzone dźwięki. Samochodu nie widział, ale kto wie, może Leszek wjechał nim do stojącego pod lasem blaszanego garażu?

Podszedł bliżej domu i odnotował, że piwniczne okna z jego boku są zabite dyktą. Na tyłach było podobnie, ale z drugiego boku jedno z okien okazało się uchylone. Przykucnął, chcąc zajrzeć do środka przez brudną szybę, i wtedy usłyszał ochryply kobiecy krzyk. Brzmiał on przerażająco, nieludzko wręcz – były w nim rozpacz, zwierzęcy strach i panika.

– Ratunku! – wołała kobieta gdzieś z dołu, najpewniej z piwnicy.

Nie miał pojęcia, kto krzyczy. Jagoda? A może ta przemądrzała youtuberka, która dała się porwać znad jeziora? Czy może inna kobieta?

– Idę do was! – wrzasnął i okrążył budynek, chcąc dotrzeć do frontowych drzwi.

Niestety były zamknięte i mimo starań nie zdołał ich sforsować. Rozbił więc szybę w oknie na wysokim parterze i władował się do środka.

W domu cuchnęło stęchlizną, wilgocią i zleżałym kurzem. Adrian kichnął i nerwowo obejrzał się przez ramię, jakby się bał, że zza jego pleców wyskoczy morderca. Ale nikogo tu nie było.

Otworzył grube, zaryglowane metalową zasuwką drzwi. W kobietach, które były tam uwięzione, od razu rozpoznał Osowską i Jagodę – stały obok siebie i trzymały się za ręce. Obie były zapłakane, przerażone i drżały z zimna.

Postanowił działać. Instynktownie, olewając wszelkie protokoły czy wbijane mu do głowy podczas szkoleń czynności.

– Już dobrze, zabiorę was stąd – obiecał im. – Jesteście tu we dwie? – zapytał, ale go nie słuchały. Obie panicznie rzuciły się w stronę schodów i pognały na górę.

Ruszył więc za nimi, zdając sobie sprawę, że przecież nadal mogą być w niebezpieczeństwie. Obie były szybkie, biegły na podwórze w takim tempie, jakby goniły je demony.

– Czekajcie, trzeba wezwać pomoc! – krzyknął.

I wtedy go zobaczył – Leszek Hartman szedł od strony lasu z siekierą w dłoni i twarzą skrzywioną w grymasie nienawiści.

– Ty... – syknął na widok Adriana i złośliwie się uśmiechnął. – A już myślałem, że jesteś za głupi, żeby na cokolwiek wpaść! – zawołał.

Na jego widok dziewczyny znieruchomiały. Strach przykuł je do miejsca kilkanaście metrów od początku leśnej drogi. W końcu jednak Osa, ciągnąc za sobą Jagodę, rzuciła się do biegu, ale Hartman zagroził im drogę.

– Dokąd to, moje panie? – zapytał.

Zawróciły. Jeszcze ich nie złapał, jeszcze miały szansę.

Leszek Hartman wydał z siebie dźwięk, który zabrzmiał jak ryk wściekłości. Wrzeszczał głośno, demonicznie, jakby pojął, że nie tylko został zdemaskowany, ale i zostało mu odebrane wszystko, co sobie upolował.

– Odłóż siekierę! – nakazał mu Adrian.

– Bo co mi zrobisz? – zapytał Leszek Hartman kpiącym tonem. – Kilka dni temu piłeś ze mną piwo, pamiętasz? – zakpił.

– Odłóż ją i połóż się na ziemi! – krzyknął Adrian.

– A jeśli tego nie zrobię? – Teraz dawni kumple stali już tylko jakieś dziesięć metrów od siebie i mierzyli się wzrokiem.

Dziewczyny uciekły w las, między drzewa. Jedna z nich, Adrian nie potrafił określić która, biegnąc, głośno szlochała.

– Odłóż to albo cię postrzelę! – zagroził Adrian.

– Nie jesteś chyba na służbie, co? – Leszek szeroko się uśmiechnął, wyglądał przy tym naprawdę upiornie.

– To cały czas byłeś ty! Przez cały ten czas miałem cię tak blisko – powiedział cicho Adrian.

– Jak się domyśliłeś? – zapytał Leszek.

– Po prostu się domyśliłem. Odłóż to – poprosił po raz kolejny, ale Hartman nie wykonał żadnego ruchu. Tylko stał pośrodku polany i patrzył mu w oczy.

– Zabij go, to potwór! Zrób coś, człowieku! – wrzasnęła z lasu Osa.

Wtedy Hartman na niego ruszył – błyskawicznie, z uniesioną w dłoni siekierą i szaleństwem w oczach.

Adrian wyszarpnął zza paska glocka, odbezpieczył go, wyrzucając sobie, że zrobił to tak późno, wycelował i włądował w kumpla od bilardu trzy kulki.

Porywacz upadł na kolana i przyłożył dłoń do piersi, jakby zaskoczyła go przesączająca się przez materiał wiatrówki krew. Siekiera wypadła mu z ręki i wylądowała w trawie, on sam jeszcze przez chwilę klęczał, w końcu osunął się na ziemię i stracił przytomność.

Niecały kwadrans później na polanie przed starym domem zaroiło się od mundurowych. Ratownicy medyczni troskliwie zajęli się dziewczynami, zwłaszcza odwodnioną, wygłodzoną i zszokowaną Jagodą, która wyglądała tak żałośnie, że Adrianowi zachciało się płakać. Ta druga, Osa, była w znacznie lepszym stanie, ale trudno się temu dziwić – w końcu, w przeciwieństwie do Świtezianki, przesiedziała w piwnicy tylko kilka godzin.

Podszedł do niej, kiedy siedziała w rozsuniętych bocznych drzwiach karetki, drżąc z zimna i szoku, z narzuconą na ramiona folią termiczną.

– I co? Będzie z tego dobry materiał na YouTube'a? – zapytał złośliwie.

Mimo to Osa spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Dziękuję – powiedziała. – On by nas zabił, wiesz o tym?

– Wiem – odparł. – Jesteś ranna?

– Posiniaczona.

– Jak to się stało, że cię dorwał? Znałaś go wcześniej? – zainteresował się.

– Nie. Widywałam go w mieście, na plakatach reklamujących kursy samoobrony, ale skojarzyłam to później, kiedy już mnie tutaj przywiózł. Zagadał do mnie nad wodą. Podjechał i zaczął o coś wypytywać, a ja nie zachowałam dostatecznej czujności.

– Bo łatwo się radzi innym na YouTube, co? – Adrian mrugnął do niej, ale tym razem w jego głosie nie było już złośliwości. – Cieszę się, że jesteś cała.

– W piwnicy jest martwa kobieta – dodała cicho Osa, a on zagryzł wargę, zdając sobie sprawę, że to najprawdopodobniej Bella, która po części zginęła przez niego.

– Chcesz do kogoś zadzwonić? – zapytał. – Wiesz, że będziesz musiała złożyć zeznania? Jeśli nie potrzebujesz pomocy medycznej, możesz od razu podjechać na komisariat.

– Dlaczego ludzie robią takie chore rzeczy? – zapytała cicho Osa, a Adrian krzywo się uśmiechnął.

– Jak to dlaczego? Żebyś miała o czym mówić na swoim kanale. – Puścił do niej oko.

Chwilę później podszedł do niego szef komisariatu, który klepnął go w ramię i pogratulował dobrej roboty.

– Jutro możesz wracać do pracy, jeśli ochłonąłeś – dodał.

– Ochłonąłem – mruknął Adrian, chociaż wcale nie był tego taki pewien.

Kiedy zerknął na leżącego na ziemi Leszka, lekko się wzdrygnął – właśnie postrzelił kumpla, który, na jego oko, raczej już nie wstanie. Z drugiej jednak strony, nie powinien chyba mieć wyrzutów? Ten mężczyzna był drapieżką, bezlitosną bestią niezasługującą na miano człowieka.

– Trzymaj się – rzucił do Osy, którą właśnie zaproszono do radiowozu, później zerknął na odjeżdżającą karetkę, w której była Jagoda, i ruszył w stronę polnej drogi, gdzie zostawił rower.

Idąc wzdłuż lasu, zastanawiał się, czy będzie mieć nieprzyjemności spowodowane użyciem glocka, ale zdał sobie sprawę, że w tym akurat momencie ma to gdzieś.

Kiedy dotarł do Ostródy, zadzwonił do Kamili, ale żona znów nie odebrała.

Ostróda, październik 2022

Osa dojadła batona bounty, cisnęła papierek do kosza na śmieci i wsiadła do swojego samochodu z zamiarem poszukania noclegu. Przez kilka godzin składała zeznania na komendzie, a potem pojechała oddać klucze od apartamentu, który opuściła przed południem, i przy okazji zapytać, czy mogłaby przedłużyć pobyt. Okazało się jednak, że wszystko jest zarezerwowane. Przejrzała więc oferty w telefonie i ostatecznie znalazła tani pokój w zaniedbanej kamienicy na Pułaskiego.

Właściciel, masywnie zbudowany, choć dobrotliwie wyglądający sześćdziesięciokilkulatek z siwą czupryną i okazałym piwnym brzuchem, wręczył jej klucze, pouczył w kwestii zachowania czystości, niepalenia w pokoju i ciszy nocnej, a kiedy w końcu zostawił ją samą, zamknęła drzwi, zrzuciła z siebie ubranie i z ulgą weszła pod prysznic. Zazwyczaj, kiedy meldowała się w nowym miejscu, uważnie sprawdzała pokój, bojąc się, że ktoś gdzieś zakamufłował kamerkę, ale tym razem była tak zmęczona, że sobie to darowała.

Stojąc w strugach przyjemnie ciepłej wody, oparta plecami o jasnoniebieskie kafelki, z błogością przymknęła oczy i poczuła wdzięczność za to, że udało jej się wyjść z opresji cało. Gdyby nie ten gliniarz... Bała się nawet pomyśleć, jak mogłoby się to skończyć. Nagle przypomniała sobie tatę i dziadka. Gdyby coś jej się stało, złamałoby im to serca. Ona by je złamała.

Powinam z tym skończyć, uznała. Szybko jednak doszła do wniosku, że nie potrafi. Ta praca – bądź hobby, bo tak również określano to, co od kilku lat robiła – była jej życiem. Kochała wyszukiwanie nowych spraw, jeżdżenie w miejsca, w których działo się coś podejrzanego, wypytywanie ludzi oraz dreszczyk towarzyszący jej podczas działań w terenie.

Tym razem była nieostrożna, ale to się więcej nie powtórzy. Nie będzie już tak naiwna, obiecała sobie, sięgając po ręcznik.

W pokoju włączyła laptop i wygooglowała Leszka Hartmana, ale nie znalazła niczego istotnego – w sieci dostępne były wyłącznie informacje o prowadzonych przez niego kursach samoobrony. Ironia losu, pomyślała. Szkolił kobiety ze sztuk walki i jednocześnie na nie polował. Być może te kursy stanowiły z jego strony chęć zapewnienia im jakiejś możliwości obrony przed takimi jak on? – przeszło jej przez myśl, ale szybko uznała, że raczej nie kierowały nim żadne szlachetne pobudki. Prędzej wypatrywał ofiar wśród kursantek.

Pomyślała o Jagodzie. Chciałaby z nią porozmawiać, zaproponować jej wywiad na wyłączność i o wszystko zapytać, ale Świtezianka nie chciała się przed nią otworzyć, kiedy były przetrzymywane w piwnicy przez Hartmana, a obecnie znajdowała się w szpitalu i była niedostępna.

Dzień później szybko się ubrała, zjadła śniadanie i wyruszyła do miasta. Najpierw pojechała do szpitala, usiłując dostać się do Jagody, ale jej do niej nie wpuszczono. Poszła więc na komendę, chcąc zapytać Adriana Rożka, czy zgodzi się udzielić jej wywiadu – był w końcu rycerzem w srebrnej zbroi, ich wybawcą. Poinformowano ją jednak, że starszy sierżant Rożek jest obecnie nieuchwytny, i spławiono równie skutecznie jak w szpitalu.

W mieście dowiedziała się, że Leszek Hartman, który zmarł w wyniku ran postrzałowych, miał nastoletnią córkę. Szybko udało się jej namierzyć dziewczynę na Facebooku i Instagramie – smarkuła nie dbała o prywatność, wrzucała co popadnie, było tam również kilka zdjęć z ojcem, dzięki czemu Osie udało się ją znaleźć i wysłać jej prywatną wiadomość. Na tym jednak jej fart się skończył – córka Hartmana nie chciała z nią rozmawiać, nie miała zamiaru się z nią spotkać i kazała się odczepić.

Usiłowała więc pogadać z kilkoma z jej koleżanek, ale również niczego nie ugrała – smarkule okazały się wyjątkowo sprytne i ostrożne jak na swój wiek.

Pomyślała o filmiku. Powinna nagrać materiał na YouTube'a, póki sprawa jest świeża. Była w końcu świadkiem zabójstwa mężczyzny, który najprawdopodobniej był seryjnym mordercą, a przynajmniej miał na niego solidne zadatki. Poza tym została przez niego porwana, ale chociaż bardzo się starała, nie umiała ubrać

w słowa tego, co jej się przytrafiło. Wspomnienia z piwnicy przewijały się jej przed oczami wciąż na nowo, cuchnęły stęchlizną, przerażały, w roli ofiary czuła się fatalnie. Emocje wzięły górę i kompletnie się rozsypała.

Dzwoniąc do dziadka, prawie się popłakała. Nie powiedziała mu oczywiście, co się jej przydarzyło, ale nagle zatęskniła za Płockiem i za rodzinnym domem.

– Wszystko w porządku, Lenka? – Starszy pan chyba mimo wszystko wyczuł jej paskudny nastrój.

– Nie – szepnęła bliska łez. – To znaczy teraz już tak – poprawiła się.

– Kiedy wracasz do domu? – zapytał dziadek, nie wnikając w to, co się wydarzyło, za co była mu wdzięczna.

– Nie wiem, pewnie za kilka dni. Chcę tu jeszcze trochę posiedzieć, pogadać z ludźmi.

– Uważaj na siebie, smarkulo! – W głosie dziadka usłyszała tyle czułości, że oczy momentalnie zaszyły jej łzami.

– Ty też, *grandpa* – mruknęła.

Nie umiała za bardzo okazywać uczuć, ale gdyby się odważyła, powiedziała mu teraz, że go kocha.

– Ojciec się o ciebie martwi – dodał dziadek po chwili milczenia.

– Czyli nic nowego pod słońcem – odparła z uśmiechem.

Rozmawiali jeszcze chwilę, później odłożyła telefon i przygryzła wargę. Muszę wrócić do szpitala, pogadać z Jagodą, zdecydowała. Wejść tam, postanowiła, choćby miała stanąć na rzesach.

I rzeczywiście tym razem jej się udało. Gdy weszła na teren szpitala, zobaczyła Jagodę spacerującą po niewielkim ogródku przed budynkiem. Dziewczyna była w nocnej koszuli, ciągnęła za sobą stojak z kropłówką i przechadzała się po jednej z alejek, wystawiając twarz do słońca.

– Jagoda, proszę, porozmawiaj ze mną. I tak będą cię nachodzić, znasz dziennikarzy. Jeśli dasz mi wyłączność...

– Masz tupet, co? – Świtezianka uśmiechnęła się krzywo i usiadła na ławce.

– Jakoś trzeba sobie w życiu radzić. – Osa puściła do niej oczko i usiadła obok. – Jak się czujesz? – zapytała.

– Tak, jak wyglądam, czyli chujowo – mruknęła Jagoda.

Ose zdziwił ten dobór słów, bo w jej wyobrażeniach Jagoda była kobieca, subtelna i uprzejma. Określenie „chujowo” nie pasowało do przyjaźni z księdzem i romantyczno-sielskiego klimatu, jaki ukazywała na swoim instagramowym profilu. Ale przecież nikt nie jest idealny, a już naprawdę mało kto pokazuje wyłącznie prawdę w social mediach, uśmiechnęła się krzywo Osa, która sama też lubiła sobie zakłąć.

– Dlaczego ty? Jak myślisz, czemu wybrał właśnie ciebie? Ze względu na twój profil na Insta? – zapytała.

– Nie będę o tym z tobą rozmawiać – odparła Jagoda.

– Czemu? Nie ufasz mi? Czekał, a może chcesz za to kasy? Okej, mogę na szybko zorganizować rzutkę, ale...

– Po prostu nie pozwolę ludziom wydrzeć ze mnie mojej historii, jakby kawałek po kawałku rozrywali mnie na strzępy.

– Na Insta od dawna pokazujesz swoje życie – przypomniała jej Osa, a Jagoda parsknęła śmiechem, wyraźnie rozbawiona.

– Poważnie wierzysz w to, że na Insta pokazuję moje życie? Tam się wrzuca pozory. Polukrowane kłamstewka, wyidealizowane odbicie naszej rzeczywistości, a nie lustrzane. Po drugiej stronie lustra jest szarość. Jest samotność, depresja, codzienna rutyna i to miasto, którego już nawet nie lubię.

– To ładne miasto – mruknęła Osa.

– To nudne miasto. Mam nudne życie w nudnym mieście, dlatego stworzyłam Świteziankę. Ona była inna: promienna, zjawiskowa, kolorowa, umiała się cieszyć życiem.

– Ty nie umiesz?

– Nie. – Jagoda zerknęła w stronę szpitala i przygryzła wargę. – Nie zapytałam nikogo, czy mogę wyjść, zwłaszcza z tym. – Ruchem głowy wskazała stojak z kropłówką.

– Co czujesz, kiedy on nie żyje? – zainteresowała się Osa, ignorując jej słowa o samowolnym opuszczeniu szpitala.

– Nic – odparła Świtezianka, a Osa spoglądała na nią z niedowierzaniem.

– Nic? Proszę cię! Mało brakowało, a by nas zabił! Tylko cudem z tego wyszliśmy, ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

– Nic. Zupełnie jakbym po tym wszystkim odcięła się od emocji – powiedziała Jagoda. – Masz może fajkę? Zresztą nieważne, zapomnij. Nie powinnam palić i nie powinnam tu z tobą siedzieć. – Wstała z ławki i ruszyła w stronę głównego wejścia do szpitala.

– Czekaj, Jagoda! Dam ci swój numer. Gdybyś zmieniła zdanie...

– Nie zmienię – odburknęła Świtezianka.

– A ksiądz Berg? Co łączyło cię z...

– Wiesz co? Powiem to wprost, bo mam dość. Spierdalał! – wycedziła Jagoda, zanim ciągnąc za sobą kropłówkę, przez rozsuwane drzwi weszła do szpitala.

– Cóż, w takim razie spierdalał. – Osa obróciła się na pięcie i ruszyła przez podjazd dla karettek.

Jagoda nie zrobiła na niej dobrego wrażenia. Wyobrażała ją sobie zupełnie inaczej, sądziła, że dziewczyna jest wrażliwa, słodka i miła, tymczasem spotkała cyniczną wredną dziewczuchę. Ale może to tylko kwestia ostatnich przeżyć? – pomyślała.

Po południu zauważyła na Facebooku, że Paula, córka Leszka Hartmana, wybiera się na pokaz jazdy na desce. Zdziwiło ją to, zważywszy że właśnie został zastrzelony jej ojciec, ale być może nastolatki nie rezygnują z zaplanowanych przyjemności z tak „błahych” powodów? Osa uśmiechnęła się pod nosem.

Do skateparku pojechała samochodem, później, z twarzą przesłoniętą słonecznymi okularami, w kapturze na głowie, zbliżyła się do grupki młodzieży, wśród której wypatrzyła Paulę Hartman. Dziewczyna, w czarnej falbaniastej sukience z prześwitującego materiału, siatkowych pończochach, gładkich i narzuconym na ramiona czarnym szalu, opierała głowę na ramieniu wysokiego chłopaka w szarej bluzie i džinsach.

Osa podeszła bliżej, zastanawiając się, czy zagadnąć ją od razu, czy czekać na odpowiedniejszy moment. Tym razem miała szczęście – Paula na chwilę oddaliła się od grupy rówieśników, szukając kosza na śmieci.

– Paula? – zapytała, zachodząc jej drogę, co chyba było błędem, bo dziewczyna momentalnie się zjeżyła.

– Czego pani chce?! – burknęła, a Osa poczuła się staro.

– Porozmawiać o twoim tacie. Chciałabym zrobić z tobą materiał na YouTube’a, może nawet nagrać osobną...

– Mojego tatę zastrzelono! – podniosła głos nastolatka. – Ten gliniarz, z którym się przyjaźnił, musiał coś do niego mieć i we wszystko go wrobił!

– Daj spokój, chyba w to nie wierzysz? – Osa krzywo się uśmiechnęła. – Twój ojciec mnie porwał, przetrzymywał w piwnicy i...

– Mój tato nikogo nie porwał! – wrzasnęła Hartmanówna. – Wszyscy kłamiecie! Ten gliniarz, pani, wszyscy!

– Mów mi Lena, ewentualnie Osa – zaproponowała youtuberka, a stojąca naprzeciwko smarkuła pogardliwie wyduła wargi.

– Do starszych osób zwracam się z szacunkiem – burknęła.

Osa parsknęła śmiechem.

– Do starszych osób, poważnie?

– No starszych ode mnie, co nie? Ile masz lat? Ze trzydzieści? Przecież to już starość – skrzywiła się Paula.

– Starość? To co powiesz o nim? – Ruchem głowy Osa wskazała idącego przez park starszego pana, a Paula znowu się skrzywiła.

– To jest żywy trup – stwierdziła z właściwym dla nastolatków okrucieństwem. – Normalnie jak zombiak w *Walking Dead*.

– Uroczo – mruknęła Osa, a Paula posłała jej krzywy uśmiešek i wyminęła ją bez słowa pożegnania.

– Zapłacę ci! – Osa złapała się ostatniej deski ratunku. – Zapłacę ci za rozmowę! – dodała, ale dziewczyna obojętnie wzruszyła ramionami.

– Dostałam właśnie kieszonkowe, więc jakoś nie potrzebuję kasy.

– Daj spokój, chcę tylko porozmawiać. O tym, jaki był twój tato dla ciebie, czy podejrzewałaś, że może mieć mroczne oblicze, a może...

– Ale ja nie chcę rozmawiać! – wrzasnęła Paula, przyciągając uwagę swojego faceta, który ruszył w ich stronę. – Robicie z mojego taty mordercę, a on by nikogo nie zabił! Uczył kobiety, jak się bronić, nie był taki!

– Uczył je, bo wiedział, że świat jest pełen drapieżców. Był jednym z nich – rzuciła Osa.

– Mój tato nikogo by nie zabił! – Paula zaczęła płakać, była na granicy hysterii. – To wszystko są kłamstwa spreparowane przez media i policję, jak na amerykańskich filmach!

– Byłam tam, dziecinko, i wszystko widziałam. Twój ojciec mnie porwał!

– Jasne, bo zaraz w to uwierzę! Chyba w pani marzeniach, żeby miała pani o czym gadać na YouTube!

– Chodźmy stąd. – Chłopak Pauli włączył się w dyskusję, objął Hartmanównę ramieniem, po czym pokazał Osie środkowy palec.

Świetnie, pomyślała, przyglądając się, jak odchodzą w stronę miejsca pokazów.

Cholernie owocny dzień. Jagoda kazała mi spierdalać, Paula mniej więcej też, a Adriana Rożka nie potrafiłam nawet zlokalizować. Kurewsko dobry materiał na filmik, jedno wielkie nic, pomyślała. Szybko jednak zdecydowała, że grunt to się nie poddawać, i nagrała krótką relację telefonem, filmując również stojącą w tłumie koleżkę Paulę.

Kiedy dzieje się coś tak strasznego jak morderstwo czy porwanie, trudno uwierzyć, że mógł tego dokonać ktoś z naszego miasta, ktoś, kogo znamy. Nie wierzy w to zwłaszcza najbliższa rodzina, bo ciężko zaakceptować coś tak strasznego – zaczęła.

Mówiła przez kilka minut, później ruszyła w stronę samochodu. Ostróda nie była dla niej łaskawa, ale nie zamierzała się poddawać. Odpocznie, nabierze nieco dystansu, powęszy i być może w końcu nagra coś, co będzie hitem.

Ostróda, październik 2022

Adrian nie pamiętał, kiedy ostatnio przespał jednym ciągiem więcej niż trzy godziny. Po długich przesłuchaniach w sprawie śmiertelnego postrzelenia Hartmana przepytywano go tyle razy, że zaczynał zapominać, jak się nazywa. W oczach mieszkańców Ostródy uchodził za niekwestionowanego bohatera, który uratował dwie młode kobiety z rąk szaleńca, jednak w policji najważniejsze były procedury.

Kiedy z nim skończyli, wrócił do domu i zagrzał sobie dwie ostatnie znalezione w lodówce parówki z ohydnie podeschniętymi końcówkami. Później zjadł posiłek, gapiąc się w płazmę, i sięgnął po telefon.

Niestety Kamila nie odbierała.

Pewnie jest w pracy, pomyślał i poczuł złość. Nienawidził tego, że żona musi pracować jako kelnerka. Właściwie irytowało go to od lat, choć starał się o tym nie wspominać, bo wiedział, że Kamila bardzo to lubi. Ale ostatnio...

Może gdyby nie Lipiński, wszystko byłoby inaczej, jednak już sama myśl o tym, że Kamila przebywa obok tego śliskiego nadzianego typka, sprawiała, że chciało mu się rzygać.

Był wściekle zazdrosny, znalazł się gdzieś na granicy obsesji, o ile już jej nie przekroczył.

Zgasił telewizor, ziewnął i położył się na kanapie, ale mimo skrajnego zmęczenia nie potrafił zapaść w sen. Przez głowę przewijały mu się obrazy z polany przed domem Hartmana, pełne krwi i bólu wspomnienia nawet na chwilę nie dawały mu odsapnąć. W oczach mieszkańców Ostródy, mediów, a niebawem zapewne całej Polski, Hartman to zwyrodnialec, ale dla niego był dobrym znajomym. Wiedział, że postąpił słusznie, zresztą nie było wyjścia, a jednak i tak czuł się z tym fatalnie.

Myślał o jego córce, o szoku, jaki przeżyje rodzina, kiedy dowie się, że Leszek skrywał przed nią swoje drugie oblicze. Jak to możliwe, że ludziom udaje się tak skutecznie maskować? Funkcjonują w społeczeństwie, pełniąc w nim ważne role, pracują, nawiązują znajomości, chadzają na randki, a jednocześnie z zimną krwią zabijają.

Na wspomnienie dziewczyny z poligonu lekko się wzdrygnął. Czy to możliwe, że wśród nas są aż tak potworne bestie? Jasne, widział w życiu wiele zbrodni, ale takie zwyrodnialstwo wciąż nie mieściło mu się w głowie.

Rano wstał o szóstej, wziął prysznic, zaparzył sobie kawę i pojechał pod dom teściów. Wciskając dzwonek, czuł, że ojciec Kamili znowu zadzwoni po ochronę, ale chciał spróbować.

Tym razem jednak czekała go niespodzianka – dosłownie dwie minuty później w drzwiach domu rodziców pojawiła się zaspana Kamila, która, w narzuconej na ramiona kurtce ojca, ruszyła ścieżką w stronę furtki.

– Kamila, wróć do domu – zaczął Adrian, kiedy żona stanęła naprzeciwko niego po drugiej stronie ogrodzenia.

Furtki nie otworzyła i poczuł się z tym fatalnie – potraktowała go jak jakiegoś pieprzonego intruza, a nie własnego męża.

– Tęsknię za tobą – dorzucił, nienawidząc się jednocześnie za ten skamlący ton, jaki usłyszał w swoim głosie.

– Nic ci nie jest? – zapytała. – Słyszałam, co się stało. Mogłeś zginąć.

– One też mogły. I nie zginąłem. Niektórzy mogliby powiedzieć, że masz męża bohatera. – Uśmiechnął się szeroko i puścił do żony oko, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

Stała naprzeciwko niego, drżąc z zimna, a on marzył tylko o tym, by wziąć ją w ramiona i zapomnieć o wszystkim, co złe.

Gdyby teraz z nim wróciła, przestałby podejrzewać ją o najgorsze. Powiedziałby sobie, że nie ma żadnego romansu, zaczęliby od nowa. Ale ona patrzyła na niego chłodno, w jej oczach nie widział czułości.

– Kamila? – zapytał, wkładając rękę pomiędzy metalowe sztachety ogrodzenia.

Chciał pogłaskać ją po włosach, ale się cofnęła. Cofnęła się! Jego własna żona nie chce już jego

dotyku...

– Potrzebuję przerwy – oświadczyła cicho.

– Co? – wykrztusił.

Czuł się tak, jakby walnęła go pięścią w przepoń.

– Słyszałeś.

– Jesteś moją żoną – powiedział.

– Ale nie jestem twoją własnością! – podniosła głos.

Pchnął furtkę. Chciał wejść do ogrodu, porozmawiać z nią jak człowiek z człowiekiem, wszystko wyjaśnić, ale bramka była zamknięta.

– Nigdy cię tak nie traktowałem – powiedział, starając się ochłonać na tyle, by nie buchała z niego złość.

– Nigdy? Poważnie? – zaśmiała się. – A twoja bójka z Lipińskim? Zaatakowałeś mojego szefa i zrobiłeś ze mnie pośmiewisko w miejscu pracy! Czy normalny człowiek tak się zachowuje?! Mężczyzna, który szanuje swoją kobietę, który jej ufa?!

– A mogę ci zaufać?! Widziałem ten prezent od niego, wiem wszystko! – wrzasnął, tracąc nad sobą panowanie.

Później złapał za metalowe sztachety ogrodzenia, wspiął się na nie i zwinnie przeskoczył na drugą stronę.

– Widzisz? Jesteś psychopata! – Kamila się roześmiała, ale w jej oczach dostrzegł strach.

Znieruchomiał, bo go to poraziło. Jego własna żona, kobieta, którą kochał nad życie, się go boi?

– Kamila, daj spokój – zaczął.

W tym momencie w drzwiach domu pojawił się teść.

– Córciu, chodź tutaj! – zawołał.

Adrian się zjeżył.

– Rozmawiam z żoną! – rzucił przez zęby.

– Rozmawiasz z moją córką, która nie ma najmniejszej ochoty na twoje towarzystwo! Jakim prawem nachodzisz nas przed siódmą rano, i to niezapowiedziany?! – W twarzy teścia zobaczył złość.

To już nie był ten przyjazny koleś, z którym pijał whisky...

– Tato, wracaj do środka, zaraz przyjdę – poprosiła Kamila.

– Wróć, jeśli wejdiesz do domu.

– Rozmawiamy! – warknął Adrian, zaciskając dłonie w pięści.

– To jest najście, nie rozmowa! – Teść nie zamierzał ustąpić.

– Tato, proszę cię! – Teraz również Kamila podniosła głos i ojciec w końcu się wycofał.

– Wróć do domu. Tęsknię za wami – powtórzył Adrian. – Kama, potrzebuję cię. Po tym, co się stało, nie umiem być sam. Dom jest bez was taki pusty, a ja...

– Powiedziała ci, że potrzebuję przerwy – weszła mu w słowo żona.

– Nie robi się przerw od kogoś, kogo się kocha – rzucił.

Milczała, co było dla niego kolejnym szokiem.

Potem odwróciła się i otulona obszerną kurtką ojca szybkim krokiem ruszyła w stronę domu.

– Jeśli jeszcze raz tu wtargniesz, będę musiał ponownie zadzwonić po ochronę – zagroził Adrianowi przyglądający się im z progu teść.

– Dzwon sobie nawet do prezydenta, mam na to wyjebane! – odszczeknął mu Adrian, zanim ruszył w stronę furtki, przeskoczył przez ogrodzenie i wrócił do samochodu.

Po powrocie do domu obejrzał krótki materiał zamieszczony na kanale „Osa na tropie zbrodni”, ziewnął i zaparzył kawę.

Do południa trochę spał, trochę buszował w sieci, później podjechał do centrum, gdzie kupił gigantyczny bukiet purpurowych róż i zdecydował, że wpadnie do Jelenia. Wiedział, o której żona miewała przerwy w pracy, i chciał jeszcze raz spróbować z nią porozmawiać, tym razem bez jej nadopiecznego ojca na karku.

Kwiaty położył na przednim siedzeniu po stronie pasażera, przejrzał się w lusterku, przecesał placami włosy i ruszył.

Do karczmy dotarł na czas, ale, jak się okazało, żona nie miała o tej porze przerwy. Początkowo

czekał w zaparkowanym przed restauracją samochodzie, nie spuszczać oka z wejścia do lokalu, później zdecydował, że wejdzie do środka. Lipiński jasno i wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie jest mile widziany w jego knajpie, ale prawdę mówiąc, miał to gdzieś. To wolny kraj, a on może chodzić tam, gdzie chce, zwłaszcza jeśli dotyczy to miejsc publicznych.

Dlatego wysiadł z auta i z olbrzymim bukietem róż wszedł do środka. Na jego widok kilka kobiet się uśmiechnęło, tylko jego żona pozostała ponura.

– Wyjdź stąd – syknęła, kiedy zaszedł ją od tyłu i pocałował w kark. – Nie możesz tak mnie osaczać! – dodała, a w jej oczach zalśniły łzy.

– Osaczać? Przyniosłem kwiaty – powiedział, wręczając jej bukiet. – Nic nie powiesz?

– Jestem w pracy.

– Jak zawsze – zakpił. – Możemy wyjść na zewnątrz?

– Teraz nie mogę.

– Twój szef jest na zapleczu?

– Nie ma go. Adrian, proszę, wyjdź – szepnęła, rozglądając się nerwowo.

– Proszę o kilka minut, nic więcej – naciskał, a ona w końcu uległa.

Kiedy wyszli na dwór, narzucił jej na ramiona swoją kurtkę.

– Traktujesz mnie jak wroga. Dziś, kiedy do was wpadłem...

– Wyrwałeś nas z łóżek, a dzwoniłeś, jakby się paliło!

– Chciałem porozmawiać.

– To już wiem. Potrzebuję przerwy, Adrian. Już ci mówiłam.

– Przerwy? To niedorzeczne! I co, będziesz siedzieć u tatusia? Moja żona z moją córką będą się przede mną ukrywać?! W jakim to mnie stawia świetle?!

– Posłuchaj samego siebie, Adrian! Moja żona, moja córka, jakbyśmy byli twoją własnością! – krzyknęła Kamila.

– Myślałem, że po to bierze się ślub? Żeby ludzie do siebie należeli...

– Chyba nie w takim sensie – parsknęła.

– Nie kochasz mnie już? – zapytał.

– Kocham, ale jestem tobą zmęczona. Po bójkę z Lipińskim...

– Lipiński, Lipiński, Lipiński! Czemu ciągle mówisz o nim po nazwisku, skoro się z nim pieprzysz?! Jak długo jeszcze będziesz mnie okłamywać?! Robisz tego złego ze mnie, a sama...

– Jesteś chory, Adrian. Poważnie, powinieneś się leczyć! – weszła mu w słowo żona. – Długo przymykałam oczy na twoje napady złości, zazdrość i potrzebę kontrolowania wszystkiego, bo cię kochałam, ale mam dość, naprawdę! Wypierdalaj stąd, zanim zadzwonię po twoich kolegów! – zawołała.

W tym momencie na parking wjechał Lipiński.

– Proszę, proszę, jest i twój kochaś – syknął Adrian, posyłając żonie złe spojrzenie.

– Nie sypiam z nim – powiedziała zmęczonym głosem, ale nie chciał słuchać.

– Jasne, że się z nim gzisz! – Uśmiechnął się krzywo.

Chwilę później otworzył drzwi od strony pasażera, dostał się do schowka i wyjął z niego glocka.

Strzelił w momencie, w którym Lipiński wysiadał z samochodu, i trafił go w ramię. Kamila rzuciła się na niego z pięściami chwilę później, kilka osób pijących piwo na werandzie cicho krzyknęło.

Uderzył ją w twarz. Kobietę, którą kochał, którą stracił...

Lipiński ruszył w jego stronę z grymasem bólu na twarzy, zaciskając palce na postrzelonym ramieniu. Zapewne chciał własnym ciałem bronić kochanki.

Adrian podniósł rękę z bronią i ponownie wycelował.

– Nie! – wrzasnęła Kamila i podniesioną z ziemi gałęzią uderzyła go w ramię tak, że spudłował, a druga z przeznaczonych dla Lipińskiego kul wbiła się w pień drzewa na skraju niewielkiego parkingu przed karczmą.

Goście w pośpiechu opuścili taras, ktoś krzyknął: „dzwońcie po policję”, i zapadła cisza.

Adrian dostrzegł jeszcze Kamilę, która wtulona w Lipińskiego szlochała w napadzie hysterii, później przystawił broń do czoła, ale nie odważył się nacisnąć spustu.

Osunął się na kolana, pistolet wypadł mu z ręki.

Stracił wszystko...

Nie pamiętał już niczego z tego, co się wydarzyło potem.

Ocknął się dopiero w areszcie z myślą, że podczas gdy Lipiński będzie radośnie obracać jego ukochaną żonę, on zgnije za kratami. Trzeba było nie pudłować, pomyślał z nienawiścią. Później zaczął sobie wyobrażać Kamilę w ramionach szefa i zwymiotował do kibla. Nie tak to wszystko miało wyglądać. Ich życie, małżeństwo, przyszłość. Ale czasu już nie cofnie, nie da rady. Stało się. Leżąc na cuchnącej pryzy, wyobraził sobie, że trafia Lipińskiego w głowę, zabijając go na miejscu, i na jego ustach pojawił się uśmiech triumfu i zadowolenia.

Zawsze stał po stronie sprawiedliwości, ale kiedy ktoś sięgnął po coś, co należało do niego, uważał, że musi walczyć. Szkoda tylko, że walkę przegrał. Trzeba było wszystko lepiej zaplanować, wyrzucił sobie. Zrobić to bez świadków, na zimno, nie poddając się emocjom. Ale przecież nie przewidział, jak to wszystko się skończy, nie planował tego, że wyjmie ze schowka gnata. Chciał tylko wręczyć żonie kwiaty...

Ostróda, październik 2022

Jagoda spojrzała na siedzącego przy kuchennym stole ojca i coś złapało ją za gardło. Czowała, że sprawiła mu mnóstwo bólu, ale przecież nie planowała tego, że tak koncertowo spieprzy sobie życie, a przynajmniej spory jego fragment, bo czas, który musiała przeznaczyć na donoszenie ciąży i poród, uważała za stracony. Ostatnio postanowiła oddać dziecko do adopcji, wydawało jej się to najbardziej humanitarne. Aborcji nie rozważała, choć przyszła jej na myśl, kiedy podczas pierwszego ataku paniki zastanawiała się, co dalej.

Bo Leszek, kiedy jeszcze żył, a ona nie miała pojęcia, kim naprawdę jest, nie chciał ich dziecka, chociaż przecież ich romans zaczął się tak jak w filmie...

Wpadli na siebie przed księgarnią. Ona wychodziła, on przepuścił ją w drzwiach. Naprzeciwko sklepu była kamienica, której boczną ścianę zdobił outdoor z reklamą szkoły walki.

– Czy to pan? – zapytała.

Odwrócił się i zerknął na billboard, chociaż była pewna, że świetnie wiedział o jego istnieniu.

– Wygląda na to, że ja. – Mrugnął do niej. – Ale pani też chyba jest sławna, Świtezianko? – dodał.

Później zapytał, czy chciałyby dołączyć do zajęć. Pochlebilo jej, że zna jej profil na Insta, przez chwilę poczuła się jak gwiazda, którą zawsze chciała być.

Gdyby nie to, że utykała, cały wielki świat mógłby stanąć przed nią otworem, ale krótsza noga – koszmar jej dzieciństwa i szkolnych lat – nie pozwalała jej rozwinąć skrzydeł. Modelką nie zostanie, aktorką też raczej nie. Okej, tą drugą może mogłaby być, ale przecież wiedziała, że szybko stałyby się dla niej upokarzające te niekończące się role kuśtykających piękności. Zresztą nie była nawet pewna, czy ma talent. Wolała pozować, dobrze się czuła przed obiektywem, ale pewna siebie była wyłącznie na fotkach robionych na własne konto. Przy ludziach, zwłaszcza obcych, bardzo się peszyła, momentalnie zaczynała myśleć o tej cholerniej krótszej nodze, znikająca jej pewność siebie, a wracały kompleksy...

Tymczasem ten przystojny ciemnooki mężczyzna przyglądał się jej z uwagą, pożerał ją wzrokiem. On ją WIDZIAŁ.

Ta myśl dodała jej pewności siebie, zarumieniła jej policzki, pchnęła w jego ramiona. Kiedy zapytał, czy miałaby ochotę na kawę, nie bawiła się już w żadne gierki i od razu powiedziała „tak”. Owszem, podobała się facetom. Prowadząc profil Świtezianki, otrzymywała mnóstwo miłosnych wyznań i propozycji spotkania pisanych w różnych językach, ale przecież wszyscy ci mężczyźni nawet jej nie znali. Nie mieli pojęcia, kim jest, nie zdawali sobie sprawy, że mocno kuleje. Gdyby o tym wiedzieli, czy tak samo chętnie by ją komplementowali? – zastanawiała się czasem, przeglądając komentarze w sieci.

Tymczasem stał przed nią mężczyzna, który dostrzegł ją w mieście, i pomyślała, że może to właśnie jest jedna z tych magicznych chwil, o których kręci się romantyczne filmy?

Ich romans był intensywny, namiętny i pełen fantazji. Leszek Hartman traktował ją jak księżniczkę, rozpieszczał, obiecywał wspólną przyszłość. Wtedy jeszcze nie miała pojęcia, jak potrafił kłamać. Nie wiedziała, że jednocześnie sypiał z innymi swoimi kursantkami, nie wyczuwała jego obłudy. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, nawet się ucieszyła. Pomyślała, że chociaż miał już nastoletnią córkę, to jednak dobrze przyjmie wiadomość o kolejnym dziecku.

Jego reakcja była jednak zgoła odmienna od tej, której oczekiwała.

– Usuniesz to – warknął, kiedy podczas kolacji przy świecach powiedziała mu o ciąży.

W pierwszej chwili myślała, że to jakiś okrutny żart, jednak wyraz jego oczu mówił wszystko – Leszek nie żartował.

Kiedy zaczęła płakać, zerwał się z krzesła, stanął nad nią i złapał ją za włosy.

– Naprawdę myślałaś, że złapiesz mnie na bachora? – syknął. – Jednego już mam, same z gówniarą kłopoty!

– Myślałam, że ją kochasz – załkała Jagoda, bo przecież Leszek czasem jej o Pauli opowiadał.

– Kocham, co nie zmienia faktu, że same z nią kłopoty. – Uśmiechnął się krzywo, jakoś tak okrutnie. – Wynoś się i wróć, kiedy załatwisz sprawę – wycedził.

A później wyrzucił ją z mieszkania.

Powrót do domu pamiętała jak przez mgłę – zapłakana, z rozmazanym makijażem, przemykała się wyludnionymi, zalanymi deszczem ulicami Ostródy. Sukienka lepiła się jej do pleców, ramion i brzucha, w którym „zaległo się” dziecko.

Później nastąpiły najgorsze dni jej życia – czas oczekiwania. Siedziała w domu wpatrzona w telefon, z nadzieją, że Leszek jednak do niej zadzwoni i przeprosi, ale on milczał.

Raz udała się nawet pod budynek, w którym mieściła się jego szkoła sztuk walki, lecz nie odważyła się wejść do środka.

I nagle stał się cud, wpadli na siebie nad jeziorem. Ona przyjechała tam na rowerze, chcąc posiedzieć i pomyśleć w samotności, z dala od oczu coraz uważniej przyglądającego jej się ojca, a on zjawił się nie wiadomo skąd, zupełnie jakby spadł z nieba.

Na jego widok odwróciła głowę, by nie zobaczył jej łez, ale do niej podszedł i mimo że w pierwszej chwili go odepchnęła, objął ją i przytulił.

– Wszystko sobie przemyślałem – szepnął jej do ucha. – Miałaś rację, może być pięknie. Zaczniemy od nowa, tylko we dwoje, czekając na nasze dziecko. Uciekniesz dziś ze mną?

Zaśmiała się nerwowo, z niedowierzaniem, a on spojrzał jej w oczy, ujął twarz w dłonie i powiedział, że nosi w sobie cud.

– Dziś w nocy wyjdź z domu, będę czekał w uliczce za torami – oznajmił. – Tam, gdzie kiedyś po ciebie podjechałem, pamiętasz?

Więc wyszła. Wymknęła się z domu w środku nocy, zostawiła wszystko, nie oglądała się za siebie. Liczyła na wielką romantyczną ucieczkę rodem z kiczowatego filmu o miłości, a dostała ciemną zatęchłą piwnicę i brutalną prawdę o tym, z kim się związała – z psychopatycznym mordercą.

Kiedy zamknął ją w tym przeraźliwie cuchnącym pomieszczeniu, myślała, że przyśnił się jej jakiś koszmar. Krzyczała, że chce się obudzić, drapała paznokciami ceglane ściany, kopała i wyła z rozpacz, ale ponury „sen” trwał nadal.

– Czemu?! Co takiego ci zrobiłam?! – krzyczała, kiedy schodził na dół i w milczeniu się jej przyglądał.

Odezwał się do niej dopiero po dwóch dniach od porwania, gdy skulona siedziała w kącie, będąc na etapie godzenia się ze swym losem.

– Kiedy zobaczyłem cię nad wodą, zrozumiałem, że pozbycie się dziecka byłoby zbyt proste i jałowe. Urodzisz je, a może nawet własnoręcznie wyjmę ci je z brzucha, a później wytnę mu serce – oznajmił Leszek tonem tak wypranym z uczuć, jakby opowiadał o promocji w pobliskim supermarkecie.

Zszokowana otworzyła usta, chcąc krzyknąć, ale z jej warg wydobył się tylko cichy skrzek.

– To dar, rozumiesz? – Gdy uśmiechnął się, w jego ciemnych oczach zobaczyła szaleństwo. – Wiesz, jaką moc będzie miało takie świeże niewinne serce? Zrobię z niego talizman, zatrzymam je na zawsze. Nawet jeśli nie będzie już biło, będę wiedział, że wyrwałem je własnymi rękami, że mogę decydować o życiu i śmierci, mam władzę nad tobą i tym, co nosisz w brzuchu.

Wtedy zaczęła krzyczeć. Ochryple, długo, w kompletnej hysterii, która ją ogarnęła.

– Uspokój się albo zacznę cię kneblować – powiedział.

Nie krzyczał, nie groził jej, po prostu mówił tym nowym, wypranym z emocji głosem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszała, a ona prawie mdlała ze strachu. Kuląc się w kącie, przypomniała sobie ich nocną ucieczkę – swoją ufność, nadzieję na świetlaną przyszłość i tę dziwną, poobijaną z boku furgonetkę, którą nigdy wcześniej z nią nie jeździł.

Kiedy zapytała, co to za auto, odparł, że kolegi. Czowała, że kłamie, ale nie chciała wyjść na wścibską. „Czy wiesz, że w tej okolicy nie ma żadnej kamery miejskiego monitoringu?” – zapytał, gdy wsiadła.

Zdziwiła się, bo co to w ogóle był za temat?

Tymczasem on, pogwizdując, zjechał w jedną z bocznych dróg. Samochodem gwałtownie zatelepało.

Zapytała, dokąd jada, nie wiedziała, czemu nagle poczuła się nieswojo.

– Pokażę ci dom, który niedawno kupiłem. Dom, w którym zamieszkamy w trójkę – powiedział.

A później dojechali na miejsce i zamknął ją w piwnicy.

Początkowo miała tyle różnych myśli. Wmawiała sobie nawet, że to jakiś test, że Leszek tylko chce zobaczyć, jak poradzi sobie w ekstremalnie trudnych warunkach, był w końcu instruktorem sztuk walki, sporo też mówił o sztuce przetrwania w sytuacjach zagrożenia takich jak blackout, gwałtowne zamieszki czy porwanie dla okupu. Ale czy można stawiać w takiej sytuacji kobietę w ciąży? Nie wiedziała, co mu siedzi w głowie, kiedy wrzucił ją tutaj i zatrzasnął za nią drzwi.

Gdy przemówił kilka dni później, zrozumiała, że jest w rękach potwora.

Kiedy wtrącił do piwnicy Bellę, a później ją zabijał, błagała go o litość, ale nie słuchał. Na jej oczach skręcił tej kobiecie kark, a później cisnął pozbawione życia ciało w kąt, żeby – jak się wyraził – martwa suka dotrzymywała jej towarzystwa.

Później wyszedł, zostawiając ją w ciemności, sam na sam ze zwłokami. Początkowo była przerażona, ale szybko oswoiła się z sytuacją, a po pewnym czasie zaczęła z martwą Bellą rozmawiać. Znała ją z widzenia, wiedziała, że jest lokalną prostytutką. Mówiła do niej, wyobrażając sobie, że tamta tylko śpi, a później, mimo że sama bardzo marzła, narzuciła na zwłoki jeden z szorstkich koców znalezionych na brudnym podartym materacu, na którym sypiała.

Kiedy w piwnicy pojawiła się Lena, Jagoda nie miała już nadziei. Czekwała na śmierć, na dzień, w którym jej ciążowy brzuch urośnie na tyle, by oszalały były kochanek mógł żywcem wyrwać z jej wnętrza dziecko tylko po to, żeby w jakimś nieludzkim akcie triumfu nad niewinnym życiem bestialsko wyciąć mu serce.

Wtedy znalazł je ten gliniarz, a Świtezianka chyba ponownie uwierzyła, że jednak na świecie zdarzają się cuda.

Kiedy tam wszedł, była w takiej panice, że chciała tylko biec przed siebie. Mimo osłabienia, odwodnienia, dziwnych skurczów w dole brzucha i zawrotów głowy pragnęła biec i nie zatrzymywać się, aż dotrze do miejsca, w którym czuje się bezpieczna.

W karetce płakała, nie była w stanie przestać. Myślała o dziecku, które cudem uniknęło okrutnej śmierci z ręki swojego obłąkanego ojca, o własnym tacie, jego tęsknocie, strachu, bezsennych nocach.

W szpitalu podali jej coś, po czym szybko zasnęła, ale kiedy się ocknęła, powrócił strach. Nie mogła oddychać, ogarnęła ją taka panika, że prawie zemdląca. Jednak z czasem, godzina po godzinie, dzień po dniu, zaczęła sobie obiecywać, że się nie podda. Odzyska kontrolę nad swoim życiem, zaufa ludziom jeszcze raz. Nie po to przetrwała w piekle, żeby teraz spaść w otchłań.

– Spakowałeś się? – Antoni Wiśniewski wszedł do pokoju, kiedy córka zamykała walizkę. – Pomóc ci w czymś?

– Nie, ale dzięki. – Uśmiechnęła się, a ojciec pogłaskał ją po głowie.

– Dobrze się czujesz, córciu?

– Pomijając nieustanne mdłości? W miarę – powiedziała.

Dwie minuty później do drzwi zadzwonił wikary Berg, a ona pognęła do przedpokoju i już w progu rzuciła się mu na szyję.

– Też miło cię widzieć. – Uśmiechnął się promiennie na widok przyjaciółki, bo tak właśnie Jagodę traktował, jak kogoś bliskiego.

Kilka miesięcy wcześniej wyznał jej, że zakochał się w Macieju, a ona go słuchała, nie oceniała i powtarzała mu, że wszystko jakoś się ułoży.

Do Grudziądza pojechali jego samochodem. W drodze nie mówili wiele, ale była mu wdzięczna za to, że przy niej był.

Para trzydziestokilkulatków, którą Jagoda wybrała na rodziców adopcyjnych, przyjęła ich w ogrodzie – dzień był ciepły, słoneczny, choć w powietrzu czuło się nadchodzący nieubłagany listopad. Rozmawiali długo, chciała lepiej ich poznać, miała przecież zamiar powierzyć im swoje dziecko – tę cudem uratowaną od śmierci istotę, za którą mimo wszystko czuła się odpowiedzialna.

Poród miał się odbyć dopiero za kilka miesięcy, ale pragnęła już teraz mieć pewność, że dziecko znajdzie dobry dom. Niektórzy radzili jej, by z szukaniem adopcyjnych rodziców poczekała do rozwiązania, ale nie chciała. Mówili, że może zmienić zdanie, że sprawy mogą przybrać inny obrót, ona była jednak pewna, że tak się nie stanie. Nawet jeśli od pierwszej chwili pokocha tę kruchą bezradną istotkę, i tak będzie musiała ją oddać. Nie może wychowywać tego dziecka, wiedząc, jakim potworem był jego ojciec. Bałaby się, że maleństwo wchłonie jej koszmarne wspomnienia, kiedy tylko weźmie je w ramiona czy podsunie mu

pełną mleka pierś. Wiedziała, że to niedorzeczne, ale tak właśnie czuła.

Urodzi, zapewni dziecku dom, a sama rozwinię skrzydła. Zamierzała jechać do Warszawy, zamieszkać gdzieś blisko Waldemara i Macieja, znaleźć ciekawą pracę, zmienić swoje życie. Miała dość Ostródy, niespełnionych marzeń, własnych kompleksów i ograniczeń, które właściwie sama sobie narzucała, we własnej głowie.

Jakkolwiek dziwnie by to nie zabrzmiało, porwanie i uwięzienie dodały jej sił. Skoro wyszła z tego cało, poradzi sobie z resztą. Nocami miewała koszmary, w ciągu dnia ciągle oglądała się za siebie i za żadne skarby świata nie weszłaby już sama do lasu, ale powtarzała sobie, że to minie.

Musi być silna.

Dostała od losu drugą szansę i nie może jej zmarnować.

– Masz zamiar odwiedzić Nowakowskiego? – zapytał ją Waldemar w drodze powrotnej następnego dnia, a ona się skrzywiła.

– Nie.

– Myślałem, że byliście przyjaciółmi?

– Może kiedyś, dawno temu. Później zaczął się zachowywać jak typowy macho, a kiedy go spławiłam, odwaliło mu.

– Nie znam go zbyt dobrze, ale myślę, że on żałuje – powiedział Waldemar, zjeżdżając na parking obok przydrożnej knajpy. – Wybacz, potrzebuję kawy.

– Może i żałuje, ale czy to coś zmienia? Daj spokój, wybił koledze oko i pchnął go w ogień! Koleś do końca życia będzie kaleką, co mu z tego, że Dariuszowi jest przykro?

– Może masz rację. – Waldemar zaparkował na skraju parkingu i zapytał Jagodę, czy ma ochotę na coś słodkiego. – A może chcesz kawy? Możesz w ogóle ją pić?

– Chcę siku – szepnęła, a on lekko się zaczerwienił.

Jego nieśmiałość jej się podobała. Był dobrym, wrażliwym człowiekiem i miała nadzieję, że odnajdzie szczęście, o które zdecydował się zawalczyć.

Idąc w stronę łazienki, pomyślała o Lenie. Nie polubiła jej mimo tego, że przez jakiś czas żyły zamknięte razem w piwnicy, ale kto wie, może jednak kiedyś jej opowie, co zaszło pomiędzy nią a Hartmanem. Kiedyś, kiedy już znajdzie swoje nowe miejsce na ziemi, pracę i przyjaciół, kiedy poczuje się pewniej. Teraz chciała tylko zapomnieć. Nie odwracać się za siebie, urodzić dziecko i oddać w dobre ręce tę krew z jego krwi, którą nosiła w sobie, a później zacząć od nowa.

Od nowa.

To tak pięknie brzmi, pomyślała i uśmiechnęła się, wchodząc do damskiej toalety.

Poprawiając włosy przed lustrem, przez dłuższą chwilę patrzyła sobie w oczy, ale nie dostrzegła już w nich lęku.

Była silna.

Silniejsza, niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać.

Płock, październik 2022

Osa dotarła do Płocka dzień przed swoimi dwudziestymi siódmymi urodzinami, wpadła odwiedzić tatę oraz dziadka, a później wróciła do siebie i po szybkim prysznicu zakopała się w łóżku, pod kołdrą i kocem. Podejrzewała, że wróciła jej anemia, bo ostatnio ciągle było jej zimno.

Traumatyczne wspomnienia z ostatnich dni zakopała głęboko w tyle głowy, starając się do nich nie wracać, ale czasem wydawało jej się, że nawet tu, w bezpiecznym i czystym mieszkaniu, unosi się piwniczny zapach stęchlizny. Jagoda nadal ją ignorowała. Mimo że jeszcze kilka razy usiłowała się ze Świtezianką skontaktować, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Żałowała, że nie może zrobić filmiku o tym, co im się przytrafiło, bo przecież przynajmniej częściowo była to ich wspólna „przygoda”, ale obiecała sobie, że więcej się do Jagody nie odezwie. Narzucać się nie zamierzała.

Robiąc sobie kisiel, pomyślała o Bernardzie. Znali się od kilku lat, przyjaźnili, a czasem bzykali. Oboje byli wolni i mieli zero ochoty na stały związek. Wystarczyły im dwie lub trzy kolacje w miesiącu, czasem spontaniczne spotkanie u niego, wino, seks, trochę śmiechu, bywało, że wypalony wspólnie skręt. Dawno się nie widzieli, chyba z pięć tygodni – najpierw Bernard był na Islandii, później ona wyjechała na Mazury.

Malinowy kisiel ją rozgrzał, lubiła go jadać zwłaszcza jesienią i zimą. Wybierając numer Bernarda, spodziewała się zaproszenia na kolację ewentualnie na szybki numer u niego, czekała ją jednak niespodzianka w postaci dość gorzkiej pigułki.

– Słuchaj, Lenka, na kolację zawsze chętnie z tobą pójde, ale poznałem kogoś na Islandii i to jest coś na poważnie – usłyszała.

– Wow. Miło, że mi o tym wspomniałeś – syknęła, dotknięta do żywego.

– No przecież właśnie ci mówię. – Bernard sprawiał wrażenie zaskoczonego jej kąśliwą reakcją. – Za późno? Przepraszam, ale mam ostatnio dużo na głowie, a między nami miało być bez zobowiązań i...

– Spoko. Zawsze to lepiej, niż gdybym miała się dowiedzieć po waszym ślubie – zakpiła.

– Ty też się nie odzywałaś – wypomniął jej. – To znaczy zdaję sobie sprawę, że czasem znikasz na dłużej i masz własne sprawy, ale mogłabyś chociaż napisać esemesa czy przedzwonić.

– Nigdy nie mówiłaś, że przeszkadza ci moje milczenie.

– Bo nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dopiero kiedy poznałem Agnieszkę. Ta intensywność między nami jest jak narkotyk, nie sądziłem, że tak dobrze się odnajdę w bliskiej, czulej i intymnej relacji.

– Cóż, powodzenia w takim razie. – Osa lekko posmutniała, zdając sobie sprawę, że będzie za nim tęsknić bardziej, niż sądziła, i powiedziała, że musi kończyć.

– Czekaj, hej! To co z naszą kolacją? – zapytał.

– Zabierz swoją dziewczynę – mruknęła, dorzucając „cześć”.

Odkładając telefon na stół, skrzywiła się. Jawne okazywanie zazdrości zawsze wydawało jej się wyjątkowo słabe, a tymczasem sama rzuciła focha w żenującym stylu. No nic, ciao, Bernard, pomyślała.

Później wróciła do łóżka, nakryła się kocem i po raz chyba dziesiąty obejrzała filmik, który udało jej się nagrać w Ostródzie. Zniechęcona brakiem dobrego materiału postanowiła sobie odpuścić i jak najszybciej wyjechać. Przed powrotem do domu wpadła więc na obiad do karczmy, w której pracowała żona tego gliniarza Rożka, i napatoczyła się na arcyciekawą scenkę z życia małżeńskiego, którą udało jej się nagrać.

Filmowała z ręki, ale w tym akurat momencie nie zamartwiała się jakością obrazu, zresztą bardzo często działała spontanicznie, co wiele osób jej zarzucało, a wiele innych miało głęboko gdzieś. Poza tym, z wbudowaną wewnątrz nowoczesnych kamer stabilizacją obrazu, dramatu i tak nie było.

Kiedy na parking podjechał Lipiński, Osa czuła, że będzie gorąco, ale nigdy by nie podejrzewała, że Rożek postrzeli pracodawcę żony.

Po tym, jak gliniarz, tym razem w cywilnym ubraniu, wyjął ze schowka broń i oddał strzał w kierunku szefa swojej ślubnej, goście z krzykiem uciekli z werandy, w panice rozlewając piwo i tłukąc

kufle, ale ona przykucnęła przy jednym ze stolików i filmowała dalej. Filmik wyszedł rewelacyjnie. Kłótnia małżonków, później postrzał Lipińskiego, następnie osuwający się na kolana Rożek, który szlocha z twarzą ukrytą w dłoniach. Początkowo chciała to wrzucić do sieci, skorzystać z opcji zamazywania twarzy, jaką umożliwia YouTube, i puścić filmik na swoim kanale, ale szybko zrozumiała, że czułaby się z tym jak hiena.

Ironią losu było to, że przesiedziała w Ostródzie kilka ładnych dni, mając nadzieję na jakąś „bombę”, a kiedy przypadkiem udało jej się ją nagrać na parkingu tuż przed wyjazdem, miała opory przed pokazaniem jej światu. Rożek uratował jej życie. Jej oraz Jagodzie. Gdyby nie on, być może nadal tkwiłaby w zatęchłej piwnicy bądź już nie żyła, tak jak ta skulona pod kocem kobieta, którą oprawca zostawił im do towarzystwa. Nie umiała Rożkowi tego zrobić. Oczywiście w Ostródzie tą sprawą będzie żyło całe miasto, ale robienie z tego sprawy ogólnopolskiej? Nie, wykluczone.

Zagryzła wargę i po dłuższej chwili usunęła nagranie.

– Ja pierdolę, mięknię – mruknęła pod nosem, odkładając kamerę na szafkę nocną.

Gibki, jeden z jej współlokatorów, zajrzał do niej, kiedy zabierała się do obejrzenia kolejnego odcinka ulubionego kryminalnego podcastu.

– Siema – zaczął, jak zawsze szczerząc się w uśmiechu.

– Hej, co tam? – zapytała, pewna, że Maciek jak zawsze chce pożyczyć kasę.

Okazało się jednak, że tym razem chciał zaprosić ją na piwo.

– Idziemy na Wzgórze Tumskie, wybierzesz się z nami? – zapytał, stając w progu i opierając się o framugę drzwi.

– Teraz? Nie wiem, chłodno dziś – skrzywiła się, nie mając najmniejszej ochoty wychodzić, ale Gibki potrafił postawić na swoim.

– Daj spokój, pod kocem będziesz siedzieć po osiemdziesiątce. No już, rusz dupeńkę – ponaglił Osę, więc w końcu wygrzebała się z piernatów i mruknęła, że musi się przebrać. – Ładna piżamka – usłyszała jeszcze, zanim kolega, rechocząc, zamknął za sobą drzwi.

Zakładając dzinsy pomyślała, że jest zmęczona. Życiem, światem, a czasem nawet sobą.

Szybko jednak odzyskała dobry nastrój, udało jej się nawet na chwilę zapomnieć o Ostródzie i bestii w ludzkiej skórze, którą tam poznała.

Pijąc piwo na Wzgórzu Tumskim, wmieszała się w tłum znajomych Gibkiego i przegadała prawie godzinę z jakąś laską, która pracowała jako tanatocosmetolożka w zakładzie pogrzebowym. Kiedy przemarznięci i głodni całą grupą zeszli ze wzgórza i rozsiedli się w jednym z ulubionych pubów, Osa zdała sobie sprawę, że brakowało jej normalności. Frytek, piwa, dobrej muzyki, widoku znajomych.

Zawsze gdy brała kolejną sprawę, wciągał ją świat zbrodni, nie pozostawiając wielu innych opcji. Śledząc zagadki kryminalne, odstawiała życie prywatne na boczny tor; można powiedzieć, że niemal całkiem zamierało. Dlatego zawsze po powrocie do Płocka albo szła pić ze znajomymi Gibkiego, albo dzwoniła do Bernarda. Z tym, że ta druga z możliwości właśnie się wykruszyła.

W nocy źle spała, męczyły ją koszmary. Śniła o mężczyźnie skalpującym młode kobiety, zabarwionym na krwistą czerwień jeziorze, w którym pływały martwe jelenie, i palcach z pożółkłymi zakrzywionymi szponami, które we śnie drapały ją po twarzy.

Obudziła się z krzykiem, przerażona.

Wiedziała, że jest w Płocku, w wynajętym mieszkaniu, w którym są również Gibki oraz Jaro, drugi współlokator, jednak mimo to się trzęsła. W pokoju było chłodno, miała lodowate stopy i drapało ją w gardle. Z narzuconym na ramiona kocem przeszła do kuchni, gdzie zjadła kilka krakersów, i podeszła do okna. Ciemność na zewnątrz sprawiła, że poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Starła się zbyt często o tym nie myśleć, ale im dłużej zagłębiała się w świat zbrodni, tym częściej miewała nocne koszmary, stany lękowe i napady paniki, nad którymi coraz trudniej było zapanować. Wiedziała jednak, że nawet gdyby skończyła z prowadzeniem swojego kanału, lęk by pozostał – zdążył się w nią już wcześcić, przeniknął w głąb jej jestestwa, zespolicili się...

– Nie możesz spać? – Gibki wszedł do kuchni, gdy czekała, aż zagotuje się woda na herbatę.

– Obudziłam cię? – opowiedziała pytaniem.

– Nie spałem – mruknął. – Coś cię dręczy, koleżanko? Bo tak właśnie wyglądasz.

– Życie. Życie mnie dręczy. – Uśmiechnęła się krzywo, sięgając po filiżankę.

– Opowiesz kiedyś, co się zdarzyło w Ostródzie? Nie wrzuciłaś zbyt wiele materiału, mam wrażenie,

że...

– Nie chcę o tym mówić – weszła mu w słowo.

Chwilę później, ku swojemu zaskoczeniu, zaczęła płakać.

– O rany. – Gibki, który był jednym z facetów wpadających w panikę na widok kobiecych łez, początkowo zrobił przerażoną minę, ale ostatecznie przytulił koleżankę, zamykając ją w uścisku. – Z nami jesteś bezpieczna – zapewnił ją śmiesznie poważnym tonem, a ona wywinęła się z jego objęć, mruknęła „dzięki” i otarła łzy.

– Sorry, nie wiem, co mi odwalilo – tłumaczyła się zażenowana faktem, że została przyłapana na chwili słabości.

– Może masz zespół stresu pourazowego? – zaśmiał się Gibki, a ona walnęła go pięścią w ramię. – Albo PMS?

– Pajac – rzuciła, ale oczy jej się śmiały.

Rano wstała z lekkim bólem głowy, lecz w znacznie lepszym nastroju. Po śniadaniu wyszła pobiegać, a kiedy wróciła, otworzyła mejla, na którym znalazła kilkanaście wysłanych przez zrozpaczone rodziny próśb o zapoznanie się z zagadkowymi sprawami. Najbardziej zainteresowało ją tajemnicze zaginięcie polskiego nurka w Egipcie, sprawa młodej matki, która przepadła na wakacjach w Chorwacji, oraz historia kobiety porwanej na oczach świadków – czterdziestokilkuletniej mieszkanki Kalisza, która samotnie wybrała się na południe Włoch i została siłą wciągnięta do samochodu przez niezidentyfikowanych dotąd mężczyzn.

Przez chwilę oglądała zdjęcia zaginionych, czytała mejle i zastanawiała się, której sprawie przyjrzeć się bliżej, później zamknęła okno przeglądarki, weszła na YouTube’a i sięgnęła po słuchawki. Tego ranka była w nastroju na ścieżkę dźwiękową z *Miasteczka Twin Peaks*.

Wyciszony telefon zawibrował na blacie biurka, kiedy słuchała *Falling Julee Cruise*.

Numer był nieznany, ale w jej przypadku to żadna nowość.

– Pani Lena Osowska? – usłyszała, kiedy niechętnie zdjęła słuchawki.

Głos był kobiecy, łagodny i chyba nieco zdenerwowany.

– Tak.

– Nazywam się Kamila Rożek, jestem...

– Wiem, kim pani jest.

– Możemy porozmawiać? O moim mężu. Adrian jest w areszcie, ale...

– Oczywiście, że możemy porozmawiać – odparła Osa, zaciekawiona i podekscytowana. Nie miała pojęcia, co chce jej powiedzieć żona starszego sierżanta Rożka, ale skoro dzwoni, musi coś dla niej mieć.

– Mój mąż... Widzi pani, jeszcze do niedawna byłam pewna, że nasze małżeństwo jest prawie idealne, ale z czasem... Myślę, że za długo bagatelizowałam jego napady zazdrości, ciągłe pretensje, wmawianie mi rzeczy, których nie robiłam. To się działo okresowo, było jak sinusoida. Ostatnie miesiące były dobre i spokojne, myślałam nawet, że Adrian w końcu mi zaufał, a później nagle uroił sobie, że zdradzam go z moim szefem i sama pani wie, jak to się skończyło.

– A zdradzała go pani? – zapytała Osa, nie siląc się na dyplomację.

– Nie! – zawołała Kamila Rożek. – Nigdy nie zdradziłam męża – dodała z naciskiem, choć już znacznie ciszej.

– Jak się czuje pani szef?

– Czeka go długa rehabilitacja, ale przeżył, a to przecież najważniejsze.

– Więc o czym konkretnie chciała pani ze mną porozmawiać? – zapytała Osa.

– O mężczyznach, którzy w napadzie szału atakują partnerki albo wmawiają im zdradę, chociaż nie są zdradzani. O facetach, którzy w biały dzień potrafią wyjąć broń i strzelić do niewinnego człowieka tylko dlatego, że coś sobie uroili. Wiem, że to Adrian pociągnął za spust, ale uważam, że po części to moja wina. Za długo lekceważyłam takie zachowania męża, tłumaczyłam sobie, że jak kocha, to jest zazdrosny, wybielałam go w swoich oczach. Jak to się skończyło, obie wiemy. Co dwa i pół dnia z rąk partnera ginie jedna Francuzka. Takie statystyki przedstawiła kiedyś „Wyborcza”. Przypuszczam, że w Polsce skala problemu nie jest aż tak szokująca, ale czy to cokolwiek zmienia? Żadna kobieta nie powinna padać ofiarą przemocy ze strony męża czy partnera, tak samo jak żaden mężczyzna nie powinien nią być. Ofiarą – sprecyzowała Kamila Rożek.

– Dobrze, porozmawiajmy o przemocy – zgodziła się Osa.

W pierwszej chwili się zawahała – nie prowadziła talk-show na antenie prywatnej TV, ale portal o zbrodni. Z drugiej jednak strony temat, który chciała poruszyć żona gliniarza z Ostródy, był bezpośrednio połączony z postrzeleniem człowieka i nadużyciami wobec kobiet, a to już zupełnie inna sprawa.

– Opuściłam już Mazury, ale na pewno uda się nam umówić na nagranie materiału – powiedziała.

W słuchawce zapadła cisza.

– Ale ja bym raczej chciała anonimowo. Wie pani, bez kamery, żeby nie było mnie widać – odezwała się w końcu Kamila.

– W takim razie proszę się zgłosić do jakiegoś radia – poradziła jej Osa dość kąśliwym tonem, zanim się rozłączyła.

Chwilę później wyłączyła telefon.

Musi odpocząć.

Dawno nie była tak zmęczona.

Posłowie

Drodzy Czytelnicy, powieścią *Jedna z nas musi umrzeć* otwieram nowy cykl *Piekło za rogiem* – odmienny klimatycznie od *Straconych dusz*, ale mam nadzieję, że równie interesujący.

Lena „Osa” Osowska to dwudziestokilkuletnia youtuberka, która po przeżyciu rodzinnej tragedii zafascynowała się zbrodnią: jej motywami, odcieniami i scenerią. Moja bohaterka jest pyskata, medialna, uparta i bystra, ale niekoniecznie skuteczna – jej „śledztwa”, jak już zdążyliście się zorientować, to głównie lansowanie się w sieci i wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Ale jest w tym jakaś metoda i zapewniam Was, że Osa dotrze jeszcze w wiele ciekawych miejsc, by odkryć przed Wami kryminalne tajemnice. Postać jest oczywiście fikcyjna, nie wzorowałam jej na nikim. Z kryminalnych podcastów na YouTube śledzę wyłącznie kanał Karoliny Anny, ale ona, w przeciwieństwie do Osy, przedstawia sprawy, nie jeżdżąc na miejsca zbrodni, co oczywiście byłoby niewykonalne, bo mówi o historiach z całego świata. Przy okazji bardzo Wam ten kanał polecam: Karolina Anna relacjonuje wydarzenia z empatią, bez przesadnego epatowania okrucieństwem.

Wracając do mojej najnowszej powieści: pracując nad nią, czytałam trochę o rytualnych zabójstwach w Afryce i ogrom bestialstwa naprawdę mnie przytłoczył. Nie były to dla mnie nowe informacje, od dawna słyszymy o szokujących procederach polowań na albinosów, szamanach podjudzających do zabójstw czy amuletach robionych z części ludzkich ciał, jednak ilekroć o tym czytam, nie jestem w stanie złożyć tego wszystkiego w jakąś sensowną całość.

Na etapie prac końcowych na dłużej odłożyłam tę książkę na bok. Wydawało mi się, że pewne sceny są zbyt brutalne i przerażające. Pomyślałam nawet, że może polski Czytelnik nie jest gotowy na zderzenie z okrucieństwem Czarnego Łądu, że to zbyt odległe kulturowo i mentalnie od nas, ludzi rzekomo cywilizowanych. Piszę rzekomo, bo uważam, że w każdym człowieku drzemie bestia. My, żyjąc w znacznie bogatszej, stabilniejszej geopolitycznie i wyedukowanej Europie możemy się łudzić, że mamy czyste ręce, że jesteśmy bardziej ludzcy, ale przecież gdzieś daleko, choćby w walce o przetrwanie czy zasoby, czarną robotę odwalają inni. Niewolnictwo, praca przymusowa, głodowe stawki w krajach Trzeciego Świata – to wszystko jest gdzieś poza nami, lecz przecież istnieje. To dzięki ludziom pracującym chociażby w kopalniach Konga siedzimy przed laptopami czy używamy smartfonów – bez wydobycia kobaltu byłoby to niemożliwe. Korzystamy z cywilizacji zbudowanej na niewolniczej pracy innych, w tym także dzieci, i tak jest od setek lat. Tam, gdzie życie jest tak nieludzko okrutne, sprowadzone do walki o łyk wody, kęs chleba czy po prostu przetrwanie, tam pojawia się też bestialstwo. Nie usprawiedliwiam. Staram się zrozumieć.

W mojej powieści pojawia się wątek okaleczania afrykańskich kobiet, którego brutalności nieco się obawiałam. Jak napisałam, Afryka jest daleko, to nie nasz świat. Bałam się, że jako autorka dorzucę do otaczającego nas bestialstwa jeszcze jedną cegiełkę, potęgując oddziaływanie zła. Był taki moment, że chciałam nawet tę książkę porzucić. A później przeczytałam o zakatowanej przez kartel meksykańskiej policjantce, której przed śmiercią zrobiono to, co opisałam: odcięto jej piersi. W takim żyjemy świecie, to nie tylko Afryka. Otacza nas zło, którego nie można ignorować, a tymczasem bestie krok po kroku zbliżają się także do nas. Pazerność, buta, arogancja, chęć zdominowania drugiego człowieka, zawładnięcia jego światem, językiem, losem – to wszystko jest tuż obok, a patrząc na to, co dzieje się od miesięcy u naszych sąsiadów, nie potrafimy już udawać, że zło jest daleko.

Może dlatego zdecydowałam, że ta książka trafi jednak w Wasze ręce. Są w niej fragmenty okrutne, ale czy w jakiś sposób nie odzwierciedlają one rzeczywistości?

Lubimy się łudzić. Chowamy głowy w piasek, odwracamy się, otaczamy pięknem, chcąc zagłuszyć niepokój i obawę o przyszłość. Sama również tak robię, to pomaga przetrwać, nie zwariować, złapać oddech, kiedy w istocie chce się wyć z bezsilności. Zło istnieje i jest przerażająco namacalne. Dlatego o nim piszę. A Wy będziecie o nim czytać.

Na szczęście na świecie jest też wiele dobra. Pięknych ludzi, szlachetnych inicjatyw, pełnych nadziei oczu, twarzy i uśmiechów. Pamiętajmy o nich, one pomagają przetrwać i wierzyć, że warto tu być. Tu, na naszej planecie, którą w pocie, łzach i krwi innych ludzi staramy się poskromić.

Mam nadzieję, że polubicie Osę. Jej postać stworzyłam trochę na miarę naszych czasów – jest jedną

z tych, które dzięki tupetowi i umiejętności postawienia na swoim dotrą wszędzie, a jeśli wyrzucą ją drzwiami, wejdzie oknem. W sieci moja bohaterka mierzy się z dużą ilością hejtu – ludzie widzą, że w gruncie rzeczy jej „śledztwa” polegają głównie na robieniu z siebie gwiazdy, a jednocześnie inni sponsorują jej kanał na Patronite, by mogła dalej bawić się w „śledczą”. W takich żyjemy czasach – często to, co subtelniejsze i bardziej wartościowe, znika zakrzyczane przez to, co głośnie, tupeciarskie i narcystyczne. Ale nie osądzajcie Osy zbyt surowo – jej pobudki są szlachetne, a ona sama wierzy, że pomaga ludziom. Czasem nawet jej się to udaje. Kocha swoje zajęcie, a to już pierwszy krok do sukcesu. Reszta się dla niej nie liczy.

Cóż, w tym momencie mogę już tylko życzyć Wam pełnej emocji lektury. Dziękuję, że sięgacie po moje tytuły i tak ciepło je oceniacie! To najpiękniejszy prezent dla autora.

Pozdrawiam Was gorąco z deszczowego Trójmiasta!

Daria Orlicz

Gdynia, 17 stycznia 2023



Fot. z archiwum Autorki

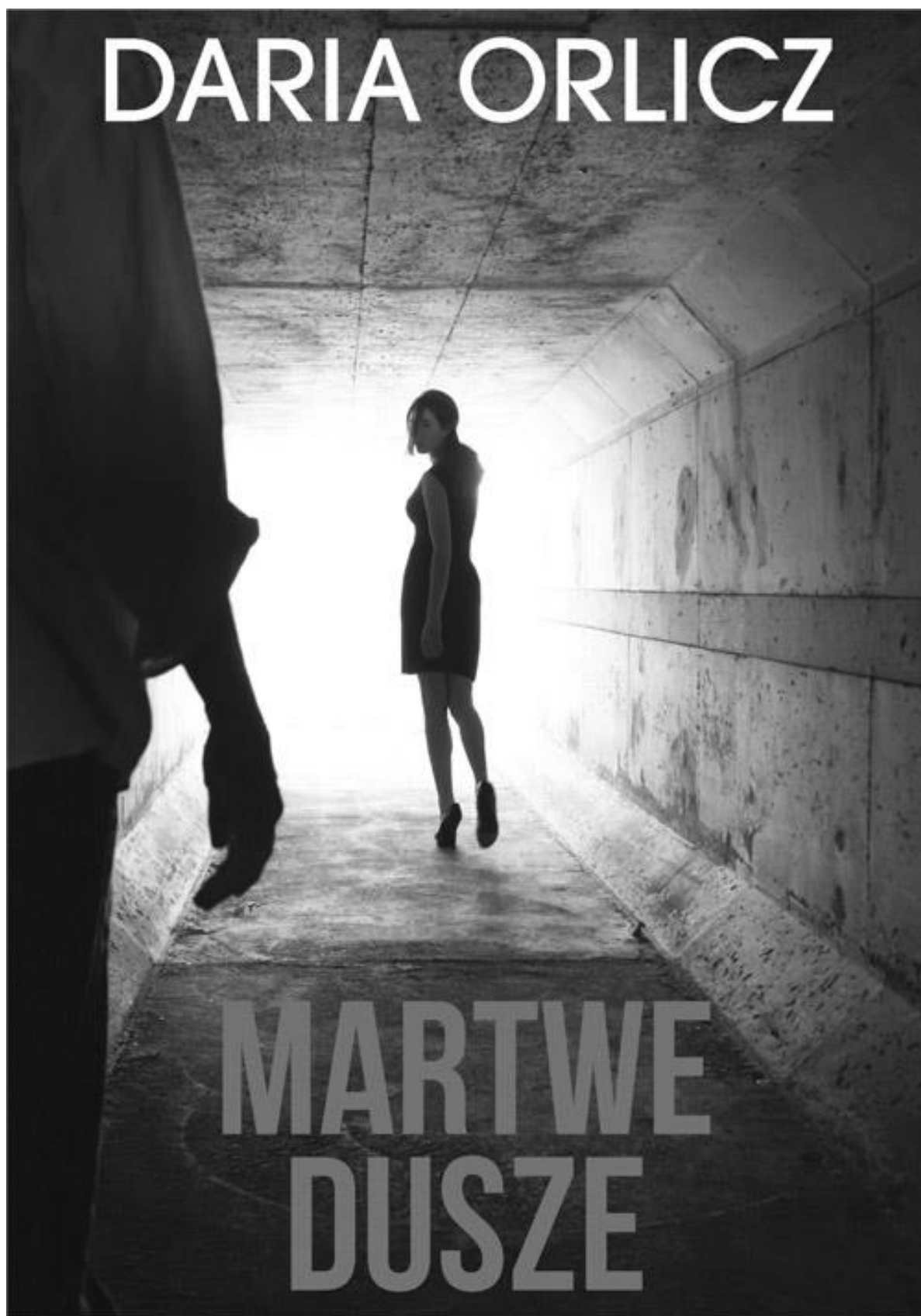
Daria Orlicz (pseudonim Katarzyny Misiólek, autorki bestsellerowych powieści społeczno-obyczajowych) jest pisarką o wielu twarzach. Uwielbia literaturę i kino grozy, klimaty postapo i dobrze napisane biografie, nie pogardzi też żadnym mrocznym thrillerem. Pisze to, co sama chciałaby przeczytać. Jej książkowi bohaterowie są prawdziwi; często podejmują kontrowersyjne decyzje, szokują i wzbudzają emocje. Fascynuje ją złożoność ludzkiej psychiki i nieprzewidywalne czasem konsekwencje naszych codziennych wyborów. Jest absolwentką Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie, obecnie mieszka w Trójmieście.

Polecamy również:



www.harpercollins.com

Polecamy również:



www.harpercollins.com

Polecamy również:

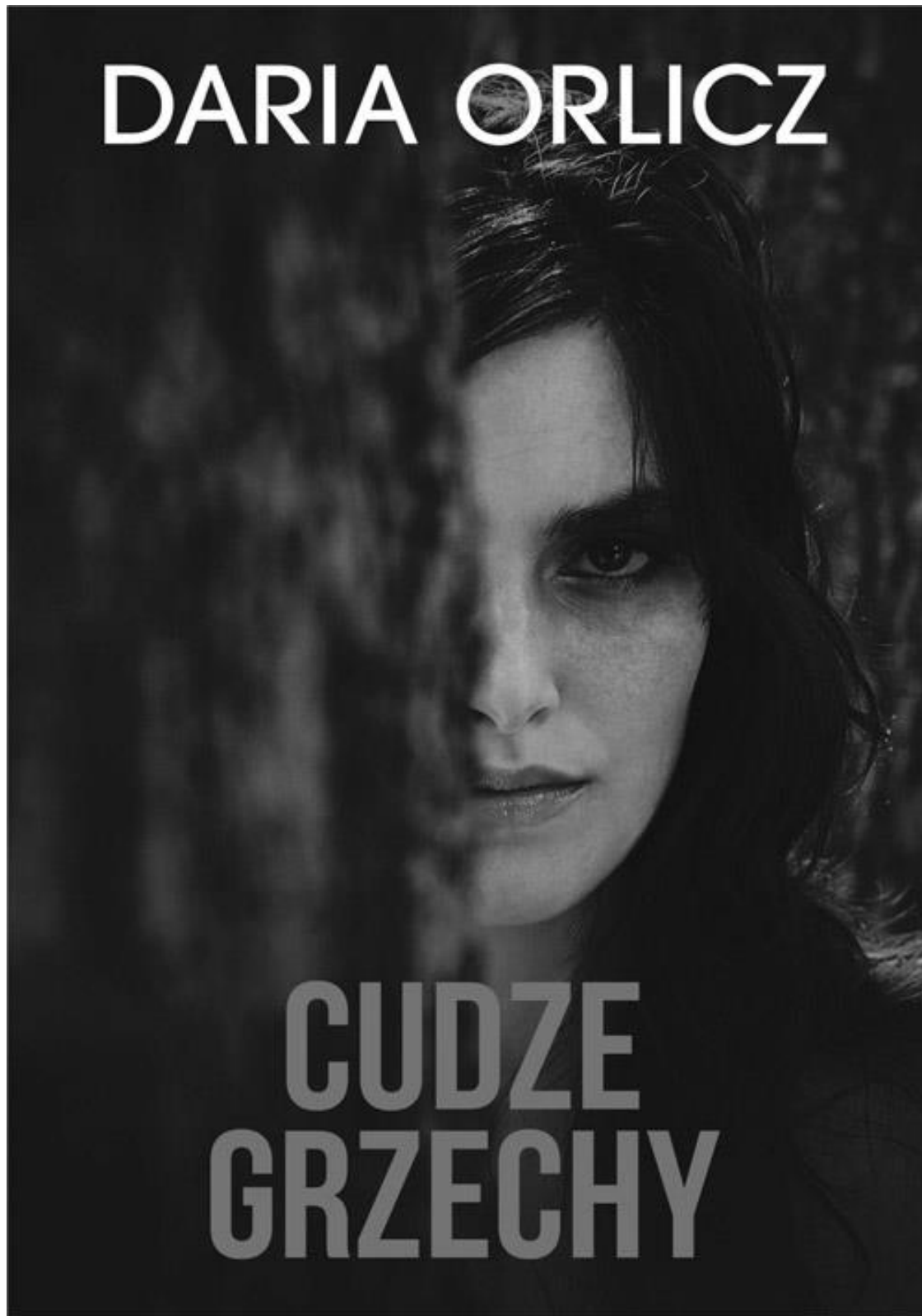


DARIA ORLICZ

DRAPIEŹCY

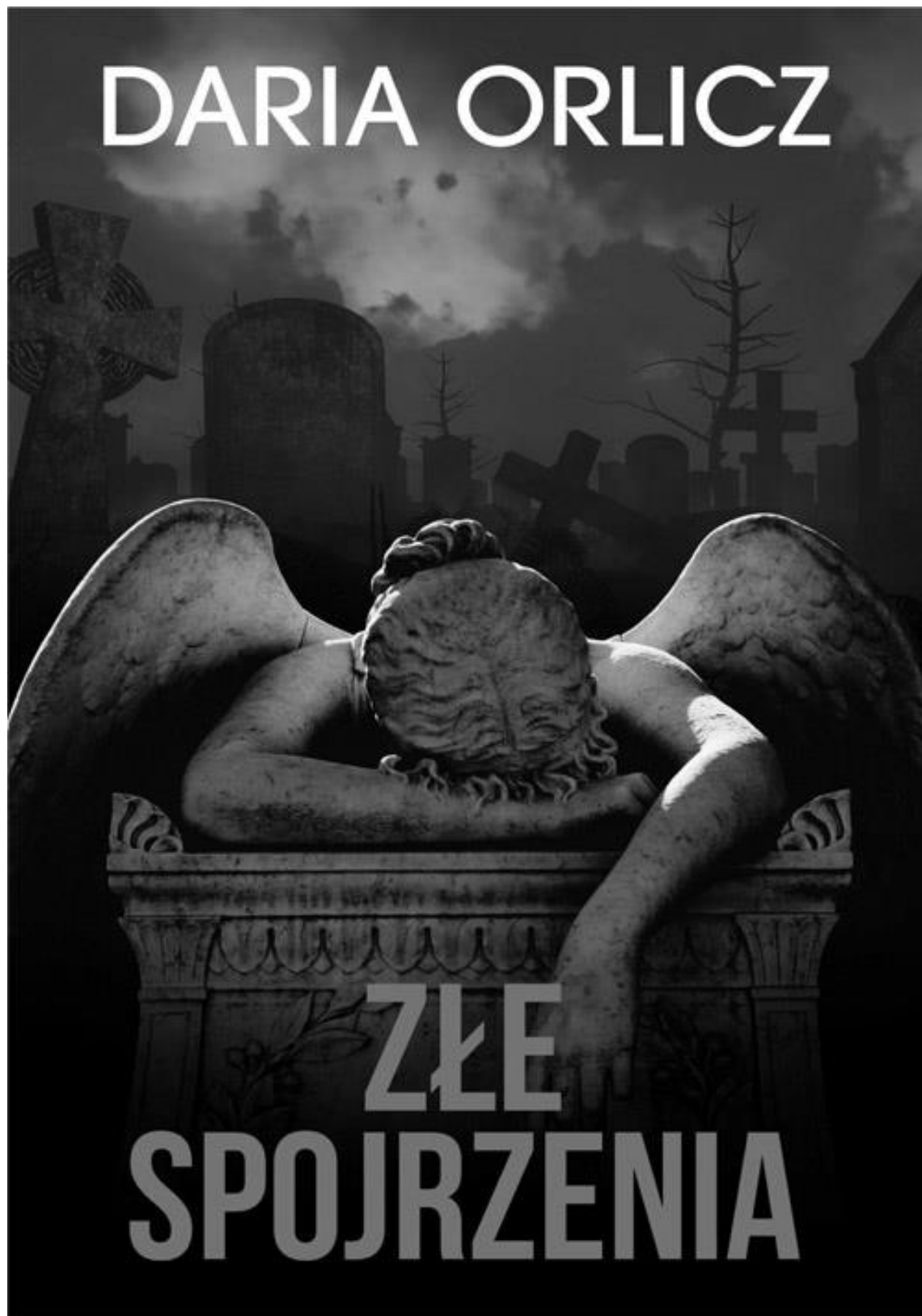
www.harpercollins.com

Polecamy również:



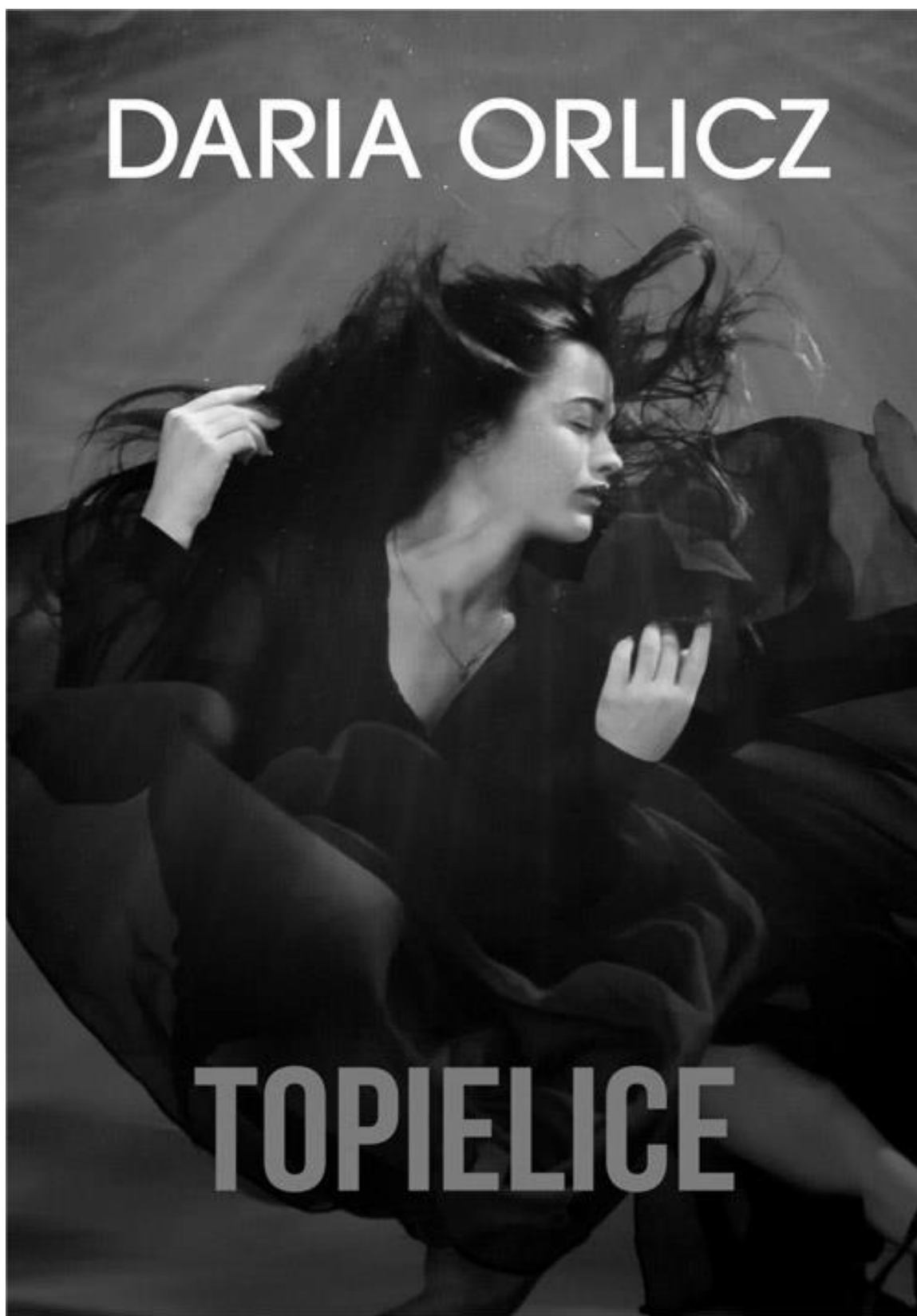
www.harpercollins.com

Polecamy również:



www.harpercollins.com

Polecamy również:



www.harpercollins.com